

SANDRA BROWN



FASCYNACJA

SANDRA BROWN

FASCYNACJA

Z angielskiego przełożyła *Maciejka Mazan*



PROLOG

Telefon doktora Lee Howella zadzwonił o 2.07 w nocy.

- Kto to? Dzisiaj nie masz dyżuru - wymamrotała w poduszkę śpiąca obok żona.

Howellowie położyli się zaledwie godzinę temu. Przyjęcie na basenie zakończyło się koło północy. Zanim pozbiali śmiecie i puste kieliszki po margaricie, schowali resztki jedzenia do lodówki i zajrzeli do śpiącego syna, żeby go pocałować na dobranoc, zrobiła się pierwsza.

Rozbiali się, gratulując sobie udanego przyjęcia. Steki z grilla były tylko minimalnie niedopieczone, a nowy elektryczny odstraszacz komarów bzycał przez cały wieczór, ograniczając owadzią populację do minimum. Biorąc to wszystko pod uwagę, spotkanie można było uznać za udane.

Howellowie byli w romantycznym nastroju, ale zbyt zmęczeni, by choćby myśleć o seksie. Pocałowali się na dobranoc, odwrócili plecami do siebie i zasnęli.

Drzemka, choć krótka, dzięki licznym margaritom była głęboka i pozbawiona snów. A jednak na dzwonek telefonu doktor Howell, dzięki latom praktyki, oprzytomniał w ułamku sekundy. Sięgnął po słuchawkę.

- Wybacz, kotku. Może chodzi o któregoś z pacjentów.

Żona wymamrotała coś w poduszkę. Jej mąż, znany jako doskonały chirurg, a opinia ta nie bazowała wyłącznie na jego technicznych umiejętnościach, był bardzo oddany swoim pacjentom i zainteresowany ich samopoczuciem przed, w trakcie i po operacji.

Zwykle nie dzwoniono do niego w środku nocy, kiedy nie miał dyżuru, nie było to jednak zjawisko całkowicie niespotykane. Pani Howell była gotowa znieść taką niewygodę w zamian za przywilej małżeństwa z człowiekiem, którego kochała i który był poważany i popularny w swoim środowisku.

- Halo?

Słuchał przez chwilę, potem odrzucił kołdrę i usiadł.

- Ilu? - A potem: - Jezu. Dobrze, w porządku. Już jadę. Odłożył słuchawkę i wstał.

- Co?

- Muszę jechać. - Nie włączając lampy, podszedł do krzesła, na którym wieczorem zostawił spodnie. - Wzywają cały personel.

Pani Howell podniosła się na łokciu.



- Co się stało?

Obsługujący ruchliwe centrum szpital okręgu Tarrant był nieustannie przygotowany na wielkie katastrofy. Personel przeszedł szkolenie pod kątem udzielania natychmiastowej pomocy ofiarom wypadków samolotowych, tornad, ataków terrorystycznych. W porównaniu z tym dzisiejszy alarm wydawał się banalny.

- Solidny karambol. Rozbiło się kilka pojazdów. - Wsunął bosc stopy w ukochane kamasze, których jego żona szczerze nienawidziła. Miał je, odkąd go znała, i nie chciał się z nimi rozstać, utrzymując, że ledwie zaczęły się dopasowywać do jego stóp i dopiero teraz jest mu w nich wygodnie.

- Poważna sprawa. Cysterna przewróciła się i zaczęła płonąć - rzucił, wkładając przez głowę żółtą koszulę. - Dziesiątki ofiar; prawie wszystkie trafią na naszą salę operacyjną.

Włożył zegarek, przypiął pager do paska i pochylił się, żeby pocałować żonę. Nie trafił w usta, lecz gdzieś pomiędzy nosek i policzek.

- Jeśli do śniadania jeszcze tam będę, zadzwonię i powiem, co się dzieje. Śpij dalej.

Wtulając głowę w poduszkę, wymamrotała:

- Uważaj na siebie.

- Zawsze uważam. Zasnęła, zanim zszedł na dół.


Malcomb Lutey skończył czytać trzeci rozdział najnowszego thrillera science fiction. Chodziło w nim o przenieszonego w powietrzu wirusa, który w ciągu paru godzin od wtargnięcia do ludzkiego organizmu zmieniał organy wewnętrzne nosiciela w czarną tłustą maź.

Czytając o nieświadomej zagrożenia, lecz już skazanej na zagładę jasnowłosej paryskiej prostytutce, skubał krostę na policzku, której matka zabroniła mu dotykać.

- Tylko wszystko pogorszysz. Nie skub, to będzie niedostrzegalna.

Akurat. Krosta była jak najbardziej dostrzegalna. Najnowszy szczyt na coraz bardziej wypiętrzającym się, gruzlastym czerwonym górskim łańcuchu, który przecinał jego twarz. Ten pospolity, zostawiający blizny trądzik zawitał w jego życie w czasach dojrzewania i od piętnastu lat stawiał opór wszelkim lekarstwom - do użytku wewnętrznego i zewnętrznego, na receptę i spod lady.

Matka wiązała ten chroniczny stan z kiepską dietą, kiepskimi nawykami higienicznymi i kiepskim snem. Nieraz dawała do zrozumienia, że przyczyną może być masturbacja. Każda kolejna hipoteza nieodmiennie obarczała winą Malcomb.



Sfrustrowany dermatolog, który leczył go dzielnie, acz bez powodzenia, miał odmienne, lecz równie liczne teorie, dlatego Malcomb został skazany na halloweenową maskę zamiast twarzy. Krótko mówiąc, nikt nie miał pojęcia, co się dzieje.

A jakby tego było mało, by utrzymać samoocenę Malcomba na poziomie rynsztoka, został on uszczęśliwiony czymś jeszcze: był kościsty jak szkielet. Supermodelki, biorące pieniądze za chuderlawy wygląd, zazdrościłyby mu metabolizmu, który zdawał się mieć mordercze zapędy w stosunku do każdej kalorii.

Ostatnim, choć nie najmniej dotkliwym genetycznym dopustem Malcomba były kręcone włosy koloru marchewki. Ta ognista strzecha miała gęstość i fakturę splątanego drutu i zatruwała mu życie na długo przed pojawieniem się koszmarnego trądziku.

Dziwny wygląd oraz wynikająca z niego nieśmiałość sprawiły, że Malcomb wszędzie czuł się niezręcznie.

Z wyjątkiem pracy. Pracował w nocy. Samotnie. Ciemność i samotność były jego ulubionymi towarzyszami. W ciemności jego szalone włosy nabierały normalniejszego odcienia, a trądzik nie był aż tak wyraźny. Samotność wiązała się z pracą ochroniarza.

Matka nie pochwałała wyboru takiego zawodu. Nieustannie żądała, by go zmienił.

- Siedzisz tam samiuteńki przez całą noc - gderała, cmokając karcąco i kręcąc głową. - Jak masz kogoś poznać, skoro pracujesz w samotności?

No właśnie. I o to chodzi, mamó. Tak brzmiała standardowa odpowiedź Malcomba - choć nigdy nie odważył się wypowiedzieć jej na głos.

Praca na nocnej zmianie oznaczała, że nie będzie musiał rozmawiać z kimś, kto ze wszystkich sił stara się nie wpatrywać w jego twarz. Nocne dyżury dawały mu możliwość przespania najbardziej znieawidzonych godzin dnia, kiedy jego włosy rozjarzały się blaskiem pomarańczowego neonu. Bał się tych dwóch nocy w tygodniu, kiedy miał wolne i musiał znosić utyskiwania matki, że sam jest swoim najgorszym wrogiem. W jej kazaniach nieodmiennie powracał jeden temat: gdyby był bardziej otwarty, miałby przyjaciół.

- Możesz tyle z siebie dać! Dlaczego z nikim się nie spotykasz, jak twoi koledzy? Gdybyś był bardziej towarzyski, mógłbyś nawet poznać jakąś miłą młodą pannę.

No jasne.

Matka ganiła go za czytanie fantastyki, ale to ona żyła w nierealnym świecie.

Jego posterunek w szpitalu znajdował się na parkingu dla lekarzy. Inni strażnicy gardzili tym miejscem, ale Malcomb je lubił. W nocy niewiele się tu działo. Interes, by tak

powiedzieć, zaczynał się kręcić dopiero wczesnym rankiem, gdy lekarze zjeżdżali do pracy. O siódmej, kiedy kończył robotę, na ogół było ich jeszcze niewielu.

Ale dziś był piątek i na parkingu stało więcej samochodów. W weekendy ruch na pogotowiu był zawsze większy, lekarze nieustannie przyjeżdżali i odjeżdżali. Na przykład parę minut temu doktor Howell podjechał do szlabanu i podniósł go pilotem przypiętym do osłony przeciwsłonecznej.

Doktor Howell był w porządku. Nigdy nie traktował Malcomba jak powietrze, a czasem nawet mu machał, mijając budkę. Nigdy się nie wściekał, kiedy szlaban się zacinął i Malcomb musiał go podnieść ręcznie. Normalny facet, wcale nie zadziera nosa. Nie tak jak ci bogaci ważniacy, straszliwie obrażeni i bębniący palcami w wyściełane kierownice, niecierpliwie czekający, aż szlaban się podniesie, jakby faktycznie spieszyli się do czegoś ważnego.

Malcomb przeczytał pierwszą stronę rozdziału czwartego. Zgodnie z przewidywaniami, paryska jasnowłosa prostytutka wyzionęła ducha w trakcie stosunku. Zmarła w okrutnych cierpieniach, groteskowo wymiotując, ale Malcomb współczuł nie jej, a nieszczęsnemu klientowi. Jezusie, co za przeżycie.

Odłożył książkę okładką do góry, przeciągnął się i umościł wygodnie na stołku. Spojrzał przelotnie na swoje odbicie w szybie. Krosta z każdą sekundą robiła się większa. Już teraz wyglądała jak ropny masyw. Odwrócił z odrazą oczy od swojego odbicia i spojrzał na parking.

Latarnie zostały tak dobrze rozmieszczone, że oświetlały parking niemal w całości. Cienie zbierały się jedynie pod nasypem wokół niego. Od ostatniej kontroli nic się nie zmieniło, przybył jedynie srebrny beemer doktora Howella - trzeci rząd, drugi samochód. Malcomb dostrzegał jego lśniący dach. Doktor Howell utrzymywał swój wóz w idealnym stanie. Malcomb też by tak robił, gdyby go było stać na taką brykę.

Wrócił do powieści, ale po paru akapitach przyszło mu coś do głowy. Znowu spojrzał na beemera. Zmarszczył jasne brwi. Dlaczego nie zauważył, jak doktor Howell mija jego budkę?

Żeby dotrzeć do chodnika prowadzącego do najbliższego wejścia służbowego, trzeba było przejść parę metrów od budki. Malcomb wyrobił w sobie nawyk odnotowywania w pamięci każdego, kto go mijał, w drodze do lub ze szpitala. To zjawisko miało wewnętrzny rytm. Gość albo wychodził z budynku i zaraz potem odjeżdżał samochodem, albo wjeżdżał na parking i zaraz potem mijał jego budkę w

drodze do szpitala. Podświadomie zapisywał to wszystko w pamięci.

Zaciekawiony, zagiął stronę i położył książkę pod kontuarem, obok torby z obiadem, który przygotowała mu matka. Naciągnął czapkę trochę bardziej na czoło. Jeśli będzie zmuszony odezwać się do kogoś, nawet tak miłego jak doktor Howell, oszczędzi mu widoku swojej odpychającej twarzy na tyle, na ile to możliwe. Daszek czapki rzucał dodatkową warstwę kryjącego cienia.

Wyszedł z klimatyzowanej budki. Temperatura na zewnątrz nie spadła ani trochę. Teksański sierpień. W nocy gorąco prawie tak jak w samo południe. Żar rozgrzanego asfaltu przenikał przez gumowe podeszwy jego butów, absolutnie bezgłośnie stąpające koło pierwszego, a potem drugiego rzędu samochodów. Pod koniec trzeciego Malcomb zwolnił.

Po raz pierwszy od podjęcia tej pracy - co miało miejsce prawie pięć lat temu - poczuł ukłucie niepokoju. Na jego zmianie jeszcze nigdy nie wydarzyło się nic niepokojącego. Parę miesięcy temu strażnik w głównym skrzydle musiał obezwładnić mężczyznę, który groził pielęgniarce rzeźnickim nożem. W ostatniego sylwestra inny strażnik musiał rozdzielić ojców, walczących na pięści o to, który z noworodków jest pierwszym dzieckiem Nowego Roku, a co za tym idzie, zdobywcą licznych nagród.

Na szczęście Malcomb nie był zamieszany w żaden z tych incydentów. Podobno przyciągnęły masę ludzi. Nie zniósłby, gdyby zwrócił na siebie uwagę tłumu. Jedynym kryzysem, jakiemu musiał stawić czoło, był incydent z neurochirurgiem, który po powrocie na parking odkrył, że jego jaguar ma kaptur. Z przyczyn, które po dziś dzień pozostały tajemnicą, odpowiedzialnością za to obarczył właśnie Malcomb.

Na razie więc jego zmiany przebiegały na szczęście bez urozmaiceń. Teraz to się mogło zmienić. Nagle dobra przyjaciółka Ciemność nie wydawała się już tak dobrotliwa. Malcomb nieufnie powiódł wzrokiem dokoła.

Na parkingu panowała cmentarna cisza i bezruch - co w tej chwili nie stanowiło szczęśliwego porównania. Wszędzie martwy spokój, nawet liście nie poruszały się na drzewach. Wszystko wydawało się takie jak zawsze.

Mimo to głos Malcomb'a zadrżał lekko.

- Panie doktorze...

Nie chciał przestraszyć doktora Howella. W oświetlonym pokoju pełnym ludzi jego twarz mogła wystraszyć. Gdyby niespodziewanie pokazał się w ciemnościach, biedny doktor mógłby umrzeć ze strachu.



- Panie doktorze! Jest pan tu?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, doszedł do wniosku, że może spokojnie ominąć pierwszy samochód i zajrzeć do beemera doktora Howella - na wszelki wypadek, dla własnego spokoju. Nie zauważył go, jak przechodził, i tyle. Może dlatego, że za bardzo się skupił na tym, co prostytutka robiła swojemu klientowi, zanim zaczęła się wić z bólu i obrzygała gościa czarną mazią. Albo za bardzo się zamyślił nad najnowszym geologicznym wypiętrzeniem na swoim policzku. A może doktor Howell ominął chodnik i przemknął między krzakami. Był wysoki, lecz szczupły. Na tyle, że mógłby się precyzyjnie przeczisnąć przez żywopłot, nie robiąc przy tym nadmiernego hałasu.

Tak czy owak, doktor Howell przemknął koło niego w ciemnościach, i tyle.

Zanim Malcomb ominął pierwszy samochód, na wszelki wypadek zapalił latarkę.

Później znaleziono ją pod pierwszym autem w rzędzie, gdzie znieruchomiła, przetoczywszy się parę metrów. Szkło było zbite, metalowa obudowa wgnieciona. Ale baterie napełniłyby dumą tego wkurzającego różowego króliczka z reklam. Żarówka nadal świeciła.

To, co Malcomb ujrzał w promieniu latarki, przeraziło go bardziej niż cokolwiek, o czym pisali w thrillerze. Nie było groteskowe, krwawe ani dziwaczne.

Za to prawdziwe.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nieźle się urządziłeś.

- Też mi się podoba.

Wick udał, że nie dostrzega ironii. Wysypał gotowane krewetki do paskudnego cedzaka z białego plastiku z brązowymi przebarwieniami. Nie pamiętał, jak wszedł w jego posiadanie; zakładał, że odziedziczył go po poprzednim lokatorze wynajmowanego domu, który wyraźnie nie przypadł do gustu jego przyjacielowi.

Gdy krewetki ociekły z wody, postawił cedzak na środku stołu, wziął rolkę papierowych ręczników i zaproponował swojemu gościowi następne piwo. Otworzył dwie butelki, usiadł okrakiem na krześle naprzeciwko Orena Wesleya i powiedział:

- Smacznego.

Oren starannie oderwał kawałek papieru z rolki i rozłożył na kolanach. Zanim wyselekcjonował odpowiednią krewetkę, Wick jadł już trzecią. Posilali się w milczeniu, zanurzając krewetki w miseczce z sosem. Oren uważał, żeby nie zabrudzić czerwoną pikantną mazią białych mankietów koszuli. Wick mlaskał i oblizywał palce, doskonale świadomy, że irtuje swojego schludnego przyjaciela.

Skorupki odkładali na gazetę na stole nie po to, żeby chronić brutalnie porysowany blat, lecz by ograniczyć sprzątanie do minimum. Wentylator pod sufitem poruszał rogami zaimprovizowanego obrusa i rozprawdzał pikantny aromat gotowanych krewetek.

Po jakimś czasie Oren mruknął:

- Dobrze.

Wick wzruszył ramionami.

- Może być.

- Miejscowy połów?

- Kupuję prosto z łódki, ledwie przybije do brzegu. Rybak daje mi zniżkę.

- Przyzwoity gość.

- Wcale nie. Mamy umowę.

- A ty co musisz?

- Odczepić się od jego siostry.

Wick zabrał się za kolejną soczystą krewetkę. Odrzucił skorupkę na rosnącą stertę. Uśmiechnął się do Orena; widział, że przyjaciel usiłuje go rozszyfrować. Wick był

mistrzem kłamstwa i nawet jego najlepszy kumpel nie zawsze potrafił odróżnić prawdę od fikcji.

Oderwał ręcznik, wytarł ręce i usta.

- Tylko tyle przychodzi ci do głowy? Cena krewetek? Przejechałeś taki kawał drogi, żeby pogadać o krewetkach?

Oren beknął cicho pod osłoną dłoni, unikając jego spojrzenia.

- Pomogę ci posprzątać.

- Zostaw. Weź piwo.

Bałagan na stole nie wpłynął znacząco na ogólny wygląd domu - który z trudem zasługiwał na tę nazwę. Była to raczej trzypokojowa szopa, a wyglądała tak, jakby miała się zawalić przy pierwszym podmuchu wiatru tylko trochę silniejszego niż zefirek. Dach przeciekał. Klimatyzacja była tak nieskuteczna, że Wick rzadko ją włączał. Wynajmował to lokum na tygodnie, płatne z góry. Do tej pory wypisał już sześćdziesiąt jeden czeków.

Drzwi z siatki skrzypnęły przerdzewiałymi zawiasami, kiedy wyszli na werandę. Żadnych luksusów - podłoga z drewnianych desek, na tyle szeroka, by pomieścić dwa metalowe ogrodowe krzeselka, oryginalne okazy z lat pięćdziesiątych. Słone morskie powietrze przegryzło liczne warstwy farby, z których ostatnia miała mdły groszkowy odcień. Wick usiadł na huśtającej się ławeczce, Oren z powątpiewaniem przyjrzał się zardzewiałemu siedzeniu krzesła.

- Nie ugryzie - zapewnił Wick. - Może pobrudzisz sobie spodnie, ale obiecuję, że widok jest wart pieniędzy za pralnię.

Oren usiadł ostrożnie i przez parę minut przekonywał się, że zapewnienie Wicka miało solidne podstawy. Niebo na zachodzie zabarwiło się pręgami płomiennych barw, od krwawej czerwieni po oślepiający pomarańcz. Fioletowe chmury nad horyzontem wyglądały jak dryfujące szczyty górskie o złotych konturach.

- To jest coś, nie? - odezwał się Wick. - A teraz powiedz, kto zwariował.

- Nigdy nie uważałem, że zwariowałeś.

- Tylko trochę mi odbiło, że rzuciłem wszystko i się tu przeprowadziłem.

- To też nie to. Może chodzi o nieodpowiedzialność. Uśmiech Wicka stężał.

Oren zauważył to i dodał:

- Proszę bardzo, możesz się wściec. Nic mnie to nie obchodzi. Musiałeś to usłyszeć.

- No to fajnie. Bardzo ci dziękuję. Usłyszałem. Co u Grace i dziewczynek?



- Steph została cheerleaderką. Laura zaczęła miesiączkować.

- Gratulacje czy kondolencje?

- Dla której? - Obu.

- Przyjmę to i to. Grace powiedziała, żebym cię od niej pocałował. - Rzucił okiem na szczecinę Wicka i dodał: - Czego nie zrobię, jeśli pozwolisz.

- Będę ci bardzo wdzięczny. Ale pocałuj ją ode mnie.

- Z radością.

Przez parę minut popijali piwo i przyglądali się gasnącym barwom zachodu. Żaden nie przerywał milczenia, choć ciążyło im obu - milczenie i to, co nie zostało powiedziane.

Pierwszy odezwał się Oren.

- Wick...

- Nie chcę.

- Skąd wiesz, o co mi chodzi?

- Dlaczego mi psujesz taki piękny zachód słońca? Nie mówiąc już o dobrym jamajskim piwie.

Ławeczka, rozkołysana nagłym zeskokiem Wicka, powoli znieruchomiła, skrzypiąc. Wick stanął na skraju werandy, podkurczył opalone palce u stóp, uniósł butelkę i opróżnił ją jednym długim łykiem, po czym wyrzucił do wielkiej metalowej beczki służącej za pojemnik na śmieci. Łomot wystraszył parę mew, przechadzających się po ubitym piasku. Wick zazdrościł im, że potrafią latać.

Jego znajomość z Orenem zaczęła się przed wielu laty, kiedy to wstąpił do policji Fort Worth. Oren był od niego o parę lat starszy, i jak Wick przyznawał, to on z nich dwóch był tym mądrzejszym. Był zrównoważony, co często wytrącało Wicka z równowagi. Był metodyczny, Wick impulsywny. Był dobrym ojcem i mężem, Wick - kawalerem o obyczajach kocura, jak utrzymywał Oren.

Pomimo tych różnic, a może dzięki nim, Wick Threadgill i Oren Wesley tworzyli doskonały tandem partnerów o różnym kolorze skóry, zresztą nieczęsto spotykany. Połączyło ich niebezpieczeństwo, poczucie humoru, parę sukcesów, wiele rozczarowań - i cierpienie, z którego żaden nie zdołał się w pełni wyleczyć.

Kiedy Oren zadzwonił do niego po paru miesiącach rozstania, Wick się ucieszył. Miał nadzieję, że przyjaciel chce pogadać o dawnych, dobrych czasach. Ta nadzieja pierzchła w chwili, gdy Oren wysiadł z samochodu. Na piasku Galveston stanęły nie

klapki czy trampki, lecz lśniące czarne półbuty. Oren nie przyjechał tu łowić ryb, chodzić po plaży, czy choćby siedzieć na werandzie przy radiu i piwku.

Przyjechał z interesem. Zapięty na ostatni guzik, wypastowany, wcielona oficjalność. Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Wick ujrzał pokerową minę przyjaciela i zrozumiał z całą pewnością i rozczarowaniem, że nie jest to wizyta towarzyska.

Miał taką samą pewność, że nie spodoba mu się to, co usłyszy.

- Nikt cię nie wylał, Wick.

- Nie, wziąłem urlop na czas nieograniczony.

- To twój wybór.

- Dokonany pod presją.

- Musiałeś ochłonąć i się pozbierać.

- Dlaczego mnie nie wywalili? Wszystkim byłoby łatwiej.

- Bo są mądrzejsi od ciebie. Wick spojrzał na niego.

- Ach, tak?

- Wiedzą, jak zresztą wszyscy, którzy cię znają, że jesteś stworzony do tej pracy.

- Do tej pracy? Czyli do grzebania się w gównie, tak? Gdybym sprzątał stajnie, nie ubabrałbym się tak, jak w policji.

- W dużej mierze z własnej winy.

Wick szarpnął za gumkę, którą nosił na przegubie. Nie lubił wspominać tamtych czasów i sprawy, która sprowokowała go do publicznego oskarżenia o nieudolność systemu prawnego w ogóle, a policji w szczególności.

- Pozwolili się wyłgać temu zdrajcy.

- Bo wiedzieli, że nie oskarżą go o morderstwo. Wiedzieli to równie dobrze jak oskarżyciel. Dali mu sześć lat.

- Wyjdzie za dwa. I znowu to zrobi. Ktoś znowu umrze. Mogę się założyć. A wszystko dlatego, że nasz wydział i prokuratura się posrały ze strachu o prawa tego małego fajfusa.

- Bo przy aresztowaniu dopuściłeś się nadmiernej przemocy. - Oren zniżył głos i dodał: - Ale twój problem z prokuraturą nie dotyczy tamtej sprawy i dobrze o tym wiesz.

- Oren - rzucił Wick ostrzegawczo.

- Ten błąd...

- Spadaj. - Wick dwoma susami przemierzył werandę. Trzasnęły drzwi z siatki.

Oren poszedł za nim do kuchni.



- Nie przyjechałem tu po to, żeby to wszystko rozgrzebywać.
- A już myślałem.
- Przestań się miotać i daj mi coś powiedzieć, dobrze? To cię zainteresuje.
- Błąd. Zainteresuje mnie tylko piwo. - Wyjął butelkę z lodówki i otworzył.

Zostawił kapsel na podłodze, tam, gdzie upadł.

Oren otworzył teczkę, którą ze sobą przyniósł. Wick udał, że jej nie zauważa. Ale próba ucieczki na werandę została udaremniona, gdy nadepnął bosą stopą na ostrą krawędź kapsla. Zaklął, kopnął kapsel i rzucił się na kuchenne krzesło o chromowanych nogach. Skorupki krewetek zaczynały cuchnąć.

Wick oparł stopę na kolanie i ocenił szkody. Na podeszwie widniał głęboki odcisk kapsla, ale skóra była cała.

Niewzruszony Oren usiadł naprzeciwko.

- Oficjalnie mnie tu nie ma. Rozumiesz? To delikatna sytuacja. Należy postępować ostrożnie.

- Coś ci padło na uszy?
- Wiem, że będziesz tak samo zaintrygowany jak ja.
- Nie zapomnij zabrać marynarki, gdy będziesz wychodził.

Oren wyjął z teczki kilka dużych czarno - białych zdjęć. Podniósł jedno tak, żeby Wick musiał na nie spojrzeć. Po chwili pokazał mu następne.

Wick przyjrzał się fotografii, a następnie podniósł oczy na Orena.

- Zrobili jej jakieś zdjęcia w ubraniu?
- Znasz Thigpacka. Chory umysł. Wick parsknęła.
- Na jego obronę należy dodać, że dom, w którym urządziliśmy punkt obserwacyjny, stoi na wprost jej sypialni.

- I tak nic go nie tłumaczy. A może ona jest ekshibicjonistką i wiedziała, że ktoś ją podgląda.

- Nie jest i nie wiedziała.
- O co chodzi?

Oren wyszczerzył zęby.

- Bardzo się zaciekawileś?

Gdy ponad rok temu Wick oddał odznakę, był to gest pogardy nie tylko w stosunku do własnej kariery, ale całej policji. Uznał ją za wielki pojazd, który ugrzązł w bagnie. Obraca ogromnymi kołami, robi mnóstwo hałasu - wolność, sprawiedliwość,

amerykański sposób życia - ale nigdzie już nie pojedzie.

Urzędnicy i politycy, drżący ze strachu na myśl o niezadowoleniu społeczeństwa, okradli policję z motywacji. Co za tym idzie, cała idea sprawiedliwości zaczęła się rozpywać. A jeśli było się biednym durniem, który w nią wierzył, wspierał ją i wychodził ze skóry, by mechanizm działał, żeby łapać złych facetów i wsadzać ich do więzienia, wszystko to było niczym garść błota rzucona w twarz.

Ale pomimo wszystko Wick poczuł, że budzi się w nim naturalna ciekawość. Oren pokazał mu te zdjęcia w jakimś celu. Nie był neandertalczykiem jak detektyw Thigpack i miał co innego do roboty, niż gapić się na zdjęcia półnagiej kobiety. Poza tym Grace by go za to udusiła.

Nie, Oren miał jakiś powód, żeby przyjechać na Galveston aż z Fort Worth, i Wick wbrew samemu sobie chciał się dowiedzieć, co to takiego. Poczł się zaintrygowany, tak jak to przewidział Oren, niech go diabli.

Sięgnął po pozostałe fotografie i przejrzał je szybko, a potem wolniej, dokładniej. Kobieta siedziała za kierownicą starego dżipa; szła przez coś w rodzaju wielkiego parkingu; była we własnej kuchni i sypialni, w błogiej nieświadomości, że jej prywatność została zakłócona przez obleśnego Thigpacka z lornetką i teleobiektywem w łapach.

Zdjęcia z sypialni były ziarniste i trochę nieostre, ale wystarczająco wyraźne.

- O co jest oskarżona? O międzystanowy przemyt kradzionej bielizny Victoria's Secret?

- Nic z tego - odparł Oren, kręcąc głową. - Nie powiem nic więcej, dopóki nie zgodzisz się wrócić.

Wick rzucił w niego fotografiami.

- Przejechałeś się na darmo. - Znowu szarpnął za gumkę, boleśnie strzelając nią o skórę.

- Ta sprawa będzie ci pasować.

- Na to nie licz.

- Nie proszę o zobowiązanie na dłuższą metę ani o powrót do wydziału. Tylko ta jedna sprawa.

- Nie.

- Potrzebuję twojej pomocy. - Przykro mi.

- Czy to ostateczna odpowiedź?

Wick wziął piwo, pociągnął długi łyk, beknął głośno. Oren pochylił się nad stołem,

nie zważając na cuchnące skorupki.

- To sprawa o morderstwo. Mówili o niej w dziennikach.

- Nie oglądam dzienników, nie czytam gazet.

- Najwyraźniej. W przeciwnym razie przyjechałbyś piorunem do Fort Worth i nie musiałbym się tu tłuc.

Wick nie mógł powstrzymać pytania:

- Bo co?

- Znany doktor zastrzelony na parkingu przed szpitalem okręgu Tarrant.

- Dobrze brzmi. Cytat z gazety?

- Nie. Streszczenie naszych wiadomości o tej sprawie. Zbrodnię popełniono pięć dni temu i to wszystko, co wiemy.

- Nie mój problem.

- Zabójca skasował ofiarę parę metrów od potencjalnego świadka, ale nikt go nie widział. Ani nie słyszał. Cichy jak duch. Niewidzialny. I nie zostawił najmniejszego śladu.

- Oren zniżył głos do szeptu. - Ani jednego śladu.

Wick spojrzał w ciemne oczy swojego partnera. Włosy mu się zjeżyły.

- Lozada?

Oren wyprostował się z błogim uśmiechem.



ROZDZIAŁ DRUGI

Doktor Rennie Newton wyszła z windy i zbliżyła się do pokoju pielęgniarek. Dyżurna za biurkiem, zwykle gadatliwa, dziś była wyraźnie przygaszona.

- Dobry wieczór, pani doktor.

- Witam.

Pielęgniarka dostrzegła czarną sukienkę pod fartuchem Rennie.

- Pogrzeb był dzisiaj? Rennie przytaknęła.

- Nie miałam czasu się przebrać.

- Uroczystość była ładna?

- Na ile to możliwe. Tak. Przyszli wszyscy.

- Doktor Howell był bardzo lubiany. I właśnie dostał awans. To straszne.

- Tak. Straszne.

Oczy pielęgniarki wypełniły się łzami.

- My, tu na piętrze... spotykaliśmy go prawie codziennie. Nie możemy w to uwierzyć.

Tak jak Rennie. Lee, jej kolega, zginął pięć dni temu. W jego wieku nawet nagła śmierć w wypadku czy z powodu zawału byłaby trudna do zaakceptowania. Ale Lee został zamordowany z zimną krwią. Wszyscy, którzy go znali, jeszcze nie mogli się otrząsnąć, tak bardzo poruszyła ich jego śmierć, ale także sposób, w jaki umarł. Rennie niemal się spodziewała, że Lee zaraz wyskoczy zza drzwi i zawoła: „Tylko żartowałem!”.

Ale ta śmierć nie była obrzydliwym kawałem, z jakich znany był Lee Howell. Dziś rano Rennie widziała jego zamkniętą, obsypaną kwiatami trumnę przed ołtarzem. Słyszała wzruszające przemówienia krewnych i przyjaciół. Widziała Myrnę z synem, płaczących rozpaczliwie w pierwszym rzędzie. Przez ich łzy ta śmierć i jej nieodwracalność stawały się boleśnie prawdziwe i jeszcze trudniejsze do zaakceptowania.

- Wszyscy musimy ochłonać - odezwała się spokojnie i pewnie.

Ale pielęgniarka nie zamierzała porzucić tematu.

- Słyszałam, że policjanci przesłuchują wszystkich, którzy byli na przyjęciu u doktora Howella.

Rennie przeglądała karty pacjentów, które przyniesiono jej w trakcie rozmowy i nie odpowiedziała na wiszące w powietrzu pytanie.



- Doktor Howell zawsze żartował, prawda? - Pielęgniarka zachichotała, jakby przypomniała sobie coś śmiesznego. - I strasznie się kłóciliście, jak pies z kotem.

- Nie kłóciliśmy się. Od czasu do czasu się spieraliśmy - poprawiła ją Rennie. - To różnica.

- Czasami aż krzyczeliście.

- Byliśmy dobrymi przeciwnikami. - Rennie uśmiechnęła się smutno.

Tego ranka przed pogrzebem miała dwie operacje. Zważywszy okoliczności, mogła je przełożyć i nie przyjść do pracy. Ale z powodu niedawnej dziesięciodniowej nieobecności w szpitalu, która okazała się bardzo niesprzyjająca dla niej i pacjentów, miała spore zaległości. Kolejny dzień zwłoki tuż po powrocie byłby nie fair wobec tych, których operacje już raz odłożyła. Narobiłaby sobie jeszcze większych zaległości i wprowadziłaby zamieszanie do skrupulatnie ułożonego grafiku. Więc postanowiła operować i przyjmować. Lee by to zrozumiał.

Wizyta u pacjentów po operacji była ostatnim oficjalnym obowiązkiem tego długiego, męczącego dnia i chciała mieć ją już za sobą. Spytała o pana Tolara, którego przepuklinę przetyku dziś operowała.

- Nadal śpi, ale czuje się dobrze.

Rennie zabrała karty i poszła na salę pooperacyjną. Pani Tolar siedziała przy łóżku męża. Rennie stanęła obok niej.

- Witam. Podobno nadal jest oszołomiony.

- Kiedy ostatnio u niego byłam, oprzytomniał na tyle, że spytał, która godzina.

- Popularne pytanie. Światło nigdy się tu nie zmienia, to dezorientuje.

Kobieta dotknęła policzka męża.

- A teraz śpi.

- To najlepsze, co może zrobić. W jego karcie nie ma żadnych niespodzianek. Ciśnienie w porządku. - Zamknęła kartę. - Za parę tygodni poczuje się jak nowo narodzony. Koniec problemów ze snem.

Zauważyła, że kobieta patrzy na męża z powątpiewaniem, i dodała:

- Wszystko będzie dobrze. Tuż po operacji każdy wygląda nieszczególnie. Jutro będzie wyglądał znacznie lepiej, choć pewnie zacznie tak marudzić i narzekać, że zapragnie pani znowu dać mu narkozę.

- Może sobie marudzić, byle tylko nie cierpiał. - Odwróciła się do Rennie i zniżyła konfidencko głos. - Teraz mogę to już powiedzieć.



Rennie przechyliła głowę z zaciekawieniem. - Nie był przekonany, gdy internista skierował go do pani. Nie ufa lekarkom. Rennie roześmiała się cicho.

- Mam nadzieję, że zdobyłam jego zaufanie.

- O, tak. Już podczas pierwszej wizyty przekonał się, że zna się pani na rzeczy.

- Miło mi to słyszeć.

- Choć powiedział, że takiej urody nie wolno kryć za chirurgiczną maską.

- Kiedy się obudzi, muszę mu podziękować. Wymieniły uśmiechy, po czym pani

Tolar spoważniała.

- Słyszałam o doktorze Howellu. Dobrze go pani znała?

- Bardzo dobrze. Pracowaliśmy razem od paru lat. Uważałam go za przyjaciela.

- Bardzo mi przykro.

- Dziękuję. Będzie nam go brakować. - Nie chcąc znowu wdawać się w rozmowę o pogrzebie, wróciła do tematu pacjenta. - Na razie jest tak zamroczony, że nawet nie wie, czy jest pani przy nim. Proszę wypocząć, dopóki pani może. Będzie pani potrzebować sił, kiedy przywiezie go pani do domu.

- Jeszcze tylko trochę i już sobie idę.

- Do zobaczenia jutro.

Rennie przeszła do następnej pacjentki. U jej łóżka nie było nikogo. Przyjęto ją na operację w ramach akcji dobroczynnej. Leciwa pani mieszkała w domu starców. Z dokumentów wynikało, że nie ma krewnych, z wyjątkiem brata mieszkającego na Alasce. Miała siedemdziesiąt lat, czuła się dobrze, ale Rennie została z nią jeszcze przez chwilę.

Dobroczynność oznaczała dla niej coś więcej niż zrzeczenie się honorarium. Prawdę mówiąc, rezygnacja z niego była najmniej istotnym gestem. Rennie wzięła kobietę za rękę i gładziła jej czoło w nadziei, że jej dotyk i obecność sprawi staruszce podświadomą ulgę. Wreszcie, przekonana, że ta odrobina poświęconego czasu nie poszła na marne, powierzyła pacjentkę opiece pielęgniarek.

- Dziś nie mam dyżuru - powiedziała, oddając karty. - Ale proszę mnie wezwać, jeśli stan któregoś pacjenta się pogorszy.

- Oczywiście. Jadła pani kolację?

- Dlaczego?

- Proszę wybaczyć, ale strasznie pani wygląda. Rennie uśmiechnęła się słabo.

- To był długi dzień. I bardzo smutny.

- Polecam cheeseburgera, podwójne frytki, kieliszek wina i kąpiel w pianie.

- Jeśli zdołam do tego czasu nie zasnąć.

Pożegnała się i poszła do windy. Czekając na nią, przycisnęła do krzyża obie pięści i przeciągnęła się. Nieobecność, której przyczyny nie zależały od niej, kosztowała ją coś więcej niż stratę czasu i niewygodę. Wybiła się ze szpitalnego rytmu i jeszcze do niego nie wróciła. Nie zawsze był regularny, ale przynajmniej znajomy.

I właśnie kiedy zaczęła łapać wiatr w żagle, ktoś zamordował Lee Howella na parkingu, który przemierzała za każdym razem, gdy szła do pracy.

Oszołomienie po tym ciosie jeszcze nie minęło, a już czekała ją nowa nieprzyjemność. Wraz ze wszystkimi gośćmi z przyjęcia u Howellów, została przesłuchana na policji. By to to rutynowe postępowanie, wprost podręcznikowe. A jednak nią wstrząsnęło.

Dziś widziała pogrzeb Lee Howella. Już się nie będzie z nim kłócić o takie drobiazgi jak grafik czy wyższość chudego mleka nad tłustym. Już nie będzie jej rozśmieszał głupimi kawałami.

Sumując wszystkie minione wydarzenia, bez przesady można powiedzieć, że te trzy tygodnie poważnie zaburzyły porządek jej życia.

Nie była to sprawa małej wagi. Doktor Rennie Newton przestrzegała rytmu i rutyny dnia z niezłomną dyscypliną fanatyka.

Mieszkała o dziesięć minut od szpitala. Na ogół młodzi profesjonaliści woleli się osiedlić w nowszych, modniejszych dzielnicach Fort Worth. Rennie też mogła sobie na to pozwolić, ale wolała tę, starszą i szacowną. Nie tylko ze względu na bliskość szpitala, nęciły ją też wąskie, obsadzone szpalerami drzew brukowane uliczki, liczące sobie dziesiątki lat i tak charakterystyczne dla tej dzielnicy. Stare drzewa i krzewy nie wyglądały tak, jakby posadzono je wczoraj. Domy, zbudowane przeważnie jeszcze przed drugą wojną światową, nadawały okolicy stateczny, solidny wygląd, który bardzo jej odpowiadał. Dom, w którym mieszkała, miał tylko pięć pokoi i był idealny dla osoby samotnej, jaką była i zamierzała pozostać.

Dom odnawiano dwukrotnie, a Rennie przed wprowadzeniem się do niego poddała go kolejnym poprawkom i unowocześnieniom. Zewnętrzny tynk był szary z białymi elementami. Drzwi frontowe miały kolor żurawinowej czerwieni z lśniąca mosiężną kołatką. Na rabatkach kwitły białe i czerwone niecierpki pod osłoną ciemnych, lśniących liści krzewów. Rozłożyste drzewa rzucały cień na trawnik nawet w najbardziej słoneczne dni. Rennie wydawała fortunę na profesjonalną pielęgnację ogrodu.



Skręciła na podjazd i otworzyła garaż pilotem - jedno z wprowadzonych unowocześnień. Zamknęła go za sobą i weszła do domu przez drzwi kuchenne. Słońce jeszcze nie zaszło i niewielkie pomieszczenie pławiło się w jego złocistym blasku, przesiewającym się przez liście wielkiego jawora na podwórku.

Odpuściła sobie cheeseburgera i frytki, ale ponieważ nie miała dyżuru, naląła kieliszek chardonnay i zaniósła do salonu - gdzie omal go nie upuściła.

Na stoliku do kawy stał kryształowy wazon z czerwonymi różami .

Pięć tuzinów idealnie pięknych pąków na chwilę przed rozkwitem. Aksamitne w dotyku. Wonne. Drogie. Wazon z rżniętego kryształu także był wyjątkowo piękny. Niezliczone fasety migotały tak, jak to potrafi tylko bardzo cenny kryształ. Na ścianach drżały miniaturowe tęcze.

Ochłonęła z pierwszego wrażenia, odstawiła kieliszek na stół i zaczęła szukać wizytówki w kwiatach i liściach. Nie znalazła.

- Co, do cholery?

Nie były to jej urodziny, a nawet gdyby były, i tak nikt by o tym nie wiedział. Nie obchodziła ich z nikim. Czy te róże to wyraz współczucia? Od lat pracowała z Lee Howellem, ale przysłanie jej kwiatów w dniu jego pogrzebu nie było ani pożądane, ani stosowne.

Wdzięczny pacjent? Możliwe, choć mało prawdopodobne. Kto z nich zna jej adres domowy? W książce telefonicznej był tylko adres gabinetu. Gdyby któryś z pacjentów doznał nagłego przyływu wdzięczności, posłałby róże albo do gabinetu, albo do szpitala.

Tylko nieliczni znali adres domowy. Nigdy nie organizowała domowych przyjęć. Za zaproszenia rewanżowała się, organizując poczęstunki w restauracjach. Miała wielu kolegów i znajomych, ale żadnych przyjaciół, którzy mogliby jej przysłać tak kosztowny bukiet róż. Nie miała krewnych. Nie miała stałego partnera. Ani byłego, ani aspirującego do tego miana.

Kto więc przysłał te kwiaty? A jeszcze bardziej zaniepokoiło ją, w jaki sposób bukiet znalazł się w domu?

Zanim zadzwoniła do sąsiada, pociągnęła dla kurażu łyk wina.

Wkrótce po tym, jak się wprowadziła, gadatliwy wdowiec usiłował awansować do roli jej powiernika, ale najtaktowniej, jak umiała, zniechęcała go do niezapowiedzianych odwiedzin tak długo, aż w końcu pojął aluzję. Jednak pozostali w

przyjaznych stosunkach i starszy pan zawsze z przyjemnością gawędził z nią przez wspólny żywopłot z azalii.

Prawdopodobnie ze względu na swoje osamotnienie i znudzenie zawsze wiedział, co się dzieje w okolicy. Jeśli potrzebowało się jakiegokolwiek informacji, można było liczyć na pana Williamsa.

- Dzień dobry, tu Rennie.

- Hej, Rennie, miło cię słyszeć. Jak pogrzeb?

Parę dni temu zdybał ją, gdy wyjrzała po gazetę. Zasypał ją pytaniami o morderstwo i był bardzo zawiedziony, kiedy nie chciała się z nim podzielić makabrycznymi szczegółami.

- Nabożeństwo było bardzo wzruszające. - Aby nie dawać mu okazji do zadawania pytań, prawie nie robiła przerw między zdaniami. - Dzwonię, ponieważ...

- Policja już wie, kto jest mordercą?

- Nie mam pojęcia.

- Przesłuchiwali cię?

- Przesłuchiwali wszystkich, którzy byli wtedy u doktora Howella. O ile wiem, nie dowiedzieli się niczego ciekawego. - Wino, zamiast ją odprężyć, wywołało ból głowy. - Nie wie pan, czy był u mnie dzisiaj posłaniec?

- Nic mi o tym nie wiadomo. A spodziewasz się przesyłki?

Tylko on miał klucz do jej domu. Nie miała ochoty mu go powierzyć - nie ze względu na brak zaufania. Po prostu sama myśl, że ktoś może wejść do domu podczas jej nieobecności, wydawała się niesympatyczna. Prywatność, tak jak przestrzeganie planu dnia, była dla niej bardzo ważna.

Ale zdawała sobie sprawę, że ktoś powinien mieć zapasowy klucz na wypadek, gdyby coś się wydarzyło albo trzeba było wpuścić robotników. Mieszkający najbliżej pan Williams wydawał się najlepszym kandydatem. I, na ile mogła się zorientować, nigdy nie skorzystał z tego klucza.

- Spodziewam się paczki - skłamała. - Myślałam, że pod moją nieobecność dostarczono ją panu.

- Zostawili ci awizo w drzwiach? Taką żółtą karteczkę?

- Nie, ale pomyślałam, że mogli zapomnieć. Nie widział pan, czy pod moim domem nie było furgonetki dostawczej?

- Nie.



- Hmm, no tak, nigdy ich nie ma, kiedy się na nich czeka, prawda? - rzuciła lekko. - Ale dziękuję. Przepraszam, że panu przeszkodziłam.

- Słyszałaś, że u Bradych są młode szczeniaczki? Cholera! Nie zdążyła odłożyć słuchawki.

- Nie, chyba nie. Jak pan wie, przez parę tygodni mnie nie było i...

- Beagle. Sześć. Najśodsze na świecie. Rozdają je. Mogłabyś sobie wziąć jednego.

- Nie mam czasu na psa.

- A powinnaś znaleźć - pouczył ją po ojcowsku.

- Ale mam konie...

- To nie to samo. Nie mieszkasz z nimi. Potrzebujesz zwierzęcia w domu. To od razu by cię zmieniło. Ludzie, którzy mają zwierzęta, żyją dłużej, wiedziałaś o tym? Ja nie mógłbym żyć bez Oscara. - Miał na myśli swojego pudła. - Pies lub kot są najlepsze, ale nawet złota rybka albo papużka mogą przepłoszyć samotność.

- Nie jestem samotna, tylko bardzo zapracowana. Dziękuję za miłą rozmowę. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę natychmiast, nie tylko po to, żeby uciąć dalszy wykład o zaletach posiadania zwierzęcia. Zaczęła się niepokoić. Róże nie były wytworem wyobraźni i nie zmaterializowały się nagle na stoliku. Ktoś tu był. Ktoś je tu przyniósł.

Szybko sprawdziła drzwi wejściowe. Były zamknięte, tak jak rano, gdy wyszła do pracy. Przebiegła korytarzem do sypialni, zajrzała pod łóżko i do garderoby. Wszystkie okna dobrze zamknięte. Okno nad wanną było zbyt ciasne nawet dla dziecka. Następnie zajrzała do drugiej łazienki, w której urządziła gabinet. To samo: nic. Wiedziała, że w kuchni także nie ma żadnych śladów.

Na widok wybitego okna czy wyłamane zamka poczułaby ulgę. Tajemnica wyjaśniłaby się przynajmniej częściowo. Wróciła do salonu, usiadła na sofie. Straciła ochotę na wino, ale i tak pociągnęła kolejny łyk w nadziei, że to ją uspokoi. Nic z tego. Na dzwonek telefonu omal nie wyskoczyła ze skóry.

Ona, Rennie Newton, która jako czternastolatka wdrapała się po wąskiej drabinie na szczyt wieży ciśień w swym rodzinnym miasteczku, narażała życie, odwiedzając chyba każde niebezpieczne miejsce na świecie, uwielbiała ryzyko i nigdy nie cofała się przed wyzwaniem, która nie bała się samego diabła, jak mawiała jej matka, i która codziennie dokonywała operacji wymagających stalowych nerwów i spokojnych dłoni, prawie zemdląca ze strachu, ponieważ zadzwonił telefon.



Wytarła wino z dłoni i sięgnęła po słuchawkę. Przeważnie dzwoniono do niej w sprawach zawodowych, więc odpowiedziała jak zwykle w pracy, energicznie i rześko.

- Tu doktor Newton.

- Mówi detektyw Wesley. Niedawno z panią rozmawiałem. Nie musiał jej przypominać. Dobrze zapamiętała tego silnego i imponującego czarnego mężczyznę. Łysiejące czoło. Poważny wyraz twarzy. Wcielona surowość. - Tak?

- Dostałem pani numer ze szpitala. Mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe? Miała. I to bardzo.

- W czym mogę pomóc?

- Chciałbym się jutro z panią spotkać. Powiedzmy, o dziesiątej rano.

- Ze mną?

- Żeby porozmawiać o zabójstwie doktora Howella.

- Nic o tym nie wiem. Już to mówiłam... zaraz, chyba przedwczoraj?

- Nie powiedziała mi pani, że ubiegaliście się o to samo miejsce. Tę informację pani pominęła.

Serce załomotało jej o żebra.

- To nie ma znaczenia.

- O dziesiątej, pani doktor. Wydział zabójstw na drugim piętrze. Proszę spytać kogokolwiek, pokażą pani.

- Przepraszam, ale na jutro rano zaplanowałam trzy operacje. Zmiana ustaleń byłaby bardzo niewygodna dla innych chirurgów i personelu szpitala, nie wspominając już o pacjentach i ich rodzinach.

- Więc kiedy jest pani wolna? - Z jego tonu wynikało, że tak naprawdę nie ma ochoty się do niej dopasowywać.

- O drugiej albo trzeciej po południu.

- Druga. Do zobaczenia.

Rozłączył się, zanim ona zdążyła to zrobić. Odłożyła słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Zamknęła oczy i parę razy głęboko odetchnęła, wciągając powietrze przez nos i wydychając ustami.

Mianowanie Lee Howella ordynatorem oddziału chirurgii było dla niej prawdziwym ciosem. Od czasu odejścia na emeryturę poprzedniego ordynatora oboje, ona i Lee, ubiegali się o to stanowisko. W zeszłym tygodniu po trwających miesiącami rozmowach kwalifikacyjnych i ocenach ich dokonań, zarząd szpitala wreszcie obwieścił

swoją decyzję - akurat pod nieobecność Rennie, co uważała za wyjątkowe tchórzostwo.

Jednak była zadowolona, że dowiedziała się o awansie Lee, będąc poza miastem. Szpitalna poczta pantoflowa przekazywała wiadomości z szybkością światłowodów. Zanim wróciła do pracy, szum już się uspokoił i nie musiała znosić życzliwych, lecz niechcianych wyrazów współczucia.

Choć nie udało się jej całkowicie ich uniknąć. W „Star - Telegram” pojawił się artykuł o nominacji doktora Lee Howella. Opisano w nim jego umiejętności, poświęcenie, dokonania i zasługi dla szpitala oraz społeczeństwa. W rezultacie Rennie stała się celem licznych litościwych spojrzeń, które usiłowała ignorować.

Generalnie, funkcja ordynatora łączyła się z dodatkowymi obowiązkami administracyjnymi, nieustannymi sporami z personelem i wyklócaniem się z zarządem o dodatkowe fundusze.

Niemniej była to funkcja warta zabiegów, a Rennie jej pragnęła.

Trzy dni po ukazaniu się artykułu Lee znowu znalazł się na pierwszych stronach gazet - jako ofiara morderstwa na szpitalnym parkingu. Z punktu widzenia detektywa Wesleya był to niezwykły, godny uwagi zbieg okoliczności. Detektyw po prostu musiał sprawdzić każdą ewentualność. To naturalne, że pierwszą podejrzaną jest dla niego konkurentka Lee. Jutrzejsze spotkanie będzie zwykłą formalnością.

Rennie się nim nie martwiła. Nie miała nic więcej do powiedzenia. Zamierzała szczerze odpowiadać na pytania detektywa i zakończyć na tym sprawę. Nie miała powodów .się denerwować.

Za to denerwowały ją róże.

Wpatrywała się w nie groźnie, jakby chciała je zmusić, by wyjawily tożsamość ofiarodawcy. Wpatrywała się w nie tak długo, aż zaczęła je widzieć podwójnie, potem poczwórnie - i gwałtownie odzyskała ostrość widzenia. Dostrzegła białą kopertkę.

Do tej pory nie zauważyła jej, wepchniętej głęboko pomiędzy liście. Ostrożnie, żeby nie skaleczyć się o kolce, wyciągnęła rękę i wyjęła kartkę z koperty przywiązanej do łodygi cienką jedwabną tasiemką.

Ręka, której zawdzięczała reputację wyjątkowo utalentowanego chirurga, zdrzała lekko. Na kartce widniało jedno napisane na maszynie zdanie:

Jestem tobą zafascynowany.



ROZDZIAŁ TRZECI

- Wujek Wick! - Wujek Wick!

Dwie dziewczynki rzuciły się na niego jak liniowi na quarterbacka. Według metryki nastolatki, w okazywaniu uczuć nadal miały spontaniczność dzieci, zwłaszcza kiedy chodziło o uwielbianego wujka Wicka.

- Strasznie długo cię nie było! Tęskniłam za tobą!

- Ja za wami też! Kurczę, kiedy przestaniecie rosnać? Za chwilę będziecie wyższe ode mnie.

- Nikt nie jest wyższy od ciebie, wujku.

- Michael Jordan.

- Nikt, kto nie gra w kosza. Młodsza. Laura, oznajmiła:

- Mama wreszcie pozwoliła mi przekłuć uszy! - I zaprezentowała je z dumą.

- Ale nie nos, mam nadzieję.

- Tata by się wściekł.

- Ja bardziej.

- Wujku, myślisz, że dziewczynkom jest brzydko w aparatach na zębach? Bo chyba będę musiała nosić.

- Żartujesz? Aparaty są strasznie pociągające.

- Serio?

- Serio.

- Masz jaśniejsze włosy.

- Bo często przesiaduję na plaży. Spłowiąły od słońca. A jeśli nie zacznę używać kremu z filtrem, będę miał taką samą skórę jak wy.

Obie uznały, że to bardzo śmieszne.

- Jestem cheerleaderką!

- Słyszałem. - Przybił Stephanie piątkę. - Zarezerwuj dla mnie bilet na któryś mecz.

- Mamy strasznie obciachowe stroje.

- Fakt - przyświadczyła z powagą młodsza siostra. - Totalny obciach.

- Ale mama się nie zgadza, żeby skrócić spódnicę.

- Fakt - odezwała się Grace Wesley, stając w drzwiach. Odsunęła dziewczynki i mocno uścisnęła Wicka.



- Grace, dlaczego nie chcesz ze mną uciec? - spytał z wyrzutem.
- Bo lubię, kiedy mój mężczyzna ma tylko jedną kobietę.
- Zmienię się. Dla ciebie. Jak Boga kocham, że się zmienię.
- Wybacz, ale nie.
- Dlaczego?
- Bo Oren cię dopadnie i zastrzeli.
- A, tak. Jest jeszcze Oren.

Dziewczynki piszczały ze śmiechu. Grace przegoniła je na piętro, gdzie czekały na nie obowiązki, a Wicka zaprosiła do salonu.

- Jak ci na tej wyspie?
- Gorąco. Plażowo. Nadmorsko.
- Podoba ci się?
- Uwielbiam się wałęsać po plaży. Gdzie twój stary?
- Wisi na telefonie, ale zaraz skończy. Zjesz coś?
- Zatrzymałem się u Angela i wrąbałem talerz żeberek. Nie zdawałem sobie sprawy, jak za nimi tęskniłem, dopóki nie zjadłem pierwszego kęsa.
- W lodówce mam pudding czekoladowy.
- Wystarczy mi twoja mrożona herbata.
- Posłodzona?
- To można nie słodzić?
- Już ci przynoszę. Rozgość się. - W progu odwróciła się i dodała serdecznie: -
Bardzo się cieszę, że wróciłeś.

- Dzięki.

Nie poprawił jej. Na razie nie wrócił i nie wiedział, czy w ogóle wróci. Zgodził się tylko nad tym zastanowić. Oren rozpracowywał ciekawą sprawę. Poprosił go o profesjonalną konsultację. Przyjechał, żeby pomóc przyjacielowi. To wszystko.

Nie był jeszcze na posterunku i wcale się tam nie wybierał. Nawet tamtędy nie przejechał, nic go tam nie ciągnęło. Zamierzał wyświadczyć uprzejmość przyjacielowi. Koniec, kropka.

- Hej, Wick! - Oren wpadł do pokoju. Był ubrany po domowemu, w szorty do kolan i podkoszulkę z nadrukiem, ale i tak wyglądał jak policjant. Pod pachą trzymał policyjny segregator z dokumentami sprawy, do paska miał przypięty pager. - Jak ci się jechało?



- Długo.

- Jakbym nie wiedział. - Sam wrócił do domu dzień wcześniej. - Zameldowałeś się w motelu?

- Ta spelunka to najlepsze, na co stać policję? - Faktycznie, na Galveston zostawiłeś same luksusy. Wick roześmiał się bez urazy.

- Grace się tobą zajęła?

- Właśnie się zajmuję. - Grace wyłoniła się z kuchni, niosąc dwie wysokie szklanki z mrożoną herbatą. Postawiła je na stoliku. - Dziewczynki powiedziały, że Wick nie ma prawa wyjść bez pożegnania z nimi.

- Daję słowo, że tego nie zrobię. Mogę im nawet opowiedzieć bajkę na dobranoc.

- Tylko bez świństw.

Rzucił Grace swoje najbardziej udane łotrowskie spojrzenie.

- Będę się cenzurował.

- Dzięki za herbatę - powiedział Oren. - Zaniknij drzwi, dobrze?

Była to znajoma scena. Zanim Wick wyprowadził się nad morze, często spędzał wieczory w domu Wesleyów. Dom był przyjazny, ponieważ opromieniała go miłość Grace i Orena.

Poznali się na studiach, pobrali po ich ukończeniu. Grace pracowała jako doradca i wicedyrektorka w publicznym liceum. Z każdym rokiem zakres jej obowiązków się powiększał, ale Grace zawsze zdążyła przygotować obiad dla rodziny i dopilnować, by nikogo nie zabrakło przy stole. Dom był hałaśliwy i pełen zamieszania, dziewczynki ze swoimi przyjaciółmi nieustannie biegały po schodach i kuchni, sąsiedzi wpadali bez zaproszenia, wiedząc, że są tu mile widziani. Dom był wysprzątnany niczym okręt wojсковy, lecz zagracony drobiazgami gromadzącymi się zawsze w gwarnej rodzinie. Kiedy Grace była w domu, słyszało się szum włączonej pralki. Na lodówce wisiły przyklejone magnesikami notatki i zdjęcia. W baryłeczce na ciastka zawsze można było znaleźć coś dobrego.

Wick bywał tu tak często, że czuł się prawie członkiem rodziny. Zawsze pomagał, kiedy nadchodziła pora zmywania czy wyrzucania śmieci. Żartował, że Grace stara się go udomowić. I wcale się nie mylił.

Po obiedzie i zmywaniu razem z Orenem miał zwyczaj chronić się w zaciszu salonu, by przedyskutować trudne sprawy. Dziś było tak samo.

- Mam nagranie, chciałbym ci je pokazać. - Oren włożył kasetę do magnetowidu,

usiadł z pilotem na sofie obok Wicka. - Zrobione dziś po południu.

- Z kim?

- Doktor Rennie Newton.

Ekran się rozjarzył. Ujrzeni ogólny widok pokoju przesłuchań. Wick widział już setki takich nagrań. Wiedział, że kamera znajdowała się na statywie za plecami Orena. Była skierowana na krzesło przesłuchiwanego. W tym wypadku była to kobieta, której zdjęcia Oren pokazał mu wczoraj.

- Jest lekarzem? - Chirurgiem.

- Nie zalewasz?

- Dzwoniłem do niej, kiedy od ciebie wyjechałem. Dziś zgłosiła się na przesłuchanie.

- W związku z zabójstwem Howella? - Kiedy zgodził się przyjechać do Fort Worth, Oren przekazał mu skąpe podstawowe wiadomości o sprawie.

- Zgodziła się na nagranie, ale przyprowadziła prawnika.

- Głupia nie jest.

- O, nie. Prawdę mówiąc.. no, zobaczysz.

Prawnik doktor Newton wyglądał jak produkt seryjny. Wzrost przeciętny. Waga przeciętna. Włosy siwe. Garnitur szary w prążki. Oczy nieufne i chytne. Wick rozpoznał ten typ od pierwszego wejrzenia.

Skierował uwagę na doktor Rennie Newton, która pod każdym względem odbiegała od stereotypu. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś mu kazał wyobrazić sobie typowego chirurga, nigdy by nie wymyślił kogoś takiego, jak ta kobieta. Nawet za milion lat.

Nie zachowywała się też jak stereotypowa podejrzana o popełnienie morderstwa. Nie pocila się, nie kołysała nerwowo nogą, nie bębniła palcami, nie ogryzała paznokci, nie wierciła się na krześle. Siedziała nieruchomo, z efektownie upozowany - mi nogami, rękami złożonymi na kolanach, nierozbieganym spojrzeniem - wcielenie spokoju.

Miała na sobie kremowy żakiet i spodnie, buty z brązowej skóry na wysokich obcasach oraz pasującą do nich torebkę. Nie nosiła biżuterii z wyjątkiem malutkich kolczyków i dużego, solidnego zegarka. Na palcach nie miała pierścionków. Włosy ściągnęła w schludny koński ogon. Wick wiedział dzięki fotografiom, że rozpuszczone sięgały jej za łopatki. Były jasne i wyglądały na blond równie autentyczny jak brylanty w uszach.



Oren zatrzymał taśmę.

- Co na razie o niej myślisz? Pierwsze wrażenia konesera płci pięknej.

Wick wzruszył ramionami i pociągnął łyk herbaty.

- Ma gust. Ładna cera. Woda lodowacieje od jej spojrzenia.

- Zimna.

- Podbiegunowa. Ale to chirurg. Powinna być opanowana w nerwowej sytuacji, no nie?

- Pewnie tak.

Oren włączył taśmę; rozległ się jego głos, wymieniający wszystkich obecnych w pomieszczeniu, w tym detektywa Pluma, drugiego policjanta w cywilnym ubraniu. Oren wymienił także datę i numer sprawy, a potem spytał doktor Newton, czy zgadza się na przesłuchanie.

- Tak.

Oren od razu przystąpił do rzeczy.

- Chciałbym zadać pani parę pytań na temat zabójstwa pani kolegi, doktora Lee Howella.

- Już powiedziałam panu wszystko, co wiem.

- Ale powtórzyć nie zaszkodzi, prawda?

- Pewnie nie. Jeśli macie tyle wolnego czasu. Oren zatrzymał taśmę.

- Widzisz? Dokładnie o tym mówię. Uprzejma, ale zdecydowana.

- No, tak, ale to także pasuje. Jest lekarzem. Chirurgiem. Pierwsza po Bogu. Jak przemawia, ludzie padają plackiem i słuchają z zapartym tchem. Nie jest przyzwyczajona do przesłuchiwania.

- To niech się przyzwyczai - wymamrotał Oren. - Bo zdaje mi się, że coś ukrywa.

Na kasecie Oren rzucił Plumowi znaczące spojrzenie. Plum uniósł brwi. Oren ciągnął dalej:

- W nocy, kiedy zamordowano doktora Howella, była pani w jego domu, czy to się zgadza?

- Wraz z dwoma tuzinami innych gości - wtrącił adwokat. - Czy ich także przesłuchujecie po kilka razy?

Oren nie zwrócił na niego uwagi.

- Czy znała pani wszystkich zaproszonych gości?

- Tak. Żonę Lee znam niemal tak długo, jak jego. Pozostałymi gośćmi byli lekarze,

moi koledzy. Ich żony poznałam podczas poprzednich przyjęć.

- Przyszła pani sama?

- Tak.

- Była pani jedyną samotną osobą. Prawnik pochylił się do przodu.

- Czy to ważne?

- Możliwe.

- Nie widzę związku. Doktor Newton przyszła na przyjęcie sama. Możemy zająć się czymś innym? Pani doktor jest zajęta.

- Oczywiście. - Oren przejrzał notatki w ostentacyjnie niespieszny sposób. Pytanie zadał po długim namyśle: - Rozumiem, że przyjęcie odbywało się na dworze.

- Na tarasie Howellów.

- A doktor Howell stał przy grillu.

- Czy interesuje pana także menu? - spytał sarkastycznie prawnik.

Oren wpatrywał się w Rennie Newton.

- Lee uważał się za smakosza - powiedziała. - Tak naprawdę gotował okropnie, ale nikt nie miał serca mu o tym powiedzieć. - Spuściła wzrok i uśmiechnęła się ze smutkiem. - Jego przyjaciele nieustannie z tego żartowali.

- Z jakiej okazji odbyło się to przyjęcie?

- Słucham?

- Była to zwykła piątkowa impreza, czy też doktor Howell zorganizował ją z jakiegoś powodu?

Poruszyła się lekko, zmieniła położenie nóg.

- Świątowaliśmy awans Lee na ordynatora oddziału.

- O właśnie. Co pani o tym sądzi?

- Oczywiście cieszyłam się jego szczęściem.

Oren pukał ołówkiem w stół przez pełne piętnaście sekund. Jej spojrzenie pozostało nieruchome, nie uciekło w bok.

- Pani także kandydowała na to miejsce, prawda?

- Tak. I zasługiwałam na nie. Prawnik uniósł ostrzegawczo rękę.

- Bardziej od doktora Howella? - spytał Oren.

- Uważam, że tak - odpowiedziała spokojnie.

- Pani doktor, uważam... Uciszyła prawnika gestem ręki.

- Jestem szczerą, to wszystko. Poza tym detektyw Wesley już odgadł, co czułam,

przegrywając z Lee. Na pewno według niego to motyw morderstwa. - I dodała, zwracając się do Orena: - Ale to nie ja go zabiłam.

- Panowie, czy mogę porozmawiać z klientką na osobności? - spytał prawnik oficjalnym tonem.

Oren jakby go nie usłyszał.

- Nie wierzę, żeby pani kogoś zabiła.

- Więc dlaczego tu siedzę, marnując czas własny i pański? Dlaczego zorganizował pan to... - obrzuciła ściany małego pomieszczenia pogardliwym spojrzeniem - ..przesłuchanie?

Oren zatrzymał taśmę.

- No i?

- Co?

- Zaprzeczyła, zanim ją oskarżyłem.

- Oren, nie wygłupiaj się. Spędziła na studiach więcej lat niż ty, ja i Plum razem wzięci. Ale nie trzeba być świetnym lekarzem, żeby odgadnąć, dokąd zmierzasz. Stado bawołów byłoby bardziej delikatne od ciebie. Przejrzała cię. Tylko idiotka by cię nie przejrzała. A na idiotkę jakoś mi nie wygląda.

- Często się kłóciła z doktorem Howellem.

- Ja z tobą też. Oren pokręcił głową.

- Nie tak jak oni. Wszyscy w szpitalu mówili, że ona i Howell cenili się jako profesjonaliści, ale się z sobą nie dogadywali.

- Brzydki koniec romansu?

- Początkowo zadawałem to pytanie każdemu przesłuchiwanemu. Potem przestałem.

- Dlaczego?

- Znudziło mi się, że wszyscy się ze mnie śmieją. Wick odwrócił się z pytająco uniesioną brwią.

- Za cholerę nie rozumiem - odpowiedział na milczące pytanie Oren. - Tak reagowali za każdym razem. Najwyraźniej nigdy nie było między nimi chemii.

- Tylko koleżeńskie współzawodnictwo.

- Nie wiem czy przyjacielskie. Może pozornie, ale podszyte wrogością. Zawsze skakali sobie do gardeł z tego czy innego powodu. Czasem chodziło o drobiazg, kiedy indziej o coś ważnego. Czasami żartowali, czasami nie. Ale te konflikty zawsze były

ogniste, nawet jadowite. I wiedział o nich cały personel.

Wick zamyslił się, z roztargnieniem strzelając gumką o nadgarstek. Oren zwrócił na to uwagę.

- Wczoraj też ją miałeś. Na co to?

- Co? - Wick spojrział na gumkę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. - A, to... to nic takiego. A wracając do tematu, czy Howell awansował, bo był mężczyzną?

- Nie sądzę. Ordynatorami dwóch innych oddziałów w tym szpitalu są kobiety. Howell dostał funkcję, której być może także ze względu na większy staż spodziewała się Newton. Pracowała w szpitalu dwa lata dłużej od Howella.

- Pewnie się wściekła jak cholera. - To naturalne.

- Ale żeby od razu mordować? - Wick, wpatrzony w nieruchomy ekran zmarszczył brwi, na poły sceptycznie, na poły w zamyśleniu. Skinął brodą na Orena, dając mu znak do uruchomienia kasety.

Oren na ekranie spytał:

- Czy po przyjęciu poszła pani prosto do domu? Przytaknęła zwięźle.

- Czy ktoś może to potwierdzić? - Nie.

- Tego wieczoru została już pani w domu?

- Tak. I tego także nikt nie może potwierdzić - dodała, widząc, że Oren otwiera usta. - Ale mówię prawdę. Wróciłam do domu i poszłam do łóżka.

- Kiedy się pani dowiedziała o śmierci doktora Howella? Po tym pytaniu spuściła głowę. Odezwała się cicho:

- Następnego ranka. Z dziennika. Nikt mnie nie powiadomił. Byłam wstrząśnięta, nie mogłam w to uwierzyć. - Splotła mocno palce. - To okropne jest dowiedzieć się w taki sposób, bez żadnego ostrzeżenia.

Wick sięgnął po pilota, zatrzymał nagranie.

- Wydaje mi się, że jest naprawdę poruszona.

- No, wiesz... - Oren chrząknął bez przekonania.

- Pytałeś wdowę o sytuację między nimi?

- Powiedziała to, co wszyscy: wzajemny szacunek, ale się kłócili. Howell, jej zdaniem, wręcz lubił nękać doktor Newton. Był żartownisiem, a ona jest ciągle taka oficjalna. Idealny obiekt.

- No i masz.

- Może doktor Newton uznała, że ten awans to o jeden żart za dużo.



Wick wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Przypomnij mi fakty.

- Dotyczące zabójstwa? Z tego, co mówiła pani Howell, impreza skończyła się koło północy. O pierwszej położyli się spać. Telefon zadzwonił siedem po drugiej. Jest tego pewna, bo pamięta, że spojrzała na zegarek.

Doktor Howell odebrał telefon, rozmawiał przez parę sekund, odłożył słuchawkę i powiedział, że wzywają go do szpitala, bo był wielki wypadek na autostradzie z licznymi ofiarami. Ubrał się i wyszedł. Jego zwłoki znaleziono obok samochodu na parkingu dla lekarzy dwadzieścia osiem minut po drugiej. Tyle zajęło mu przyjechanie z domu. Strażnik na parkingu widział, że Howell podjechał, więc zginął w chwili, gdy wysiadał. Jego portfel był nietknięty. Z samochodu nic nie znikło. Przyczyną śmierci był rozległy krwotok z rany klutej pod lewym ramieniem. Narzędzie zbrodni zostawiono w ranie. Typowy nóż do mięsa. Producent twierdzi, że drewnianych trzonków nie robią już od dwudziestu lat, więc nóż mógł pochodzić skądkolwiek. Z kuchni babci, z pchlego targu. Oczywiście żadnych odcisków palców.

Ostrze przeszło dokładnie pomiędzy żebrami Howella i przebiło serce. Prawdopodobnie zaatakowano go od tyłu, pewnie sięgając wokół szyi. Odruchowo podniósł ramię, a napastnik ugodził go lewą ręką. Wszystko wydarzyło się tak. - Strzelił palcami. - Ten, kto go załatwił, wiedział, co robić.

- Jakby był lekarzem? Oren wzruszył ramionami.

- Wczoraj wspomniałeś o jakimś potencjalnym świadku.

- Strażnik z parkingu. Jakiś... - Oren otworzył akta i przejrzał drukowany formularz, aż znalazł nazwisko. - Malcomb R. Lutey. Dwadzieścia siedem lat.

- Sprawdziłeś go?

- Wyeliminowany. To on wezwał policję. Wystraszony jak diabli, i nie udawał. Kiedy pierwsi funkcjonariusze usiłowali z niego coś wyciągnąć, wymiotował cztery razy. Odkąd dostał tę robotę, nie zawalił ani jednego dnia. Pracuje w święta. Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów. Nie dostał nawet mandatu. Płaszczył się przed wszystkimi. Chyba jakaś ofierma. Nie, przepraszam. To z całą pewnością kompletna, patentowana ofierma.

- Nic nie widział?

- Jak już wspomniałem, kompletnie nic. Gdy wreszcie przestał rzygać, zaczął współpracować. Znerwicowany na maksa, ale za to już jest odpowiedzialna jego

mamusia. Straszna stara jędza. Też zacząłem przy niej dostawać nerwicy. Wierz mi, to nie on.

- A ten wypadek na autostradzie?

- Nie było żadnego wypadku. Wszyscy w szpitalu zaprzeczyli, jakoby dzwonił do Howella. Wykaz telefonów wskazuje, że rozmowa była przeprowadzona z telefonu komórkowego.

- Niech zgadnę: nie da się go namierzyć.

- Otóż to.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Dzwoniący? Nie wiemy. Słyszał go tylko doktor Howell.

- Co dziedziczy po nim żona?

- Bardzo wiele. Howell był ubezpieczony na wszystkie sposoby, ale jego pani także wniosła duży posag, a po śmierci ojca odziedziczy jeszcze więcej.

- Dobre małżeństwo?

- Wszystko na to wskazuje. Starali się o następne dziecko. Mają siedmioletniego syna. Idealna amerykańska rodzina. Chodzili do kościoła i na państwowe uroczystości. Nie ćpali, nie pili. On grał w golfa na niskie stawki i na tym się kończyły jego ekscesy. Ani cienia podejrzenia o małżeńską zdradę, a już na pewno nie z Rennie Newton.

Oren zagrzechotał kostkami lodu w szklance, wytrząsnął jedną do ust, schrupał głośno.

- Żaden pacjent nie składał na niego skargi. Żadnych długów. Żadnych jawnych wrogów. Z wyjątkiem Rennie Newton. A ja mam co do niej przeczucia.

Wick zatrzymał się i spojrzał na Orena, zachęcając go do rozwinięcia tematu.

- To cholernie wygodny zbieg okoliczności, że jej rywal dostaje w czapę parę dni po otrzymaniu funkcji, na którą miała ochotę, nie sądzisz?

- A może to jednak zbieg okoliczności?

- Może bym się i zgodził, gdyby nie ten telefon, który wywlókł Howella na parking w środku nocy. Poza tym nie wierzę w aż takie zbiegi okoliczności.

- Ja też nie. Odgrywałem adwokata diabła. - Wick usadowił się na poduchach sofy i założył ręce za głowę. Spojrzał na spokojną twarz lekarki na ekranie. - Cios nożem? Rzeczywiście, ona by wiedziała, gdzie dziabnąć, żeby zabić, ale czy ja wiem? - Zmarszczył brwi. - Jakoś mi się to nie kojarzy z kobietą.

- Nie powiedziałem, że zrobiła to osobiście. Ktoś ją wyręczył.



Wick odwrócił się i spojrzał na dawnego kolegę.

- Lozada lubi noże.

- Czasami.

- Ale raz wykorzystał pistolet na flary. Oren się skrzywił.

- Jezu, to była jatka.

Części ciała ofiary znaleziono rozsiane po całym wielkim jeziorze Eagle Mountain. Lozada miał też na koncie roztrzaskanie czaszki łyżką do opon. Nie było to morderstwo na zlecenie, jak większość jego zabójstw. Tamten biedny idiota po prostu go zdenerwował. Oczywiście, nigdy nie udowodnili mu tych morderstw. Ale wiedzieli, że to on.

Wick znowu podniósł się z sofy i podszedł do kominka. Spojrzał na fotografie Stephanie i Laury. Potem zbliżył się do okna, wyjrzał przez żaluzje. Wrócił do kominka, wreszcie znowu opadł na sofę.

- Myślisz, że doktor Newton wynajęła Lozadę do wyeliminowania konkurencji? Albo Lozada zabił go z innego powodu? O to ci chodzi?

- To jego sposób zabijania. Cicho. Szybko. I zostawił broń.

- Nie kwestionuję tego, Oren. Chodzi mi tylko o jej udział. - Skinął na telewizor. - To chirurg o dobrej reputacji i bez wątplenia o sześciocyfrowych dochodach. I co, wyszukuje sobie szumowinę, a Lozada jest szumowiną, choćby się ubrał nie wiadomo w co, i zleca zamordowanie kolegi? Mowy nie ma. Wybacz, ale tego nie kupuję.

- Bo co? Jest za dobrze wykształcona? Za dobrze się ubiera? Jest za czysta?

- Nie, tylko... wyprana z uczuć. No, nie wiem - rzucił niecierpliwie. - Masz jakieś dowody na jej związek z Lozadą?

- Szukamy.

- Czyli nie masz.

- Czyli szukamy.

Wick westchnął głęboko.

- Akurat. Lozada mógłby się spotykać z papieżem, a my byśmy się dowiedzieli ostatni. Wymyka się jak piskorz.

- Nasza pani doktor może być taka sama. Większość czasu spędza w szpitalu, ale nikt - dosłownie nikt - nie wie niczego o jej życiu osobistym. Podobno jest bardzo skryta, życie prywatne ma pozostać prywatne i tak dalej. To dlatego wszyscy śmiali się z moich przypuszczeń o romansiku między nią i Howellem. Jeśli w ogóle się z kimś spotyka, to

nikt o tym nie wie. To samotniczka. Doskonały chirurg, co do tego wszyscy są zgodni. Na ogół jest lubiana. Bywa miła. Życzliwa. Ale na dystans. Dystans. Często słyszałem to słowo.

- To jeszcze mało.

- Owszem.

Oren sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął z niej skrawek papieru. Położył go na poduszce pomiędzy sobą a Wickiem.

- Co to?

- Jej adres.

Wick wiedział, co to znaczy, o co prosi go Oren. Pokręcił głową.

- Wybacz, ale mnie nie przekonałeś. Nic na nią nie masz. Prawie nic. W najlepszym razie domysły, a i to bezpodstawne. Z pewnością nic konkretnego. Nie ma podstaw do...

- Słyszałeś o ostatnim procesie Lozady, nie? A może za głęboko schowałeś głowę w piasek Galveston?

- Pewnie, że słyszałem. Sprawa o morderstwo. Znowu uniewinnienie - powiedział Wick gorzko. - Ta sama śpiewka. I co z tego?

Oren pochylił się do niego i spytał scenicznym szeptem:

- Przysięgli, którzy go uniewinnili...

- No?

- Zgadnij, kto im przewodniczył?



ROZDZIAŁ CZWARTY

Wick miał na sobie sportowe szorty, podkoszulek i trampki. Gdyby wpadł na wścibskiego sąsiada, mógł udawać, że zrobił sobie przerwę w joggingu, by się odlać. Może nie wypadłby najlepiej, ale lepsze to niż wyznać prawdę: że w ramach przyjacielskiej przysługi włamuje się do domu podejrzanej w celu uzyskania informacji.

Dla uprawdopodobnienia swojego przebrania zrobił parę rundek wokół parku o parę przecznic od domu Rennie Newton. Kiedy przesadził płot oddzielający jej podwórko od bocznej uliczki, był już bardzo wiarygodnie spocony.

Parę domów dalej rozlegał się szum kosiarki. Poza tym w okolicy panowała cisza. Specjalnie wybrali tę porę dnia. Było za wcześnie, żeby ludzie zaczęli wracać z pracy, i za gorąco, by ci, którzy pozostali w domu, wyszli na dwór pracować czy wypoczywać.

Wbiegł po schodkach i rozpiął szaszetkę u pasa. Wyjął z niej lateksowe rękawiczki, nie całkiem pasujące do postaci biegacza przyciśniętego potrzebą. Musiałby się dłużej z nich tłumaczyć wścibskiemu sąsiadowi, ale lepszy on niż sędzia dysponujący niepodważalnym dowodem w postaci odcisków palców. Następnie wyjął kartę kredytową. W niespełna trzy sekundy drzwi stanęły otworem.

Wśliznął się do środka. W głowie nadal dźwięczały mu ostatnie słowa Orena: „Jeśli cię złapią, w ogóle cię nie znam”.

Rzadko zdarzało mu się zastygnąć z otwartą gębą, bez żadnej sprytnej odzywki w odwodzie. Ale kiedy wczoraj Oren opowiedział mu o ostatnim występie Rennie Newton w roli przewodniczącej przysięgłych, minęło trochę czasu, zanim zdołał odzyskać mowę i wyartykułować wymowne:

- O.

Oren rzucił mu przynętę i nie ulegało wątpliwości, że oto miał go na haczyku.

Teraz przystanął w domu podejrzanej i zaczął nasłuchiwać. Nie spodziewali się, żeby miała system alarmowy. Oren sprawdził to w dokumentach policyjnych. Nikt nie odnotował rejestracji takiego systemu i żaden elektroniczny pisk nie powiadomił Wicka o grożącym niebezpieczeństwie.

W głuchoj ciszy tego pustego domu wróciły do niego wszystkie wiadomości. Doktor Newton od tygodnia była pod policyjną obserwacją. Oren wiedział, że mieszka sama i powtarzał, że według jej rozkładu dnia można by regulować zegarki. Wraciała dopiero po wieczornym obchodzie. Jak powiedział, rzadko spóźniała się o więcej niż

dwadzieścia minut.

Boczne wejście prowadziło do kuchni, niewielkiej i klinicznie czystej. W zlewie znajdowały się tylko dwa naczynia: kubek po kawie i dzbanek z ekspresu. W każdym stała woda z płynem do mycia.

Akcesoria w szufladzie przy kuchence były ułożone metodycznie niczym instrumenty chirurgiczne na sterylnej tacy. Wśród noży był również ten do mięsa. Trzonek z jakiegoś syntetycznego materiału pasował do pozostałych z kompletu.

W pojemniku znajdowało się pół bochenka pełnoziarnistego chleba, zamkniętego w szczelnym woreczku. Wszystkie otwarte pudełka z płatkami oznaczono naklejkami. Warzywa w puszkach nie stały w kolejności alfabetycznej, ale niewiele brakowało.

Zawartość lodówki zdradzała, że doktor Newton zwraca uwagę na to, co je, lecz nie dba przesadnie o linię. W zamrażalniku stały dwa półkilowe pojemniki lodów. Oczywiście, mogły być dla gości.

Zajrzał do szuflady małej komódki i znalazł w niej laminowaną listę telefonów alarmowych, notes bez żadnych bazgrołów czy notatek oraz kilka długopisów, wszystkie z czarnym wkładem. Nic osobistego czy znaczącego.

Przeszedł do salonu, który wyglądał jak reklama z jakiegoś katalogu. Poduszki wytrzepane i rozmieszczone w równych odstępach na sofie. Magazyny w schludnych stertach, wyrównane jak talie kart. Pilot od telewizora leżał równo wzdłuż krawędzi stolika.

- Jezu - szepnął Wick, myśląc, w jakim stanie zostawił swoją szopę na Galveston. Pokój motelowy, który dziś opuścił, wyglądał jakby przetrwał atak huraganu.

W połowie krótkiego korytarzyka znajdowało się niewielkie pomieszczenie, które najwyraźniej służyło za gabinet. Wick miał nadzieję, że znajdzie w nim źródło informacji na temat tej kobiety. Nic podobnego. Tytuły książek medycznych na półkach niewiele mu mówiły. Znalazł tu także kilka atlasów i przewodników, parę powieści, przeważnie klasycznych, nic ciekawego, nic dla jego niewyrafinowanego gustu.

Na schludnym biurku znajdowały się dwie metalowe tacki, jedna na przeczytaną korespondencję, druga na nieprzeczytaną. Przejrzał obie. W dolnej szufladzie biurka odkrył teczkę na rachunki - z oddzielną przegródką na każdy miesiąc. Sprawdził je, ale nie znalazł pokwitowania za usługę płatnego mordercy.

W sypialni czekała go pierwsza niespodzianka. Stał na progu, rozejrzał się szybko, by po chwili spokojnie przyjrzeć się wszystkiemu. W porównaniu z resztą domu

panował tu bałagan. Tego pokoju nie zamieszkiwał chirurg, tylko człowiek. Kobieta.

Spodziewał się tu wojskowej pryczy z twardym siennikiem. Tymczasem - dziwne - łóżko nie było pościelone. Podszedł do okna, gdzie Oren i Thigpack obserwowali go z okna na piętrze w domu oddalonym o dwa numery od Rennie. Pokazał im palec.

Zawrócił i zaczął przeszukiwać szuflady komody. Bielizna była poukładana w równe rzędkie, figi w jednej szufladzie, staniki w drugiej. Frywolne z jednej strony, praktyczne z drugiej.

Był ciekaw, co nią kierowało, kiedy wybierała któryś komplet. Dzień, noc? Praca, zabawa? Czy decydował o tym nastrój, czy wprost przeciwnie?

Przerzucił fatałaszki, szukał pamiątek, listów, zdjęć, które zdradziłyby mu osobowość Rennie Newton. Czy naprawdę mogła mieć konszachty z notowanym przestępcą, co podejrzewał Oren?

Poszukiwania w komodzie zakończyły się znalezieniem paru pachnących saszetek i niczego poza nimi. To samo dotyczyło szafy, gdzie panował taki sam zdyscyplinowany porządek jak w komodzie. W pudełkach na buty nie znalazł nic oprócz butów.

Zajął się nocną szafką. Magazyn dotyczący fitnessu był otwarty na artykuły o ćwiczeniach na rozluźnienie mięśni karku. Zakrętka butelki z balsamem do ciała była niedokręcona. Wick wciągnął zapach w nozdrza. Nie odróżniał jednego kwiatu od drugiego, ale na butelce było napisane jojoba i hortensja, więc uznał, że to musi być to. Jak zwał, tak zwał, pachniało ładnie.

Wyjął z bazy słuchawkę bezprzewodowego telefonu, posłuchał sygnału. Nie był przerywany, oznaczający, że w poczcie głosowej są wiadomości. Skoro już tu przyszedł, miał ochotę przy okazji podłożyć podsłuch, ale Oren nie chciał o tym w ogóle słyszeć.

- Musielibyśmy dostać nakaz sądowy, a żaden sędzia go nie wyda, dopóki nie udowodnimy, że mamy powody.

- Z jej rozmów moglibyśmy się wiele dowiedzieć.

- To nielegalne.

Wick parsknął śmiechem.

- Tak samo jak włamanie. Przecież nie będziemy mogli wykorzystać tego, co tam znajdzie.

- Tak, ale to co innego.

Wick jakoś nie dostrzegał różnicy, ale Oren był nieugięty, a to on tu rządził.

Odłożył słuchawkę na miejsce i otworzył szufladę nocnej szafki. Znalazł w niej papeterię, jeszcze zapieczętowaną, nieużywaną. Jak również stronę wydartą z gazety. Wyjął ją i rozłożył.

Była to strona z nekrologami. Jedna z nich powiadamiała o śmierci Eleanor Loy Newton. Jej jedyną bliską osobą była Rennie. U góry strony widniała nazwa miasta Dalton w Teksasie. Ostrożnie złożył stronę i odłożył na miejsce.

Jednocześnie zauważył mały biały trójkącik, wyglądający spod zapieczętowanej papeterii. Podniósł pudełko. Pod nim spoczywała mała wizytówka z napisanym na maszynie jednym jedynym zdaniem: „Jestem tobą zafascynowany”. Nie było na niej podpisu, adresu ani daty, przez co nie można było odgadnąć, czy Rennie Newton otrzymała ją, czy też zamierzała komuś wysłać. Wizytówka przypominała te, które załącza się do prezentu. Czy pochodziła z podarunku, jaki doktor Newton otrzymała niedawno, czy też była to pamiątka po szkolnej miłości, byłym kochanku, przygodzie na jedną noc? Najwyraźniej była dla niej w jakiś sposób ważna, inaczej nie znalazłaby się w szufladzie obok powiadomienia o śmierci matki.

Ciekawostka, ale dowód żaden.

Odłożył wizytówkę na poprzednie miejsce i przeszedł do łazienki. Na wieszaku wisiał mokry ręcznik, bokserki i koszulka na cienkich ramiączkach. Nocny strój? Możliwe. Jego ostatnia dziewczyna także przedkładała rzeczy wygodne nad seksowne. A on uważał, że te wygodne rzeczy były bardzo seksowne.

Na półce nad wanną stał rząd słoików i butli z płynami do kąpieli. I nie była to tylko dekoracja. Często ich używano. W pomieszczeniu unosił się kwiatowy, kobiecy zapach. Na wannie znajdował się druciany wieszak z miejscem na pachnącą świeczkę, gąbkę, maszynkę do golenia i okulary do czytania. Doktor Newton lubiła przesiadywać w wannie. Ale sama; nie starczyłoby miejsca na dwie osoby.

W lustrzanej szatce znalazł szczoteczkę do zębów, szklanekę, tubkę pasty zwiniętą od dołu - pierwszy raz zobaczył coś takiego - oraz nitkę dentystyczną o zapachu mięty. Stała tu także kolekcja kosmetyków i kremów na noc, buteleczka aspiryny oraz listek tabletek na niestrawność. Żadnych leków na receptę. Pod zlewem znajdowały się rolki papieru toaletowego i pudełko tamponów.

Wycofał się z łazienki i stał przez długą chwilę, przyglądając się rozgrzebanemu łóżku. Bładożółte prześcieradło było zmięte, kołdra w połowie zsunęła się na podłogę. Może był w błędzie, ale Rennie Newton nie tylko kąpała się, ale i spała samotnie.

Przynajmniej ostatniej nocy.

- Nie spieszyło ci się - powiedział Oren, kiedy Wick wszedł do pokoju na piętrze, w którym urządzili punkt obserwacyjny.

- Coś ty tam tyle robił, przymierzałeś jej majtki?

Ta uwaga padła z ust Thigpacka, którego wszyscy nazywali Świniakiem, ponieważ tak właśnie wyglądał. Świniak był chamski, niechlujny i, zdaniem Wicka, niewybaczalnie głupi.

- Nie, wstąpiłem na małe bzykanko. Żona kazała ci powiedzieć, żebyś kupił po drodze chleb.

- Palant. Mamy na zdjęciach, jak się do nas wygłupiasz. Pełny profesjonalizm.

- Staram się dostosować do poziomu ludzi, z którymi pracuję.

- Powieszę to zdjęcie w mojej galerii - Thigpack wskazał kciukiem ściany, które udekorował co bardziej rozebranymi zdjęciami Rennie Newton.

Wick zerknął na fotografie, z których Thigpack był tak dumny, gniewnie złapał butelkę wody i zdjął zakrętkę. Wypił wszystko jednym haustem.

- No i? - spytał Oren. Wick usiadł i zdjął buty.

- Jednym słowem?

- Na początek.

- Schludna. Jak diabli. Obsesyjnie porządna.

Opisał kuchnię, salon i gabinet. Przy sypialni zauważył: - Tam nie jest aż tak porządnie. Nie posłała łóżka, ale poza tym wszystko stoi na swoim miejscu. Może spieszyła się rano. - Wymienił wszystko, co znalazł w szufladzie nocnej szafki.

- Wizytówka była w kopercie? - spytał Thigpack.

- Mówiłem, że nie. To była zwykła biała kartka. Mała. Jedno zdanie napisane na maszynie.

- Pochodzi z Dalton - potwierdził Oren, gdy Wick opowiedział o nekrologu. - Tam dorastała. Jej ojciec był jakimś wielkim hodowcą bydła i biznesmenem. Ważna postać. Wszędzie miał wpływy. A ona była jedynaczką.

- I chyba nie ma żadnych żyjących krewnych. W gazecie wymienili tylko ją jako jedyną z rodziny matki. - To wyjaśnia, dlaczego papeteria nie była rozpieczętowana, pomyślał. Do kogo miałyby pisać?

- Znalazłeś jakiś ślad...

- Powiązań z Lozadą? - dokończył Wick. - *Nada*. Nie wydaje mi się, żeby z

kimkolwiek miała bliższe związki. Ani jednej fotografii w całym domu, ani jednego numeru telefonu. Nasza pani doktor prowadzi bardzo samotne życie.

Oren dał znak, żeby mówić dalej.

- Żadnego śladu obecności mężczyzny. Brak męskich ubrań w szafie czy szufladach. Jedyna maszynka do golenia w łazience była różowa. Jedna szczoteczka do zębów. Żadnych pigułek antykoncepcyjnych, kondomów czy diafragmy. To zakonnica.

- A może lesbijka.

- A może ty jesteś kretynem - warknął Wick na Thigpacka. Oren spojrzał na niego dziwnym wzrokiem, po czym zwrócił się do kolegi: - Może dziś skończysz wcześniej?

- Nie trzeba mnie namawiać. - Thigpack wstał i podciągnął spodnie, zsuwające się mu z brzucha. Łypnął z urazą na Wicka. - O co ci chodzi?

- Nie zapomnij o chlebie. - Goń się.

- Thigpack! - Oren spojrzał na niego karcąco. - Zgłoś się jutro o siódmej rano.

Thigpack posłał Wickowi kolejne rozdrażnione spojrzenie i począpał po schodach. Ani Wick, ani Oren nie odezwali się, dopóki nie trzasnęły za nim wejściowe drzwi.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytał Oren.

- Muszę wziąć prysznic.

Nie była to satysfakcjonująca odpowiedź, ale Oren dał mu na jakiś czas spokój.

- Wiesz, gdzie jest.

Łazienka była żałośnie nędzna. Ręczniki, które tu przynieśli, prawie nie zasługiwały na swoją nazwę. Były tanie, małe i nie chłoneły wody. Wick dorzucił od siebie mydło, które zwinął z motelowego pokoju. Nie było ciepłej wody, ale na Galveston także nie płacił się w luksusach. Przyzwyczał się do zawodnego piecyka. Prawie nie zauważał braku wygód.

Pusty budynek stanowił idealny punkt obserwacyjny, ponieważ widać było z niego zarówno podwórko na tyłach domu doktor Newton, jak i boczny podjazd. Sam budynek był właśnie przebudowywany, kiedy pomiędzy mieszkającym gdzie indziej właścicielem a wykonawcą powstał spór. Sprawa zaczęła się jątrzyć i wreszcie trafiła do sądu.

Policja poprosiła obie strony o pozwolenie na użytkowanie domu za niewielką opłatą. Ponieważ był w remoncie, mogli swobodnie do niego wchodzić, przebrani za robotników i przedstawicieli handlowych, z narzędziami i materiałami budowlanymi, by

nie zwracać na siebie uwagi sąsiadów, przyzwyczajonych do widoku remontowanych domów.

Wick wyszedł z łazienki i zaczął grzebać w przyniesionym z motelu worku w poszukiwaniu czystego ubrania. Znalazł dzinsy i podkoszulek z koncertu Eagles, na którym był wiele lat temu w Austin. Przeczesał mokre włosy palcami.

Oren zajął miejsce Thigpacka przy oknie. Obejrzał się krytycznie na Wicka.

- Dziwny mundur jak na policjanta.

- Nie jestem policjantem. Oren tylko stęknął.

- Piwo jest pewnie niedozwolone?

- Thigpack by na nas nakablował. W lodówce jest cola. Wick wyjął puszkę, zerwał kapsel i pociągnął długi łyk.

- Chcesz?

- Nie, dzięki.

Kopnął buty mniej więcej w kierunku worka i rzucił się na krzesło. Pociągnął następny długi łyk z puszki. Oren przyglądał mu się uważnie. Wreszcie Wick nie wytrzymał.

- No co?

- Co znalazłeś w jej domu? - Mówiłem.

- I to wszystko? Wick rozłożył ramiona.

- Po co miałbym cię okłamywać?

- Przez swojego fiuta. - Słucham?"

- Jak na białą, pani doktor jest niezła. Wick parsknął śmiechem.

- No, tak. I co z tego?

Oren rzucił mu bardzo wymowne spojrzenie.

- Naprawdę myślisz, że... ach. - Machnął ręką, jakby się opędał od podejrzeń Orena. Przyjaciel nie odwracał od niego wzroku. - Słuchaj, jeśli się spiknęła z Lozadą, może sobie być nawet cholerną Heleną Trojańską. Muszę dopaść tego drania. Wiesz, że tak jest, i wykorzystam każdego, zrobię wszystko, by go dostać.

Oren, daleki od spokoju, odezwał się cicho:

- I to jest drugi powód, dla którego mógłbyś ukrywać przede mną informacje.

- Nie nadążam za tobą.

- Nie rób z tej sprawy swojego prywatnego dochodzenia.

- Słuchaj, kto tu do kogo przyszedł? Oren podniósł głos tak jak Wick.



- Sprowadziłem cię, bo potrzebuję dobrego fachowca. Kogoś z twoim instynktem. I dlatego, że po tym, co się zdarzyło między tobą i Lozadą, ta sprawa ci się należy.

- Zmierzasz do czegoś czy chrzaniś te głupoty tak sobie? Oren nie dał się wytrącić z równowagi.

- Nie doprowadź do tego, bym zaczął żałować, że cię zaprosiłem. - Zmierzył Wicka spojrzeniem równie surowym, jak jego ton. Wick pierwszy odwrócił oczy.

Oren zawsze postępował zgodnie z zasadami, Wick natomiast uważał je za ograniczające i rzadko zwracał sobie nimi głowę. Ta różnica była częstym powodem awantur. A także tym, co najbardziej podziwiali w sobie nawzajem. Oren często kpił z gwałtowności Wicka i obojętnego stosunku do przepisów, lecz podziwiał jego nieujarzmionego ducha. Wick buntował się przeciwko zasadom, ale szanował Orena za to, że ich przestrzegał.

Oren obserwował dom Rennie Newton. Po krótkiej chwili milczenia Wick odezwał się niechętnie:

- Zaciekało mnie jedno. W szafie miała mnóstwo niebieskich dzinsów. Nie markowych. Znoszonych jak moje. - Potarł dzinsy, spłowiełe ze starości i po niezliczonych praniach. - I trzy pary kowbojskich botków. Tego się nie spodziewałem.

- Jeździ konno.

- Konno?

- To było w jej życiorysie. „Star - Telegram” często o niej pisuje. Poprosiłem o odbitkę każdego artykułu. O imprezach dobroczynnych. Działalności społecznej. Lekarze bez Granic.

- Co to?

Na stole leżała teczka z dokumentami. Oren podniósł ją i rzucił Wickowi na kolana.

- Poczytaj sobie. Grace czeka na mnie z kolacją.

Wstał, przeciągnął się, sięgnął po zwój architektonicznych szkiców, które służyły mu za rekwizyty, i ruszył w stronę schodów.

- Wczoraj nie obejrzelśmy do końca tej kasety. Jest tam, jeśli masz ochotę, ale nie zapominaj, że musisz obserwować dom.

- Chciałbym ją obejrzeć. Może coś mi wpadnie w oko. Oren skinął głową.

- Pager zabieram ze sobą. Zadzwoń, jeśli wydarzy się coś niezwykłego.

- Na przykład jeśli pojawi się Lozada?



- Aha, coś w tym guście. Przyjadę w dziesięć minut. Do zobaczenia rano.

- Jest tu jakieś żarcie?

- Kanapki w lodówce.

Schody zatrzeszczały pod jego ciężarem. W domu zapadła cisza, od czasu do czasu przerywana jedynie trzaskaniem starego drewna. W pustych pokojach pachniało trocinami. Większość śmiertelników uznałaby ten dom za dość nieprzyjemne miejsce na nocleg, ale Wick nie miał nic przeciwko niemu. Nawet sam zgłosił się na nocną zmianę. Oren powinien być z rodziną. I Thigpack, choć Wick przypuszczał, że pani Thigpack wolałaby, żeby mąż jak najczęściej bywał poza domem.

Wziął lornetkę i spojrzął na dom Rennie Newton. Jeszcze nie wróciła z pracy. Skorzystał z okazji, by zajrzeć do małej lodówki, gdzie znalazł dwie zapakowane kanapki. Sałatka z tuńczyka i indyk. Wybrał tę z indykiem i zaniósł ją na stolik przy oknie. Włożył kasetę do telewizora z wbudowanym magnetowidem i usiadł wygodnie, jedząc kanapkę.

Kaseta ruszyła w tym samym miejscu, w którym zatrzymał ją wczoraj Oren. Oren na ekranie powiedział:

- Pani doktor, czy znajdowała się pani pomiędzy przysięgłymi, którzy uznali niewinność oskarżonego o morderstwo pana Lozady?

Prawnik pochylił się do przodu.

- Jaki to ma związek z tą sprawą?

- Zaraz do niego dojdę.

- Proszę to zrobić. Pacjenci doktor Newton na nią czekają.

- Może trzeba będzie poprosić innego lekarza o przejęcie jej obowiązków.

- Czy to groźba, że zostanę zatrzymana? - spytała Rennie Newton.

Oren nie odpowiedział wprost.

- Im szybciej odpowie pani na moje pytania, tym szybciej będzie mogła pani odejść.

Westchnęła, jakby ta rozmowa niewymownie ją nużyła.

- Tak, znajdowałam się wśród przysięgłych, którzy uniewinnili pana Lozadę. Na pewno pan o tym wie, w przeciwnym razie by pan o tym nie wspominał.

- Rzeczywiście, wiem. Prawdę mówiąc, już przesłuchałem pozostałych jedenastu przysięgłych.

- Po co?



- Z ciekawości.

- Co do czego?

- Zabójstwo doktora Howella przypomina morderstwo na zlecenie. Napastnik go nie okradł. Nie możemy znaleźć żadnego innego motywu. A prawda wygląda tak, że jedyną jego przeciwniczką była pani.

- Nie byłam wrogiem Lee! - krzyknęła, wstrząśnięta. - Byliśmy kolegami. Życzliwymi sobie kolegami!

- Którzy nieustannie się kłócili.

- Tak, często się sprzeczaaliśmy. Ale to nie znaczy...

- Była pani życzliwą mu koleżanką, która niedawno uwolniła płatnego mordercę.

- Zbrodnia pana Lozady była domniemana - wtrącił prawnik. Typowa prawnicza reakcja. - Co nie ma żadnego wpływu na tę sprawę, pani doktor. Nalegam, żeby odmówiła pani dalszych zeznań.

Wick przewinął całą sprzeczkę pomiędzy prawnikiem i Orenem, który przekonywał prawnika, że w interesie jego klientki leży odpowiedź na pytania. Współpraca podczas przesłuchania jest mile widziana przez policję i tak dalej. Wick znał to na pamięć. Sam mówił tak chyba z tysiąc razy. Puścił taśmę akurat w miejscu, w którym Oren powiedział:

- Wszyscy przysięgli powiedzieli, że od początku chciała pani uniewinnić Lozadę.

- Nieprawda - odpowiedziała z wyjątkowym spokojem. - Nie chodziło mi o uniewinnienie. Skąd. Pan Lozada był prawdopodobnie winny. Ale oskarżyciel nie rozwiązał moich wątpliwości. Dlatego nie mogłam z całym przekonaniem dopuścić do jego skazania.

- Więc ze względu na spokój sumienia przekonała pani pozostałych przysięgłych do uniewinnienia oskarżonego?

Wzięła głęboki oddech i powoli go wypuściła.

- Jako przewodnicząca ławy przysięgłych miałam obowiązek dopilnować, by sprawa była rozpatrzona pod każdym względem. Tak, to była straszna zbrodnia, ale namawiałam pozostałych przysięgłych, żeby ich emocje nie zapanowały nad powinnościami względem prawa, choćby było niedoskonałe. Po dwudniowych obradach każdy z nich zagłosował zgodnie z własnym sumieniem.

- To chyba wyczerpująca odpowiedź - wtrącił znowu prawnik. - Chyba że chce pan pogawędzić o innym, kompletnie nie związanym ze sprawą temacie.



Oren przyznał, że na tym etapie nie ma dalszych pytań i wyłączył kamerę. Nagranie się skończyło.

Wick przewinął taśmę do początku, przypominając sobie swoją ostatnią rozmowę z Orenem na temat tej sprawy.

- Zdaje się, że Lozada jakoś się z nią skontaktował podczas procesu - powiedział Oren.

- To znaczy?

- Zauważyło to wiele osób. Spytałem woźnego, czy Lozada zwracał się do któregoś z przysięgłych, a on mi na to: „czyli do przewodniczącej?”. Od razu tak powiedział, a nawet nie wspomniałem o doktor Newlon. Powiedział, że nasz pupilek gapił się na nią przez całą rozprawę. Tak, że wszyscy to widzieli.

- Ale to nie znaczy, że ona gapiła się na niego. Oren wzruszył bez przekonania ramionami.

- Wcale mnie nie dziwi, że Lozada wyłowił z tłumu atrakcyjną kobietę i gapi się na nią - ciągnął Wick. - To śmieć.

- Śmieć, który wygląda jak gwiazdor filmowy.

- Może z *Ojca chrzestnego*.

- Niektóre kobiety szaleją za takimi niebezpiecznymi typami.

- Mówisz z doświadczenia? Obiecuję, że nie powiem Grace. Szczegóły! Dawaj szczegóły! Ale krwiste! - I żeby jeszcze bardziej wkurzyć przyjaciela, mrugnął do niego lubieżnie.

- Przestań!

Akurat wtedy zajrzała do nich Grace. Spytała, z czego śmieje się Wick, ale nie chciał powiedzieć, więc przypomniała, że dziewczynki nie pójda spać, dopóki nie opowie im bajki. A więc na oczekaniu wymyślił historię pięknej piosenkarki oraz jej zabójczo przystojnego ochroniarza, z wyglądu uderzająco podobnego do niego. Potem nie miał już okazji pogadać z Orenem.

Wyjmując kasetę z magnetowidu, postanowił zjeść także kanapkę z tuńczykiem. Była zeschnięta, ale zjadł całą, wiedząc, że do rana nie trafi mu się nic lepszego. Właśnie otrzepywał ręce z okruszków, kiedy ujrzał dzipa wjeżdżającego na podjazd Rennie Newton.

Chwycił lornetkę, ale ledwie udało mu się dostrzec jej sylwetkę, nim samochód zniknął w garażu. Jakies pół minuty później zapaliło się światło w kuchni. Rennie

Newton najpierw zdjęła z ramienia ogromną torbę i postawiła ją na stole, potem rozpięła marynarkę i wyciągnęła koszulę ze spodni.

Podeszła do lodówki, wyjęła z niej butelkę wody i pociągnęła łyk. Potem zamknęła butelkę i stanęła nad zlewem ze spuszczoną głową. Wick poprawił ostrość w lornetce. Doktor Newton wydawała się stać bardzo blisko, na wyciągnięcie ręki. Pasma włosów wymknęło się i spłynęło koło policzka na jej pierś.

Przetoczyła chłodną butelkę po czole. Wyraz jej twarzy, mowa ciała, sygnalizowały ogromne zmęczenie. Całkiem zrozumiałe, pomyślał. Miała za sobą ciężki dzień. Dobrze o tym wiedział. Widział jego początek.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Rennie oparła się o zlew i dotknęła czoła butelką zimnej wody. Od lat nie potrzebowała ćwiczeń oddechowych, żeby odzyskać spokój. Od lat, ale nie zapomniała, jak przerażająca jest utrata całkowitej kontroli nad sobą.

Przez ostatnie trzy tygodnie w jej życiu panował rozgardiasz. Rozpad jej starannie uporządkowanego życia rozpoczął się od powołania do ławy przysięgłych. Następnego dnia po otrzymaniu pocztą wezwania z sądu znalazła się wraz z grupką lekarzy, w tym Lee Howellem, w świetlicy. Wszyscy jej współczuli i ubolewali nad jej pechem.

Ktoś poradził, żeby powiedziała, że ma małe dziecko.

- Ale nie mam.

- Jesteś jedyną opiekunką starego rodzica.

- Ale nie jestem.

- Studiujesz na dziennych studiach. Na to nawet nie odpowiedziała.

- Wyrzuć to do kosza i nie zawracaj sobie głowy - poradził ktoś inny. - Ja tak zrobiłem. Doszedłem do wniosku, że wolę zapłacić karę, obojętnie jak wysoką, byle tylko nie musieć się tam pojawiać.

- I co się stało?

- Nic. Nigdy nie reagują. Mają tam setki ludzi co tydzień. Myślisz, że będzie im się chciało tracić czas i siły na sprawdzanie, kto nie przyszedł?

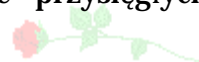
- Dla mnie zrobią wyjątek. Zamkną mnie w więzieniu. Jako przykład dla innych, którzy usiłują się wymigać od obywatelskiej powinności. - W zamyśleniu mieszała napój słomką. - No właśnie, o to chodzi. Obywatelska powinność.

- Litości - jęknął Lee z ustami pełnymi ziemniaczanych chipsów z automatu. - To powinność ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty. Powiedz, że praca ci nie pozwala.

- Praca nie jest wytłumaczeniem. Tak napisali drukowanymi literami na wezwaniu. Chyba wpadłam.

- O nic się nie martw - powiedział. - Ciebie nie wybiorą.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wybrali - odezwał się inny kolega. - Mój brat jest prawnikiem. Mówi, że zawsze się starają posadzić na ławie przysięgłych przynajmniej jedną atrakcyjną babkę.



Rennie odpowiedziała na jego mrugnięcie lodowatym spojrzeniem.

- A jeśli prawnikami są kobiety? Jego uśmiech zgasł.

- O tym nie pomyślałem.

- A powinieneś.

Lee otrzepał ręce z soli.

- Ciebie na pewno nie wybiorą.

- No dobrze, Lee, dlaczego? Aż cię skręca, żeby mi wyjaśnić, dlaczego nie nadają się do ławy przysięgłych. Więc dlaczego?

Lee zaczął odliczać, zaginając smukłe palce chirurga.

- Masz zbyt analityczny umysł. Jesteś zbyt zdecydowana. Za bardzo gadatliwa. I za bardzo się rządysz. Żadna ze stron nie chce przysięgłej, która może wpłynąć na pozostałych członków ławy.

Tę akurat kłótnię Rennie z radością pozwoliłaby wygrać Lee. Była drugą przysięgłą wybraną spośród czterdziestu ośmiu kandydatów, potem wybrano ją na przewodniczącą. Przez dziesięć następnych dni na jej biurku zaczęły się gromadzić sterty dokumentów, a operacje przekładano na dalsze terminy. Jej czas stał się własnością stanu Teksas.

Kiedy wreszcie męka dobiegła końca, jej ulga była krótkotrwała. Media podały, że prokuratura skrytykowała werdykt. Nie znalazł on także akceptacji obywateli, w tym doktora Lee Howella.

Wyraził swoją opinię na piątkowym przyjęciu u niego.

- Trudno mi uwierzyć, że wypuściłaś tego typu, Rennie. To kryminalista z przeszłością.

- Nigdy go nie skazano - sprzeciwiła się. - Poza tym nie wytoczono mu procesu za poprzednie domniemane zbrodnie.

- Nie, wytoczono mu proces za skasowanie znanego bankiera, jednej z wiodących znakomitości naszego pięknego miasta. Oskarżyciel żądał kary śmierci.

- Wiem, Lee. Byłam przy tym.

- Znowu zaczynają - odezwał się jeden z gości, którzy zebrali się wokół nich, żeby posłuchać bez wątplenia ognistej dyskusji. - Zatwardziały konserwatyzm kontra liberalizm o czułym sercu.

- Przysięgli zostali powiadomieni, że prokuratura żąda kary śmierci. Nie dlatego głosowaliśmy za uniewinnieniem.



- Więc jak to się stało, że cała dwunastka pozwoliła temu bydlakowi odejść, zamiast go skasować? Jak choć przez jedną sekundę mogliście myśleć, że jest niewinny?

- Nikt nie uważał, że jest niewinny. Uważaliśmy, że może nie być winny. To różnica.

Lee wzruszył kościstymi ramionami.

- Dla mnie niezauważalna.

- O różnicy stanowi uzasadniona wątpliwość.

- Skoro coś wam nie pasuje, musicie go uniewinnić, tak? Głupota.

- Ta głupota stanowi fundament naszego systemu sądowego.

- Teraz już jej nie zatrzyma - odezwał się ktoś z tyłu.

- Te tak zwane dowody przeciwko panu Lozadzie były bez wyjątku poszlakowe.

Nie udowodniono jego obecności na miejscu zbrodni. I miał alibi.

- Pewnie za nie zapłacił.

- Nie było naocznych świadków. Nie było...

- Powiedz, Rennie, czy wszyscy przysięgli byli tak zdecydowani jak ty?

- Jak to?

- Tak to, że jesteś królową precyzji. Pewnie wypisałaś sobie fakty w równiutkim rządku i Boże ucho, żebyś uwzględniła czynnik ludzki.

- Oczywiście, że uwzględniłam.

- Naprawdę? To powiedz, gdy głosowaliście po raz pierwszy, zanim zaczęłaś analizować, ile osób uznało go za winnego?

- Nie będę z tobą rozmawiać o tym, co się działo w sali przysięgłych.

Obrzucił wzrokiem otaczające ich twarze, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem”.

- Wiesz co, to ja zgadnę. Na pewno...

- Zanalizowałam tę sprawę raz i nie chcę tego powtarzać.

- To ty miałaś najwięcej wątpliwości, prawda? Doprowadziłaś do tego uniewinnienia. - Przyłożył rękę do serca. - Nasza droga Rennie Newton, obrończyni płatnych zabójców.

Kłótnia zakończyła się śmiechem słuchaczy. Była to ich ostatnia słowna potyczka. Jak zawsze, rozstali się w przyjaźni. Kiedy zegnała się z nim i Myrną, przytulił ją.

- Wiesz, że tylko żartowałem, prawda? Ze wszystkich przysięgłych, którzy kiedykolwiek siedzieli na sali sądowej, ty najbardziej się starasz, żeby wszystko było jak należy.



Tak, starała się, żeby wszystko było jak należy. Nie wiedziała, jaki wpływ na jej życie będzie miało to cholerne wezwanie, proces i jego wynik. Myślała, że to tylko niewygodna. Nie sądziła, że zmieni się w katastrofę.

Czy detektyw Wesley naprawdę ją podejrzewał?

Jej prawnik był innego zdania. Utrzymywał, że policja nie ma absolutnie żadnych poszlak, dlatego zarzuca się jak najdalej i przesłuchuje każdego, kto znał Lee Howella, od salowych po jego kumpli z pola golfowego. Na tym etapie podejrzewają wszystkich. Insynuacje i zastraszanie to standardowe policyjne metody, zapewnił ją. Nie powinna myśleć, że akurat ją wyróżniają.

Rennie usiłowała się upewnić, że prawnik ma rację, a ją poniosły emocje. Ale prawnik nie wiedział, że podczas przesłuchania miała prawo do lekkiego niepokoju.

Tego popołudnia nie mogła zapomnieć o Wesleyu. Zarząd szpitala zaprosił ją na cotygodniowe zebranie i zaproponował miejsce tragicznie zmarłego doktora Lee Howella.

- Bardzo sobie cenię tę propozycję, ale dziękuję. Mieliście wiele miesięcy do namysłu, żeby mnie wybrać, ale zdecydowaliście się na kogoś innego. Gdybym się zgodziła, zawsze czułabym się jak zło konieczne.

Zapewnili ją, że doktor Howell otrzymał tylko jeden głos więcej od niej i nikt nie uważa jej za mniej pożądaną kandydatkę.

- Odmawiam nie tylko dlatego - odpowiedziała. - Podziwiałam profesjonalizm doktora Howella, ale również przyjaźniłam się z nim i Myrną. Korzystanie z jego śmierci byłoby... obsceniczne. Dziękuję za propozycję, ale nadal odmawiam.

Ku jej zaskoczeniu nie zgodzili się na taką odpowiedź i zmusili ją, żeby przemyślała to przez parę dni.

Ich upór pochlebił jej i sprawił przyjemność, ale także postawił przed trudną decyzją. Chciała być ordynatorem i wiedziała.

że ma ku temu kwalifikacje, ale czuła się niezręcznie, awansując z powodu śmierci Lee.

Kolejnym czynnikiem, który musiała wziąć pod uwagę, był Wesley. Gdyby przyjęła funkcję, którą uważał za poważny motyw morderstwa, utwierdziłaby go w podejrzaniach. Nie bała się, że znajdzie jakieś obciążające dowody. Nic, absolutnie nic nie łączyło jej ze śmiercią Lee. Ale zanim Wesley do tego dojdzie, czeka ją rygorystyczne dochodzenie policyjne. A tego właśnie się bała i chciała uniknąć.



Rozbolała ją głowa. Ściągnęła frotkę z końskiego ogona i rozpuściła włosy. Rozmasowała skórę głowy, mocno naciskając ją opuszkami palców.

Przed obiadem wykonała cztery poważne operacje. Poczekalnia przed salą operacyjną była pełna niespokojnych przyjaciół i krewnych nie tylko jej pacjentów.

Bezpośrednio po każdej operacji wychodziła, żeby zamienić parę słów z bliskimi pacjenta, powiedzieć im, jak on się czuje i wyjaśnić, co dokładnie zrobiła. W niektórych przypadkach mogła nawet pokazać kolorowe fotografie zrobione podczas operacji. Na szczęście stan wszystkich operowanych rokował dobrze. Dziś nie musiała nikomu przekazywać złych wieści.

Dzięki sprawności personelu tego popołudnia sprawy szły gładko. Obchód zajął jej trochę dłużej niż zwykle. Musiała odwiedzić czworo zoperowanych pacjentów, a troje zbadać przed operacjami, zaplanowanymi na jutrzejszy ranek. Jednego należało przekonać do lewatywy. Zmęczone pielęgniarki uznały się za pokonane. Ale po rozmowie z Rennie pacjent ustąpił bez dalszych sprzeciwów.

A potem, tuż przed wyjściem, odebrała jeszcze jeden telefon.

Zadrzała na jego wspomnienie. Szybko dopiła wodę i wyrzuciła butelkę do śmieci. Opłukała dzbanek od ekspresu, przygotowała go na jutro rano i nastawiła automatyczny włącznik. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale na samą myśl o jedzeniu dostawała mdłości. Była zbyt zdenerwowana, żeby utrzymać coś w żołądku.

Zostawiła torbę na stole - nie miała sił, by ją podnieść - i wyłączyła światło w kuchni. Potem zawahała się i włączyła je znowu. Odkąd stała się dorosła, mieszkała sama, ale dziś po raz pierwszy zaczęła się bać ciemnego pomieszczenia.

W sypialni włączyła lampę i usiadła na skraj niepościelonego łóżka. W normalnych okolicznościach drażniłoby ją, że nie miała czasu pościelić go przed wyjściem - dziś wydało się jej to trywialne, nawet głupie. Rozgrzebane łóżko to nie powód do paniki.

Z drzeniem otworzyła szufladę nocnej szalki. Kartka znajdowała się pod papeterią, którą dostała na gwiazdkę od recepcjonistki. Nawet nie zdjęła celofanowego opakowania. Odepchnęła pudełko i spojrzała na małą białą wizytówkę.

Właśnie uzupełniała karty zdrowia swoich pacjentów, kiedy dyżurna pielęgniarka poinformowała ją, że ktoś dzwoni.

- Na linii trzeciej.

- Dziękuję. - Przytrzymała słuchawkę ramieniem, żeby mieć wolne ręce. - Tu

doktor Newton.

- Cześć, Rennie.

Jej pióro znieruchomiało w połowie podpisu. Zaniepokojona tym syczącym głosem, spytała:

- Kto mówi?

- Lozada.

Serce jej zabiło, ale postarała się, by głos pozostał spokojny.

- Lozada?

Roześmiał się cicho, jakby wiedział, że udaje.

- Daj spokój, Rennie, znamy się, no nie? Nie mogłabyś o mnie tak zaraz zapomnieć. Siedzieliśmy w tej samej sali prawie dwa tygodnie.

Nie, nie zapomniała go. Nie sądziła, żeby ktokolwiek mógł go zapomnieć. W czasie procesu jego ciemne oczy często spoglądały na nią z drugiego końca sali. Kiedy to zauważyła, zaczęła omijać go wzrokiem. Ale za każdym razem, kiedy przypadkiem musnęła go spojrzeniem, przekonywała się, że wpatruje się w nią w denerwujący, hipnotyczny sposób. Czowała, że inni przysięgli i wszyscy obecni na sali dostrzegli już to jego niepożądane zainteresowanie.

- Ta rozmowa jest jak najbardziej nie na miejscu.

- Dlaczego? Proces się skończył. Czasami, kiedy dochodzi do uniewinnienia, podsądni i przysięgli świętują zwycięstwo.

- Te uroczystości są w złym guście. To policzek wymierzony rodzinie ofiary, której morderca pozostaje na wolności. Zresztą i tak nie mamy czego świętować ani nawet o czym rozmawiać. Żegnam.

- A róże ci się podobały?

Serce zamarło jej w piersi, po czym ruszyło jak oszalone, łomocząc ze zdwojoną prędkością. Po rozważeniu wszystkich aspektów doszła do wniosku, że Lozada może się w niej podkochać, ale nie chciała tego przyznawać nawet przed samą sobą. A teraz, uzyskawszy potwierdzenie, chciała udawać, że nie rozumie, o czym rozmawiają.

Ale oczywiście nie mogłaby go oszukać. To on przyniósł róże do jej domu, dopilnował, żeby je otrzymała, niczego nie zaniedbał. Miała ochotę spytać go, w jaki sposób dostał się do mieszkania, ale jak zauważył Lee Howell, Lozada był płatnym zabójcą. Włamania to dla człowieka z jego dorobkiem bułka z masłem.

- Wnioskując z koloru twoich drzwi, doszedłem do wniosku, że czerwony to twój

ulubiony kolor.

Róże nie miały koloru jej wejściowych drzwi. Miały kolor krwi na zdjęciach z miejsca zbrodni, włączonych do materiału dowodowego i pokazanych przysięgłym. Ofiara, za której zabicie podobno Lozadzie zapłacono, została uduszona garotą, bardzo cienką, lecz tak ostrą, że przecięła skórę na szyi.

- Proszę mnie więcej nie niepokoić.

- Rennie, nie odkładaj słuchawki. - W jego głosie zabrzmiało dokładnie tyle groźby, żeby powstrzymać ją przed zakończeniem rozmowy. - Bardzo cię proszę - dodał łagodniej. - Chcę ci podziękować.

- Podziękować?

- Rozmawiałem z panią Grissom. Siwe kędziorki, spuchnięte kostki.

Rennie dobrze ją pamiętała. Przysięgła numer pięć. Była żoną hydraulika, miała czworo dzieci. Przy każdej okazji zanudzała pozostałych przysięgłych skargami na leniwego męża i niewdzięczne dzieci. Kiedy się dowiedziała, że Rennie jest lekarzem, przyniosła listę chorób, o których chciała porozmawiać.

- Pani Grissom powiedziała, co dla mnie zrobiłaś - dodał Lozada.

- Nic dla pana nie zrobiłam.

- Ależ zrobiłaś, Rennie. Gdyby nie ty, siedziałbym w celi śmierci.

- Werdykt wydało dwanaście osób. Nikt nie był osobiście odpowiedzialny za decyzję o uniewinnieniu.

- Ale to ty opowiedziałaś się za uniewinnieniem, prawda?

- Analizowaliśmy sprawę pod każdym kątem. Zastanawialiśmy się nad wymogami prawa, po czym uzgodniliśmy ich interpretację i zastosowanie.

- Możliwe - powiedział i roześmiał się cicho. - Ale pani Grissom powiedziała, że stawałaś po mojej stronie i przekonywałaś ich z wielką siłą... i namiętnością.

Powiedział to tak, jakby ją głaskał i na samą myśl o tym dostała gęsiej skórki.

- Proszę się więcej ze mną nie kontaktować. - Trzasnęła słuchawką o widełki, ale nadal ścisnęła ją tak mocno, aż pobiełały jej kostki.

- Pani doktor, czy coś się stało? Pani doktor, wszystko w porządku?

Na czoło wystąpiły jej kropelki potu, jakby właśnie wykonywała skomplikowaną, ratującą życie operację. Przestraszyła się, że zaraz zwymiotuje. Odetchnęła głęboko przez usta, puściła słuchawkę i odwróciła się do zaniepokojonej pielęgniarki.

- Wszystko dobrze, ale nie będę już przyjmować żadnych telefonów. Usiłuję tu

dokończyć parę spraw, więc jeśli ktoś będzie chciał ze mną porozmawiać, niech zadzwoni na pager.

- Oczywiście.

Szybko uzupełniła karty zdrowia i wyszła do domu. Przechodząc przez parking dla lekarzy, parę razy obejrzała się przez ramię. Widok strażnika trochę ją uspokoił. Słyszała, że młody człowiek, który znalazł ciało Lee, wziął urlop.

W drodze do domu bacznie obserwowała drogę i zerknęła w lusterko wsteczne, prawie się spodziewając, że zobaczy Lozadę. Do cholery z nim, przez niego nabawiła się paranoi! Niech go diabli, skomplikował jej życie akurat wtedy, gdy wreszcie wygląda tak, jak powinno.

Teraz wpatrywała się w tę małą paskudną wizytówkę w szufladzie i czuła, że narasta w niej furia. Jak śmiał rozmawiać z nią tonem, który sugerował seksualną bliskość! Ten ton ją przeraził i to właśnie obudziło w niej największą furię - że się go bała.

Zatrzasnęła gniewnie szufladę. Wstała, zdjęła bluzkę i spodnie. Chciała wziąć gorący prysznic. Natychmiast. Czuła się zbrukana, jakby Lozada dotknął jej tym sykliwym głosem. Nie mogła znieść świadomości, że był w jej domu, pogwałcił jej prywatność.

Co gorsze, ciągle czuła jego obecność, choć powtarzała sobie, że to tylko jej rozjątrzona wyobraźnia. Przyłapała się na oglądaniu wszystkich sprzętów w pokoju. Czy stały dokładnie w tym miejscu, kiedy wyszła dziś rano? Butelka z balsamem do ciała była niedokręcona, ale przypomniała sobie, że dziś rano się spieszyła i nie zamknęła jej porządnie. Czy otwarty magazyn na jej nocnej szafce leżał pod tym właśnie kątem?

Powiedziała sobie, że przesadza. Mimo to czuła się obnażona, bezbronna, obserwowana.

Nagle zerknęła w stronę okien. Żaluzje były uchylone. Szybko wyłączyła lampę, podeszła do okna i szarpnęła za sznurek żaluzji.

- Niech go diabli - szepnęła w ciemności.

Wzięła prysznic i przygotowała się do snu. Przez chwilę miała chęć i tu zostawić zapalone światło, ale zrezygnowała. Nie podda się strachowi aż do tego stopnia.

Nigdy nie była tchórzem. Przeciwnie, była dzieckiem tak odważnym, że matka łamała nad nią ręce. W czasie dojrzewania brawura przeistoczyła się w świadomy bunt. Ostatnio jeździła do krajów nękanych wojnami i głodem. Rzucała wyzwanie despotom,

szalejącym sztormom, uzbrojonym najemnikom i zarazom, żeby zapewnić leczenie ludziom, którzy tego rozpaczliwie potrzebowali. I zawsze miała w pogardzie swoje bezpieczeństwo.

Teraz, w sypialni, na własnym łóżku, czuła strach. I nie tylko o siebie. Lozada stanowił coś więcej niż fizyczne zagrożenie. Detektyw Wesley zasugerował, wspominając jego proces...

- Boże!

Poderwała się, usiadła bez tchu. Zakryła usta, z których wyrwał się nieświadomy jęk. Przeszedł ją dreszcz.

Lozada usiłował zrobić na niej wrażenie efektownym bukietem w kryształowym wazonie. Dostarczył go osobiście. Co jeszcze zrobił, żeby się jej przypodobać?

Odpowiedź była zbyt okropna, żeby brać ją pod uwagę.

Ale najwyraźniej detektyw Wesley już ją znalazł.

Wick otworzył następną colę w nadziei, że splucze nią nieprzyjemny posmak kanapki z tuńczykiem. Rennie udała się już na spoczynek. Zgasiła światło w sypialni trzydzieści dwie minuty od chwili powrotu. Szybko. Nie zjadła kolacji. Żadnych rozrywek. Nawet nie oglądała telewizji, żeby odpocząć po trudnym dniu.

Parę długich chwil z tych trzydziestu dwóch minut spędziła przy zlewie, wyraźnie zatopiona w myślach. Wick widział, jak rozpuściła włosy i pomasowała skórę głowy. Wyglądała, jakby nękały ją jakieś poważne kłopoty lub ból głowy - a może wszystko razem.

Wcale go to nie zdziwiło. Pracowała dziś niezmiernie. Zjawił się w rodzinnej poczekalni o siódmej rano. Wiedział, że na oddziale operacyjnym dzień zaczyna się wcześniej. Nikt go nie spytał, co tu robi. Wszyscy uznali, że przyszedł z którąś z rodzin, okupujących krzesła z magazynami i kubkami kawy z automatu. Usiadł w kącie, naciągnął na czoło słomkowy kowbojski kapelusz i ukrył się za egzemplarzem „USA Today”.

Po raz pierwszy doktor Newton pojawiła się za piętnaście dziewiąta.

- Pani Franklin?

Pani Franklin wraz ze swą pocieszycielką podeszła do lekarki. Rennie była ubrana w zielony uniform, maska leżała na piersi jak śliniaczek. Na głowie miała czapkę, buty osłaniały papierowe ochraniacze.

Nie słyszał stów, ponieważ mówiła dyskretnie ściszonego głosem, żeby

uszanować prywatność rodziny. Powiedziała coś, a pani Franklin uśmiechnęła się i z wdzięcznością uściśnęła jej rękę. Po krótkiej rozmowie Rennie pożegnała się i zniknęła za podwójnymi wahadłowymi drzwiami.

Potem pojawiała się w poczekalni jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem poświęcała całą uwagę rodzinie operowanego i z godną podziwu cierpliwością odpowiadała na każde pytanie. Jej uśmiech napawał otuchą. Oczy patrzyły ze zrozumieniem i współczuciem. Nie okazywała pośpiechu, choć na pewno się spieszyła. Nie była opryskliwa ani odpychająca.

Wick nie dowierzał własnym oczom. Czy to ta sama nieufna, wyniosła kobieta, którą widział na kasecie Orena?

Został w poczekalni, dopóki w brzuchu nie zaczęło mu burczeć tak głośno, że ludzie zaczęli zerkać na niego z ukosa. Tłum się przerzedził, więc wysoki kowboj, siedzący samotnie w kącie z gazetą, którą przeczytał już trzy razy od deski do deski, przyciągał uwagę. Trzeba było wyjść i rozejrzeć się za obiadem.

Oren sądził, że Wick prześpi ten dzień w obskurnym motelowym pokoju. Wick nie wspomniał, że zamierza odwiedzić szpital. Nie powiedział także, że po posileniu się hamburgerem zacznie obserwować prywatny gabinet Rennie Newton. Znajdował się on w pobliżu szpitala, na ulicy, przy której niegdyś stały domy prywatne, a teraz były głównie gabinety lekarskie.

Budynek z piaskowca wyglądał na nowy i nowoczesny, lecz nie ostentacyjny. Przez całe popołudnie panował w nim ruch, pacjenci wchodzili i wychodzili średnio co kwadrans. Parking przed gabinetem był jeszcze do połowy wypełniony, gdy Wick porzucił swój punkt obserwacyjny, by włamać się do domu Rennie Newton.

Tak, Rennie miała pracowity dzień. W nagrodę pozwoliła sobie na wypicie butelki wody. Na tym koniec. Kiedy wyszła z kuchni, wyłączyła światło i niemal natychmiast znowu je włączyła, co wydało mu się dziwne.

Zostawiła zapaloną lampę i poszła do sypialni, gdzie osunęła się na skraj łóżka, pochylona do przodu, z włosami opadającymi na twarz. Jej postawa świadczyła o przygnębieniu... albo okropnych kłopotach.

Potem zrobiła drugą dziwną rzecz. Otworzyła szufladę nocnej szafki i przez parę minut w nią patrzyła. Po prostu patrzyła. Niczego z niej nie wyjęła ani nie włożyła - tylko patrzyła.

Na co? Wick doszedł do wniosku, że na wizytówkę. Czy zapieczętowana papeteria

mogła się jej wydać tak fascynująca? Może czytała nekrolog powiadamiający o śmierci matki i wspominała. Ale założyłby się o wszystko, że chodziło o tę wizytówkę. A to cholernie zaostrzyło jego ciekawość.

Wreszcie zamknęła szufladę i wstała. Rozpięła i zdjęła bluzkę. Pod spodem miała zwyczajny stanik. Może te przejryste, koronkowe rezerwuje na dni, kiedy nie wykonuje czterech operacji jedna po drugiej. Albo dla mężczyzny, który przysłał jej tę wizytówkę.

Potem zdjęła spodnie.

Wtedy spostrzegł, że wstrzymuje oddech i nakazał sobie oddychać normalnie - jeśli to w ogóle możliwe. Czy jest na tym świecie jakiś heteroseksualny mężczyzna, który oddycha normalnie, kiedy kobieta rozbiera się na jego oczach? Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć. On takich nie znał. Ten problem wymaga naukowego zbadania.

W ramach prywatnych badań naukowych zrobił głęboki wdech i wypuścił równy strumień dwutlenku węgla.

I w tej samej chwili, niemal jakby poczuła jego oddech na swojej nagiej skórze, spojrzała z niepokojem w okno. Natychmiast zgasła lampę przy łóżku. Jej niewyraźna sylwetka zamajaczyła jeszcze za oknem, a potem paski żaluzji zacisnęły się szczelnie, zasłaniając wszystko.

Światło w łazience paliło się przez dziesięć minut - to wystarczy na kąpiel w jednym z tych pachnących płynów. Może używa też różowej maszyny do golenia. Pewnie umyła zęby i zawinęła tubkę od końca, po czym schowała ją do szafki nad klinicznie czystą umywalką.

Potem w domu zapadły ciemności - z wyjątkiem światła w kuchni. Wick uznał, że prosto z łazienki poszła do łóżka.

A teraz, po trzydziestu dwóch minutach, prawdopodobnie spała w bladożółtej pościeli, z głową zatopioną w puchowej poduszce.

Pamiętał tę poduszkę. Wpatrywał się w nią długo, po czym zdjął lateksowe rękawiczki, podniósł ją i przytulił do twarzy. To trwało krótko, parę minut. Dobry detektyw nie pozwala sobie na nic więcej.

Ale o tym także nie powiedział Orenowi.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Była to najlepsza meksykańska restauracja w Fort Worth, a co za tym idzie - zdaniem Lozady - najlepsza restauracja w mieście.

Przychodził tu wyłącznie ze względu na jedzenie i pełną szacunku obsługę. Bez żalu pożegnałby trio muzyków, przechadzających się pomiędzy stolikami i głośno, lecz fałszywie śpiewających przy akompaniamencie gitar meksykańskie standardy. Wystrój restauracji wyglądał na dzieło wariata, który oszalał w meksykańskim sklepie z pamiątkami i wykupił wszystkie sombrera oraz *piñata*.

Ale jedzenie było doskonałe.

Jak zwykle siedział przy swoim ulubionym stoliku w kącie, plecami do ściany i popijał poobiednią tequilę. Zastrzeżyłby każdego, kto by mu zaproponował jakąś zieloną zamrożoną lurę i miałby czelność nazwać ją margaritą.

Sfermentowany sok agawy zasługiwał na to, by go pić solo. Wolał czyste *añejo*, wiedząc, że tequila zawdzięcza swój złocisty kolor karmelowemu barwnikowi.

Na obiad zamówił danie składające się z enchilady, taco z wołowiną, smażonej fasoli, ryżu i ociekających masłem kukurydzianych tortilli. Pełno węglowodanów i tłuszczu, ale nie martwił się, że przytyje. Geny zagwarantowały mu szczupłą, żyłastą sylwetkę, którą inni zyskują na siłowni, wylewając kubły potu. On nigdy się nie pocił. Przenigdy. A kiedy jeden jedyny raz w życiu był zmuszony podnieść ciężarek, to wyłącznie po to, by kogoś nim zdzielić.

Wypił drinka i zostawił na stoliku czterdzieści dolarów. Prawie dwukrotność rachunku, ale dzięki temu miał gwarancję, że stolik zawsze będzie na niego czekał. Pożegnał się skinieniem głowy z właścicielem i mrugnął po drodze do ładniutkiej kelnerki.

Restauracja znajdowała się w sercu historycznej dzielnicy Stockyards. Dziś skrzyżowanie ulicy Main i Exchange było pełne turystów. Kupowali tandetne teksańskie upominki, na przykład czekoladki w kształcie krowich placków albo grzechotniki zatopione w przezroczystym akrylu. Co bardziej majątni byli gotowi wydać okrągłą sumkę za ręcznie szyte botki od legendarnego Leddy'ego.

Z knajpek sączył się rozkoszny zapach mięsa grillowanego na drewnie *mesquite*. Z otwartych drzwi barów buchało chłodzone powietrze, zapach piwa i łkanie ballad country.



Na ulicach stały samochody wszelkich marek, od zabłoconych furgonetek przez rodzinne combi po smukłe maszyny importowane z Europy. Grupy młodych kobiet i mężczyzn snuły się po drewnianych chodnikach, szukając siebie nawzajem. Rodzice robili zdjęcia dzieciom siedzącym na znudzonym i prawdopodobnie upokorzonym długorogim wole.

Od czasu do czasu pojawiał się autentyczny kowboj. Można ich było rozpoznać po łąjnie zaschniętym na butach i wymownym kółku na tylnej kieszeni wranglerów - nieodłącznym okrągłym blaszanym pudełku prymki. Na swoich naśladowców spoglądali z nieskrywanym i zrozumiałym szyderstwem.

Wszędzie panowała atmosfera beztroski, zdrowia i niewinności.

Stan obcy Lozadzie.

Lozada odebrał srebrnego mercedesa ze składanym dachem od chłopaka, któremu płacił dwadzieścia dolarów za pilnowanie samochodu i ruszył Main Street. Przejechał na drugą stronę rzeki i znalazł się w centrum. W niespełna dziesięć minut później samochód był już pod opieką parkingowego, a Lozada przemierzył granitowy hol Trinity Tower i wjechał windą na ostatnie piętro.

Apartament na najwyższym piętrze kupił natychmiast, gdy zakończono remont budynku. Jak w przypadku wszystkich zabudowań na Sundance Square, elewację zachowano w oryginalnym stanie, by nie zakłócać staroświeckiej stylistyki dzielnicy. Całe wnętrze natomiast wyburzono od fundamentów po dach, dostosowano do obecnych standardów budowlanych - w nadziei, że stawi także opór tornadom - i przerobiono na apartamentowiec.

Lozada, kupiwszy kosztowny lokal, wydał jeszcze dwa miliony dolarów na sporządzenie repliki apartamentu, który podziwiał w piśmie architektonicznym. Na ten wydatek mógł sobie pozwolić dzięki zaledwie trzem zleceniom.

Wszedł do środka i rozejrzał się z zadowoleniem po spokojnym, chłodnym wnętrzu, wytchnieniu dla oczu po jaskrawym mieście. Rozsiane tu i tam źródła światła pośniewały na polerowanych parkietach z ciemnego drewna, gdzieś przykrytych owczymi skórami. Każda powierzchnia była gładka i lśniąca - lakierowane drewno, kamień i metal. Mahoniowe meble były przeważnie robione na zamówienie. Fotele pokrywała skóra.

Najbardziej uderzającym elementem w salonie był wielki szklany pojemnik na niewysokim piedestale z polerowanego marmuru. Pojemnik miał metr głębokości i dwa

metry kwadratowe powierzchni. Ten niezwykle obiekt był jedynym nadprogramowym dodatkiem do apartamentu, skopiowanego z pisma. Dodatkiem niezbędnym. Stanowił idealne mieszkanie dla ulubieńców Lozady.

Temperatura i wilgotność powietrza w pomieszczeniu były dokładnie kontrolowane. Lozada pilnował, by jego pieszczoszki dostawały dość pożywienia, żeby nie pozjadać się nawzajem. Obecnie miał ich pięć, choć bywało już i osiem, i trzy.

Nie miały imion; to by było śmieszne, a nikt by się nie ośmielił zarzucić Lozadzie śmieszności. Ale rozróżniał je, znał dobrze i czasem wyjmował, żeby się z nimi pobawić.

Dwa *Centruroide* osobiście przemycił z Meksyku. Miał je od niespełna roku. Ten, który mieszkał z nim najdłużej, był samicą z gatunku często spotykanego w Arizonie. Nie była okazem wyjątkowym ani cennym, ale ją lubił. W tym roku urodziła trzydzieści jeden małych skorpionków, które Lozada zabił natychmiast, gdy zeszyły z jej grzbietu, deklarując w ten sposób niezależność. Dwa pozostałe osobniki były rzadziej spotykane i groźniejsze. Trudno było ich nie lubić, gdyż sprowadzenie ich okazało się wyjątkowo trudne i kosztowne.

Najpiękniejsze skorpiony świata.

Przystanął, żeby rzucić im parę słów, ale dziś nie zamierzał się nimi bawić. Jak zwykle dbały o własne interesy, sprawdził pocztę głosową. Nikt nie zostawił mu wiadomości. Znalazł w barku *añejo*, nalał do bakarata i podszedł z nim do oszklonej ściany, za którą rozciągał się efektowny widok na rzekę, której wieżowiec zawdzięczał swoje imię, a także na okoliczne drapacze chmur.

Wzniósł kieliszek w kpiącym toaście ku sądowi okręgu Tar - rant. Odwrócił się w przeciwnym kierunku i powtórzył to samo w płynącym z głębi serca pozdrowieniu ku magazynowi za torami kolejowymi.

Obecnie znajdowały się tam warsztaty samochodowe, ale dwadzieścia pięć lat temu ta rudera z przerdzewiałej blachy stała pusta. Dwadzieścia pięć lat temu Lozada po raz pierwszy zabił w niej człowieka.

Tommy Sullivan był jego kolegą. Lozada nie miał nic przeciwko niemu. Nigdy nie poróżnili się nawet słowem. Los zrządził, że Tommy znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Było upalne lato. Włoczyli się po pustym magazynie z braku lepszego zajęcia. To nuda ich tu przywiodła i nuda zabiła Tommy'ego.

Tommy szedł parę kroków przed Lozadą, któremu nagle przyszło do głowy, że teraz mógłby bez trudu chwycić kolegę, sięgnąć do jego szyi i wbić scyzoryk w tętnicę.

Zrobił to, żeby sprawdzić, czy potrafi. Okazało się, że tak.

Bardzo mądrze postąpił, atakując od tyłu, bo Tommy bluzgał krwią chyba przez godzinę. Trudno było się nie pobrudzić. Ale pominąwszy drobiazgi, zabicie Tommy'ego było niewiarygodnie łatwe. I równie łatwo było uniknąć odpowiedzialności. Lozada poszedł po prostu do domu Tommy'ego i spytał jego mamę, czy kolega jest w domu. Odpowiedziała, że nie, ale zaprosiła go do środka, żeby zaczekał. Tommy na pewno się pojawi, wcześniej czy później.

I tak, tuż po zamordowaniu Tommy'ego Lozada spędził jakiś czas w jego pokoju, słuchając muzyki z jego stereo, w błogim oczekiwaniu piekła, które wkrótce miało się rozpętać w tym domu.

Z ciepłych wspomnień wyrwało go pukanie. Odruchowo podszedł ostrożnie do drzwi, ze sprężynowym nożem ukrytym w dłoni. Wyrzał przez wizjer. Na widok znajomej kobiety w uniformie otworzył.

- Posprzątać?

Zamieszkiwanie w tym budynku wiązało się z pewnymi plusami, na przykład obecnością parkingowego, portiera i sprzątaniem dwa razy dziennie. Wpuścił kobietę do środka. Poszła do sypialni i zajęła się pracą. Lozada nalał sobie następnego drinka i wrócił na krzesło przy oknie. Nóż odłożył na stół, w zasięgu ręki. Spojrzał na afisz przed kinem naprzeciwko, ale żaden film nie wydał mu się ciekawy.

Przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył z Rennie Newton tego wieczoru. Jej nieudolne wysiłki, by wydać się trudną do zdobycia, wywołały uśmiech na jego ustach. Naprawdę, była zachwycająca.

Pokojówka wyszła z sypialni.

- Mam zaciągnąć zasłony?

- Nie, dziękuję. Zostawiłaś czekoladki na poduszce?

- Dwie. Twoje ulubione.

- Dziękuję, Sally.

Uśmiechnęła się i zaczęła rozpinać bluzkę. Nigdy nie pytał ją o sprawy osobiste. Prawdę mówiąc, nie poznałby nawet jej imienia, gdyby sama mu go nie zdradziła. Zawsze chętnie powtarzała, że sprzątaczką jest tylko chwilowo. Zamierzała zostać tancerką egzotyczną i występować w klubach.

Cycki miała nawet niczego. Ale nie tyłek. Wielki jak stodoła.

Kiedy dotknęła guzików uniformu, powiedział:



- Nie trzeba.

I pociągnął ją między swoje uda, zmuszając, żeby uklękała.

- Mogę najpierw zatańczyć. Ćwiczyłam przed lustrem. Jestem dobra, naprawdę.

W odpowiedzi rozpiął pasek i spodnie. Była zawiedziona, że nie chciał zobaczyć jej występu, ale zajęła się tym, czego oczekiwał. Rozpięła mu koszulę. Przesunęła palcami po tatuażu na piersi. Jasnoniebieski sztylet z ostrzem, które zdawało się wbijać w jego sutek. Krople niebieskiej krwi spływały po żebrach.

- To mnie podnieca.

Jej język, szybki i zwinny jak język węża, połaskotał czubek sztyletu.

Miał szesnaście lat, kiedy kazał sobie zrobić ten tatuaż. Gość, który go robił, zaproponował, że od razu przekłuje mu sutek.

- Z takim sztyletem i kolczykiem będziesz wyglądał super. Lozada pamiętał jeszcze strach w jego oczach, kiedy chwycił go za grdykę i podniósł ze stołka.

- Myślisz, że jestem homo? Gość wybałuszył oczy.

- Nie, nie, co ty - wykrztusił. - Wcale nie! Lozada puścił go powoli.

- Lepiej, żeby ci ta krew dobrze wyszła, bo to będzie ostatni tatuaż w twoim życiu.

Teraz sprawne usta Sally dotarły już do jego krocza.

- Gumka - powiedział.

- Mnie to nie przeszkadza. - A mnie tak.

Nigdy nie zostawiał śladów DNA. Obcięte paznokcie splukiwał w toalecie. Codziennie golił całe ciało. Był bezwłosy jak noworodek, nie licząc brwi. Próżność nie pozwoliła mu ich usunąć. Poza tym bez brwi blizna nie byłaby aż tak zauważalna, a chciał, żeby widziano ją z daleka.

Na szczęście czaszkę miał idealną. Była gładka i pięknie sklepiona. Przy oliwkowej cerze z łysą głową wyglądał bardzo efektownie. Łóżko i toaletkę sprzątał dwa razy dziennie małym odkurzaczem, by usunąć płatki suchej skóry. Odciski palców wypalił sobie już dawno.

Po doświadczeniu z Tommym przekonał się, że krew ofiary może sprawiać wiele kłopotów. Bał się, że ktoś będzie chciał obejrzeć jego scyzoryk, bo nie wiedział, czy dobrze oczyścił go z krwi. Ale nikt go nie podejrzewał, a on z czasem pozbył się noża. Od tej pory zawsze zostawiał narzędzie zbrodni obok ofiary. Korzystał ze zwyczajnych, powszechnie dostępnych przedmiotów - nic egzotycznego, nowego czy łączącego się z nim. Czasami, jeśli sytuacja tego wymagała, załatwiał sprawę gołymi rękami.



Był ubezpieczony. Jak każdy dobry obywatel płacił podatki od tego, co zarabiał na reperacji telewizorów. W jego warsztacie siedział stary pijak, który nie trzeźwiał od czasu wynalezienia telewizji. Była to kiepska dzielnica, w której nikt nie reperował starych telewizorów. W razie potrzeby szło się do dobrej dzielnicy i kradło nowy. Ale interes był legalny, choć niezbyt dochodowy.

Prawdziwe źródło dochodów nie zostawiało śladów, które mógłby wytropić urząd skarbowy albo policja.

Sally rozerwała dużymi zębami foliowy pakiecik.

- Musisz być okropnie bogaty. Takie mieszkanie! Taki piękny mercedes!

Uwielbiał swoje skarby, teraz jeszcze bardziej niż przed ośmiomiesięcznym pobytem w więzieniu okręgu Tarrant, gdzie oczekiwał na proces. To go nauczyło doceniać znaczenie finezyjnych przedmiotów.

Oczywiście, musiał na jakiś czas przerwać pracę. Ale to go nie martwiło. Za bankiera dostał dobre honorarium.

Pieniądze miał odłożone na oprocentowanych kontach na całym świecie, w krajach, których nigdy nie odwiedził i nie zamierzał odwiedzić. Mógł w każdej chwili przejść na emeryturę i żyć dostatnio do końca swoich dni.

Ale nigdy nie brał emerytury pod rozwagę. Tego, czym się zajmował, nie robił dla pieniędzy. Pieniądze mógł zarabiać na różne sposoby. Robił to, co robił, ponieważ był w tym dobry i lubił to. Nawet uwielbiał.

- Te skorpiony trochę mnie wnerwiają, ale strasznie mi się u ciebie podoba. Masz niesamowite rzeczy. Ta narzuta to prawdziwe norki, no nie?

Lozada wolałby, żeby się zamknęła i zajęła robotą.

- Ludzie mówią, że jesteś niebezpieczny, to prawda? Złapał ją za ufarbowane na czarno włosy i poderwał jej głowę do góry. - Jacy ludzie? - Au! Boli! Okręcił jej włosy wokół pięści, pociągnął mocniej.

- Jacy ludzie?

- Ta dziewczyna, co pracuje w hotelu. Rozmawialiśmy. O tobie też.

Zajrzał jej w oczy, ale nie dostrzegł śladu podstępu. Była zbyt głupia, żeby donosić.

- Jestem niebezpieczny tylko dla tych, którzy o mnie mówią, kiedy nie powinni.

Puścił jej włosy.

- Rany, nie ma się co tak obrażać. Tylko żeśmy rozmawiali. Mam prawo

plotkować, nie? - Uśmiechnęła się do niego.

Gdyby tylko wiedziała, jaki budziła w nim wstręt. Nienawidził jej głupoty i chamstwa. Miał ochotę zrobić jej krzywdę. Zamiast tego przyciągnął do siebie jej głowę.

- Nie gadaj, tylko dokończ.

Była tutaj tylko dlatego, że tak mu było na rękę. Zawsze mógł znaleźć kobietę. Same wchodziły mu w rękę. Nawet te atrakcyjne zrobiłyby wszystko za odrobinę jego uwagi i pięćdziesiąt dolarów.

Ale nie pragnął łatwych kobiet. Chciał takich, których jeszcze nigdy nie miał.

W szkole był śmieciem, który zadawał się z najgorszymi. Zawsze ktoś się go czepiał albo w szkole, albo na policji, a czasem jednocześnie w obu tych miejscach. Rodziców to nie interesowało. Och, owszem, narzekali, że źle się zachowuje, ale nigdy nie zrobili nic, żeby się poprawił.

Jego młodszy brat urodził się poważnie chory. W dniu, w którym rodzice przynieśli go ze szpitala, Lozada tak jakby przestał istnieć - przynajmniej w ich sercach i myślach. Poświęcili się bez reszty jego braciszce. Uznali, że uroczy, zdrowy, dobrze rozwinięty starszy syn nie ma żadnych potrzeb.

Jako czterolatek zaczął się na nich złościć za to odsunięcie - i nigdy nie pozbył się urazy, że potrzeby młodszego brata były dla nich ważniejsze. Zauważył, że kiedy jest nieposłuszny, rodzice poświęcają mu troszkę więcej uwagi, więc dopuszczał się każdego niegodziwego i podłego czynu, jaki przyszedł mu na myśl. Był dzieckiem z piekła rodem, a jako nastolatek stał się mordercą.

W liceum ładne dziewczyny nie umawiały się z chłopakami jego pokroju. Nie brał narkotyków, ale je kradł od dilerów i sam sprzedawał. Chodził na nielegalne walki kogutów zamiast na mecze futbolowe. Był urodzonym sportowcem, ale nie grał w sporty zespołowe, ponieważ nie można było łamać zasad, więc jaka to zabawa? Poza tym nigdy by nie pozwolił, żeby wyżywał się na nim jakiś dupek z gwizdkiem, do którego trzeba mówić „panie trenerze”.

Ładne dziewczyny umawiały się z chłopakami w świetnych ciuchach, którzy później szli na medycynę, prawo albo do szkoły handlowej, tak jak ich tatusiowie. Te pożądane dziewczyny chodziły z chłopakami jeżdżącymi bmw na lekcje golfa.

Dziewczyny, które umiały się ubrać i uczestniczyły we wszystkich zajęciach pozalekcyjnych, te dziewczyny z klasą, które redagowały szkolną gazetkę i należały do akademickich klubów, stroniły od niego, być może z obawy, że jeśli spojrzą na niego po

raz drugi, będą skompromitowane.

Och, ale zwracały na niego uwagę, i to jak! Zawsze był przystojny. I emanowała z niego jakaś aura niebezpieczeństwa, której kobiety nie potrafią się oprzeć. Ale bały się jego nieskrywanej seksualności. Jeśli spoglądał na jakąś dziewczynę zbyt długo, zbyt intensywnie, zbyt sugestywnie, natychmiast uciekała. Nigdy nie potrafił się zbliżyć do tych porządnych dziewczyn.

Takich jak Rennie Newton.

Tak, ona miała klasę! Miała w sobie dokładnie to, czego pożądał w kobiecie - w jednym ślicznym pakiecie. Podczas procesu codziennie z niecierpliwością szedł do sądu, żeby zobaczyć, co będzie na sobie miała i jak ułoży włosy. Parę razy wychwycił subtelny kwiatowy zapach i pomyślał, że to może jej, ale nigdy nie zdołał zbliżyć się na tyle, by się o tym przekonać.

Aż wreszcie wszedł do jej domu. Powietrze w nim było przesycone tą samą wonią. Na to wspomnienie zadrżał z rozkoszy.

Pokojówka zacisnęła wokół niego usta. Zamknął oczy i wyobraził sobie Rennie Newton. Zobaczył ją, jak doprowadza go do orgazmu.

Po wszystkim natychmiast kazał dziewczynie odejść.

- A nie chcesz...

- Nie. - Widok jej ciężkich piersi napawał go obrzydzeniem. A to szmata. Dziwka.

Jakby na potwierdzenie jego myśli przesunęła dłońmi po swoim ciele i zakołysała się do bezgłośnej muzyki.

- Jeszcze nigdy nie byłam z takim przystojnym facetem. Nawet to jest super. - Dotknęła jego blizny, wciąż różowej, przecinającej lewą brew. - Skąd się wzięła?

- Dostałem w prezencie.

Zagapiła się na niego tępo. Potem wzruszyła ramionami.

- Dobra, nie chcesz, to nie mów. I tak jest super. Wyprężyła się ku niemu; zorientował się, że chce pocałować jego bliznę i odepchnął ją.

- Wynocha.

- No wiesz, przepraszam, że żyję.

Zanim zdążyła wstać, złapał jej szczękę w żelazny chwyt, ścisnął tak mocno, że usta zwinęły się w ryjek.

- Jak jeszcze raz będziesz o mnie gadać, z kimkolwiek, znajdę cię i utnę język. Rozumiesz?



Oczy rozszerzyły się jej ze strachu. Skinęła głową. Puścił ją. Jak na taką dużą dziewczynę poruszała się zaskakująco szybko. Może jednak ma szansę zostać egzotyczną tancerką.

Po jej odejściu przypomniał sobie jeszcze raz telefoniczną rozmowę z Rennie. Przywołał brzmienie głosu i kadencję słów, aż prawie znowu je usłyszał.

Ledwie wypowiedział jej imię, poznała go. Jakie to niemądre, że udawała co innego. Powiedziała, żeby do niej więcej nie dzwonił, ale tu także udawała. To tylko wrodzona nieufność porządnej dziewczyny wobec złego chłopca, ale jemu to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, ten cień strachu sprawiał mu nawet przyjemność.

Doświadczenie z kobietami miał ogromne, ale jednocześnie ograniczone, ponieważ wszystkie jego romanse były bezrozumnymi epizodami, w których liczył się tylko seks. Już go to zmęczyło. Podrywanie kobiet i zapraszanie ich do domu było nudne, zwłaszcza że potem się okropnie przyczepiały. A on nie znosił ich jęków.

Płatne dziwki także miały wady. Spotkania w hotelowych pokojach, choćby nawet luksusowych, były upokarzające. Cała rzecz miała posmak transakcji, a każda dziwka sądziła, że to ona tu rządzi. Ale za to musiał zabić tylko jedną; na ogół w porę ustępowały przed jego autorytetem.

Poza tym dziwki były niebezpieczne i nie można im było ufać. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że policja wykorzysta je jako przynętę.

Wreszcie nadeszła pora na kobietę jego miary. Tylko w tej dziedzinie odczuwał niedosyt. W pozostałych posiadał wszystko, co najlepsze. Mężczyzna z jego pozycją zasługuje na kobietę, którą będzie się mógł chwalić, której będą mu zazdrościć inni.

Tę kobietę odnalazł w Rennie Newton.

I na pewno ją pociąga, w przeciwnym razie po co tak namiętnie stawałaby w jego obronie? Gdyby chciał, już by zaspokoił to obopólne pożądanie. Mógł ją dopaść w każdej chwili i, gdyby miała jakieś głupie kobiece opory, podporządkować ją sobie. Po paru razach zaczęłaby rozumieć to, co on wie już od dawna - że są dla siebie stworzeni.

Ale on chciał to zaaranżować bardziej subtelnie. Była inna od wszystkich, należy ją uwodzić w inny sposób. Chciał ją adorować tak, jak się to należy kobiecie jej pokroju. Więc zanim jeszcze skończył się proces, Lozada już się dowiedział, kim jest ta cudowna istota i czy ma wrogów. Jego cwany prawnik bez trudu zdobył te informacje.

Zabicie tamtego lekarza było aż zbyt łatwe. To jeszcze za mało, żeby dowieść jego uczucia. Musiał zrobić coś więcej, co lepiej odda targające nim namiętności. Stąd te róże.

Idealna, romantyczna nutka.

Skończył tequilę. Z cichym śmiechem przypomniał sobie oburzenie Rennie. Właściwie to nawet dobrze, że nie straciła głowy po tych pierwszych wstępnych zabiegach. Gdyby poddała się zbyt szybko i łatwo, rozczarowałaby go. Jej charakter i niezależność także go pociągały. Oczywiście do pewnego stopnia.

W końcu trzeba będzie jej pokazać, że Lozada zawsze dostaje to, czego pragnie.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wick podszedł do stołu, przy którym Lozada raczył się śniadaniem.

- E, łysy, oślepiasz mnie tą głacą.

Lozada zatrzymał widelec pomiędzy talerzem i ustami. Podniósł powoli wzrok, z trudem powstrzymując złość. Jeśli widok Wicka go zaskoczył, nikt by tego nie dostrzegł. Obrzucił Wicka powolnym spojrzeniem.

- Proszę, proszę. Patrzcie, kto przyjechał.

- Tydzień temu - wyjaśnił Wick radośnie.

- Policja coś cienko przędzie, skoro się z tobą przeprosili.

- Pudło. Jestem na wakacjach.

Odwrócił wolne krzesło i usiadł na nim okrakiem. Goście w hotelowej jadalni będą urażeni, ale nic go to nie obchodziło. Chciał zagrać Lozadzie na nerwach. Jeśli tik w policzku można uważać za jakąś oznakę, to mu się udało.

- E, te naleśniki wyglądają smakowicie. - Zanurzył palec w rozlanej na talerzu kałuży syropu klonowego i oblizał go. - Mmmm. Mniam mniam.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Wystawiłem głowę za okno i poszedłem za smrodem.

Tak naprawdę ta hotelowa restauracja była znana policji jako ulubione miejsce śniadań mordercy. Sukinsyn nigdy się nie ukrywał. Wręcz naśmiewał się ze swoich niedoszłych prześladowców, rozparty za kierownicą luksusowego wozu lub za panoramicznym oknem apartamentu - opływał w dostatki, za co policjanci nienawidzili go jeszcze bardziej.

- Życzy pan sobie czegoś?

Wick odwrócił się do młodej kelnerki.

- Tak, skarbie. Życzę sobie się rozerwać - oznajmił, zdejmując kowbojski kapelusz i przykładając go sobie do piersi. - Rozerwać się z moim starym kumplem Ricky Royem.

Lozada nie znosił swoich imion i wściekał się, kiedy ktoś je wymieniał, dlatego Wick robił to przy każdej nadarzającej się okazji.

- Znaie się? - Odczytał imię kelnerki na plastikowej plakietce przy bluzce. - Shelley... nawiasem mówiąc, to ładne imię... poznaj Ricky Roya. Ricky Roy, to jest Shelley.

Zarumieniła się po korzonki włosów.

- Ten pan tu często przychodzi. Wiem, jak się nazywa.



- Daje dobre napiwki? - spytał Wick scenicznym szeptem.

- Tak. Bardzo dobre.

- No, miło to usłyszeć. - Przechylił głowę w zamyśleniu. - Choć tak sobie myślę, że to chyba jego jedyna zaleta.

Niespokojny wzrok kelnerki przeskoczył między nimi, by w końcu spocząć na Wicku.

- Może przynieść kawy?

- Nie, dzięki, Shelley, ale kochana jesteś, że pytasz. Dam ci znać, jeśli będę czegoś potrzebował. - Mrugnął do niej przyjaźnie. Znowu się zaczerwieniła i uciekła. Odwrócił się do Lozady. - Na czym skończyliśmy? A, tak, dawno się nie widzieliśmy. Przepraszam, że nie przyszedłem na proces. Słyszałem, że razem ze swoim prawnikiem odstawiłeś niezły pokaz.

- To było czyste marnotrawstwo czasu nas wszystkich.

- A, tu się z tobą zgodzę. Nie wiem, po co zorganizowali proces dla takiego gówna. Gdybym to ja decydował, dałbym sobie spokój z tymi duperelami i od razu posłałbym cię do celi śmierci.

- Jak to dobrze, że mój los nie zależy od ciebie.

- Jeszcze nie wiadomo, Ricky Roy. Pewnego dnia, niedługo, może zależeć. - Rzucił mu szeroki uśmiech i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, dwaj wrogowie. W końcu Wick zauważył: - Ładny garnitur.

- Dziękuję. - Lozada przyjrzał się znoszonym dżinsom Wicka, jego kowbojskim botkom i kapeluszowi na stole. - Mogę cię skierować do mojego krawca.

Wick parsknął śmiechem.

- Nie stać mnie. To bardzo drogie ciuchy. Widzę, że interesy idą dobrze. - Pochylił się i powiedział ciszej: - Stuknąłeś kogoś interesującego od czasu tamtego bankiera? Strasznie jestem ciekaw, kto cię wynajął. Może jego teść? Słyszałem, że się żarli. A jak go wykończyłeś? Struną fortepianową? Czy gitarową? Żyłką wędkarską? A może starym dobrym kozikiem?

- Śniadanie mi stygnie.

- Oj, przepraszam, chyba się zasiedziałem. Wpadłem tylko na chwilę, żeby się z tobą przywitać i powiedzieć, że wróciłem. - Wstał i sięgnął po kapelusz. Odstawił krzesło na miejsce. Potem pochylił się nad stołem i powiedział cicho, żeby usłyszał go tylko Lozada: - I żeby ci powiedzieć, że wryję ci na dupie imię mojego brata, choćby to była

ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

- No, nie jestem pewien, czy to było takie sprytne.

- Dobrze mi zrobiło na serce.

- Szczerze mówiąc, jestem pewien, że to było głupie.

Wick zrozumiał, że się przeliczył. Oren ani trochę nie ubawił się jego spotkaniem z Lozadą.

- Dlaczego?

- Bo teraz wie, że go obserwujemy.

- A tak toby nie wiedział? - spytał Wick sarkastycznie. - Wie, że go ciągle obserwujemy. - Był rozdrażniony, a dezaprobata przyjaciela wcale mu nie poprawiła humoru. Zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Szarpnął gumkę na przegubie.

- Ten łysol ma to gdzieś, nawet gdyby chodził za nim cały oddział, dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez cały tydzień. Od pierwszego dnia swojej kariery wypina się na policję i prokuraturę. Chciałem, żeby wiedział, że nie zapomniałem, co zrobił, i że ciągle go ścigam.

- Rozumiem, co czujesz.

- Wątpię.

Tu Oren już się wściekł, ale ugryzł się w język i powstrzymał odpowiedź.

- Nie powinienes przedkładać prywatnych uczuć nad dochodzenie. Nie chcę, żeby Lozada czy Rennie Newton zorientowali się, że za nimi chodzimy. Jeśli są zamieszani w morderstwo Howella...

- On - możliwe. Ona nie.

- Skąd ta pewność?

Wick przestał się miotać i wskazał dom dwie działki dalej.

- Obserwujemy ją, cholera, od tygodnia. A ona nic nie robi, tylko pracuje i śpi. Nie wychodzi. Nie przyjmuje gości. Nie spotyka się z nikim oprócz ludzi, z którymi pracuje i pacjentów. To robot. Wystarczy ją nakręcić i już szoruje do roboty. Jak się jej wyczerpują baterie, wraca do domu, śpi i rano jest jak nowa.

W pokoju pustego domu panował zaduch. Elektryczność była włączona, więc mogli uruchomić centralny system klimatyzacyjny, ale był stary i nie radził sobie z brutalnym popołudniowym upałem.

Wick miał wrażenie, że pokój robi się coraz ciasniejszy, a plan dnia był równie klaustrofobiczny. Jeśli dodać do tego jeszcze ośli upór Orena, który ślepo trzymał się

przepisów, szaleństwo wydawało się gwarantowane. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Było męczące i w dodatku nudne.

- To, że nie widzieliśmy ich razem, nie znaczy jeszcze, że się ze sobą nie komunikują - pouczył go Oren. - Oboje są zbyt inteligentni, żeby pokazywać się publicznie. A to, że nie skontaktowali się ze sobą od czasu śmierci Howella, nie oznacza, że ze sobą nie spiskują.

Wick rzucił się na krzesło. W ułamku chwili uszło z niego powietrze. Psiakrew, Oren miał rację. Doktor Newton mogła wynająć Lozadę, zanim policja zaczęła ją obserwować. Wystarczyłby jeden telefon.

- Sprawdziliście już wykaz jej rozmów telefonicznych?

- Wszystkie połączenia z numerami, pod które dzwoni regularnie. Ale chyba się nie spodziewasz, że będzie organizować morderstwo z własnego telefonu? - Oren usiadł naprzeciw niego. - Dobra, dość tego. Co cię gryzie?

Wick odgarnął włosy z czoła, przytrzymał je przez chwilę, wypuścił.

- Nie wiem. Nic. - Oren rzucił mu ojcowskie spojrzenie typu „nie oszukasz mnie”. - Czuję się jak podglądacz.

- Do tej pory nie miałeś z tym problemów. Dlaczego tym razem jest inaczej?

- Wyszedłem z wprawy.

- Możliwe. Co jeszcze? Tęsknisz za plażą? Słonym powietrzem? No?

- Chyba.

- Aha. To coś więcej niż tęsknota za tą piękną rezydencją, którą porzuciłeś na Galveston. Patrzysz na mnie tak, jakbyś chciał wyskoczyć ze skóry. Wszystko cię wkurza. O co chodzi? Czy to dlatego, że śledztwo dotyczy Lozady?

- A to mało?

- Ty mi powiedz.

Wick zagryzł wewnętrzną stronę policzka. Po chwili powiedział:

- Thigpack. To cap. Oren parsknął śmiechem.

- A on tak cię lubi. - Jasne.

- Masz rację. Uważa, że jesteś kretynek.

- Przynajmniej nie śmierdę. W całym domu cuchnie od tych jego cholernych kanapek z cebulą. Czuję je, jak się tylko otworzy drzwi. I poci mu się rowek w tyłku.

Oren zaśmiewał się jak szaleniec. - Co?

- No, tak. Nie zauważyłeś tej plamy potu na jego gaciach? Ohyda. No i jeszcze to. -

Znowu zerwał się z krzesła jak cyrkowiec wystrzelony z armaty. Trzema skokami przesadził pokój, zdarł fotografie z „galerii” Thigpacka. Zmiał je i rzucił na podłogę. - Zachowuje się jak smarkacz! Ma umysł nastoletniego zboczeńca. Jest chamski, głupi i... - Oren przyglądał się mu ze zmarszczonymi brwiami. - Cholera - mruknął Wick i wrócił na krzesło. Zapadł w chmurne, milczenie, wpatrzony w dom Ren - nie. Niedawno opuściła go, żeby pobiegać. Na jej widok Oren zbiegł po schodach i w dyskretnej odległości ruszył za nią samochodem.

Po dwóch kilometrach zawróciła, zdyszana, z przepoconą koszulką. Jak powiedział Oren, po drodze nie robiła nic oprócz ćwiczeń.

- Wysportowana jest - dodał.

Nie pojawiła się więcej. Słońce odbijało się od szyb, trudno było dostrzec w głębi domu jakiś ruch. Po zapadnięciu zmroku zamknęła żaluzje.

Wick westchnął.

- No dobrze, może nie powinienem podchodzić do Lozady. Ale to jeszcze nie dramat. Wiedział, że pewnego dnia się zjawię. Daję głowę.

Oren zastanawiał się przez chwilę.

- Według mnie to on załatwił Howella - powiedział raptem.

- Ja też tak uważam.

Przeczytał raport natychmiast, kiedy został udostępniony. Ekipa dochodzeniowa zrobiła, co mogła, ale miejsce zabójstwa było sterylne jak sala operacyjna. Nie mieli powodu przeszukiwać apartamentu czy samochodu Lozady, bo nie znaleźliby nic łączącego go z morderstwem. Tego już się nauczyli.

- Jakiś duch czy co - powiedział Wick. - Nigdy nie zostawia żadnego śladu. Nic. Pewnie nawet nie porusza powietrza.

- Dopadniemy go. Skinął krótko głową.

- Ale zgodnie z przepisami. Spojrzał na Orena.

- No, powiedz to.

- Co?

- Już ty wiesz, co. To, co myślisz.

- Nie mów mi, co myślę, dobra?

- Myślisz, że gdybym wtedy rozegrał to zgodnie z przepisami, już byśmy go mieli.

Za Joego.

Fakt nie podlegał dyskusji, ale Oren za bardzo lubił Wicka, żeby to powiedzieć.

Uśmiechnął się krzywo.

- Ciągłe mi go brak.

- Aha. - Wick pochylił się, oparł łokcie na kolanach. - Mnie też.

- Pamiętasz, jak skończyłeś akademię? Kompletnie zielony, jak szczypiorek. Joe i ja obserwowaliśmy ten nielegalny salon hazardu przy autostradzie Jacksboro. Najzimniejsza noc roku, dupska nam poodmarzały. A ty chciałeś być grzecznym chłopcem i zrobić nam niespodziankę. Przyniosłeś pizzę.

- Tak, pojawiłem się koło waszego samochodu i was zdradziłem. Joe nie wiedział, co robić najpierw - zatłuc mnie czy zjeść pizzę, dopóki gorąca. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Daliście mi za to popalić.

Joe i Oren studiowali razem na policyjnej akademii i wkrótce po jej ukończeniu zaczęli pracować jako partnerzy. Joe był przy Orenie, kiedy rodziły się jego córki. Czekał razem z Orenem, kiedy Grace przechodziła biopsję cysty w piersi. Pojechał z nim na Florydę na pogrzeb matki. Oren płakał razem z Joem, kiedy kobieta, którą kochał, zerwała zaręczyny i złamała mu serce.

Ufali sobie bezgranicznie. Ich przyjaźń była niemal tak głęboka jak więź łącząca Wicka i Joego.

Kiedy Joe zginął, Oren przyjął rolę starszego brata Wicka, a potem jego partnera, choć obaj rozumieli, że nikt nie zdoła wypełnić luki, jaka została po Joem.

Minęła pełna minuta kompletnej ciszy, zanim Oren klepnął się w kolana i wstał.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, to się zmyję.

- Jasne. Podziękuj Grace za szynkę i sałatkę ziemniaczaną. Dobrze mi zrobiły po tych paskudnych kanapkach. Daj dziewczynkom buziaka ode mnie.

- Szkoda, że musisz tu siedzieć w sobotę wieczorem.

- Nie ma sprawy. Chcę... - Urwał nagle, jakby sobie coś przypomniał, spojrzał na zegarek. - Którego dziś mamy?

- Eee... jedenastego. Bo co?

- Nic. Pogubiłem się po prostu. No, to zjeżdżaj, bo Grace się wścieknie.

- Do zobaczenia jutro.

- Jasne, cześć. - Wick wyciągnął się na krześle, założył ręce za głowę, usiłując udawać znudzonego.

Zaczekał, aż usłyszał warkot samochodu Orena, po czym chwycił kluczyki i wymknął się w ślad za nim. Wsiadł do swojej furgonetki, przejechał obok domu Rennie.

Nie dostrzegł ani śladu jej obecności. Nie miał pojęcia, co zaplanowała na wieczór. A jeśli przecucie go myli? I jeśli tak, a Lozada złoży jej dzisiaj wizytę, to rano Oren nadzieje jego głowę na dzidę.

Ale był gotów się założyć, że ma rację.

Do kościoła dotarł trzy minuty przed czasem. Ledwie zdążył usiąść w ostatnim rzędzie, kiedy dzwony wybiły siódmą.

Po wyjściu z domu jak szalowiec popędził do najbliższego centrum handlowego, wpadł do sklepu z męską odzieżą i oddał się w ręce śmiertelne znudzonego sprzedawcy, który czekał z utęsknieniem na koniec zmiany.

- Zapomniałem na śmierć i przypomniało mi się dopiero godzinę temu - wyjaśnił Wick bez tchu. - Siedzę na meczu Rangersów, jem hot doga, popijam zimnym piwkiem i nagle łup. - Palnął się dłonią w czoło. - Wybiegłem ze stadionu, a, kurczę, Rangersi wreszcie zaczęli prowadzić.

Piętrowe kłamstwo sprowokowało sprzedawcę jedynie do rozpaczliwie znudzonego ziewnięcia. Trzeba było dorzucić parę ozdobników.

- Jeśli nie pójdę, mama nigdy mi nie wybaczy. W zeszły czwartek coś jej strzeliło w plecach. Teraz leży, biedulka, i strasznie rozpacza, że nie może iść. A ja, idiota, nie wytrzymałem i powiedziałem: „Nie martw się, mamu. Jeśli ty nie możesz, to ja pójdę”. Cholernie bym nie chciał jej zawieść.

- Ile ma pan czasu?

Aha! Każdy miał kiedyś matkę.

- Godzinę.

- Hmmm, no, nie wiem. Jest pan strasznie wysoki. Takiej numeracji nie mamy wiele.

Wick wyjął kartę kredytową i banknot pięćdziesięciodolarowy.

- Zakładam się o to, że coś pan znajdzie.

- Trudna sprawa - oznajmił sprzedawca, chowając banknot - ale jeszcze nie przegrana.

Z pomocą krawca, który mamrotał pod nosem coś niezyczliwego w obcym dialekcie, zaznaczając poprawki, przyodziali Wicka stosownie do okazji, łącznie z niebieską koszulą i takimż krawatem.

- Teraz nosi się monochromatyczne komplety. - Najwyraźniej sprzedawca, podobnie jak Lozada, doszedł do wniosku, że Wick potrzebuje pomocy w sprawach

mody.

W oczekiwaniu na obrębienie zakładki spodni i dopasowanie marynarki w talii, Wick wyszedł ze sklepu i kazał sobie oczyścić buty. Na szczęście włożył dziś czarne, ze skóry. Następnie zlokalizował męską toaletę i zmoczył sobie włosy. Zaczesał je palcami do tyłu. Nie miał czasu się ogolić.

A teraz, kiedy siedział w kościelnej ławce, nikt by nie uwierzył, że zdążył się przygotować w niespełna sześćdziesiąt minut.

Ceremonia zaczęła się wejściem matek. Następnie przybyły druhny, przyodziane w brzoskwiniowe sukienki. Wszyscy wstali, czekając na efektowne wejście panny młodej.

Dzięki swojemu wzrostowi Wick mógł się swobodnie rozejrzeć wśród gości. Prawie już myślał, że zadał sobie cholernie dużo trudu i wydał masę kasy na darmo, kiedy dostrzegł ją z przodu nawy. Jeśli dobrze widział, nie miała towarzysza.

Przez całą ceremonię wpatrywał się w tył jej głowy. Po zakończeniu nie spuszczał z niej oka, żeby nie zniknęła mu między gośćmi. Z ulgą ujrzał, że jej dżip dołącza do procesji zmierzającej w stronę przyjęcia.

Zaproszenie na ślub znajdowało się wśród otwartych listów na jej biurku. Znalazł je, kiedy przeszukiwał dom. Przeczytał, nauczył się na pamięć daty, godziny i miejsca, sądząc, że ta informacja może mu się kiedyś przydać. Gdy Oren wspomniał, że jest sobota, w jego głowie zapaliło się światełko. Przyjął, że Rennie przyjdzie na ślub i w ułamku sekundy postanowił przyjrzeć się jej z bliska zamiast przez lornetkę.

Na miejscu postanowił, że zaparkuje sam i zabierze kluczyki ze sobą, zamiast powierzać je parkingowemu. Tak było szybciej, a on chciał się znaleźć w klubie przed Rennie. Sprzedawca ze sklepu z męską odzieżą zadzwonił do działu z upominkami i polecił wybrać i zapakować prezent. Wick zabrał go ze sobą i zostawił na stole przykrytym białą draperią.

Przy księdze gości stała młoda ładna kobieta.

- Prosimy o wpis.

- Moja żona już się wpisała.

- Aha. Miłej zabawy. Bar i bufet już działają.

- Świetnie. - I naprawdę się ucieszył. Bał się, że to może być przyjęcie na siedząco.

Wtedy nie byłoby dla niego miejsca i musiałby wyjść.

Ale nie zbliżył się do baru ani bufetu. Zajął miejsce przy ścianie i starał się nie

zwracać na siebie uwagi. Zobaczył Rennie w chwili, gdy weszła na salę balową i przez następną godzinę śledził każdy jej ruch.

Rozmawiała z każdym, kto ją zagadnął, ale na ogół stała samotnie, raczej obserwatorka niż uczestniczka uroczystości. Nie tańczyła, jadła mało, podziękowała za weselny tort i szampana, zadowolając się szklaneczką przezroczystego płynu z lodem i skórką limonki.

Wick powoli ruszył w jej stronę, starając się pozostawać na obrzeżach tłumu i unikając gospodarzy, żeby nikt go nie spytał, czyim jest gościem.

Rennie kończyła właśnie rozmowę z jakąś parą. Wycofywała się, obiecując, że wkrótce na pewno znowu się spotkają. W tym momencie Wick dostrzegł swoją szansę.

Staął tuż za nią, a ona wpadła na niego.

Odwróciła się szybko.

- Och, bardzo przepraszam!



ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie szkodzi. - Wick wskazał z uśmiechem jej rękę. - To pani jest mokra. Pozwoli pani?

Odebrał jej szklankę i skinął na kelnera, który nie tylko odniósł naczynie, ale jeszcze zaofiarował serwetki do osuszenia rąk.

- Dziękuję - powiedziała do Wicka, kiedy kelner zniknął.

- Bardzo proszę. Przyniosę pani następnego drinka.

- Nie, dziękuję.

- Mama by mnie wydziedziczyła, gdybym tego nie zrobił. - Znowu ta mama. - Poza tym i tak zamierzałem coś sobie przynieść. Bardzo proszę. - Skinął w stronę baru.

Zawahała się, po czym niechętnie skinęła głową.

- Dobrze. Dziękuję.

Poprowadził ją w stronę baru, a kiedy się przy nim znaleźli, rzucił:

- Dwa razy to, o co poprosi ta pani.

- Woda z lodem i limonką - powiedziała do młodego barmana. Potem zerknęła na Wicka, który skubał ucho i uśmiechał się z żalem.

- A już myślałem, że się zachowam z klasą.

- Może pan zmienić zamówienie.

- Nie, nie, woda z lodem, wspaniale. Dużo zimnej wody. Sierpniowe wesela są męczące. - Barman podsunął im dwie szklanki. Wick podał jej jedną, potem brzęknął o nią swoją szklanką. - Proszę nie pić za szybko, bo uderzy do głowy.

- Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

Odsunęła się, żeby inni goście mogli podejść do baru. Wick udał, że nie dostrzega, iż został odprawiony i dołączył do niej.

- Nie mogę pojąć, dlaczego nikt nie chce się zenić w styczniu i lutym?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Może dlatego, że nie pojął aluzji i nie zostawił jej samej. A może zaskoczyło ją to niepoważne pytanie.

- Chciałem powiedzieć - pospieszył z wyjaśnieniem - że mnóstwo osób wyznacza ślub na letnie miesiące, kiedy jest tak strasznie gorąco. Dlaczego?

- Nie wiem. Może to tradycja?

- Może.

- Albo wygoda? Podczas wakacji. Dzięki temu goście spoza miasta mogą

przyjechać na ślub.

- Tak jak pani?

- Czy jestem spoza miasta? - Zawahała się krótko, lecz zauważalnie. - Nie, mieszkam tutaj.

Nie wydawała się zainteresowana, ale i tak jej powiedział, że mieszka na wyspie Galveston.

- Już od roku. Jest pani gościem pana czy panny młodej?

- Ojciec pana młodego jest moim kolegą z pracy.

- Moja matka jest daleką kuzynką matki panny młodej - skłamał. - Albo coś w tym guście. Mama nie przyszła, ale uważała, że ktoś z naszej rodziny powinien... Wie pani, jak to jest.

Znowu zaczęła się od niego oddalać.

- Miłej zabawy. Jeszcze raz dziękuję za wodę.

- Nazywani się Wick Threadgill.

Spojrzała na jego wyciągniętą rękę i przez chwilę zdawało mu się, że jej nie przyjmie. Jednak uściśnęła ją mocno, choć krótko. Nie miał czasu zauważyć nic oprócz chłodu tej dłoni, być może z powodu kurczowego ściskania szklanki z lodem. Nie rozluźniła chwytu od chwili, gdy podał jej szklankę przy barze.

- Powiedział pan: Wick?

- Tak. I nie mam wady wymowy.

- Niezwykłe imię. To skrót?

- Nie. Po prostu: Wick. A pani?

- Rennie Newton.

- To skrót od czegoś?

- Od doktor Rennie Newton. Roześmiał się.

- Miło mi panią poznać, doktor Rennie Newton. Zerknęła w stronę drzwi, jakby ustalała drogę ucieczki na wypadek, gdyby zaistniała taka potrzeba. Miał wrażenie, że jest gotowa zniknąć, a on chciał ciągnąć tę rozmowę jak najdłużej.

Nawet gdyby nie była obiektem dochodzenia, budziłaby jego ciekawość. Bo i tak chciałby wiedzieć, dlaczego kobieta tak wyrafinowana tak bardzo się denerwuje, rozmawiając z obcym facetem w bezpiecznej scenerii weselnego przyjęcia, z setkami ludzi naokoło.

- Jaki doktor?



- Lekarz.

- Ma pani specjalizację?

- Chirurgia.

- Kurczę. Jestem pod wrażeniem. Zajmuje się pani chirurgią urazową? Rany postrzałowe, klute, to, co się widzi w telewizji? - Takie, jakie zaprowadziły pani rywala na tamten świat? Wypatrywał śladów wyrzutów sumienia w tych niewiarygodnie zielonych oczach, ale jeśli je czuła, to spojrzenie tego nie zdradzało.

- Na ogół zwyczajne operacje. Czasami, kiedy mam dyżur, trafia mi się przypadek rany urazowej. - Dotknęła wyszywanej koralikami torebki. - Może dzisiaj? Pager mam ze sobą.

- To wyjaśnia, skąd ta niechęć do alkoholu.

- Nawet do szampana przy toaście, jeśli mogę się spodziewać wezwania.

- Cóż, mam nadzieję, że dziś nikt nie będzie pani wzywał. - Ton jego głosu, spojrzenie dawały jej wyraźne sygnały. A te sygnały budziły w niej wyraźne zażenowanie.

Jej uśmiech zgasł. Wokół niej wyczuł zapory, niczym laserowe promienie wokół bezcennego eksponatu w muzeum. Gdyby za bardzo się zbliżył, nadziałyby się na któryś i uruchomił wszystkie możliwe alarmy.

Ich rozmowę przerwał warkot werbla z podestu dla orkiestry. Panna młoda przygotowywała się do rzucenia bukietu grupie młodych rozentuzjasmowanych kobiet. Wick stał za Rennie, z prawej strony. Znal kobiece reakcje na tyle, by wyczuć, że jego bliskość ją denerwuje. Dlaczego?

Kobiety, które znał, do tej pory zdążyłyby już:

a. dać mu do zrozumienia, że mają wolny wieczór,

b. poinformować, że mają chłopaka, który niestety nie mógł przyjść na wesele, ale jest im bardzo bliski,

c. spławić go.

Rennie ustanowiła własną kategorię. Wysyłała mylące sygnały. Ciągłe z nim była, ale ukryła się za zachowaniem typu „nie dotykaj mnie, nawet o tym nie myśl”, pociągającym mniej więcej tak samo, jak klasztorne mury.

Swoją drogą ciekawe, jak bardzo trzeba ją przycisnąć, żeby pękła. Wick eksperymentalnie zbliżył się do niej jeszcze bardziej, na tyle, by w żaden sposób nie mogła go ignorować.



Tymczasem po rzuceniu bukietu pan młody przykląkł na jedno kolano i zdjął fałbaniastą podwiązkę z nogi żony. Kilku młodzieńców niechętnie zbiło się w grupkę, z rękami w kieszeniach i zgarbionymi ramionami.

- Oto różnice między płciami, zademonstrowane na przykładzie tej prostej tradycji. - Wick pochylił się, by mówić prosto do ucha Rennie. - Proszę zauważyć stopień zainteresowania mężczyzn.

- Wyglądają, jakby szli na ściecie.

Pan młody rzucił podwiązkę. Młody człowiek, którego uderzyła w czoło, był zmuszony ją złapać. Jedna z druhen pisnęła i rzuciła się ku niemu. Obsypała go pocałunkami.

- Uzbierałem tego pełną szufladę - wyznał Wick. Rennie się odwróciła.

- Aż tyle?

- Mam przewagę, jeśli idzie o wzrost.

- I w czym się wyraża ta przewaga?

- W szufladzie pełnej podwiązek.

- I wszystkie się zmarnowały? Może to jednak nie przewaga.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

Zespół zaczął zabawiać zebranych wiązańką przebojów. Goście ruszyli na parkiet; musieli po drodze omijać stojących nieruchomo Rennie i Wicka.

- Doktor Newton, hm?

- Zgadza się.

- Co za pech.

- Dlaczego?

- Jestem zdrowy.

Spuściła spojrzenie na windsorski węzeł jego monochromatycznego krawata.

- Jest pani w towarzystwie, pani doktor? - Nie.

- Ja też nie. Zatańczymy?

- Dziękuję, nie.

- Może wody?

- Także dziękuję.

- Czy etykieta wymaga, by goście opuścili przyjęcie przed młodożęncami?

Szybko podniosła głowę, spojrzała mu w oczy.

- Tak sędzę.



- Do diabła.

- Ale wydaje mi się, że więcej rozrywek już nie zniosę.

Z uśmiechem zaprowadził ją do najbliższych drzwi. Dłonią dotknął jej pleców, a ona nie zrobiła nic, żeby go zniechęcić.

Parkingowi stali oparci o kolumny przestronnej werandy. Na ich widok jeden z nich poderwał się i podszedł.

- Zaparkowałem pani wóz tam. Z brzegu, tak jak pani prosiła.

- Dziękuję.

Otworzyła torebkę, żeby znaleźć napiwek, ale Wick był szybszy. Wcisnął pięć dolarów w dłoń młodzieńca.

- Odprowadzę doktor Newton do samochodu. Nie musi go pan przyprowadzać.

- Eee... dziękuję. Kluczyki są w stacyjce.

Jej uśmiech, przeznaczony dla chłopaka, zlodowaciał. Pozwoliła Wickowi poprowadzić się szerokimi kamiennymi schodami w stronę ocienionego parkingu, ale była sztywno wyprostowana. Ledwie poruszając ustami, powiedziała:

- To było zbędne.

O tak, była wkurzona. - Co?

- Płacę sama za siebie.

- Słucham? Chodzi o ten napiwek? Odprowadzenie pani do samochodu jest warte tych pięciu dolców.

Byli już przy dziupie. Otworzyła drzwi i wrzuciła torebkę do środka, potem odwróciła się do niego.

- To wszystko, co może pan mieć za te pięć dolarów.

- Więc przypuszczam, że kawa nie wchodzi w grę.

- Zdecydowanie.

- Nie musi mi pani odpowiadać natychmiast. Proszę się zastanowić.

- Niech pan ze mną nie flirtuje.

- Spytałem tylko, czy ma pani ochotę na kawę, a nie...

- Flirtuje pan ze mną od czasu, kiedy na pana wpadłam. Jeśli spodziewał się pan, że coś z tego wyniknie, to gorzko pana rozczaruję.

Uniósł obie ręce w geście kapitulacji.

- Dałem tylko napiwek parkingowemu. Chciałem być grzeczny.

- Więc dziękuję za pańską grzeczność. Dobranoc. - Wsiadła do samochodu i

zatrzasnęła drzwi.

Wick natychmiast je otworzył i pochylił się ku niej, prawie muskając jej twarz.

- Tak dla pełnej jasności, pani doktor, gdybym z panią flirtował, już by pani wiedziała, że ma pani zmysłowe spojrzenie i że pewnie dziś w nocy będę miał nieprzyzwoite fantazje o pani ustach. Dobranoc.

Mocno trzasnął drzwiami, odwrócił się i odszedł.

Lozada, usadowiony w samochodzie w pewnym oddaleniu od klubu, ujrzał Rennie wyłaniającą się z szerokich dwuskrzydłowych drzwi. Miała na sobie sukienkę z jakiegoś lekkiego letniego materiału, który przylegał do ciała w bardzo podniecający sposób.

Gdy wyszła z cienia balkonu na pierwszym piętrze, zachodzące słońce załśniło w jasnych włosach i zmieniło je w złoto. Wyglądała fantastycznie. Zauważył, z jaką gracją się porusza. Z pewnością...

- Co, do kurwy nędzy...!

Pochłonięty marzeniami nie zwrócił uwagi na mężczyznę u boku Rennie. Kiedy raptem go rozpoznał, z trudem się powstrzymał, by nie wyskoczyć z samochodu, podbiec i zamordować Wicka Threadgilla na miejscu.

I tak do tego dojdzie. Zabije tego wyszczerzanego cwaniaczka, więc dlaczego nie zaraz? Dlaczego nie natychmiast?

Bo to nie było w jego stylu, oto dlaczego. Zbrodnia w afekcie jest dla amatorów pozbawionych samokontroli. Choć ostateczne rozwiązanie kwestii Wicka Threadgilla byłoby bardzo satysfakcjonujące, miał lepsze rzeczy do roboty niż spędzenie reszty swoich dni w celi śmierci na składaniu kolejnych apelacji, nim wreszcie wymiar sprawiedliwości poda mu śmiercionośny zastrzyk za zamordowanie gliny.

Gdyby Wick nie dał ciała, Lozada pewnie już by czekał na egzekucję za zamordowanie jego brata Joego. Dobrze wiedział, że ta porażka wciąż bardzo bolała Wicka. Musi odchodzić od zmysłów, wiedząc, że zabójca jego brata mieszka sobie jak król w luksusowym apartamencie, ubiera się w doskonale skrojone garnitury, jeździ drogimi samochodami, je, pije, spółkuje - żyje pełną gębą, a wszystko to dzięki niemu.

Lozada dotknął blizny nad okiem i zachichotał złośliwie. Był zbyt inteligentny, żeby dać się ponieść emocjom tak jak Wick.

Ten błąd popełniali inni, on nigdy. On był zawodowcem. Zawodowcem nie mającym sobie równych. A zawodowiec nigdy nie traci głowy i nie działa bez

zastanowienia.

Poza tym, kiedy wreszcie przyjdzie pora, żeby zabić Wicka Threadgilla, to oczekiwanie na tę chwilę będzie stanowić połowę przyjemności. Nie chciał go zabijać szybko, w pośpiechu, i odmawiać sobie przyjemności planowania każdego ruchu.

Jednak na widok tego gliniarza w pobliżu kobiety, którą miał wkrótce osiąść, ręce same mu się zacisnęły na kierownicy - tak mocno, jakby chciał ją wyrwać z podłogi.

Co, do diabła, robi jego Rennie z Wickiem Threadgillem?

Pierwszy szok ustąpił miejsca trosce. Bardzo niepokojący zwrot sytuacji. Threadgill przerwał mu dziś rano śniadanie, a wieczorem pojawił się z Rennie na weselu. Zbieg okoliczności? Mało prawdopodobne.

Dlaczego Wick interesował się doktor Rennie Newton? Z powodu roli, jaką odegrała w procesie Lozady? A może chodziło o morderstwo Howella? Lozada nie znałby jej planów na dzisiejszy wieczór, gdyby nie zauważył zaproszenia, kiedy przyniósł róże do jej domu. W jaki sposób ten gliniarz się dowiedział, gdzie jej dziś szukać? Czy także się do niej włamał?

Były to niepokojące pytania.

Ale jedyne, co go naprawdę dręczyło, doprowadzało do furii, sprawiało, że z jego wygolonej czaszki buchał żar, to możliwość, że Rennie mogłaby współpracować z policją. Czy w jakiś sposób dowiedzieli się o jego fascynacji? Czy Threadgill i jego kołesie wykorzystują ją jako przynętę? O, to by mu się nie podobało. To by mu się okropnie nie podobało. Musiałby ją zabić za zdradę, a szkoda by było zmarnować taką dobrą kobietę.

Z rosnącą podejrzliwością przyglądał się, jak Threadgill zagląda do jej samochodu, potem zamyka drzwi. Wycofała się z parkingu, skręciła i przejechała koło Lozady, nie zauważając go. Patrzyła na drogę i nie uśmiechała się. Wręcz wyglądała na rozszłoszczoną. Ostatnie słowa Threadgilla musiały ją doprowadzić do wściekłości. Zawsze jest zarozumiała, pewnie także w rozmowie z kobietami.

Lozada włączył silnik i zakręcił ostro. Pojechał za Rennie. Weszła do domu sama. Zaparkował w pewnym oddaleniu i przez wiele godzin obserwował jej dom. Już nie wyszła. A w pobliżu domu nie pokazał się ani Threadgill, ani nikt inny.

Dopiero po północy Lozada zaczął oddychać swobodniej. Jego podejrzenia się rozwiały. Na pewno można logicznie wytłumaczyć, dlaczego była z Threadgillem. Może przesłuchiwał ją w związku ze śmiercią Howella. Wszyscy wiedzieli, że nie żyła z Howellem w przyjaźni. Policjant przesłuchujący na przyjęciu mógł doprowadzić do

wściekłości, co tłumaczyło jej nastrój w drodze do domu.

Zadowolony z dojścia do słusznych wniosków, wziął telefon komórkowy i wykręcił jej numer.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wick potruchtał po pograżonych w mroku schodach. W jednej ręce niósł nową marynarkę i reklamówkę ze sklepu, drugą szarpał krawat. Zanim dotarł na duszne piętro, miał już rozpiętą koszulę j pasek.

Pojechał za Rennie. Nie skręcił w jej ulicę, lecz inną trasą dotarł do domu, w którym policja urządziła punkt obserwacyjny. Dotarł na miejsce mniej więcej w tym samym czasie, co ona.

Podszedł prosto do okna i spojrział przez lornetkę. Zdjął buty i skarpetki.

Rennie przeszła przez kuchnię, nie zatrzymując się i zniknęła w drzwiach salonu.

Wick pozbył się koszuli.

W sypialni Rennie zapaliło się światło. Podobnie jak on, chyba chciała się pozbyć ubrania. Zsunęła buty - sandały na wysokich obcasach, zapamiętał - i sięgnęła na plecy do zamka sukienki.

Wick wyzwolił się ze spodni.

Rennie obnażyła ramiona, zsunęła sukienkę z bioder i upuściła ją na podłogę.

Wick znieruchomiał.

Dziś włożyła seksowną bieliznę. Jasnolawendową. Ledwie cień materiału, bardziej obnażający niż zasłaniający nagość. Tkanina subtelniejsza od tchnienia. Kompletnie niestosowna, ale cholernie skuteczna.

Rennie odstawiła sandały na półkę w szafie i powiesiła sukienkę na wieszaku, po czym zniknęła w łazience.

Wick zamknął oczy. Oparł rozpalone czoło o szybę. Wydawało mu się, czy naprawdę jęknął? Do ust napłynęła ślina. Jezus Maria, zmieniał się w Thigpacka!

Zostawił lornetkę na stole i poszedł do lodówki po butelkę wody. Wypił ją jednym tchem. Nie spuszczać oka z domu Rennie, zaczął grzebać w torbie w poszukiwaniu dzinsów, które zdjął w sklepie. Włożył je, ale koszulę zostawił w torbie. Było za gorąco.

- Co się dzieje z tą klimatyzacją? - pozialił się pustce.

Chwycił lornetkę - Rennie wyszła z łazienki. Zamieniła fantazyjną bieliznę na podkoszulkę na ramiączkach i bokserki, też całkiem niczego, ale rozwiewające podejrzenia, że czeka na kochanka.

Na weselu miała kok, leżący nisko na karku. Teraz rozpuściła włosy. Trudno mu się było zdecydować, w której fryzurze podoba mu się bardziej. W pierwszej była

profesjonalistką. W drugiej kobietą.

Roztarła ramiona. Poczwała chłód czy niepokój? Zerknęła w okno, a kiedy uświadomiła sobie, że żaluzje są podniesione, szybko zgasła światło. Zdecydowanie zaniepokojona.

Wick zastąpił zwykłą lornetkę noktowizjerem. Znowu zobaczył Rennie stojącą przy oknie i wyglądającą spomiędzy pasków żaluzji. Powoli przekrzywiła głowę, jakby chciała przeniknąć wzrokiem najdalsze zakątki ciemnego podwórza. Sprawdziła zamek w oknie, po czym zamknęła żaluzje. Parę sekund później znowu je otworzyła.

Czy to znak dla kogoś?, zastanowił się Wick.

Stała przy oknie jeszcze przez parę minut. Patrzył na nią, ale od czasu do czasu omiatał też spojrzeniem podwórko, wypatrując jakiegoś ruchu. Nikt nie czaił się w pobliżu domu. Rennie nie wyszła przez okno. Nic się nie działo.

Wreszcie cofnęła się od okna. Wick poprawił ostrość. Zasłała łóżko, położyła się i przykryła kołdrą do pasa. Poprawiła poduszkę pod głowę, rozścieliła za sobą wachlarz włosów i przewróciła się na bok, twarzą do okna. Twarzą do niego.

- Dobranoc, Rennie - szepnął.

Obudził ją telefon. Włączyła lampkę przy łóżku i automatycznie zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza. Jej sen trwał trzy godziny. Kiedy spodziewała się wezwania, starała się spać jak najwięcej, wiedząc, że noc może być krótka.

Prawie nie liczyła na wypoczynek w tę sobotnią noc, kiedy wszystkie szpitale pracowały pełną parą nad zszywaniem ran, które ludzie zadawali sobie nawzajem. Gdy pacjentów było więcej niż lekarzy w szpitalu albo gdy przypadek był bardziej skomplikowany, wzywano lekarza dyżurnego.

Podniosła słuchawkę zupełnie przytomna.

- Doktor Newton, słucham.

- Witaj, Rennie.

Odruchowo przygarnęła kołdrę do piersi.

- Prosiłam, żeby przestał mi się pan narzucać.

- Spałaś?

W jaki sposób Lozada zdobył numer domowego telefonu? Dała go tylko nielicznym znajomym oraz telefonistce w szpitalu. Ale przecież to płatny morderca. Na pewno ma sposoby zdobywania nawet zastrzeżonych numerów.

- Jeśli nadal będzie pan...



- Śpisz w tej bladożółtej pościeli?
- Każę pana aresztować za włamanie do mojego domu.
- Dobrze się bawiłaś na weselu?

To pytanie odebrało jej mowę. Dał jej do zrozumienia, że jest blisko. Znowu zobaczyła ten zadowolony uśmiezek, jaki prezentował przez cały proces. Wyglądał na odprężonego i beztroskiego, nawet nieco znudzonego.

Ten uśmiezek wydawał się z pozoru dobrotliwy, ale ona dostrzegła w nim przyczajone zło. Wyobraziła sobie, że tak samo się uśmiechał, kiedy jego ofiary wydawały ostatnie tchnienie. Teraz też się pewnie uśmiecha, wiedząc, że wytrącił ją z równowagi.

- Spodobała mi się twoja sukienka - ciągnął. - Urocza. Kiedy ten jedwabisty materiał opływał twoje ciało, na pewno nikt nie patrzył na pannę młodą.

Śledzenie jej to dla niego nic trudnego. Zdołał przecież unieszkodliwić skomplikowany system alarmowy i udusił bankiera w jego własnym domu, nie budząc śpiących na górze żony i dzieci.

- Dlaczego mnie pan śledzi? Roześmiał się.

- Bo miło na ciebie patrzeć. Z niecierpliwością czekałem na spotkanie z tobą każdego dnia tego koszmarnego procesu i tęskniłem za tobą w nocy, kiedy już nie mogłem ci się przyglądać. Byłaś jedynym jasnym punktem tego sądu, Rennie. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu. I nie udawaj, że nie wiedziałaś. Wiem, że czułaś moje spojrzenie.

Tak było, i nie tylko podczas procesu. Czuła je od paru dni. Może świadomość, że był w jej domu, sprawiła, iż wyobraźnia zaczęła ją zwodzić, ale czasami świadomość dotykającego ją spojrzenia czyichś wścibskich oczu była przemożna i nie dawała się pomylić z niczym innym. Od dnia, w którym dostała róże, nie czuła się swobodnie we własnym domu. Jakby był z nią ktoś jeszcze.

Tak jak teraz.

Wyłączyła lampę i szybko skoczyła do okna. Wcześniej zdecydowała się zostawić otwarte żaluzje - uznała, że jeśli Lozada ją obserwuje, ona także chce go zobaczyć.

Czy teraz stał na zewnątrz, zaglądał do jej domu? Czuła się całkiem bezbronna. Na ramionach wystąpiła gęsia skórka, ale zmusiła się, żeby nie odchodzić od okna. Spojrzała na ciemne domy dokoła i własne podwórko tonące w głębokim mroku, który ostatnio zaczął budzić jej strach.



- To pańskie ciągle wpatrywanie się we mnie wcale mi nie pochlebiało.
- A mnie się zdaje, że tak. Tylko nie chcesz się przyznać. Na razie.
- Proszę mnie uważnie posłuchać - powiedziała gniewnie. - Nie podobało mi się pańskie spojrzenie. Jeszcze bardziej nie podoba mi się, że ciągle pan do mnie wydzwaniał. Nie chcę nigdy więcej z panem rozmawiać. A jeśli zobaczę, że mnie pan śledzi, gorzko pan tego pożałuje.

- Rennie, Rennie, wcale nie jesteś wdzięczna? Przełknęła ślinę.
- Wdzięczna? Za co?
- Za róże, oczywiście - powiedział po znaczącej pauzie. - Nie chciałam ich.
- Myślisz, że mógłbym się nie odwdziżyć za przysługę? Zwłaszcza takiej kobiecie, jak ty?

- Nie wyświadczyłam panu żadnej przysługi.
- Nie oszukasz mnie, Rennie. Wiem więcej, niż sądzisz. Wiem o tobie bardzo wiele. To ją powstrzymało. Jak wiele wiedział? Świadoma, że pozwala mu sobą manipulować, nie mogła powstrzymać pytania:

- Na przykład?
- Wiem, że używasz kwiatowych perfum. I że nigdy nie wychodzisz bez chusteczki. Wolisz zakładać prawą nogę na lewą. Wiem, że twoje sutki są bardzo wrażliwe na klimatyzację.

Rozłączyła się i rzuciła słuchawką bezprzewodowego telefonu. Wylądowała na jej łóżku. Zasłoniła twarz obiema rękami i zaczęła krążyć po sypialni, usiłując powstrzymać falę mdłości.

Nie pozwoli temu szaleńcowi się terroryzować. Najwyraźniej zapadł na jakąś chorą fascynację i był na tyle zarozumiały, by sądzić, że ona ją odwzajemnia. Był nie tylko mordercą, ale i wariatem.

Na studiach zaznajomiła się z psychologią w wystarczającym stopniu, by wiedzieć, że to najbardziej niebezpieczny gatunek przestępcy. Wierzy, że jest niezwyciężony, i dlatego stać go na wszystko.

I choć kontakt z policją zawsze budził jej opory, musiała temu położyć kres. To się nie może ciągnąć. Zgłosi to.

Podniosła słuchawkę, ale zanim zdążyła wykręcić numer policji, telefon zadzwonił. Znieruchomiła. Potem przypomniała sobie, że może sprawdzić identyfikację numeru, o czym wcześniej zapomniała. Był znajomy. Odetchnęła dla uspokojenia i po

trzecim dzwonku odebrała.

- Doktor Newton, tu doktor Dearborn z pogotowia. Mamy ofiarę wypadku samochodowego. Mężczyzna, trzydzieści parę lat. W tej chwili robimy mu badania, by określić rozmiar urazu, ale ma krwotok wewnętrzny.

- Już jadę. - Tuż przed odłożeniem słuchawki przypomniała sobie o czymś: - Panie doktorze?

- Tak?

- Poproszę o mój numer.

- Co?

Był to środek ostrożności wprowadzony po śmierci Lee Howella, wezwanego rzekomo do wypadku.

- Mój numer...

- A, tak. Eee... siedemnaście.

- Za dziesięć minut jestem.

W chwili, gdy Wick stanął bosymi, mokrymi stopami na kafelkowej podłodze, ktoś zapukał do drzwi jego pokoju w motelu.

- Cholera.

Wyszedł spod prysznica, sięgnął po ręcznik i omotał go wokół bioder. Miał nadzieję, że zdąży dotrzeć do drzwi i założyć łańcuch, zanim sprzątaczką otworzy je kluczem uniwersalnym.

Tak jakby wiedziała, że Wick pracuje nocami, zaczynała u niego sprzątać parę minut po jego powrocie, kiedy był zdolny tylko do wzięcia prysznica i padnięcia na łóżko. Wydawało mu się nawet, że specjalnie na niego czyha. Postanowił, że pewnego ranka pokaże się jej z gołym tyłkiem. Może to ją oduczy.

- Proszę przyjść później - krzyknął, idąc w stronę drzwi.

- To nie może czekać.

Wick otworzył drzwi. Na progu stał Oren z papierową torbą w ręku i dużą kopertą pod pachą. Miał minę buldoga.

- O, kurczę! Hemoroidy ci dokuczają?

Oren wepchnął mu torbę w ręce i wyminął go w drzwiach.

- Pączki?

- A są z budyniem?

- Lubisz? - Ktoś zapukał. Oren odwrócił się z furją. Punktualna sprzątaczką stała

na korytarzu z wózkiem. - Precz - warknął i trzasnął drzwiami.

- Hej, ja tu mieszkam, pamiętasz?

- Powiedziałaś, że ci się narzuca.

- Ale teraz może już nigdy nie wrócić.

- A coś ty się nagle zrobił taki porządniczy?

- Jezusie, ale humorek. Wyluzuj się. - Wskazał Orenowi jedyne krzesło w pokoju. -

Już przeprosiłem, że cię obudziłem. Powiedziałaś, że mam dzwonić, jeśli się coś stanie, no to zadzwoniłem, bo się stało. Kiedy zobaczyłem, jak Rennie Newton wyjeżdża samochodem, nie wiedziałem, że jedzie do szpitala. W czymś ci przeszkodziłem? Jakieś balety z Grace? Założyła świeże baterie do wibratora? No co? A może bolała ją głowa? To dlatego jesteś taki wściekły?

- Zamknij się, Wick. Zamknij się, - Oren odebrał mu torbę, wsadził rękę do środka i wyjął pączka. Wick roześmiał się, rzucił ręcznik i włożył bokserki. Sięgnął do torby, wyjął pączka oblanego lukrem, jednym kęsem odgryzł połowę i spytał z pełnymi ustami:

- Nie chcesz popić kawą?

- Opowiedz mi o zeszłej nocy. Przełknął pączka.

- Już powiedziałem. Pani doktor odebrała telefon nieco po pierwszej. Wyszła z domu w ciągu dwóch minut. Omal nie skręciłem karku, zbiegając po tych ciemnych schodach i jednocześnie zakładając buty. Dogoniłem ją na Camp Bowie, trzy przecznice od jej domu. Pojechałem za nią prosto do szpitala.

Była tam do dziesięć po piątej. Wróciłem za nią do domu. I wtedy zmienił mnie Thigpack, który, nawiasem mówiąc, spóźnił się kwadrans.

Oren rzucił mu kopertę. Uderzyła go w nagą pierś. Skończył pączka, oblizał lukier z palców i dopiero wtedy otworzył kopertę i wyjął z niej fotografie.

Było ich cztery. Przyjrzał się im kolejno i pokazał jedną (Drenowi).

- To dobre ujęcie, choć to nie jest mój lepszy profil. Oren wyrwał mu ją i rzucił na stół.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- No dobrze, przyłapałeś mnie. Wpadłem. Co mam jeszcze powiedzieć? Gratulacje, panie detektywie. Doskonała robota. Mam paść na kolana i błagać o wybaczenie? Ucałować twój pierścień? Czy tyłek? No, co?

- Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Prowadzę obserwację podejrzaną.



- Akurat. - Oren wziął najbardziej kompromitujące zdjęcie. Przedstawiało Wicka i Rennie idących przez parking. Wick spoglądał na Rennie, jego ręka spoczywała na jej plecach. - Nie obrażaj mnie.

Wick skurczył się pod jego oskarżycielskim spojrzeniem.

- Sama obserwacja jej domu donikąd by nas nie zaprowadziła, no nie? - powiedział. - Siedzimy tu od tygodnia i nic się nie dzieje. Z nudów trzy razy obcinałem paznokcie! Siedzę tak długo, że tyłek mi się rozpląszczył jak Thigpackowi. Dlatego pomyślałem, że jeśli wykrzeszę z siebie trochę inicjatywy, wszyscy na tym skorzystamy.

- Jak przeleczysz podejrzaną?

- Nie o to chodzi.

- Nie? To powiedz, o co? Jak to jest, kiedy się rozmawia tak intymnie z doktor Rennie Newton?

Unikając spojrzenia Orena, Wick sięgnął po drugiego pączka.

- To Królowa Śniegu! Na dotyk reaguje tak samo jak grzechotnik. Prawdę mówiąc, wręcz na mnie syczała.

- Dotknąłeś jej?

- Nie. To - wskazał fotografię - i uścisk ręki to całe dotykanie. Kiedy dałem napiwek parkingowemu, pokazała mi kły.

- Dostaniesz te pięć dolców z powrotem.

Wick potrząsnął głową z niedowierzaniem, parsknął.

- On był od nas? To pryszczate dziecko?

- Żółtodziób. Dobrze sobie radzi z aparatem fotograficznym. Takim, co udaje pióro.

- To wyjaśnia, skąd te zdjęcia. Skąd wiedzieliście, że będzie na weselu?

- Nie wiedzieliśmy, dopóki nie zajrzała do szpitala. Wstąpiła po drodze do kościoła. Zaczęliśmy się spieszyć. Zanim dotarła na przyjęcie, zamontowaliśmy na parkingu naszego człowieka.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

- No, w tym właśnie rzecz, że próbowałem. Nawet wróciłem do domu, żeby powiedzieć, dokąd pojechała i że już znalazłem kogoś, kto będzie miał tam na nią oko - tak sobie, na wypadek, gdybyś chciał sobie zrobić przerwę, skoczyć na porządną kolację albo do kina. Miałem wyrzuty sumienia, że cię tam zamknąłem w sobotę wieczorem. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy znalazłem pusty dom i ani śladu po tobie.

- Kupowałem garnitur.

- Tak się zabawnie złożyło, że miałeś wyłączoną komórkę.

- Przed każdym kościołem jest znak nakazujący wyłączenie komórek i pagerów przed wejściem.

- I nie masz alarmu wibracyjnego?

- No, mam, ale... ale... - Raptem skończyły mu się wykręty, więc spróbował z innej strony: - Nie rozumiem, czemu się tak ciskasz. Byłem uprzejmy. Nawet sobie nie chlapanąłem przez całe przyjęcie. Kupiłem młodej parze komplet noży. Nikt by się nie domyślił, że nie miałem zaproszenia. - Skończył pączka, wyciągnął się na łóżku i oparł głowę na stercie poduszek. - Nic się w końcu nie stało.

Oren przyglądał mu się przez chwilę z powagą.

- Siedzę tutaj i usiłuję się zdecydować, co robić: nadal z tobą rozmawiać, wstać, wyjść i zostawić cię samemu sobie, czy też wytłuc z ciebie duszę.

- Aż tak się wkurzyłeś? Bo spędziłem dwadzieścia minut, góra pół godziny z Rennie Newton?

- Nie, Wick. Wkurzyłem się, bo raz już spieprzyłeś sprawę. I to na maksa. A teraz zaczynam się poważnie obawiać, że zrobisz to znowu. I to jeszcze efektowniej.

Wick zagotował się z wściekłości.

- To żegnam.

- O, nie. Nie wyjdę stąd. Ktoś musi ci przypomnieć, ile kosztował cię tamten błąd. Myślisz, że nie wiem, po co masz tę gumkę na ręce?

- To takie przyzwyczajenie.

- No, pewnie. - Ciągle miał taką minę, jakby chciał go uderzyć. - Ci, którzy się o ciebie martwią - Bóg jeden wie, dlaczego - nie mogli patrzeć na to, jak się załamałeś. Swojemu silnemu organizmowi zawdzięczasz, że przepracowałeś w policji jeszcze dwa lata, zanim odszedłeś. Teraz już wiem, jakim byłeś zagrożeniem dla siebie i innych. W ogóle nic nie pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć, skoro ciągle mi przypominasz? - Przypominam, bo nie chcę, żebyś znowu popełnił ten sam błąd.

- Nie popełnię!

- Akurat!

Wick usiadł na łóżku.

- No co? Bo poszedłem na wesele i wypilem z podejrzaną szklanekę wody, bawiąc

ją uprzejmą rozmową? Odczep się!

Tak naprawdę to nie przyjaciel go rozzłościł, lecz trafność jego słów. Gdyby trzy lata temu przestrzegął przepisów, przydusiliby Lozadę za zamordowanie Joego. A on znowu omija procedurę - bezczelnie opuszcza punkt obserwacyjny i spotyka się z Rennie Newton, a potem nie mniej bezczelnie nie mówi Orenowi o rozmowie telefonicznej, jaką odbyła w nocy. Tej pierwszej, która ją tak zdenerwowała.

W każdym razie wyglądała na zdenerwowaną, kiedy podbiegła do okna ze słuchawką w ręce i wyjrzała w ciemność, nie przerywając rozmowy. Była poruszona. Strach, frustracja czy lęk sprawiły, że rzuciła telefon na łóżko, zakryła twarz dłońmi, wyglądało, że jest na skraju załamania. Po tej rozmowie w niczym już nie przypominała tej chłodnej, opanowanej i pewnej siebie kobiety, która tak efektywnie spławiła go zaledwie parę godzin temu.

Kto do niej zadzwonił? Przyjaciel? Wróg? Kochanek? Ten, który przysłał jej wizytówkę z napisem „Jestem tobą zafascynowany”? Ktokolwiek to był, wstrząsnął jej światem. Oren powinien o tym wiedzieć.

Ale Oren wpadł tutaj jak archanioł z ognistym mieczem i od razu urządził mu sądny dzień, więc Wick nie miał już ochoty iść mu na rękę. Przynajmniej tak sobie wytłumaczył, dlaczego nie podzieli się z nim informacjami. Należało z nimi poczekać, dopóki Oren nie ochłonie.

Tymczasem przyjaciel wpatrywał się w niego, jakby czekając na wyjaśnienia.

- Biorę udział w tej sprawie jako niezależny współpracownik, pamiętasz? Sam mnie zaangażowałaś. Więc dobra, współpracuję. We własnym stylu.

- Tylko żeby ten styl był skuteczny i nie zaszkodził mojej sprawie.

- Słuchaj, opalenizna mi blednie. Tęsknię za szumem fal. Tęsknię nawet za zdrapywaniem mewich gówieńek z werandy. Chciałbym wrócić na plażę, znowu się opalać, łowić krewetki i zapomnieć, że w ogóle z tobą rozmawiałem. Więc jeśli już nie potrzebujesz mojej pomocy, to powiedz.

Oren przyglądał mu się uważnie przez parę chwil. Potem pokręcił głową.

- Miałbym ci dać wolną rękę z Lozadą? O, nie. Nie ma mowy. - Wstał, pozbiierał zdjęcia i podsunął je Wickowi.

- Chcesz je do albumu?

- Nie, dziękuję. To spotkanie nie miało znaczenia. Oren mruknął coś pod nosem.

- Jeszcze nie miałeś takiego spotkania z kobietą, które by nie miało znaczenia. -

Schował zdjęcia do koperty, wziął torbę z resztą pączków i rzucił na odchodnym: - Do zobaczenia wieczorem. Wyśpij się dobrze.

- No jasne.

Ale bynajmniej nie zamierzał spać.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co podać, skarbie?

Wick zamknął zafoliowane menu i spojrzał na kelnerkę. Chyba je gdzieś fabrykują taśmowo i wszystkie wysyłają do Teksasu, pomyślał. Tlenione włosy ułożone w skomplikowaną piramidę. Brwi prawdopodobnie narysowane czarną świecową kredką. Jaskraworóżowa szminka wyciekła z wąskich warg w cienkie zmarszczki wokół nich.

- A co polecasz?

- Jesteś baptystą czy metodystą?

- Słucham?

- Jest niedziela. Baptysty idą do kościoła wieczorem, więc nie polecam dania meksykańskiego. Zgaga i gazy, rozumiesz. Lepiej, żeby sobie przegryźli kotlet z kurczaka, wieprzowy gulasz albo klops. Ale metodyści nie uważają, że będą się smażyć w piekle, jeśli nie pójdą na wieczorną mszę, więc chętnie biorą pikantne dania.

- A co zostaje nam, poganom? Żartobliwie klepnęła go po ramieniu.

- Rozgryzłam cię, ledwie wszedłeś. Powiedziałam sobie: taki przystojniak na pewno nie jest święty. - Podparła się pod boki. - Możesz mieć wszystko, co tu widzisz.

Mrugnął do niej.

- Zacznę od kotleta z kurczaka.

- Z sosem?

- No pewnie. Dużo sosu.

- To rozumiem. W niedzielę w zestawie obiadowym mamy jeszcze ciasto truskawkowe albo pudding bananowy.

- Mogę się zastanowić?

- Jasne, słoneczko. - Zerknęła na neonowy zegar na ścianie. - Minęła dwunasta. Może strzelisz sobie piwko, zanim kotlet się usmaży?

- Już się bałam, że nie zapytasz.

- Jak będziesz chciał coś jeszcze, wrzeszcz Crystal. Crystal to ja.

Wagon Wheel Cafe była typową prowincjonalną teksańską knajpą. Położona pięć kilometrów od autostrady, tuż za Dalton, oferowała sężniste posiłki dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kawa zawsze była gorąca i świeża, piwo zawsze zimne. I choć prawie wszystko w menu było smażone na głębokim tłuszczu, można było dostać półkilowy befsztyk z grilla w każdym stadium wypieczenia - od jeszcze ryczącego po zwęglony.

Knajpa obsługiwała wiernych wychodzących z kościoła w niedzielę i grzeszników w sobotnie wieczory. Rotarianie i członkowie Lions Club spotykali się tu w sali „bankietowej”, a cudzołożnicy romansowali na parkingu.

Nisze ze stolikami wyłożono czerwonym winylem, a w każdej znajdowała się miniaturowa szafa grająca. Był też bar z chromowanymi wysokimi stołkami dla tych, którzy się spieszą oraz dla przejezdnych, na przykład dla Wicka.

Siedzący przy barze mieli dobry widok na kuchnię - może nawet zbyt dobry, żeby zachować apetyt. Ale znak na zewnątrz głosił dumnie: „Działamy od 1919... i jeszcze nikogo nie otruliśmy”.

Nad kasą wisiały wyniki meczów licealnej drużyny futbolowej, a puchar z roku 1988 stał obok zakurzonego słoja, do którego zbierano datki na miejscowe Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

Po trzygodzinnej jeździe w upale z Fort Worth piwo smakowało bardzo dobrze. Przebyta droga stworzyła pewien dystans pomiędzy Wickiem i zakazem dowolnego postępowania podczas śledztwa. Według Wicka przestrzeganie procedury było tamą dla twórczego myślenia. Zasady dotyczące właściwie wszystkiego zamieszczał w swoim prywatnym dziale „Zawracanie głowy”.

Oczywiście, Oren miał rację, ale Wick nie zamierzał się nad tym dłużej zastanawiać.

Oddał sprawiedliwość kotletowi, miękkiemu pod chrupiącą panierką. Zdecydował się na bananowy pudding. Crystal nalała mu darmowy kubek kawy.

- Pierwszy raz w Dalton?

- Aha. Wstąpiłem po drodze.

- I słusznie. To miejsce w sam raz na wstąpienie.

- Wygląda sympatycznie. Duże poczucie własnej wartości. - Wskazał łyżką na plakaty obwieszczające lokalne wydarzenia.

- Och, pewnie takie samo, jak każde inne. Kiedy byłam mała, chciałam stąd natychmiast wyjechać, ale wiesz, jak to jest. - Wzruszyła ramionami. - Wyszłam za tego idiotę, bo był trochę podobny do Elvisa. Rzucił mnie po trzecim dziecku. Życie pokrzyżowało mi plany i już się stąd nie wyrwałam.

- Mieszkaś w Dalton od urodzenia?

- Przez całe cholerne życie. Roześmiał się i pociągnął łyk kawy.

- Znałem w college'u dziewczynę, która stąd prysnęła. Miała na imię... hmmm...

tak jakoś dziwnie. Regan? Nie. Ronnie? Cholera, też nie, ale jakoś podobnie.

- W twoim wieku?

- Mniej więcej.

- To może Rennie Newton?

- Tak! Rennie. No jasne, Rennie Newton. Znasz ją? Crystal parsknęła z pogardą.

- To twoja przyjaciółka?

- Znamy się z widzenia, i tyle.

- To ci dopiero niespodzianka.

- Jak to?

- Bo Rennie robiła wszystko, żeby poznać się bliżej z każdym facetem w okolicy. -

Jedna lśniaca brew uniosła się wymownie. - Jako jeden z nielicznych nie dostałeś tego zaszczytu - jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Rozumiał. Ale trudno mu było pogodzić wizję, jaką roztoczyła przed nim Crystal z wizerunkiem lodowej dziewicy, doktor Rennie Newton.

- Była popularna?

- Ładnie to określiłeś.

- A jak by było nieładnie?

Crystal tylko na to czekała. Pochyliła się ku niemu i powiedziała cicho:

- Ta dziewczyna nie przepuściła żadnym portkom i miała w nosie, kto o tym wie.

Wick gapił się na nią tępo.

- Rennie Newton? Puszczala się?

- Jak profesjonalistka, skarbie. Wymuszony uśmiech przymarzył mu do ust.

- Jasna cholera.

- Dziwię się, że o tym nie wiedziałeś.

- Zawsze miałem pecha.

Crystal poklepała go ze współczuciem po ramieniu.

- Dobrze na tym wyszedłeś, uwierz.

- Potrafiła narobić kłopotów, tak?

- Jako dziecko była w porządku. A potem, kiedy zaczęła rozkwitać, jak to się mówi, nagle diabeł w nią wstąpił. Ledwie urosły jej piersi, nauczyła się, jak z nich korzystać. I zaczęła szaleć. Jej matce mało serce nie pękło, że córka się zeszmaciła. Pewnego razu stoję sobie tak jak teraz, nalewam keczup do butelek i raptem słyszę straszny jazgot - to Rennie przejechała w nowym czerwonym mustangu ze składanym

dachem, którego dostała od taty. Trąbiła, machała do wszystkich, wesolutka jak szczygiełek. Przynajmniej z pozoru.

Potem razem z koleżankami poszła się kąpać w zalewie. Trochę się rozdokazywały. Jakiś chłopak ukradł jej biustonosz i nie chciał oddać, więc Rennie postanowiła go nauczyć, że z nią nie wolno zaczynać. Powiedziała, że pojedzie prosto do biura ubezpieczeniowego swojego tatusia i naskarzy na niego. I niech mnie diabli, zrobiła to. Wymaszerowała do środka, minęła sekretarkę i wtargnęła do gabinetu starego. Tak, jak stała. W samych majteczkach bikini. Dolać ci kawy?

Wick poczuł, że ma sucho w ustach.

- Napiję się piwa.

Crystal podeszła do dwóch innych klientów, po czym przyniosła mu następną szklanekę piwa.

- Ciesz się, że się z nią nie zadałeś - podjęła. - Jesteś żonaty? - Nie.

- Rozwiedziony? - Nie.

- Nigdy nie miałeś żony? Dlaczego? Taki fajny facet.

- Dzięki.

- Zawsze miałam słabość do niebieskich oczu.

- Takich, jak miał ten prawie - Elvis?

- Cholera, tak. Ależ miał niebieskie te ślepie, jak reflektory. Teraz widzę, że to było najlepsze, co miał. - Przyjrzała się Wickowi okiem znawcy. - Ale ty masz coś więcej, skarbie. Na pewno musisz się opędzać od kobiet.

- Nie, mam przykry charakter.

- Przy takich oczach możesz sobie mieć każdy charakter. Rzucił jej zawstydzony uśmiech, którego się pewnie spodziewała. Pociągnął łyk piwa.

- Ciekawe, co się z nią stało.

- Z Rennie? - Crystal wytarła rozsypany cukier. - Podobno została lekarką. Wyobrażasz sobie? Nie wiem, czy to prawda. Już nigdy nie wróciła do Dalton, odkąd starzy wysłali ją do szkoły z internatem w Dallas. Pewnie po tym, co się stało, uznali, że umywają ręce.

- A co się takiego stało?

Crystal nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się do starszego mężczyzny, który usiadł na stoiku obok Wicka. Miał na sobie kraciatą kowbojską koszulę na perłowe zatrzaski i niebieskie dżinsy, wykrochmalone na deskę. Zdjął słomkowy kapelusz i odłożył go na

bar, główką do dołu, jak należy.

- Cześć, Gus. Jak żyjesz?

- Tak samo jak wczoraj, kiedy mnie pytałaś.

- Co podać? Spojrzał na Wicka.

- Od dwudziestu lat zamawiam to samo, a ona mnie pyta, co podać.

- Dobrze, dobrze. Cheeseburger z chili i frytki! - rzuciła Crystal kucharzowi, który odpoczywał po obsłużeniu tłumu wiernych.

- I jedno takie - dodał Gus, wskazując na piwo Wicka.

- Gus to nasza miejscowa sława - wyjaśniła Crystal, otwierając butelkę.

- Choć tego nie widać - burknął stary. Wziął butelkę i przytknął ją do poplamionych tytoniem ust.

- Ujeżdża byki na rodeo - oznajmiła Crystal z dumą. - Od ilu lat wygrywasz w krajowych mistrzostwach?

- Od paru. Mrugnęła do Wicka.

- Jest skromny. Ma więcej nagród niż Carter pigulek na wątrobę.

- I tyle samo połamanych kości. - Stary pociągnął następny długi łyk.

- Rozmawialiśmy o Rennie Newton - powiedziała Crystal. - Pamiętasz ją, Gus?

- Może i jestem połamany, ale głowę mam w porządku. - Spojrzał na Wicka. - Coś ty za jeden?

Wick wyciągnął do niego rękę przez dzielący ich stołek.

- Wick Threadgill. Jadę do Amarillo. Odpoczywam przed dalszą drogą. Chyba znałem dziewczynę z waszego miasta.

Crystal oddaliła się od nich, by położyć menu przed dwoma młodzieńcami, którzy weszli i pozdrowili ją jak starą znajomą. Kiedy znalazła się odpowiednio daleko, Gus odwrócił się w stronę Wicka.

- Znałeś córkę Newtonów?

- W college'u - odparł, modląc się, żeby Gus nie spytał, do której uczelni chodzili.

- Nie obrazisz się, jak ci coś powiem prosto z mostu? - Nie.

- Bo niektórzy się obrażają. Wszystko musi być politycznie poprawne.

- Nie dla mnie.

Stary skinął głową, pociągnął łyk piwa.

- Ta dziewczyna była jednym z najładniejszych dwunożnych stworzeń w moim życiu. I miała charakter. Oczywiście, nigdy by nie spojrzała na takiego starego piernika,

jak ja, ale kiedy galopowała, wszyscy na nią patrzyli. Wszystkie młode byczki wybałuszały na nią gały aż miło.

- Galopowała?

- Na rodeo.

Na rodeo? Rennie Newton, którą znał, układała gazety pod linijkę. Nie potrafił jej sobie wyobrazić, jak ujeżdża konia. - Nie wiedziałem.

- No, ale tak było, synu. Od kwietnia do lipca w każdą sobotę w Dalton odbywa się lokalne rodeo. Nie na skalę krajową, ale dla miejscowych to jest i tak wielkie halo. Prawie tak samo ważne, jak futbol. No więc kowboje włożyli sobie na głowy, żeby zobaczyć, jak Rennie ujeżdża konia. Nigdy nie okazała ani trochę strachu. O nie. Widziałem, jak dwa razy spadła. Zawsze wstawiała, otrzepywała ten zadzierzysty tyłeczek i wsiadała znowu. Kowboje mówili, że to od ujeżdżania ma takie mocne uda. - Mrugnął. - Sam nie sprawdziłem, bo nigdy nie miałem przyjemności znaleźć się między nimi, ale tamci mówili, że w życiu nie było im tak dobrze.

Wick wyszczerzył zęby, ale jego palce zacisnęły się w miążdżącym chwycie na butelce.

- Ale kowboje zawsze tak gadają - dodał Gus, wruszając ramionami. - Wszyscy kłamią, więc nie wiadomo, który mówi z doświadczenia, a który blaguje. Pewnie wielu próbowało i nic nie dostali. A mnie interesowało tylko to, że ta mała wkurza T. Dana.

- Kogo?

Stary kowboj spojrzał na niego zaropiałymi oczami.

- Nie znałeś jej za dobrze, co? - Nie. Wcale.

- T. Dan to jej ojciec. Sukinsyn najgorszego gatunku.

- A jaki to gatunek?

- Niczego wam nie trzeba? - Crystal wróciła, przygotowawszy wiśniowe cole dla dwóch młodzieńców.

- Gus opowiada mi o T. Danie Newtonie - wyjaśnił Wick.

- Nikt tu za nim nie tęskni - powiedziała z suchym śmiechem.

- Czym tak wszystkich wkurzał?

- Wszystkim. Powiedz mu, jak to z wami było, Gus. Stary kowboj dokończył piwa.

- T. Dan wynajął mnie, żebym ujeździł jego konia. Dobry był koń, ale drań. Ujeździłem go, ułożyłem, ale skończyłem z pękniętą kostką. T. Dan nie chciał mi zwrócić kosztów leczenia. Powiedział, że złamałem nogę z własnej głupoty. Chodziło o parszywe

siedemdziesiąt pięć dolarów. Co to jest dla takiego gościa jak T. Dan!

- Do zarabiania to był pierwszy, ale lepiej nie mówić o przyjaźni - dodała Crystal.

- Zdaje się, że cała rodzina była chora - zauważył Wick. - Jeśli mam być szczery, miasto od nich odetchnęło. - Gus podrapał się po policzku. - Choć chciałbym zobaczyć tę dziewczynę, jak ujeżdża konie. Sama myśl o niej mnie podnieca. Co robisz dziś wieczorem, Crystal?

- Nawet o tym nie myśl, starcze.

- Tak myślałem. - Gus zsunął się z wysiłkiem ze stołka i pokuśtykał do szafy grającej.

Wick dopił piwo.

- Dzięki za wszystko, Crystal. Fajnie się z tobą gadało. Przyjmujesz karty kredytowe? - Zanim podpisał rachunek, dodał do niego okazały napiwek i zapłacił za dodatkową butelkę piwa. - Otwórz jeszcze jedną dla Gusa. To podziękowanie.

- Będzie zadowolony. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby odrzucił darmowego drinka.

- Wcześniej powiedziałaś, że rodzice Rennie wysłali ją do szkoły z internatem - powiedział, starając się zachować nonszalancki ton. - Co było tą ostatnią kroplą? Dlaczego chcieli się jej pozbyć?

- A, to. - Crystal wepchnęła wysuwającą się spinę w gigantyczny kok. - Zabiła człowieka.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Słucham?

- Dobrze słyszałeś, Oren. Zabiła człowieka.

- Kogo?

- Jeszcze nie wiem.

- Kiedy?

- Tego także nie wiem.

- Gdzie byłeś?

- Niedaleko.

- Niedaleko czego? - Dalton.

- Pojechałeś do Dalton? Myślałem, że pójdziesz spać.

- Chcesz o tym usłyszeć czy nie?

- Skąd wiesz, że zabiła człowieka?

- Crystal mi powiedziała.

- Czy powinienem wiedzieć, kim jest ta Crystal?

Wick streścił mu większą część rozmowy z kelnerką. Kiedy skończył, Oren spytał:

- Można jej wierzyć?

- Jak FBI. Mieszka tam od urodzenia, zna wszystkich. Ta knajpa to epicentrum tamtego miasta. Zresztą, po co miałyby kłamać?

- Żeby cię olśnić?

- No i olśniła, ale nie sądzę, żeby dlatego to mówiła.

- To może dla draki?

- Nie wydaje mi się. To nie jest typ, który kłamie dla zabawy.

- No, to twoja przyjaciółka, nie moja. Będę musiał uwierzyć ci na słowo. Wie, że jesteś gliną?


- Nie jestem.

- O, Jezu. Wie czy nie? - Nie.

- To dlaczego wyjawiała takie informacje zupełnie obcemu człowiekowi? - Bo jestem słodki.

- Słodki?

- Tak powiedziała. Ale Gusowi się chyba aż tak nie spodobałem. - Wick uśmiechnął się pod nosem; był pewien, że Oren liczy w pamięci do dziesięciu.



- Chcesz, żebym cię błagał, tak? - odezwał się wreszcie jego przyjaciel.

Wick roześmiał się i powtórzył niemal słowo w słowo rozmowę z byłym ujeżdżaczem byków.

- Rennie Newton go kręciła, ale nie znosił jej starego. Z tego, co wiesz, wynika, że T. Dan Newton był zamożnym biznesmenem?

- I niezmordowanym działaczem społecznym.

- Ale społeczeństwo coś go nie lubiło. Gus nazwał go sukinsynem najgorszego gatunku. Tłumacząc na język policyjny, znaczy to mniej więcej „skurwiel”.

Oren popadł w zamyślenie.

- Rennie Newton była zbuntowanym dzieckiem?

- Oboje określili, że ją roznosiło.

- Te plotki mogły być wyolbrzymione. Kiedy dziewczyna niszczy sobie reputację, wszyscy zaczynają ją obgadywać.

- Gus to potwierdził.

- Tak czy tak, to cholernie nie pasuje do obecnej doktor Rennie Newton.

- Cholernie.

- Więc kim jest ta kobieta? Co tu jest prawdą, a co maską? Czy prawdziwa Rennie Newton kiedyś nam się zaprezentuje?

Wick nie miał nic do powiedzenia. Był jeszcze bardziej zdezorientowany niż Oren. Rennie odepchnęła go, co nadal go bolało. Musiała mieć niezłą praktykę w zniechęcaniu mężczyzn, co stało w sprzeczności z tym, czego się dziś dowiedział.

- Czy gadatliwa Crystal nie poinformowała cię o morderstwie? - spytał Oren.

- Jakim morderstwie?

- Przecież zabiła człowieka.

- Nie wiemy, czy to było morderstwo. A może wypadek na polowaniu, nieszczęśliwy serwis podczas tenisowego meczu, wypadek na łódkach, albo...

- Albo może jakiś biedny idiota wykorkował w jej łóżku. Sprawdziłeś na miejscowym posterunku?

- Nie mam odznaki, więc nie mogę tam wkroczyć i zażądać informacji, kiedy nawet nie znam rodzaju zbrodni - jeśli to była zbrodnia. Nie znam nazwiska zabitego ani daty zajścia.

- A archiwum gazet?

- Jest niedziela. Przy telefonie dyżurował wyłącznie jakiś uczeń. To samo dotyczy

ratusza i sądu.

- Biblioteka?

- Zamknięta z powodu remontu. Książki można oddawać w autobusie zaparkowanym na Crockett Street, ale zbiory są niedostępne.

Oren westchnął bezradnie.

- Nie mogłem dalej przyciskać Crystal - ciągnął Wick. - Jeszcze się nie otrząsnąłem po szoku, kiedy do knajpy wpadła drużyna futbolowa. Wszyscy prosto z treningu, rozgrzani, spragnieni, krzyczeli o piwo i hamburgery. Crystal miała pełne ręce roboty. Poza tym, gdybym ciągle gadał o dziewczynie, z którą zerwałem znajomość wiele lat temu, Crystal mogłaby coś zwęszyć i przestać mówić. Instynkt mi podpowiadał, że nie byłaby taka chętna, gdyby wiedziała, że jestem gliną.

- Nie jesteś.

- Właśnie. Właśnie to chciałem powiedzieć.

- A ten stary? Ten Gus. Miał ci coś do powiedzenia?

- Zaczął gadać z własnym klonem na temat dawnych czasów na rodeo. Nie mogłem mu przerwać i dalej się dopytywać.

- Może nie chciałeś usłyszeć odpowiedzi.

- Co to znaczy?

- Nic.

Teraz to Wick zaczął liczyć do dziesięciu. Od paru dni Oren zaczął go drażnić tymi aluzjami. Wiedział, że to przynęta i nie zgodził się jej chwycić. Oren chciał wiedzieć, czy Rennie Newton go pociąga, choć może być zamieszana w zabójstwo. Nie był to temat, który chciałby poruszać nawet z samym sobą.

- Chciałem się dowiedzieć więcej. Objechałem całe Dalton, żeby coś znaleźć, ale wszystko na nic. Jak tylko wrócę, wejdę do Internetu i zobaczę, co się da zrobić, ale nie mam przy sobie laptopa i...

- Już rozumiem, rozumiem - przerwał Oren. - Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy.

- Dziękuję.

Po długim milczeniu Oren zdecydował się spytać:

- Więc co sądzisz?

- O czym?

- O niej, Wick, do cholery! A o kim rozmawiamy?



- No, nie wiem, co myśleć. Musimy się dowiedzieć, o co chodzi z tym zabitym.
- Oprócz tego, że nie żyje.

Wick poczuł, że jego cierpliwość zaczyna się kończyć, ale udało mu się zachować spokojny ton.

- Dopóki nie ustalimy faktów, nie powinniśmy się porywać na wnioski.
- Odebrała komuś życie - powiedział Oren dobitnie, jakby to mu wystarczało.

Może tak właśnie było. Miał raz na zawsze ustalone kryteria dobra i zła i nie przykładał większego znaczenia do okoliczności łagodzących.

- Dziś rano ocalała je dwóm osobom - powiedział Wick cicho.
- Chcesz, żebym miał wyrzuty sumienia?
- Nie, uważam tylko, że to aż nazbyt uczciwa rekompensata. Moglibyśmy przynajmniej przyznać jej domniemanie niewinności, nie?

Milczenie stało się tak ciężkie, że Wicka rozboleły napięte mięśnie karku. Miał za sobą dwadzieścia cztery godziny bez snu i pięć godzin jazdy samochodem. Zaczynał to odczuwać.

- Słuchaj, Oren, muszę walnąć w kimono przed zmianą. Mógłbyś mnie zastąpić przez dwie godziny?
- Najpierw wyświadczyć mi przysługę.
- Jaką?
- Jesteś na międzystanówce 20, tak? Na zachód od Forth Worth?
- Tak. Prawie w Weatherford.
- Dobrze. Nie będziesz musiał zawracać.
- A dokąd jadę?

Rennie spięła wałacha, który posłusznie przyspieszył. Kupiła go jako źrebaka trzy lata temu i przez wiele godzin uczyła reagowania na najsłabsze drgnienie cugli, nacisk nogi, trącenie pięty. Miała pięć koni, a ten ze względu na inteligencję i refleks był jej ulubieńcem. Kiedy jeździła na oklep, tak jak dzisiaj, poruszali się jak jeden organizm, bez wędzidła i cugli. Koń pędził, jakby frunął nad ziemią, a ona tego właśnie potrzebowała.

Operacja śledziony, do której wezwano ją w środku nocy, była ryzykowna. Rana była poważna i śledziona wyglądała jak krwawiący hamburger. Dosłownie rozpadała się pod palcami.

Ale Rennie zdołała ją usunąć i pomyślnie opatrzyć pozostałe obrażenia wewnętrzne. Ponieważ obrażenia głowy nie groziły powikłaniami, pacjent miał dobre

rokowania. Jego zrozpaczona żona i rodzice rozplakali się z wdzięczności.

Pęknięty wyrostek, który operowała następnie, był w porównaniu z pierwszą operacją wręcz banalny, lecz przekazanie dobrych wieści niespokojnemu mężowi pacjentki sprawiło jej równie wielką satysfakcję.

W szpitalu czekał na nią list od zarządu - pisemna oferta, potwierdzająca propozycję, jaką otrzymała w tym tygodniu, i wyrażająca nadzieję, że Rennie przyjmie stanowisko ordynatora oddziału chirurgicznego.

Było także podziękowanie od Myrny Howell za wieniec, jaki Rennie przysłała na pogrzeb. Myrna także namawiała Rennie do przyjęcia stanowiska, które zwolniło się po śmierci Lee. „On by sobie tego życzył”, napisała.

Rennie ciągle nie mogła się zdecydować. Pismo od zarządu i list Myrny pomogły jej wyzbyć się obaw, że można by ją podejrzewać o wykorzystywanie zgonu Lee, ale nie mogła zapomnieć o podejrzeniach detektywa Wesleya.

Tego ranka dobrze się spisała; przedłużyła życie osób, które mogłyby umrzeć. Powinna czuć radość, zachwycać się niedzielnym popołudniem, chwilowo wolna od spraw nie znoszących zwłoki i od poważnych decyzji.

Ale od chwili rozmowy z Lozadą nie potrafiła zaznać spokoju.

Zburzył jej uporządkowane życie i mógł wpłynąć na ważne decyzje życiowe. Jak mogła przyjąć ofertę zarządu, wiedząc, że jeśli to zrobi, Wesley zajmie się jej sprawą dokładniej? A jeśli odkryje, że Lozada się z nią kontaktuje...

Niech go diabli! Na samą myśl o nim dostawała gęsiej skórki. Nigdy jej nawet nie dotknął, ale mówił w taki sposób, jakby głaskał ją każdym słowem. Dlaczego, na miłość boską, akurat ją wybrał sobie na obiekt uczuć? Z całą pewnością nie zachęciła go żadnym spojrzeniem, słowem czy uczynkiem. Wprost przeciwnie! Na ogół potrafiła zniechęcić nawet najbardziej upartych zalotników. W szpitalu i w kręgach do niego zbliżonych była znana jako kobieta zimna, niedostępna. Odrzuceni mężczyźni, żonaci i samotni, wyrażali się o niej w niepoehlebnych, czasem obraźliwych słowach. Pogodziła się z tymi brzydkimi plotkami, uznała je za cenę, jaką musi zapłacić za pozostawienie jej w spokoju.

Ale Lozada był inny. Nie dawał się łatwo zrazić.

Rozdrażniona trąciła bok wałacha, a ten przeszedł w galop. Biegł tak, jakby tylko czekał na ten znak. Teraz, gdy otrzymał pozwolenie, wprawił potężne mięśnie w ruch, do jakiego zostały stworzone.



Jego kopyta zadudniły o suchą ziemię, wznieczając obłoczki kurzu. Zawsze galopował pięknie, ale dziś biegi jak natchniony. Wplotła palce w jego grzywę. Rozpalony wiatr smagał policzki, zdarł kapelusz z głowy. Nie obejrzała się.

Tylko w pełnym galopie czuła się zupełnie wolna. Przez krótką chwilę wyprzedzała złe wspomnienia, które nigdy nie dawały się zupełnie zgubić.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła głowę. Na drodze za płotem z drutu kolczastego dostrzegła furgonetkę. Kierowca jechał równoległe do niej. Teraz zrozumiała, skąd ta nagła wola galopu u jej konia. Chciał się zmierzyć z maszyną stworzoną przez człowieka.

Jeszcze nigdy nie ścigała się na tym koniu. Może powinna? Może czuł się oszukany. I chciał jej udowodnić, ile jest wart. Może ona powinna udowodnić swoją wartość jemu.

- Dobrze, mały. Zasłużyłeś sobie.

Pochyliła się nisko nad jego karkiem i przycisnęła boki kolanami. Natychmiast poczuła wybuch nowej energii. Koń wyprzedził furgonetkę. Ta przyspieszyła. Koń natężył mięśnie i również przyspieszył.

Rennie roześmiała się głośno. To on tu decydował. Ona tylko starała się, by nie spaść i, na Boga, czuła się wspaniale.

Galopowali co najmniej przez trzy minuty, łeb w łeb z furgonetką. W oddali pojawił się dom Rennie. Za minutę znajdą się przy ogrodzeniu. Teraz powinna zacząć powoli ściągać wodze, by wreszcie go zatrzymać.

Ale nie chciała tego robić. Po rozmowie z Lozadą poczuła się przerażona i bezbronna. Musiała sobie udowodnić, że nikogo się nie boi i potrafi się bronić. Teraz już zawsze.

Poza tym, czy mogła odebrać wierzchowcowi zwycięstwo, które tak starał się wywalczyć?

- Grasz dalej?

Jakby ją zrozumiał. Przyspieszył - odrobinę, ale poczuła to w mięśniach nóg.

- Więc dobrze. Zróbmy to.

Serce łomotało jej w rytm kopyt. Z drzeniem napawała się niebezpieczeństwem. Zaciśnęła dłonie w szorstkiej grzywie. Wyczuła, że furgonetka zwalnia, ale to nie powstrzymało ani jej, ani wierzchowca. Już wygrali, ale i tak musieli to zrobić.

- I już!



Pochyliła się nisko nad grzywą, wierzchowiec skoczył. Przesadził płot z dużym zapasem i wylądował ciężko, lecz wdzięcznie. Rennie znowu roześmiała się głośno.

Dopiero słysząc głośny trzask, pociągnęła mocno za grzywę i zmusiła wałacha do ostrego zwrotu. Furgonetka zatrzymała się tuż za bramą. Stała w chmurze pyłu.

Kiedy kurz zaczął opadać, Rennie dostrzegła, że kierowca nie wziął pod uwagę sypkiego żwiru, jakim wysypana była droga. Może zbyt gwałtownie zahamował. Lżejszy tył zarzucił i uderzył w metalowy słupek bramy. Słupkowi nic się nie stało, furgonetka była uszkodzona. Ale Rennie zaniepokoiła się nie stanem samochodu, a kierowcy.

Zeskoczyła z konia i rzuciła się pędem do bramy.

- Jest pan cały? - Brama otwierała się na prowadnicach. Rennie rozsunęła ją i podbiegła do kierowcy. - Halo!

Położył głowę na kierownicy i początkowo sądziła, że stracił przytomność. Ale kiedy dotknęła jego ramienia, jęknął i powoli się wyprostował. Odsunął na tył głowy kowbojski kapelusz i zdjął słoneczne okulary.

- Nie ma pani dobrego wpływu na moje ego, pani doktor. Dosłownie drgnęła z zaskoczenia. To był mężczyzna z wesela.

- Co pan tu robi?

- Przegrywam wyścig. - Skinął głową w stronę wałacha. - Wspaniały koń. - Spojrzał na nią. - I wspaniały jeździec. Zgubiła pani kapelusz.

- Nie wierzę własnym oczom! Skąd pan się tu wziął?

- Międzystanową autostradą numer dwadzieścia, potem na północ z Farm do Market Road.

Rzuciła mu złowieszcze spojrzenie.

- No dobrze, węszyłem tak długo, aż panią znalazłem.

- Co proszę?

- W szpitalu. Nie mogę uwierzyć, że jeździ pani na tym draniu na oklep. Zawsze tak pani robi? Czy to nie jest niebezpieczne?

- Nie aż tak, jak prześladowanie ze strony nieznajomego. Nie powinni panu zdradzać informacji na mój temat.

Rozpiął pas, otworzył drzwi i wysiadł.

- Wie pani, nie jestem taki całkiem nieznajomy. Ale ma pani rację. Skłamałem. Zdobyłem tę informację z Internetu. To pani posiadłość. Można ją wyśledzić. Podatki i tak dalej. Zadzwoń do szpitala, a kiedy powiedzieli, że dziś pani nie pracuje,

pomyślałem, że może złapię panią tutaj.

Nie przestając mówić, obszedł samochód, żeby oszacować straty. Przykucnął i przyjrzał się pionowemu wgnieceniu na tylnym zderzaku. Miało jakieś dwadzieścia centymetrów długości i centymetr głębokości. Lakier był zarysowany. Poza tym samochód nie ucierpiał.

Przesunął palcem po wgnieceniu, po czym otrzepał dłonie i wyprostował się.

- Powinni to naprawić na miejscu.

- Proszę pana...! - Wick.

- Nie dałam panu...

- ...ni cholery żadnej nadziei.

- Więc dlaczego pan przyjechał?

- Nie miałem nic do stracenia.

- Czas. Stracił pan czas. Więc oszczędzę go panu, panie Threadgill. - Uniósł brwi.

Wyraźnie się nie spodziewał, że zapamięta jego nazwisko - i właściwie sama nie rozumiała, dlaczego tak się stało. - Nie jestem zainteresowana...

Zawahała się, więc pochylił się z zainteresowaniem.

- ...niczym - dokończyła. - Ani randką, ani... nie wiem, o co panu chodzi, ale się nie zgadzam.

- Ma pani męża? - Nie.

- Narzeczonego?

- Nie mam nikogo i nie chcę mieć.

- Hm. Ta awersja dotyczy wszystkich, czy tylko mnie pani tak nie lubi?

- Lubię być sama.

- Hej! - zawołał, rozkładając ręce. - Potrafię dochować tajemnicy. Niech mnie pani wypróbuj. Proszę mi zdradzić jakąś tajemnicę, a zabiorę ją z sobą do grobu.

- Nie mam żadnych tajemnic.

- Więc wyjawię pani którąś ze swoich. Mam parę brudnych sprawek do ukrycia.

Miał nieco skrzywiony przedni ząb, dodający jego uśmiechowi łobuzerskiego uroku, który pewnie uważał za rozbrajający.

- Do widzenia. - Odwróciła się plecami i ruszyła w stronę bramy. Zamknęła ją z finalnym szczękiem metalu.

- Chwileczkę! Sekundę!

Był przystojny i czarujący, i o tym wiedział. Już miała do czynienia z takimi

typami. Aroganccy, pewni siebie, sądzili że nikt, zwłaszcza kobieta, nie może się im oprzeć.

- Proszę!

Nie była tak wściekła, jak udawała, czy powinna być. I choć dała sobie słowo, że się nie odwróci, jednak to zrobiła. - Co?

- Chciałem przeprosić za to, co powiedziałem wczoraj na pożegnanie.

- Nie pamiętam - skłamała.

- O pani ustach i brzydkich fantazjach. To było nie na miejscu. Tak nie mówią pewni siebie aroganci. I znowu zaprezentował ten rozbrajający uśmiech. Przynajmniej pozornie wydawał się szczery. Poza tym, gdyby nie dawała się przeprosić, mógłby pomyśleć, że naprawdę się przejęła. Właściwie tak było. Do pewnego stopnia. Ale nie mogła mu tego okazać.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny.

- Byłem... nieważne. Nie powinienem tak mówić.

- Może zareagowałam zbyt gwałtownie, kiedy dał pan napiwek parkingowemu.

Powoli podszedł do bramy.

- Może powinniśmy spróbować jeszcze raz.

- Nie sądzę.

- Co by to szkodziło?

Odwróciła głowę i spojrzała w dal. Dla każdej innej kobiety nie byłaby to wcale trudna decyzja. Dla niej równała się skokowi w przepaść na chwiejnej lotni.

Kiedy znowu na niego spojrzała, napotkała skupiony wzrok. I choć w jego oczach nie było już żartobliwych iskier, to spojrzenie nadal wyprowadzało ją z równowagi.

Co by to szkodziło? Może nic. Ale nie warto ryzykować. I dlatego była tak zdziwiona, kiedy usłyszała własny głos:

- Na placu jest lodziarnia.

- W Weatherford?

- Chciałam tam wstąpić po zakończeniu pracy, w drodze powrotnej. Możemy się tam spotkać. - Pomogę pani.

- Przyzwyczyłam się pracować sama.

- Wierzę - powiedział poważnie. Odwrócił się i ruszył przed siebie truchtem.

- Dokąd pan biegnie?

- Po pani kapeluszu! - odkrzyknął.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Praca potrwała jakieś półtorej godziny. Najpierw Rennie oprowadziła konia po padoku, żeby ochłonał, potem poszła z nim do stajni. Rustykalny wystrój był zwodniczy. Wick nie znał się na stajniach, ale ta wyglądała jak najnowsze osiągnięcie techniki.

- Mam pierwszorządne konie - odparła Rennie w odpowiedzi na jego komplement. - Zaslugują na pierwszorządny dom.

Nie był także znawcą koni, ale nie musiał nim być, by wiedzieć, że ma przed sobą niebывałe zwierzęta. Rennie wytarła wałacha, powoli i metodycznie, przez cały czas przemawiając do niego pieszczotliwie. Wick stał obok, kiedy czesała końską grzywę.

- Wydaje się rozumieć, co pani do niego mówi. Prawie się obraziła.

- Dlaczego miałby nie rozumieć?

- Nie wiedziałem, że konie są takie uzdolnione.

- Moje są. - Z oczami pełnymi czułości przesunęła ręką po gładkim grzbiecie wałacha. - Przynajmniej przy mnie.

- To może pani jest utalentowana, nie on.

Odwróciła się, żeby odpowiedzieć, ale chyba poczuła, że są zbyt blisko siebie. Pochyliła się, żeby przejść na drugą stronę konia. Wick poszedł za nią, nie dając się zniechęcić.

- Czy ten poliglota ma imię?

- Beade.

- Niezwykłe. Czy coś znaczy?

- Podoba mi się ten dźwięk.

- Nie jest pani zbyt rozmowna, co?

- Nie. - Spojrzała na niego i oboje się roześmieli. - Zadaje pan mnóstwo pytań.

- Jestem ciekawski z natury. Często pani na nim galopuje?

- Tylko wtedy, gdy rzuca mu wyzwanie jakaś furgonetka. Wtedy się odsunęła, ale zerknęła na niego przez ramię - prawie zalotnie. A może była śmiertelnie poważna, a tylko wyglądała zalotnie ze względu na obcisłe dżinsy i długi jasny warkocz, spływający na plecy spod słomkowego kowbojskiego kapelusza, który jej przyniósł. Może myślał, że jest zalotna, bo bardzo tego pragnął.

Po napełnieniu żłobów pożegnała się z każdym koniem z osobna i ruszyła do domu. Zniknęła w środku.



- Pan może usiąść na huśtawce na ganku.

- Dokładnie to zamierzałem zrobić. - Wolał nie okazywać zawodu, że nie zaprosiła go do środka. Usiadł na huśtającej się ławeczce i odepchnął się nogami od podłogi. - Proszę się nie spieszyć.

- Jeśli zjawi się Toby, proszę mu powiedzieć, że zaraz będę. - Kto?

Ale ona już zniknęła, a Toby pozostał tajemnicą jeszcze przez parę minut, kiedy pojawił się w rozklekotanej furgonetce. Wyskoczył z szoferki i stanął, przyglądając się Wickowi spode łba. Dopiero po chwili podszedł do ganku. Wick nie zdziwiłby się, gdyby usłyszał brzęk ostróg.

Mężczyzna był wysoki i barczysty. Spod przepoconego kowbojskiego kapelusza wyglądały siwe kręcone włosy. Kiedy zdjął ciemne okulary, jego głęboko osadzone oczy skojarzyły się Wickowi ze złymi szeryfami z klasycznych westernów. Z trudem się powstrzymał, żeby nie powiedzieć: „szanowanko, szeryfie”. Miał dziwne wrażenie, że Toby by się nie ubawił.

- Gdzie Rennie?

Niezbyt wylewne powitanie.

- W domu. Jeśli jesteś Toby, powiedziała, żebyś poczekał, wkrótce wyjdzie.

Toby przysiadł na balustradzie ganku, oparł wielki but - bez ostrogi - o kolano, założył ręce na piersi i bez oporów zaczął się przyglądać Wickowi.

- Ładny dzień - spróbował Wick.

- Możliwe.

No dobrze, Toby zniecierpliwił go od pierwszego wejrzenia. Dlaczego?

Po długim, ciężkim milczeniu, przerywanym jedynie skrzypieniem huśtawki, stary spytał:

- Mieszkasz tu? - W Fort Worth.

Parsknął pogardliwie, jakby Wick powiedział: „Mieszkam w Sodomie, o rzut beretem od Gomory”.

- Cześć, Toby. - Rennie wyszła z domu i stanęła obok nich. Toby podniósł się i zdjął kapelusz.

- Rennie.

- Jak się masz?

- Dobrze. Jesteś zadowolona?

- Zawsze mnie o to pytasz, a ja zawsze odpowiadam tak samo. Wszystko jest

idealnie. - Jej uśmiech mógłby obudzić w zazdrośniku mordercze instynkty. Wick wolał nie określać iskierek, która się w nim zapaliła. - Poznałeś już pana Threadgilla?

- Na razie nie zaszliśmy tak daleko. - Wick wstał, wyciągnął rękę i powiedział swoje nazwisko.

- Toby Robbins. - Ucisnął jego rękę z wyraźną niechęcią. Dłoń miał nawet twardszą niż Gus. Palce były pełne odcisków.

- Toby jest właścicielem sąsiedniego rancza - wyjaśniła Rennie. - Opiekuje się moimi końmi. Czasami nie przyjeżdżam nawet przez tydzień.

- Więc dobrze, że pomaga ci człowiek godny zaufania. Toby zignorował go i zwrócił się do Rennie:

- W zeszłym tygodniu był tu weterynarz i przebadał je wszystkie. Nic nie stwierdził.

- Sama też nic nie dostrzegłam, ale chciałam się upewnić. Dziękuję, że go ściągnąłeś. Przyśle mi rachunek?

- Zostawił u mnie. - Toby wyjął z kieszeni na piersiach kopertę.

- Dzięki. Jutro się tym zajmę. - Włożyła kopertę do torebki. - Ryś się pojawił?

- Od czasów, jak zabił cielę - nie. Może go spłoszyliśmy. Kto wie, czy go nie zraniłem? Odczołgał się i gdzieś zdechł, a może tylko przeniósł się na bardziej przyjazne terytorium.

Wick się nie spodziewał, że Toby jest zdolny do uśmiechu. A jednak uśmiechnął się, a Rennie odpowiedziała tym samym.

- Obyś miał rację.

- Uciążliwy jest, cholernik - ciągnął Toby. - Takiego wielkiego jeszcze nie spotkałem, ale chyba już go nie zobaczymy.

- No cóż. Musimy już jechać.

- Nie zatrzymuję. Dom zabezpieczony?

- Zamknęłam, wychodząc.

Toby zaprosił ją gestem ręki do zejścia ze schodów.

- Mam w tym tygodniu zrobić coś więcej niż zwykle?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Jeśli przyjdzie, zadzwonię do ciebie. Tylko dobrze się opiekuj moimi konikami.

- No pewnie.

- Pozdrów Corinne.



- Dobrze. - Uniósł kapelusz, a Wickowi rzucił spojrzenie mrozące krew w żyłach. Potem włożył okulary, wszedł do furgonetki i odjechał.

Rennie obrzuciła dom i stajnię tęsknym spojrzeniem i oznajmiła:

- Jestem gotowa.

W lodziarni panował ruch - było słoneczne niedzielne popołudnie. Kiedy zwolnił się jeden stolik z kutego żelaza. Rennie zajęła go, a Wick stanął w kolejce po dwa desery lodowe z gorącym kremem karmelowym. Przyniósł je, myśląc, że od czasu bananowego puddingu Crystal przytył pewnie ze dwa kilo.

Byli zajęci pałaszowaniem lodowych przysmaków, kiedy Rennie spytała:

- Miewasz ataki paniki? Niespodziewane pytanie zbiło go z pantałyku.

- Słucham?

Nerwowo wzruszyła ramionami.

- Zauważyłam tę gumkę na twoim nadgarstku. Wczoraj też ją miałeś.

- A, to. Nie, to taki stary nawyk. Już nie pamiętam, dlaczego ani kiedy zacząłem ją nosić.

Skinęła głową, ale nie spuszczała z niego oka.

- Czasami ludzie cierpiący na ostre ataki paniki noszą na ręce gumki. Jeśli atak się pojawia, strzelają gumką o skórę. Niekiedy zatrzymuje to wysłany do mózgu fałszywy sygnał o śmiertelnym niebezpieczeństwie. Taki sposób radzenia sobie z paniką.

- Aha. Nie wiedziałem.

Skończyli jeść w milczeniu. Rennie wyjęła serwetkę z podstawki na stole i otarła usta. Gdyby można było sobie wybierać senne marzenia, Wick chciałby mieć sen o jej ustach. To by było coś.

- Dlaczego przyszło ci do głowy, że mogę mieć posiadłość za miastem? - spytała.

- Wczoraj, kiedy odprowadziłem cię do samochodu, zobaczyłem na tylnym siedzeniu siodło.

- Mogłam należeć do klubu jeździeckiego.

- Mogłaś należeć nawet do policji konnej, ale jakoś w to nie uwierzyłem.

- Jesteś bardzo inteligentny.

- Dzięki. Ale pewnie nie aż tak, jak myślisz.

- Dokładnie to miałam powiedzieć.

Uśmiech odmieniał jej twarz. Szkoda, że nie uśmiechała się częściej. Przez całe popołudnie szukał w niej tamtej beczelnej małolaty, która spała ze wszystkimi i którą

chciał zaliczyć każdy ogier w miasteczku. Nie znalazł. Nic poza ubiorem. W dzinsach jej tyłeczek faktycznie był zadzierzysty, ale to było wszystko.

Co się stało z tamtą dziką, nieujarzmioną dziewczyną? I kim była ta nieznośnie opanowana kobieta, która zajęła jej miejsce? Bardzo go ciekawiło, co doprowadziło do tak dramatycznej zmiany. Rennie była zagadką, którą chciał rozwiązać bez względu na to, czy jest klientką Lozady.

Jego zamyślane spojrzenie chyba ją peszyło, bo nagle rzuciła:

- Muszę już jechać.

- Jak to?

- Jestem zajęta.

Tak powiedziała. Wyraz jej twarzy mówił: „Nie twój interes”. Zaczął szukać jakiegoś tematu, by ją zatrzymać.

- Ile akrów ma twoja posiadłość?

- Dwieście dwadzieścia.

- O, nieźle. Fajne miejsce na ucieczkę z kieratu.

- Czym się zajmujesz, Wick?

No, to już jakiś postęp. Nie wstała, a nawet zadała mu pytanie z własnej woli. I wreszcie wymieniła jego imię.

- Programami komputerowymi.

- Sprzedajesz? - I piszę.

- Hmm.

- Co?

- Tak tylko myślę.

- Ale co?

- Nie widzę cię za biurkiem, pracującego przez cały dzień nad programem.

- Bardzo trafna uwaga. Moja praca jest cholernie nudna.

- Więc dlaczego jej nie zmienisz?


- Na razie się rozglądam. Chyba jeszcze nie znalazłem swojej niszy, że się tak wyrażę.

- Nie wiesz, kim chcesz być, kiedy dorośniesz? Roześmiał się.

- Mniej więcej.

Odsunął pustą czarę i oparł się o stół.

- Wczoraj, kiedy się pożegnaliśmy, byłaś chyba smutna. Pewnie bardzo lubisz



przyjeżdżać na ranczo.

- Bardzo. Kocham ten dom.

Po tym, co zobaczył, rozumiał dlaczego. W Fort Worth mieszkała w ładnym miejscu, ale ten dom podobał mu się bardziej. Typowy piętrowy wiejski dom z kamienia z miejscowych kamieniołomów, z cedrową stolarką i gankiem biegnącym naokoło. Skromny, lecz klasyczny. I bardzo obszerny jak na jedną osobę.

A może zamieszkiwał go ktoś jeszcze? Może Toby opiekował się nie tylko końmi? Wick założył, że wspomniana Corinne jest jego żoną, ale przecież równie dobrze mogła być terierką szorstkowłosą.

- Długo znasz Toby'ego i Corinne? - Tak.

- Mają dzieci?

- Troje. Właśnie urodził im się piąty wnuczek.

Dobrze. Więc to małżeństwo i raczej należało wątpić, by dziadzius Toby spędzał noce na ranczu Rennie.

- Nie boisz się tam mieszkać sama?

- Czego miałabym się bać? Wzruszył ramionami.

- Samotna kobieta. Wokół pustkowie. Szybko chwyciła torbę i odsunęła krzesło.

- Ludzie czekają na stolik. I czas wracać. Dzięki za deser.

Ruszyła do wyjścia. Prawie staranował czteroosobową rodzinę, żeby za nią nadążyć. Kiedy dobiegi do dżipa, Rennie siedziała już za kierownicą.

- Hej, powoli! Co takiego powiedziałem? - Nic.

- To czemu tak nagle uciekłaś?

- Muszę wracać, to wszystko.

- Rennie, śmignęłaś szybciej niż sprinter na olimpiadzie. O co ci chodzi?

Wbiła kluczyk w stacyjkę i odwróciła się do niego z płonąącym spojrzeniem.

- O tę sugestię, że potrzebuję czyjejs ochrony.

- Nic nie sugerowałem.

- Miałam cię poprosić, żebyś przyszedł mnie obronić?

- Rozmawiałem z tobą. Za dużo się dopatrujesz w niewinnych pytaniach. - Oboje szarpali za klamkę. - Słuchaj, skoro mowa o lękach, pomówmy o moich.

- Twoich?

- Tak. Przerażasz mnie. - Przestała szarpać drzwi i spojrzała na niego pytająco. -

Jesteś ode mnie bogatsza i mądrzejsza. - Zerknął na klamkę. - Niemal tak silna, jak ja, i

boję się, że w wyścigu byś mnie przegoniła.

Pochyliła głowę, ale zdążył dostrzec cień uśmiechu. Wykorzystał tę chwilową przewagę.

- Umów się ze mną na kolację, Rennie.

- Dlaczego?

- Choćby dlatego, że ten deser nie wystarczy mi na długo i wkrótce znowu będę głodny.

- Ten deser był moją kolacją.

- No dobrze, nie musimy jeść. Chodźmy do kina. Na spacer. Dokądkolwiek. Chcę spędzić z tobą trochę czasu.

Przekręciła kluczyk i uruchomiła silnik.

- Do widzenia, Wick.

- Poczekaj chwilę. - I dodał cicho: - Proszę... - To powstrzymało ją przed ponownym sięgnięciem do drzwi. - Dlaczego zawsze ode mnie uciekasz?

- Mówiłam ci. Nie jestem...

- Wiem, wiem, zainteresowana. Spotykasz się z kimś? - Tak.

Niech to nie będzie Lozada, pomyślał.

- Z pacjentami. Spotykam się z pacjentami.

- Codziennie jesz z nimi kolację? - Przywołał najlepszy uśmiech smutnego szczeniaczka, ale nie sprowokował jej nawet do cienia półuśmiechu.

Odwróciła się i przez chwilę patrzyła przez okno.

- Jesteś bardzo interesujący, Wick. - Dzięki. Ale...?

- Ale zostawmy wszystko tak, jak było wczoraj.

- Czyli nigdzie. - Tak.

- No, to mnie nie zadowala.

- Będzie musiało. Wtedy usiłowałam dać ci to jasno do zrozumienia. Nie mogę i nie spotkam się z tobą więcej. To bez sensu. - Spojrzała na niego i dodała: - Nie zmienię zdania.

Patrzył jej długo w oczy. Wreszcie sięgnął ku jej twarzy.

- Nie - szepnęła.

Ale nie dotknął jej. Odgarnął z policzka pasmo włosów i wsunął pod kapelusz. Jego ręka znieruchomiła tuż nad uchem i szybko się cofnęła.

- Pojadę za tobą do domu. Sprawdzę, czy dojechałaś bezpiecznie.



- Nie chcę.
- Przecież wiem, gdzie mieszkasz.
- Nie zaproszę cię do środka.
- Pojadę za tobą.

Cofnął się i zamknął drzwi. Ruszyła, nawet nie skinąwszy mu ręką. Mimo to dotrzymał słowa. Przez całą drogę jechał za nią, a kiedy zniknęła w garażu, zatrąbił klaksonem dwukrotnie, jakby na pożegnanie.

Rennie zadzwoniła do szpitala, żeby zapytać o stan zoperowanych pacjentów i usłyszała, że nic się nie dzieje. Stan pacjenta z usuniętą śledzioną się poprawia. Rokowania są pomyślne.

Ten telefon oficjalnie zakończył jej zawodowe obowiązki na ten dzień. Dziesięć minut później leżała już w gorącej kąpieli. Skupiła się na głębokim oddychaniu i rozluźnianiu mięśni, ale kiedy zamykała oczy, widziała Wicka Threadgilla i uśmiechała się wbrew sobie. Nie można było go nie lubić. Polubiła go bardziej niż kogokolwiek od bardzo dawna.

I dlatego już go nie zobaczy.

Jej zdolność do romansowania jakby zanikła. Zmarła wraz z Raymondem Collierem tego straszego popołudnia w gabinecie ojca. Ta strona jej samej zginęła równie nieodwracalnie jak Raymond.

Ale czy na pewno? Może tylko zapadła w letarg.

Tak skutecznie i długo zaprzeczała swoim naturalnym potrzebom, że teraz była już pewna, iż przestały dla niej istnieć. To, co dla większości kobiet było naturalne, jej nie dotyczyło. Nie potrzebowała nikogo i niczego z wyjątkiem pracy. Praca była jej spełnieniem. Tak brzmiała jej mantra.

I zaczęła brzmieć fałszywie.

Kiedy miała dwadzieścia lat, postanowienie, żeby nie wychodzić za mąż i nie zakładać rodziny wydawało się jej odważne. Teraz nabrała wątpliwości. A może tą decyzją tylko sobie zaszkodziła? Z czasem granica między niezależnością i samotnością stała się tak cienka, że prawie niezauważalna.

Ten mężczyzna, ten Wick Threadgill o długich nogach i rozwichrzonych jasnych włosach obudził w niej pragnienia, które od dawna uważała za martwe. Nie chciała się z nim rozstawać. Polubiła jego towarzystwo, ale bała się tego, co czuła, gdy spoglądał na nią w pewien szczególny sposób.



Jego pocałunki są pewnie tak samo upajające jak uśmiech. Choć to jasne, że do pocałunku nigdy by nie dopuściła. Ale to było przyjemne, gdy poprawił jej pasmo włosów, leciutko odwrócił głowę i musnął dłonią policzek. Tylko przez chwilę. Tylko...

Zadzwoił telefon.

Poderwała się, rozpryskując wodę. Może to Wick. Może okazał się na tyle arogancki i uparty, żeby znowu spróbować.

Ale to może być także Lozada.

Na identyfikatorze nie pojawił się żaden numer. Zawahała się, odkaszlnęła i podniosła słuchawkę.

- Rennie, wszystko w porządku?



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lozada zadrzał z rozkoszy, słysząc jej zdyszany oddech. Tylko seks albo strach potrafią zmusić kobietę, by tak oddychała. W przypadku Rennie podobały mu się obie możliwości.

- Dlaczego pan do mnie dzwoni, skoro powiedziałam wyraźnie, że sobie tego nie życzę?

- Martwiłem się o ciebie, Rennie. Dzwonię, by sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Dlaczego miałyby nie być?

- Ze względu na towarzystwo, w jakim się obracasz.

Nie wierzył własnym oczom, gdy dziś wróciła do domu w asyście Threadgilla. Mógłby uznać ich spotkanie na weselu za przedziwny zbieg okoliczności, ale dwa razy z rzędu? To mu śmierdziało na kilometr policyjnym podstępem.

Threadgill zatrąbił dwa razy, odjeżdżając. Sukinsyn ocalił życie tylko dlatego, że nie wszedł do domu z Rennie. Ale gdzie byli? Ile czasu spędzili razem? Godzinę? Dzień? Co robili?

Rozważył już kilka sposobów zabicia Wicku Threadgilla. Który sprawiłby mu największy ból? Chciał, żeby jego śmierć była bolesna, o tak, ale to musi być coś więcej niż zwykle męczarnie. Pragnął, żeby była haniebna. Nie zamierzał robić z Threadgilla męczennika.

Nie mógł powtórzyć tego, co zrobił jego bratu. To by oznaczało brak inwencji, a Lozada szczyił się twórczym podejściem do zawodu. Postanowił opracować unikalną, wyjątkową metodę. Może zaangażuje któregoś skorpiona ze swej kolekcji. Już sam strach potrafi upokorzyć.

Bez względu na metodę, zabicie Wicka Threadgilla powinno być arcydziełem, szczytowym osiągnięciem jego kariery. Musi się zastanowić i bardzo dokładnie wszystko przemyśleć.

Oczywiście, gdyby Threadgill wszedł z Rennie do domu, Lozada byłby zmuszony zadziałać natychmiast, zabić ich oboje. Threadgilla za kradzież, Rennie za niewierność.

Wtedy przyszło mu do głowy, że Rennie może być zupełnie niewinna. A jeśli nie wie, że Threadgill jest gliną? Mógł się nią posługiwać w nadziei dotarcia do niego. Chciałby w to uwierzyć. I żeby się upewnić, zadzwonił do niej.



- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała. - Poza tym nic mnie to nie obchodzi.

- Nie pochwalam twoich znajomości.

- Nie obchodzi mnie, co pan pochwała. Po raz ostatni powtarzam: proszę mi dać spokój!

- Nie podoba mi się, że się pokazujesz z policjantami. Jej milczenie, nagłe i zupełne, zdradziło zaskoczenie.

- A już szczególnie nie podoba mi się, że zadajesz się z Wickiem Threadgillem. To przegrany facet, Rennie. Nie jest ciebie wart. Nie jest wart nas.

Minęło parę sekund. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał słabo. - Wick...? Jest...?

Lozada uśmiechnął się szeroko. Więc miał rację. Nie wiedziała.

- Biedactwo. Myślałem, że wiesz.

- A co się stało potem?

- Już mówiłem. Z dziesięć razy. - Wick potarł oczy. Z niewyspania czuł w nich piasek.

- Powiedz jeszcze raz.

- Kiedy wyszliśmy ze stajni, poszła do domu. Nie zaprosiła mnie do środka.

- Myślisz, że ktoś tam był?

- Nikogo nie widziałem. Nie zauważyłem żadnego samochodu. Nie mam powodu przypuszczać, by ktoś tam był, ale głowy nie dam. Zadowolony?

- Dlaczego cię nie zaprosiła?

- Podejrzewam, że z rozsądku. Zna mnie od wczoraj. Przelotnie. A ja pojawiłem się na jej ranczu z jakimś nieprawdopodobnym wyjaśnieniem, jak ją znalazłem. Gdybym był kobietą, sam bym siebie nie zaprosił.

- Słusznie. Dalej.

- Mam pytanie - odezwał się Thigpack. - Widziałeś tam gdzieś broń? Wick strzelił palcami.

- Skoro pytasz, chowała uzi do dzinsów.

Thigpack wymamrotał coś pod nosem. Oren rzucił Wickowi znużone spojrzenie i dał znak, by mówił dalej.

- Zapomniałem, gdzie przerwaliśmy.

- Ona weszła. Ty zostałeś.

- Tak. Potem pojawił się ten stary. Toby Robbins. Wielkie, silne chłopisko. - Streścił ich rozmowę. - Bardzo opiekuńczy wobec niej i bardzo nieufny wobec mnie.

Dziwnie na mnie patrzył.

- Bo jesteś dziwny.

Thigpack nie dawał o sobie zapomnieć, choć Wick starał się nie zwracać na niego uwagi. Miał nadzieję, że zanim wróci, Thigpack pojedzie do domu. Nie miał tego szczęścia.

Zauważył także, że fotografie Rennie, które zerwał ze ściany, zostały wygładzone i na powrót pieczołowicie przyklejone. Nie skomentował tego. Nie chciał dawać satysfakcji zбочeńcowi.

- Zwróćcie mi za naprawę furgonetki? - spytał, zmieniając temat.

Oren machnął lekceważąco ręką.

- Kazałem ci zbadać teren. Nie przewidziałem, że zorganizujesz sobie randkę.

Wick przewrócił oczami.

- Mamy różne pojęcia na temat randek. Nie wiedziałem, że ją spotkam. Ten wyścig wydarzył się jakoś mimochodem, a polem już poszło. Podałem się prądowi. Nie zrobiłem tego dla przyjemności.

Ale ze mnie kłamczuszek, pomyślał. Widok Rennie krzątającej się wokół koni był bardzo przyjemny. Cokolwiek miała na sumieniu, kimkolwiek była, z tymi zwierzętami łączyła ją wzajemna miłość. Tylko wtedy widział ją tak zadowoloną, szczęśliwą i spokojną.

Nie przeszkadzał mu zapach stajni. Najślabszy powiew końskiej woni budzi w każdym Tekszańcyku kowboja. A te konie były czyste i wypieszczone. Widok Rennie zaś, jadącej na oklep, też bynajmniej nie sprawiał przykrości. Ale nad tym Wick nie śmiał się zastanawiać dłużej.

- Nie uważam czyszczenia stada koni za randkę.

- Poleciałeś na lody?

- W tej lodziarni obsługa nosi pasiaste koszule i czapki z daszkiem. To nie to samo, co kolacja przy świecach i winie. Tego także nie uważam za randkę.

- Randka jest wtedy, jak bzykniesz panienkę. - Thigpack! - Oren odwrócił się gwałtownie. - Przymknij się, dobrze? Wick podniósł się z zaciśniętymi pięściami.

- Wiesz, Świniak, ja przynajmniej mogę kogoś bzyknąć. Natomiast jak twoja żona odnajduje fiuta pod tym sadłem, pozostaje dla mnie tajemnicą. Jeśli w ogóle ma ochotę szukać, w co wątpię.

- Na miłość boską, zamkniecie się czy nie? - warknął Oren. - Mamy tu robotę.

- Ja nie. Wychodzę.

- Wick, poczekaj!

- Nie spałem od dawna. Jestem zmęczony.

- Wiem, jak my wszyscy. Nie ma powodu się złościć. - Etap złości minąłem bardzo dawno. Nie spałem od... hej, nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem. Idę do tak zwanego domu i będę spać do jutra. Na razicho.

- On był współnikiem jej ojca.

To proste zdanie zatrzymało Wicka w pół kroku. Pozbawiło go także determinacji. Osunął się na metalowe krzesło, odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy. Miał przeczucie, o kim mowa, ale zapytał:

- Kto był współnikiem jej ojca?

- Gościu, którego stuknęła nasza pani doktor.

Wick nie zwrócił uwagi na Thigpacka i spojrzał na Orena, który skinął poważnie głową.

- Przesiedziałem parę godzin w naszej bibliotece miejskiej. Musiałem się cofnąć o parę lat, żeby znaleźć ten artykuł, ale napisali o tym w gazetach.

- O tych najbardziej pieprznych zawsze piszą - wypowiedział się Thigpack. - A to było pieprzne.

Oren rzucił mu następne ostrzegawcze spojrzenie, po czym odwrócił się do Wicka.

- Nazywał się Raymond Collier. Został postrzelony i zabity w gabinecie domowym T. Dana Newtona. Na miejscu tragedii była obecna szesnastoletnia Rennie.

Szesnastoletnia? Jezu!

- I?

- Co i?

- Gdzie szczegóły?

- Nieliczne i niejasne - powiedział Oren. - Przynajmniej według „Star - Telegram”. Nie mogę rozpocząć prawdziwych poszukiwań od jutra. Nie chcę dzwonić do wydziału w Dalton, chyba że będę mógł porozmawiać z kimś na osobności. Wolę, żeby to się nie rozniosło. Jeśli ludzie zaczną plotkować, że prowadzimy śledztwo w jej sprawie, to się źle dla nas skończy. - Przez chwilę przyglądał się Wickowi. - Pewnie ci się nie zwierzyła, co?

Wick milczał przez parę sekund, chcąc się zorientować, czy Oren nie żartuje.

Kiedy okazało się, że nie, parsknął śmiechem.

- No jasne, zaczęła mi się zwierzać w trakcie dyskusji, czy woli lody truskawkowe, czy z polewą *toffi*. - Oren zmarszczył brwi z dezaprobatą. - Nie, nie zaczęła mi się zwierzać i nie wspomniała o niczym, co miało miejsce, kiedy liczyła sobie szesnaście lat - powiedział Wick ze zmęczeniem.

- Nie mówiła o Lozadzie?

- Nie, Świniak, nie mówiła.

- A o procesie? Ławie przysięgłych? - Nie i nie.

- Byłeś z nią strasznie długo. O czym żeście mówili przez tyle czasu?

- O naczelnym, i że ciągle ewoluują. Nawet padło twoje nazwisko.

- Wick - upomniał znękany Oren. Wick nie wytrzymał.

- Co on bredzi? Dlaczego miałyby mówić o Lozadzie?

- Więc o czym mówiliście?

- O jej koniach. Domu. O tym, że je lubi. O mojej nudnej pracy programisty. O niczym szczególnym. Ludzie tak robią, kiedy chcą się bliżej poznać.

- Ale to nie była randka. - Thigpack chrząknął jak prawdziwy świniak.

Wick znowu poderwał się z miejsca.

- Nie będę tego słuchać.

- Chcę tylko wydobyć z ciebie pierwsze wrażenia! - krzyknął Oren.

- Chcesz znać moje wrażenia? Proszę bardzo. Pierwsze: to nie ona. Myślę, że jej związek z Lozadą zakończył się w chwili, gdy sędzia walnął młotkiem pod koniec rozprawy. A skoro mowa o Lozadzie, czy ktoś go w ogóle obserwuje?

- Jego mercedes stał przez cały dzień w garażu - zaraportował Thigpack.

- Nieważne - mruknął Wick. - Śledzenie Rennie Newton to strata czasu. Głupia i bezsensowna. Ona nie wygląda na morderczynię. Nie zachowuje się jak ktoś, kto właśnie zamordował własnego kolegę. Czy zrobiła coś, co mogłoby obudzić podejrzenia? Nic. Zupełnie nic, do cholery. W jej życiu nic się nie zmieniło od chwili, kiedy zaczęliśmy ją obserwować. A kiedy my tu zdychamy z nudów, obserwując jej życie, morderca doktora Howella śmieje się w kułak, bo mu się upiekło. Pytałeś o moje wrażenia. Proszę bardzo.

- Chcesz dopaść Lozadę tak jak ja albo jeszcze bardziej.

- No, myślę, że tak! - krzyknął Wick. - Ale ona nie ma z nim nic wspólnego.

- Tego nie mogę potwierdzić.

- To już twój problem. - Wick chwycił kapelusz.



- Wychodzisz?
- Bingo.
- Wracasz do domu?
- Znowu trafiony.
- Na Galveston?
- Pożegnaj Grace i dziewczynki. - Wick...
- Na razie, Oren.

Odwrócił się w stronę schodów, ale nie zaszedł za daleko. Na najwyższym stopniu stała Rennie.

Oren i Thigpack dostrzegli ją w tym samym czasie. Thigpack wymamrotał coś, czego Wick nie dosłyszał przez szum w uszach. Oren, który zwykle chodził dumnie wyprostowany, spuścił głowę jak chłopak przyłapany ze świerszczykiem w rękach. Napięta atmosfera stała się nie do wytrzymania, stęchłe powietrze wydawało się zbyt gęste, by można było nim oddychać.

Powiodła po nich spojrzeniem. Jej oczy odnalazły Wicka.

Zrobił krok w jej stronę.

- Rennie...

- Ty cholerny kłamco.

Uznał, że najmądrzej będzie teraz milczeć. Zasłużył na jej wściekłość.

Przeszła przez pokój i podniosła do oczu noktowizjer. Spojrzała w stronę swego domu. Wick dostrzegł, że jej ramiona lekko drgnęły, ale tylko przez chwilę. Odłożyła noktowizjer i odwróciła się do nich. Wtedy ujrzała zdjęcia, którymi Thigpack wytapetował ściany - zdjęcia, przedstawiające ją w różnych stadiach neglizju.

Jej usta rozchyliły się, a z twarzy odpłynęła krew, ale raz jeszcze tę odruchową reakcję zastąpił słuszny gniew.

- Kto tu jest najwyższy stopniem? Kto jest za to odpowiedzialny?

- Ja - odezwał się Oren. - Skąd pani wiedziała, że tu jesteśmy?

Zerknął podejrzliwie na Wicka.

Wick odpowiedział wzrokiem mówiącym: „Chyba mnie znasz”.

Rennie prawidłowo zinterpretowała tę wymianę spojrzeń.

- Zapewniam pana, że pan Threadgill jest mistrzem podstępu. Może być pan z niego bardzo dumny.

- Więc skąd pani...



- Teraz moja kolej na zadawanie pytań - warknęła. - W jaki sposób wytłumaczy pan obserwację mojego domu?

- Mamy wiele nierozwiązanych kwestii odnośnie zabójstwa doktora Howella.

- I spodziewacie się je rozwiązać, podglądając mnie?

- Tak sądziliśmy. - I udało się? - Nie.

- Podśłuchiwaście moje rozmowy telefoniczne? - Nie.

- Szpiegowaliście mnie w pracy?

- W pewnych granicach - przyznał.

- Pogwałciliście moją prywatność w najbardziej odrażający sposób. Pańscy zwierzchnicy mogą się spodziewać wizyty mojego prawnika jutro z samego rana.

- Moi zwierzchnicy zgodzili się na tę obserwację.

- To nie jest obserwacja, to podglądanie. To... - Rzuciła okiem na fotografie i, zbyt rozgniewana, by mówić dalej, ruszyła do wyjścia. - Mój prawnik się z wami skontaktuje.

Zbiegła po schodach.

- No, to wpadliśmy jak śliwka w...

Wick nic był zainteresowany wrażeniami Thigpacka. Zbiegł po schodach w ślad za Rennie i dogonił ją na chodniku przed domem. Chwyił ją za ramiona, żeby przystanąła.

- Rennie.

- Puszczaj!

- Chcę się wytłumaczyć. - Usiłowała się wyrwać, ale nie puszczał. - Słuchaj, muszę to powiedzieć.

- Nie interesuje mnie, co musisz.

- Rennie, proszę. - Idź do diabła.

- Nie jestem z siebie dumy.

Przestała się wyrwać i spojrzała mu prosto w oczy.

- A powinien pan, panie władzo. Tak przekonująco odegrał pan rolę przystojnego nieznajomego przybysza. Aleja nie byłam dla ciebie nieznajoma, co? Znałeś mnie ze zdjęć na tej waszej ścianie.

- Nie dziwię się, że jesteś na mnie zła.

- Nie pochlebiaj sobie. - Wyrwała mu ramię. Oczy jej płonęły. - Nie jesteś dla mnie na tyle ważny, żebym miała się na ciebie złościć. Nie zależy mi na tobie. Żałuję tylko, że cię w ogóle poznałam. I nie chcę cię więcej widzieć. Ani przypadkiem, ani w ogóle. Nigdy.

Nie próbował jej zatrzymać. Patrzył za nią, kiedy się odwróciła i odbiegła. Patrzył, dopóki nie znikła za rogiem.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miał ochotę się upić.

Dla zrealizowania tego niezbyt ambitnego projektu wybrał bar na Sundance Square. W tej to popularnej speluncie siedział zgarbiony nad którąś z kolei whisky.

Właściwie powinien wybrać inne miejsce. Wolałby knajpę bardziej zaniedbaną, gdzie drinki są mocniejsze, muzyka smutniejsza, a klienci bardziej nieszczęśliwi. Ale to tętniące życiem miejsce znajdowało się dokładnie naprzeciw Trinity Tower, gdzie Ricky Roy Lozada wiódł życie cholernego milionera, którym się stał dzięki sukcesowi w sektorze morderstw na zlecenie.

Bogactwo Lozady jeszcze bardziej psuło mu humor, a zły humor wydawał się dziś uzasadniony i wręcz pożądany.

Ze względu na bliskość luksusowego lokum Lozady oraz ogólnie podłe samopoczucie Wick uznał, że odrobinę lepiej poczuje się dopiero po kilku bourbonach.

- E, kowboju, czemu pijesz sam?

Młoda kobieta, która ciężko usiadła na stołku obok niego miała czarne farbowane włosy i czerwony podkoszulek, na którym widniały litery ze srebrnego brokatu, układające się w napis: SPOKO, SA PRAWDZIWE.

- Ostrzegam cię, słonko, nie jestem dzisiaj miły. Dlatego piję sam.

- Zobaczymy. Zakładam się, że potrafię znieść twoje towarzystwo.

Wzruszył ramionami i skinął na barmana. Zamówił bourbona z lodem, tak jak on. Podziękowała.

- Jestem Sally.

- Miło cię poznać, Sally. Jestem Wick.

- No, to czemuś taki markotny, Rick? Pokłóciłeś się z małżonką? Nie poprawił jej.

- W pewnym sensie.

- Kiepska sprawa.

- Myślę.

- O co poszło?

- Klótnia? Zrobiłem coś głupiego. Zataiłem coś. Straciła do mnie zaufanie. No, wiesz.

- Faceci już tacy są - powiedziała z rezygnacją zrodzoną z doświadczenia. - Nie wiem, dlaczego.



- Natura bydłęcia.

- Pewnie tak, bo wszyscy jesteście tacy sami. - Siorbnęła drinka i spróbowała go rozweselić szerokim uśmiechem. - Zmiana tematu. Co porabiasz?

- Kiedy?

- Zawodowo, głuptasie.

- A. Już zgadłaś. Jestem kowbojem.

- Naprawdę? Tylko żartowałam. Prawdziwy kowboj?

- Aha. Na przykład dziś rano pracowałem w stajni, zgrzebla, siano i tak dalej.

W myślach porównywał Rennie, przemawiającą czule do koni z tą, która tak brutalnie skarciła trójkę najdzielniejszych policjantów Fort Worth. Doktor Newton nie tylko potrafiła sprawnie władać skalpelem; umiała równie skutecznie ciąć słowem. Opędził się od tych wspomnień i, odwracając role, spytał Sally o jej zawód.

- Jestem tancerką egzotyczną. - Uśmiechnęła się znacząco i poruszyła w sposób, który roziskrzył migotliwe litery.

Nie zrobiła na nim wrażenia, ale pozwolił jej wierzyć, że jest inaczej. Nie ma powodu, żeby i ona poczuła się jak śmieć.

- Kurczę.

Zachichotała z zadowoleniem.

- Gdzie występujesz? Jej uśmiech zbladł.

- No, wiesz, na razie jeszcze nigdzie. Ciągle chodzę na przesłuchania. Na razie pracuję dorywczo. Tam. Sprzątam apartamenty. - Skinęła głową w stronę wieżowca.

Instykt Wicka okazał się silniejszy od bourbona. Kazał mu natychmiast wytrzeźwieć. Uśmiechnął się do dziewczyny, usiłując skryć nagle obudzoną ciekawość.

- Daj mi znać, kiedy znajdziesz pracę. Chciałbym cię wkrótce zobaczyć.

Położyła mu rękę na udzie.

- Może dałabym prywatny występ... Na koszt firmy.

- Gdzie? Tam? - Machnął ręką w stronę wieżowca. - Mieszkaś tam?

- Jasne - prychnęła. - Na pewno mnie na to stać.

- Rany, zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda taki wieżowiec od środka. - Obrzucił fasadę budynku tęsknym spojrzeniem. - Ciekawe, czy rzeczywiście jest taki elegancki.

- No pewnie, Francja - elegancja. Tam mieszkają tylko bogacze.

- Na przykład? Rozejrzała się nieufnie.



- Nie powinnam rozmawiać o lokatorach. Jakby nas przyłapali, toby nas wsadzili do pierdła, nie ma zmiłuj.

- No, myślę. Dobrze to rozumiem.

- Chodzi o ich prywatność.

- Właśnie. - Odwrócił się w stronę telewizora za barem i udał, że nagle bardzo go zainteresowało *Siedmiu wspaniałych* z wyłączonym dźwiękiem.

- Ale ty jesteś swój człowiek. - Sally trąciła go kolanem. Gdy znowu na nią spojrział, pochyliła się tak nisko, że poczuł na policzku muśnięcie oddechu i ciężar piersi na ramieniu.

- Znasz tego wyścigowca?

Wick wymienił nazwisko kierowcy mieszkającego w Fort Worth. Sally przytaknęła z entuzjazmem. - Numer 10 B.

- Serio? Jaki jest?

- Miły. Ale ta jego żona... - Skrzywiła się. - Straszna suka.

- A inni?

- Przez jeden sezon mieszkał tam pewien baseballista, ale się wyprowadził, jak go sprzedali. Na piątym piętrze jest taka starsza pani, które grała w *Dallas*, ale nie wiem kogo ani jak się nazywa.

- Hmm... - Udał, że znowu stracił zainteresowanie i spojrział na zbliżenie stoickiej twarzy Yula Brynnera. Piersi mocniej napały na jego ramię, a dłoń Sally przesunęła się ku jego kroczu.

- Pamiętasz, w dzienniku mówili, że jeden facet uniknął oskarżenia o morderstwo?

Wick starał się zachować kamienną twarz.

- O morderstwo? Nie wiem. Kiedy?

- Parę tygodni temu. Nazywa się Lozada.

- A, tak, chyba coś widziałem. Znasz go?

Przesunęła się tak blisko niego, że właściwie powinna spaść ze stołka.

- Jest moim... jesteśmy blisko. Mieszka na piętrze, na którym pracuję. Na ostatnim. Jestem u niego bez przerwy. Nie tylko po to, żeby sprzątać. - Uniosła znacząco brew.

- Chyba żartujesz. Morderca?

- Cśśś. - Znowu rozejrzała się nerwowo. - Uniewinnili go, pamiętasz? A teraz ja i on... - Zachichotała.



- No, coś ty - parsknął Wick.

- Jak Boga kocham.

Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Robi to jakoś inaczej niż, no, wiesz, normalny facet? Zastanowiła się poważnie.

- Chyba nie. Właściwie tak samo. Różnił się tylko parę razy. Na ogół woli, żebym mu obciągała. I jest coś dziwnego. - Pochyliła się jeszcze bardziej. - On tam nie ma włosów.

- Dlaczego, co mu się stało? - Goli je.

Wick otworzył usta.

- Przestań!

- Serio.

Spojrzał na nią z szacunkiem i podziwem. - I jesteś jego dziewczyną.

- No, nieoficjalnie. - Spuściła oczy i przesunęła palcem po jego ramieniu. - Oczywiście on za mną szaleje i w ogóle, ale nie lubi okazywać uczuć, wiesz?

- Widziałaś go kiedyś z inną kobietą? - Nie.

- Nie przychodzą do niego? - Nie.

- Jesteś pewna?

- Jasne. Widziałabym, mam pamięć do szczegółów. W jego mieszkaniu nigdy nie było śladu kobiety, a wierz mi, kiedy u niego sprzątam, wszystko sprawdzam. Zawsze uważam, żeby nie dotknąć tych jego cholernych skorpionów. Gdyby któryś uciekł, pewnie bym się posikała ze strachu.

- Trzyma w domu skorpiony?

Wick wiedział o fascynacji Lozady, ale z nowym dreszczem wysłuchał opowieści Sally o szklanym pojemniku z regulatorem temperatury.

- Jak tam jestem, mam oczy dookoła głowy.

- A telefon?

- Co telefon?

- Odbierasz jego telefony?

- No co ty? Przecież by mnie wylali. Poza tym korzysta tylko z komórki.

- Słyszałaś, jak przez nią rozmawiał?

- Raz, ale nie wiem, co powiedział.

- Więc nie wiesz, czy nie rozmawiał z kobietą? Cofnęła się lekko i spojrzała na niego dziwnie.



- E, o co ci chodzi? - Uśmiechnął się i poklepał ją po ręce, która nadal spoczywała na jego udzie.

- Chcę ci tylko pomóc, Sally. Szukam dowodów na to, że gość spotyka się z inną. Ale zdaje się, że jednak nie masz konkurencji .

Przysunęła się znowu. Teraz na jego ramieniu spoczęły obie piersi.

- Fajny jesteś, Rick. Chcesz do mnie pójść? Mam flaszkę.

- Wiesz, nie chcę, żeby ten cały Lozada się po mnie przejechał.

- Z innymi też się spotykam.

- Myślałem, że go lubisz.

- Lubię. Jest przystojny i strasznie fajnie się ubiera. - I jest bogaty.

- Pewnie!

- To o co ci chodzi?

- Bo wiesz... trochę się go boję.

- Chyba cię nie bije?

- Nie. No, nie dosłownie. To znaczy, wiesz, właściwie to mnie nie uderzył, ale wczoraj, kiedy mi zakazał gadać...

- Wick, do cholery, co tu robisz?

Wick się odwrócił. Za jego plecami stał wściekły Oren. Sally spojrzała na niego spodoba.

- Kto to? - spytała z rozdrażnieniem.

- Mój partner. Oren, to jest Sally.

- Powiedziałeś: partner? - Tak.

- Jesteś ciotą?

Na jej wrzask odwrócili się prawie wszyscy w barze. Nawet Steve McQueen jakby wychylił się z ekranu. Sally zeskoczyła ze stoika tak energicznie, że jej piersi, z których była tak dumna, zakołysały się ciężko jak balony z wodą. Pomaszerowała do wyjścia, głośno stukając obcasami.

- Ale chciałbym zobaczyć, jak tańczysz - zawołał za nią Wick.

- Ugryź się! - wrzasnęła przez ramię.

Oren chwycił Wicka za kołnierz i wywlókł na zewnątrz. Popchnął go tak, że prawie przewrócił.

- Szukam cię po całym mieście! Wick odwrócił się w ułamku sekundy.

- Popchnij mnie jeszcze raz, a pożałujesz.



Oren wyglądał tak, jakby chciał go nie tylko popchnąć, ale zdzielić.

- Wszyscy policjanci w mieście szukają twojej furgonetki!

- Po co?

- Bo nie ufam ci i nie wiem, czy znowu czegoś nie zmalujesz! - Oren odetchnął parę razy, jakby usiłował opanować gniew. - Co się z tobą dzieje?

- Nic.

- Nic, akurat. Jesteś wściekły, drażliwy, konfliktowy. Ciągłe się kłócisz. Thigpack słusznie nazywa cię dupkiem.

- To idź się mu oświadczyć i razem pieprzcie się do utraty tchu. Ja wracam do domu.

Oren chwycił go za ramiona i, pomimo ostrzeżenia, uderzył nim o ścianę. Przygwoździł go do niej, miażdżąc mu ramieniem klatkę piersiową. Dorastał w złej dzielnicy pełnej gangów i narkotyków, był równie twardy jak przestępcy i z czasem zyskał sobie pełen obawy szacunek najgroźniejszych z groźnych. On i Joe.

- Tym razem tak tego nie zostawię. Nie ma tak dobrze. Coś cię gryzie jak cholera i chcę wiedzieć, co to jest. Gdyby Joe tu był...

- Ale go nie ma! - krzyknął Wick.

- Gdyby był - odkrzyknął Oren - wytłukłby to z ciebie! - Zostaw mnie, do cholery! - Wick odepchnął go. Wiedział, że zdołał to zrobić tylko dlatego, że Oren mu na to pozwolił.

- Chodzi o nią? Wick się odwrócił.

- Kogo?

Oren pokręcił głową i spojrzał na niego z rozdrażnieniem i współczuciem.

- Nie zajmuj się nią. To dziwka przebrana za lekarkę. Wick się zamachnął, ale ostatni bourbon wreszcie uderzył mu do głowy. Pozbawił go szybkości i celności. Cios trafił Orena w ramię, dobrze izolowane grubą warstwą mięśni. Pięść Orena wylądowała na brodzie Wicka, nieizolowanej niczym. Wick usłyszał trzask pękającej skóry. Bluznęła krew.

Oren podtrzymał go litościwie za koszulę, kiedy kolana się pod nim ugięły. Przyciągnął go do siebie, zbliżył twarz do jego twarzy.

- Parę dni przed śmiercią Raymonda Colliera jego żona zażądała rozwodu. Jako powód podała zdradę małżeńską. Zgadnij, kto był tą trzecią.

Nie chcąc zwymiotować na chodnik, Wick odepchnął Orena, odwrócił się i pobiegł na parking, gdzie zostawił furgonetkę. Oren nie zadał sobie aż tak wiele trudu, żeby go

znaleźć.

- Wick!

Zatrzymał się, odwrócił i wymierzył palec w Orena.

- Jeśli jeszcze raz ją tak nazwiesz...

Ciężko mu się oddychało. Prawdę mówiąc, dyszał. Nie zdołał wyartykułować ostrzeżenia z zamierzoną mocą. Musiał uciekać, i to szybko. Więc zadowolił się tylko słabym:

- Przestań, Oren. Przestań.

- Nie powinieneś prowadzić, Wick. Zawiozę cię do motelu. Albo do mojego domu.

Wick odwrócił się i poszedł przed siebie.

Lozada, siedzący za kierownicą dżipa, obserwował z zainteresowaniem scenę pomiędzy Wickiem i dawnym partnerem Joego Threadgilla, Orenem Wesleyem. Znajdował się poza zasięgiem słuchu, ale widać było, że to kłótnia.

Ku zachwytowi Lozady, zaczęli się nawet bić. Tego się nie spodziewał. Rozłam w szeregach! Kłótnia przyjaciół! Wick Threadgill wkurzył całe swoje otoczenie. Doskonale.

Miał już niekłamana przyjemność zdekonspirowania Wicka przed Rennie. Jeszcze nie ochłonęła, a już dodał następny cios: policja ją obserwuje.

Kiedy Wick odjechał, pożegnawszy ją uroczym dwukrotnym sygnałem klaksonu, Lozada ruszył za nim do rzekomo remontowanego domu. Ponieważ sam także był obserwowany, rozpoznał nieomylnie znaki: trzy zaparkowane samochody, w tym także furgonetka Wicka. Materiały budowlane rozrzucone na podwórku, ale żadnych śladów postępujących prac. Pusty śmietnik. To tylko rekwizyty, niezdarne policyjne wysiłki, by oszukać Lozade. Co za idioci. Jak mogli myśleć, że im się uda?

- Obserwują cię z pobliskiego domu - powiedział Rennie.

- Pan kłamie.

- Chciałbym, moja droga.

- Dlaczego mieliby mnie obserwować?

- Może z powodu twojego zamordowanego kolegi.

- Nie wierzę - wycedziła.

Kłamała. W chwilę potem wypadła pędem z domu i pobiegła prosto do wskazanego przez niego budynku. Pozostała w nim parę minut, po czym wyszła, wyraźnie wzburzona, z Threadgillem następującym jej na pięty.

Nie zwrócili uwagi na zaparkowanego w pobliżu dżipa. Nie było dowodów na to,

że jego posiadaczem jest Lozada. Policja nie miała o niczym pojęcia. Śledzili jego mercedesa, na co przyzwalał, ale kiedy nie chciał mieć świadków, wyjeżdżał dziupem.

Zaparkował w miejscu, z którego słyszał rozmowę Rennie z Wickiem. Powiedziała, że nie chce go więcej widzieć. Boże, co za szczęście - jego Rennie odprawia Wicka Threadgilla w sposób zrozumiały nawet dla policjanta - półgłówka.

Wróciła do siebie. Lozada pragnął nade wszystko odwiedzić ją i przystąpić do drugiego etapu uwodzenia, ale z konieczności musiał się zająć Threadgillem. Pojechał za nim aż do baru, gdzie Threadgill niewątpliwie przystąpił do topienia smutków w alkoholu.

Biedaczek, pomyślał Lozada, patrząc, jak Wick oddala się wielkimi krokami od Wesleya. Najpierw dostał kosza od Rennie, teraz stary przyjaciel kazał mu spadać. Ten pewny siebie drań już nie był taki pewny.

Pukanie do okna poderwało go z miejsca. W ułamku sekundy lufa małego pistoletu była wycelowana w zdumioną twarz Sally Horton.

- Jezu, to tylko ja - zawołała. - Tak myślałam, że to ty, ale nie byłam pewna. Co tu robisz?

Lozada miał ochotę udusić ją na miejscu za to, że zwróciła na niego uwagę. Wesley był nadal po drugiej stronie ulicy. Rozmawiał z policjantem z patrolu rowerowego.

- Spadaj.

- A nie mogłabym wsiąść? - jęknęła.

Lozada sięgnął do klamki i otworzył drzwi. Wolał, żeby babsko wsiadło, a nie wrzeszczało do niego przez okno. Usadowiła się.

- A gdzie mercedes? Choć ten też jest super. - Przejechała ręką po mięciutkiej skórzanej tapicerce.

Lozada nie odrywał wzroku od Wesleya. Poszła za jego spojrzeniem. - To gej.

Obejrzał się na nią. - Co?

- Ciota.

Wesley był ojcem rodziny. Lozada musiał wiedzieć takie rzeczy, tego wymagała jego profesja. Wesley miał żonę i dwie córki.

- Dlaczego tak myślisz?

- Przez tego faceta, którego poznałam w barze. Postawił mi drinka i bardzo fajnie nam się rozmawiało, aż się pojawił ten tam. Wściekły jak diabli. I co się okazuje? Są

partnerami.

Czyżby rozmawiała z Tbreadgillem? Postawił jej drinka?

- Tamten pierwszy też był czarny? Pokręciła głową.

- Blondyn, niebieskie oczy. Kowboj. Twardy, ale słodki. Threadgill.

- Nie zamierzam się wiązać z pedałkami. Niech sobie będzie słodki, beze mnie. -

Pogłaskała jego rozporek. - Wiesz, ta twoja broń mnie kręci. I twój pistolet też. -

Roześmiała się z własnego żartu.

- O czym rozmawialiście?

- Z kowbojem? Opowiedziałam mu, że chcę zostać tancerką. A potem o facecie, którego lubię i który lubi mnie. - Mrugnęła do niego. - Zgadnij, kto to?

Lozada uśmiechnął się z przymusem.

- Może ja? Uścisnęła go żartobliwie.

- A on powiedział...

- Ten kowboj?

- Tak, powiedział, że skoro nie przyjmujesz u siebie żadnych kobiet, to pewnie nie mam konkurencji. I co ty na to?

Lozada dotknął jej sutka pod idiotycznym podkoszulkiem.

- Skąd wiedział, że nie przyjmuję kobiet? Spytał?

- Tak, ale powiedziałam... - Nagle urwała, spojrzała z lękiem i zmieniła kurs. - Nic nie powiedziałam. Prosiłeś, żebym o tobie nie rozmawiała, to nie rozmawiam. Wcale nie wymieniałam twojego nazwiska.

- Grzeczna dziewczynka. - Zaczął drażnić jej sutek tak mocno, że się skrzywiła. - Rozgrzałaś mnie.

- Hmmm. Widzę.

- Chodźmy w jakieś ustronne miejsce.

- Możemy to zrobić tutaj.

- Nie to, co mi przyszło do głowy.

Rennie spojrzała na budzik. Minęła trzecia rano, a ona ciągle nie mogła zasnąć. Za kwadrans szóstą miała wyjechać do szpitala. Poprawiła poduszkę, wygładziła prześcieradło, które zmięło się od jej niespokojnych ruchów i zamknęła oczy. Postanowiła, że oczyści umysł z wszelkich myśli, by móc zasnąć.

Pół godziny później poddała się. Poszła do kuchni, napełniła elektryczny czajnik wodą i włączyła go. Zaczęła przygotowywać herbatę, ale ruchy miała niezdarne,

pozbawione koordynacji. Dwa razy upuściła zaparzacz, zanim zdołała go napełnić.

- Niech go!

Ale nie była pewna, o kim właściwie mówi, Wicku Threadgillu czy Lozadzie. Obaj zajmowali pierwsze miejsce na jej czarnej liście. Detektyw Wesley był zaraz po nich.

Była zdecydowana dotrzymać słowa. Zwierzchnicy Wesleya będą musieli dziś porozmawiać z jej prawnikiem. Albo ją aresztują, albo zostawią w spokoju. Nie zamierza żyć pod ciężarem podejrzeń o zbrodnię, której nie popełniła i o której nie miała bladego pojęcia.

Pięć tuzinów róż to rekompensata za przysługę, o której wspomniał Lozada. Wszystko inne było nie do pomyślenia.

Przerażał ją. Był przestępcą. Był odrażający. Był natrętny i, niestety, cierpliwy. Będzie do niej dzwonił, dopóki ona mu nie przeszkodzi. Problem w tym, że nie wiedziała, jak to zrobić.

Normalnie należałoby zgłosić to policji, ale na to nie miała ochoty. Zbyt długo czekała. Gdyby opowiedziała o tym Wesleyowi z takim opóźnieniem, potwierdziłaby, a może wręcz zwiększyła podejżenia. Na pewno zostanie z nich oczyszczona, ale do tego czasu...

Właśnie do „tego czasu” musi zniknąć. Incydent z Dalton mógłby wypłynąć na powierzchnię i...

Czajnik zaczął gwizdać. Szybko wyłączyła go i zalała zaparzacz wrzącą wodą. Zniosła parujący kubek do salonu, włączyła telewizor i usiadła w kąciu sofy, podwinąwszy pod siebie nogi. Zaczęła skakać po programach, chcąc znaleźć taki, który rozproszy jej troski i pomoże zapomnieć o Wicku.

Skłamała, mówiąc, że nie jest zła. Była. Wręcz wściekła. Ale także zraniona, a co najbardziej wytrącało ją z równowagi, to świadomość, że wciąż można ją zranić. Sądziła, że to już niemożliwe. Najwidoczniej była w błędzie.

Odpychała go przy każdej okazji, ale to go nie zniechęcało. Zaczęła podziwiać jego upór i nawet czuła się nim pochlebiona. Musiała przyznać, że ucieszyła się, gdy spostrzegła, że to on jest kierowcą furgonetki. A kiedy odrzucił swój kapelusz i powiedział: „Pani nie działa dobrze na moje ego, doktor Newton”, poczuła niedający się z niczym pomylić dreszcz podniecenia.

Ale on nie był wiernym wielbicielem, lecz detektywem śledzącym podejrzaną.

Ta zdrada była jak dzwonek budzika. Czas przyćmił bolesne wspomnienia.

Mijające lata stępiły ból głębokich ran serca. Zaczęła się wahać w postanowieniu. Podstęp Wicka w okrutny sposób przypomniawszy jej, dlaczego je podjęła. Teraz znów widziała przed sobą właściwą drogę, wyraźniej niż kiedykolwiek. Chyba powinna być mu za to wdzięczna.

Ale nie była, ponieważ przypomniawszy jej uczucia i doznania, jakich odmówiła sobie dawno temu. I teraz za nimi tęskniła, pragnęła znów je przeżywać. Razem z nim. Za to go nienawidziła.

Zostawiła niedopitą herbatę na stoliku i wtuliła się głębiej w sofę. Gdy zamykała oczy, znów czuła ten pęd na grzbiecie Beade'a. Słońce i rozpalony wiatr na skórze. Uniesienie. Uczucie, że może przegonić wszystkich. Wolność.

Gdyby wiedziała, że w furgonetce jedzie Wick, byłaby jeszcze szczęśliwsza. Przy nim znów potrafiła się uśmiechać, nawet śmiać. Ten krzywy ząb z przodu...

Obudził ją dzwonek telefonu.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wick uciekł w ostatniej chwili. Wsiadł do furgonetki - wydawało mu się, że parkingowy odlicza pieniądze przez całą wieczność - i ruszył przed siebie. Na pustej uliczce zatrzymał się i przez parę następnych minut usiłował przekonać sam siebie, że nie umiera.

Raz po raz strzelał gumką o nadgarstek, mocno, ale to nie przerwało fałszywych sygnałów o nadchodzącej śmierci. Nigdy jakoś specjalnie nie wierzył, że ta gumka coś pomoże. To tak, jakby się usiłowało przegonić batem pociąg towarowy. Ale lekarz mu to polecił, więc Wick zaczął nosić gumkę, żeby zrobić mu przyjemność.

W palcach u rąk i nóg czuł mrowienie. Drętwota pełzła ku kolanom i ramionom. Kiedy po raz pierwszy doznał tego chwilowego paraliżu, uznał to za nieomylny symptom raka mózgu. Okazało się, że to jedynie symptom niedotlenienia krwi w kończynach z powodu hiperwentylacji.

Otworzył schowek na rękawiczki i wyjął torbę z szarego papieru. Zawsze ją ze sobą woził. Po paru sekundach oddychania do torby mrowienie ustało, drętwota ustąpiła i wróciło czucie w rękach i nogach.

Ale serce łomotało nadal tak, jakby stanął oko w oko z gotową do ataku kobra. Opływał potem. Wiedział, że nie umiera, ale tak się czuł. Przez pięć strasznych minut jego rozum i ciało toczyły wojnę. Rozsądek mówił, że to atak paniki. Ciało się upierało, że umiera.] było bardziej przekonujące.

Pierwszy atak dopadł go, kiedy jadł kolację z przyjaciółmi. Rąbnęło go w połowie posiłku. Bez uprzedzenia. Wcale nie było tak, że najpierw poczuł się niedobrze, a potem się pogorszyło. Czuł się doskonale i raptem uderzyła w niego fala gorąca i zaczął się trząść. W ułamku chwili dopadły go zawroty głowy i mdłości. Przeprosił towarzystwo, pobiegł do toalety i nagle dostał potężnej biegunki. Trząśł się jak w konwulsjach, miał wrażenie, że skóra głowy za chwilę oddzieli się od czaszki. Serce biło jak sukinsyn, a choć dyszał, nie potrafił zaczerpnąć odpowiednio dużo tlenu.

Był święcie przekonany, że ta przedziwna przypadłość go zabije. Na miejscu. Na podłodze publicznej toalety. Był tego pewien bardziej niż czegokolwiek dotąd.

Dwadzieścia minut później mógł już stanąć o własnych siłach, umyć twarz zimną wodą, przeprosić przyjaciół i wyjść. Czuł, że ma cholerne szczęście, wychodząc z tego z życiem - wyżęty jak ścierka, ale żywy. Wrócił do domu i spał przez dwadzieścia godzin.

Następnego dnia był słaby, ale poza tym nic mu nie dolegało. Przyszło mu do głowy, że może to gwałtowny atak grypy albo zatrzał się sosem marinara.

Czterdzieści osiem godzin później sytuacja się powtórzyła. Obudził się we własnym łóżku. Nie miał koszmarów. Nic go nie dręczyło. Spał mocno, po czym ocknął się gwałtownie, z dogłębnym przekonaniem, że umiera. Serce waliło, oblewał go pot. Konwulsyjnie łapał powietrze. Znowu czuł mrowienie w kończynach, drżenie skóry głowy i całkowitą pewność, że jego czas na ziemi dobiega końca.

Wszystko to miało miejsce tuż po aferze z Lozadą. Morderca grał na nosie całej policji, a Wickowi w szczególności. Wickowi, który zachorował na jakąś śmiertelną chorobę.

Z takim przekonaniem zgłosił się do lekarza.

- To znaczy, że zwariowałem?

Lekarz poddał go kompleksowym badaniom - neurologicznym, gastrologicznym, kardiologicznym i wielu innym - po czym zawyrokował, że jest to ostra postać nerwicy lękowej.

Pospiesznie dodał, że nie jest to choroba psychiczna i opisał jej naturę.

Wick z ulgą przyjął do wiadomości, że nie umrze od razu, ale przyczyna jego schorzenia była niejasna i to go martwiło. Chciał się wyleczyć szybko, a wiadomość, że tak się na ogół nie dzieje, bardzo go przygnębiła.

- Może pan już nigdy nie mieć ataku - ostrzegł go lekarz. - Ale może je pan miewać do końca życia.

Wick zbadał temat, przestudiował go, przeczytał wszystkie dostępne materiały. Nie ucieszyła go wiadomość, że na to, co on, cierpią tysiące innych, ale był zadowolony, że te objawy są powszechnie spotykane.

Przez jakiś czas co tydzień spotykał się z psychoterapeutą i przyjmował profilaktycznie przepisane środki. W końcu przekonał lekarzy i siebie, że jest wyleczony.

- Mam to już za sobą - powiedział psychologowi. - Bez względu na to, co spowodowało te ataki - a była to kombinacja zdarzeń - już minęło. Jestem zdrowy.

I był przez dziesięć miesięcy. Przez cały ten czas nie miał ani jednego ataku. Aż do dziś. Na szczęście ten nie był zbyt poważny. Rozpoznał go w porę i zdołał się opanować. Może jednak ta gumka coś pomogła.

Odczekał jeszcze pięć minut, by się upewnić, iż może znowu prowadzić samochód. Wjechał na autostradę i ruszył przed siebie, właściwie bez celu. Prawdę

mówiąc, w głowie miał tylko Rennie Newton. Rennie Newton. Chirurg. Miłośniczka koni. Lolita. Zabójczyni.

Ten atak mógł się pojawić w reakcji na wiadomość, że jako szesnastolatka była kochanką żonatego mężczyzny. W dodatku współnika jej ojca, pewnie o wiele od niej starszego. Była nastoletnią rozbijaczką rodzin.

To nawet pasowało do opowieści Crystal. Dziewczyna, która jeździła po mieście na wpół naga, potrafiłaby spać ze współnikiem ojca, zniszczyć jego małżeństwo i pewnie jeszcze się z tego śmiać.

Zacna część społeczeństwa Dalton na pewno oburzała się takim zachowaniem. Jeśli dołożyć do tego tragiczny wypadek ze współnikiem ojca, nic dziwnego, że rodzice z ulgą wysłali ją do szkoły z internatem.

Ale wszystko to nie pasowało do kobiety, jaką znał. Oczywiście przebywał w jej towarzystwie zaledwie dwa razy, ale to mu wystarczyło, by wyrobić sobie jakieś pojęcie o jej charakterze.

Nie była zabawowa. Prowadziła życie pustelnika. Nie demonstrowała swojej seksualności, cofała się przed dotykiem, nawet przed muśnięciem policzka.

Czy tak się zachowuje femme fatale?

Nie potrafił połączyć ze sobą tych dwóch Rennie, i to go doprowadzało do szału. Nijak się to miało do Lozady i śmierci Howella. Nie mógł już być obiektywny i Oren to spostrzegł. Dlatego go pilnował, ścigał jak jakiś cholerny ogar.

Ale nie mógł być na niego szczerze zły. Oczywiście, był wkurzony, że uderzył go tak mocno, no i za kompletnie niesłuszne mniemanie o Rennie. Ale Oren robił, co do niego należało. Zaprosił Wicka do pomocy, a ten zamiast pomocy funduje mu same komplikacje.

Nagle uświadomił sobie, że wcale nie jedzie bez celu, jak mu się zdawało. Znalazł się na ulicy, na której spędził dzieciństwo. Może skierowała go tu podświadomość. Zatrzymał furgonetkę przed swoim rodzinnym domem.

Sprzedał go po śmierci Joego. Pozostać tu bez niego wydawało się świętokradztwem. Wick nie wiedział, czy w domu mieszka to samo małżeństwo, któremu go sprzedał, czy też przeszedł już w inne ręce. W każdym razie właściciele dobrze o niego dbali.

Nawet w ciemnościach widać było, że dom jest wypieszczony.

Żywopłot przyszyżono, okiennice pomalowano na inny kolor, ale Wick

pomyślał, że matce by się spodobało. Jej róże po wschodniej stronie nadal kwitły.

Usłyszał głos ojca:

- Powinniście się wstydzić, chłopcy. - Tak, tato.

- Tak, tato.

- Wasza matka jest taka dumna z tych róż.

- To był wypadek - wymamrotał Wick.

- Ale prosiła, żebyście nie grali w pobliżu krzaków, prawda? Wick skoczył do piłki rzuconej przez brata. Wylądowała w krzakach róż - razem z nim. Zanim się uwolnił, złamał parę gałęzi tuż przy ziemi. Matka rozplakała się na widok szkód.

Kiedy ojciec wrócił z pracy do domu, natarł im uszu.

- Od tej pory macie grać w piłkę na tym pustym placu po drugiej stronie ulicy.

- Ale tam są czerwone mrówki! - zaprotestował Wick.

- Zamknij się wreszcie - syknął Joe.

- Nie zamknę się! I nie rozkazuj mi! Nie jesteś już Joe Namath. Gdybyś tak nie rzucił tej choleralnej piłki...

- Wick!

Kiedy tata mówił takim tonem, obaj chłopcy wiedzieli, że lepiej siedzieć cicho.

- W weekend obaj sprzątniecie garaż i wyszorujecie rynsztoki. Nie wolno wam zapraszać kolegów i nie możecie ich odwiedzać. Jeśli jeszcze raz usłyszę jakieś sprzeczkę, narzekania albo przekleństwa - spojrzał na Wicka - w następny weekend będzie jeszcze gorzej.

Wick uśmiechnął się do wspomnienia. Nawet wtedy Joe był opanowany i umiał siedzieć cicho. On sam musiał się tego jeszcze nauczyć.

Z tym domem wiązało się wiele wspomnień. Matka urządziła wspaniałe święta i urodziny. Mieli mnóstwo kotów, psów, dwa chomiki i gwarka. Wick spadł z orzecha na podwórku i złamał sobie rękę, a mama płakała i powiedziała, że to mógł być kark. A kiedy Joe kupił sobie pierwszy w życiu samochód, pozwolił Wickowi usiąść za kierownicą i pokazywał mu, co jak działa.

Z okazji ukończenia szkoły wyprawiono im obu przyjęcia, podobnie jak po ukończeniu akademii policyjnej. Rodzice byli z nich dumni. Wick podejrzewał, że ojciec zanudzał kolegów z pracy opowieściami o synach - policjantach.

Były także smutne wspomnienia. Na przykład ten dzień, gdy rodzice powiedzieli im, że ojciec jest chory na raka. Wówczas Wick i Joe mieszkali już oddzielnie, ale często

przyjeżdżali do domu.

Siedzieli przy kuchennym stole, jedli ciasto czekoladowe i zabawiali rodziców opowieściami o pracy policjanta, zawsze cenzurowanymi, by nie bulwersować. Raptem ojciec spoważniał. Matka zdenerwowała się tak, że musiała wyjść z kuchni.

Dwa lata po śmierci ojca nastoletni kierowca wjechał na pasy na zielonym świetle i potracił matkę. Lekarz powiedział, że zmarła na miejscu. W tamtych czasach Wick nie mógł się pogodzić z niemal równoczesną stratą rodziców. Potem doszedł do wniosku, że dobrze, iż matka nie dożyła śmierci swojego pierworodnego. Joe był jej ulubieńcem. Nie widziała poza nim świata. Gdyby nie zabił jej tamten smarkacz, dokonałby tego pogrzeb Joego i byłoby to znacznie boleśniejsze.

Jego najstraszniejszym wspomnieniem był wieczór, kiedy stracił Joego.

Po śmierci matki razem zamieszkali w rodzinnym domu. Tego wieczoru zaprosił przyjaciół. Było wesoło i hałaśliwie; przez ryczącą muzykę prawie nie usłyszał dzwonka. Z zaskoczeniem ujrzał za drzwiami Oren i Grace.

- Hej, kto wzywał gliny? Jesteśmy za głośno? - Pamiętał, że podniósł ręce, jakby się poddawał. - Obiecujemy, że będziemy już grzeczni, panie władzo, tylko niech nas pan nie arestuje.

Ale Oren się nie uśmiechnął, a Grace miała mokre oczy.

Wtedy olśnienie niczym cios.

- Gdzie jest Joe?

Wiedział, zanim usłyszał odpowiedź.

Westchnął, obrzucił dom tęsknym spojrzeniem i powoli ruszył z miejsca.

- Wystarczy Alei Wspomnień jak na jeden wieczór, stary.

Miasto spało. Na ulicach był mniejszy ruch. Wick zatrzymał się przed motelem, wysiadł, zamknął furgonetkę i wszedł do swojego pokoju.

Śmierdziało w nim stęchlizną. Za dużo papierosów, lokatorów, jedzenia na wynos. Środki dezynfekujące nie mogły zwalczyć wielowarstwowego odoru. Włączył klimatyzację, żeby rozproszyć zaduch. Łóżko, choć zapadnięte, wyglądało zachęcająco, ale najpierw musiał wziąć prysznic.

Nawet o tej porze gorąca woda się skończyła, nim zdążył się namydlić, ale nie zamierzał się spieszyć. Długi czas stał pod zimnym strumieniem, spływającym mu po twarzy i głowie. Zmywał z siebie wspomnienia o ataku paniki. Poza tym nabrał ostatnio upodobania do zimnych pryszniców. I dobrze. Wyglądało na to, że dostatek ciepłej wody

nie jest mu pisany.

Ledwie wyłączył wodę, z sypialni dobiegł go jakiś hałas.

- Cholera - mruknął. Ta pokojówka musiała mieć radar. To idiotyczne. Była... - spojrzał na zegarek. - Czwarta dwadzieścia trzy. Trzeba będzie pogadać z kierownikiem.

Chwycił ręcznik, owinął się nim i wypadł z łazienki.

Leżała na jego łóżku, odwrócona na wznak. Srebrne litery na czerwonym podkoszulku lśniły w blasku nocnej lampki. Światło odbijało się także w jej otwartych oczach i połśniewało w dwóch okrągłych dziurkach na czole.

Wyczuł jakiś ruch za plecami, ale nie miał czasu zareagować, ponieważ na grdykę spadło mu czyjeś żelazne ramię. Tuż nad biodrem poczuł silne uderzenie. Z bólu zadzwieczało mu w uszach, a pokój się zakołysał.

- Możesz uznać, że to ty doprowadziłeś do jej śmierci, Threadgill. Pomyśl o tym, umierając.

Bolało go jak diabli, ale ból obudził wyuczone odruchy. Usiłował zrzucić duszące go ramię. W tym samym czasie uderzył łokciem do tyłu. Trafił w żebra, ale bez wystarczającej mocy. Powtórzył i trafił piętą w kolano napastnika. A przynajmniej tak mu się zdawało. Chciał, żeby tak było. Spróbował, ale nie wiedział, z jakim skutkiem.

Jezu, nie zdawał sobie sprawy, że aż tak stracił formę. A może atak paniki był gorszy niż się wydawało? Był słaby jak jednodniowe kocię.

- Proszę pana!

Głos rozległ się z bardzo daleka. Po nim nastąpiło pukanie.

- Kurwa!

Duszące go ramię zniknęło. Kolana ugięły się pod Wickiem, osunął się ciężko na cuchnący dywan. Czaszkę przeszył ból. Jezu Chryste, jak to boli!

Nicość zbliżała się jak kłęby gęstej mgły. Widział ją i witał z ulgą.

Rennie przebiegła przez parking dla lekarzy i wpadła do szpitala.

- Numer trzy, pani doktor! Rzuciła torbę recepcjonistce.

- Proszę tego popilnować.

Pobiegła korytarzem. W sali numer trzy panowało zamieszanie, mnóstwo personelu, wszyscy zajęci. Pielęgniarka czekała na nią z papierowym fartuchem. Włożyła ręce w rękawy, chwyciła lateksowe rękawiczki. Poprawiając na nosie okulary ochronne, rzuciła:

- Proszę mówić. Lekarz dyżurny zaczął:



- Mężczyzna, czterdzieści jeden lat, rana kłuta pleców, po lewej stronie. Obiekt nadal tkwi w ranie po rękojęść.

- Nerka?

- Niemal na pewno.

- Ciśnienie spada do osiemdziesięciu - rzuciła pielęgniarka.

Druga pielęgniarka i lekarz wymieniali inne istotne informacje. Pacjent został intubowany. Podano mu krew 0 Rh - oraz kroplówkę z roztworem Ringera. Położono go na boku, żeby mogła zbadać ranę. Wystawała z niej rękojęść czegoś, co wyglądało na śrubokręt.

- Obrzęk brzucha. Jama brzucha pełna krwi.

Sprawdziła sama i uznała, że nie ma powodu robić płukania otrzewnej ani tomografii. Pacjent miał wewnętrzny krwotok.

- Ciśnienie spada.

Rennie przyswoiła komplet informacji w ciągu trzydziestu sekund od przybycia. Pielęgniarka odłożyła słuchawkę telefonu na ścianie i zawołała, przekrzykując hałas:

- Sala operacyjna gotowa.

- Idziemy - zdecydowała Rennie.

Odwracając się, przypadkiem musnęła spojrzeniem twarz pacjenta. Jej nieartykułowany krzyk zatrzymał wszystkich.

- Pani doktor?

- Wszystko dobrze? Skinęła głową.

- Idziemy - rzuciła opryskliwie. Ale nikt się nie ruszał. - Już!

To ich ożywiło. Wózek potoczył się korytarzem. Rennie biegła obok. Otworzono przed nimi drzwi windy. Prawie do niej dobiegli, kiedy ktoś krzyknął jej imię.

- Stać!

Zatrzymała się, odwróciła. Detektyw Wesley biegł w jej stronę.

- Nie teraz! Mam nagły przypadek.

- Nie będzie pani operować Wicka.

- Ależ będę. - Nie pani. - Właśnie ja. - Nie Wicka!

Wtoczono wózek do windy. Machnęła ręką na swój zespół.

- Zaraz do was dołączę. - Zamknięto drzwi windy. Odwróciła się do Wesleya. - Jest w szoku, może umrzeć. Rozumie pan?

- Doktor Sugarman już jedzie. Będzie za pięć minut.



- Przepraszam, ale nie mamy pięciu minut. Poza tym jestem lepsza od Sugarmana i mam większe doświadczenie w dziedzinie chirurgii urazowej. Pacjent mnie potrzebuje i niech mnie diabli, jeśli mi pan przeszkodzi uratować mu życie.

Wytrzymała jego spojrzenie jeszcze przez dziesięć sekund, po czym odwróciła się i pobiegła do windy, która po nią zjechała.

- Dziewczynki są bezpieczne? Na pewno?

- Oren, pytałeś mnie dziesięć minut temu. Zadzwońłam do domu. Nic im nie jest.

Ujął dłoń Grace i pogłaskał ją.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Objęła jego ramiona. - Ta policjantka robi im śniadanie. Druga pilnuje domu. Nic im nie będzie. - Rozmasowała mu kark. - O ciebie nie jestem taka spokojna.

- Ze mną wszystko dobrze. - Podniósł się z sofy w poczekalni. - Dlaczego to tyle trwa? Już nie wiem, ile godzin go trzymają.

- Może to dobry znak. - Ale co...

- Detektyw Wesley?

Odwrócił się gwałtownie. W jego kierunku szła pielęgniarka w zielonym uniformie.

- Doktor Newton kazała mi powiedzieć, że wyjdzie za parę minut. Prosiła, by pan na nią zaczekał.

- Co z Wickiem? Z pacjentem? Co z nim?

- Doktor Newton już idzie.

Odwróciła się i znikła za podwójnymi drzwiami. Grace wzięła go za rękę i pociągnęła na miejsce obok siebie. Zakrył twarz obiema rękami.

- Nie żyje! W przeciwnym razie coś by nam powiedziała.

- Nie powiedziała, bo to do niej nie należy.

- Nie żyje. Ja to czuję. - Jest silny jak byk.

- Znowu powtarza się to, co z Joem.

- Nieprawda.

- Tyle tylko, że kiedy znalazłem Joego, był już martwy.

- To nie Joe. To nie to samo.

- Nie było mnie przy Joem, nie było przy Wicku...

- Nie jesteś odpowiedzialny za to, co się z nimi stało. - Jeśli Wick umrze...



- Nie umrze.

- Jeśli umrze, Grace, zawiodę Joego. On by chciał, żebym się zaopiekował jego bratem. Czuwał nad nim. Chronił go przed takimi sprawami.

- Oren, przestań! Tak nie można. Nie możesz się o to obwiniać.

- Mogę! Gdyby nie ja, Wick dalej by siedział na tej wyspie. Byłby bezpieczny. Nie umierałby w cholernym motelu na podłodze! - Głos mu się załamał. - Spytał, czy policji nie stać na nic lepszego. Powiedziałem, żeby się nie ciskał, bo sypiał w gorszych warunkach, a mieszka w o wiele gorszym śmietniku. O Jezu, Grace, ja tego nie wytrzymam. Daję słowo.

- Wick nie umarł.

- Skąd wiesz? Uśmiechnęła się łagodnie.

- Bo jest zbyt wredny, żeby grzecznie umrzeć.

Chciał jej uwierzyć, ale przecież była zawodową pocieszaczką. Wykonywała ten zawód codziennie, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zarabiała dzięki umiejętności mówienia dobrych rzeczy w złych sytuacjach. Ale nawet jeśli były to ciche słowa, cieszył się, że ma ją przy sobie, że słyszy to, czego pragnie i potrzebuje usłyszeć.

Minęło jeszcze dwanaście minut, zanim doktor Newton wyłoniła się z podwójnych drzwi. Jej widok nie zapowiadał niczego dobrego. Wyglądała jak sterany walką żołnierz po przegranej bitwie.

Włożyła fartuch, ale nie zdołała zakryć plam krwi na tunice. Pasma przepoconych włosów wymykały się spod czepka. Oczy miała podkute sińcami i wyglądała na zamorzoną głodem.

Nie przeciągała milczenia. Powiedziała, podchodząc:

- Przeżył operację.

Oren wypuścił wstrzymywany oddech i mocno przytulił do siebie Grace. Schowała twarz na jego piersi i wyszeptała dziękczynną modlitwę. Przez chwilę trwali w bezruchu. Wreszcie Oren puścił Grace i otworzył oczy.

Grace wyciągnęła rękę do lekarki.

- Jestem Grace Wesley.

- Rennie Newton. - Dziękuję pani.

Potem doktor Newton podała Orenowi plastikową torebkę z zakrwawionym śrubokrętem.

- Tylko ja go dotykałam.



Potem włożyła ręce do kieszeni fartucha i przeszła do sedna.

- Rana była głęboka. Duża część prawej nerki została przedziurawiona. Zszyliśmy ranę, nerka powinna się wygoić bez żadnych negatywnych zmian w układzie moczowym. Uszkodzenia dotyczą także niektórych mięśni. Wezwałam naszego ortopeda. Dokonał cudów, zszywając mięsień. Jeśli państwo sobie życzą, można z nim dzisiaj porozmawiać.

- Stracił mnóstwo krwi - odezwał się Oren. Przytaknęła.

- Kiedy znalazłam główne źródło krwotoku - uszkodzoną tętnicę - zdołałam skierować krew do nerki. Na szczęście trafił na stół w odpowiednim momencie. W przeciwnym razie straciłby nerkę albo zmarł w wyniku wykrwawienia.

Gdyby czekali na Sugarmana, pacjent mógłby umrzeć. To właśnie dawała mu do zrozumienia. Oren spytał, kiedy będą mogli zobaczyć Wicka.

- Nawet zaraz, jeśli państwo chcą. Proszę za mną.

Odwróciła się; ruszyli za nią. Grace chyba wyczuła wrogość pomiędzy nimi, bo zerknęła na męża z ukosa i spytała bezgłośnie:

- O co chodzi?

Potrząsnął głową. Później wyjaśni jej złożony charakter sytuacji. A wtedy Grace zrozumie, dlaczego rozmawiał z lekarką uprzejmie, lecz chłodno.

Przeszli przez automatycznie zamykane drzwi na oddział pooperacyjny.

- Nadal jest w narkozie i muszę państwa ostrzec, że nie wygląda zbyt dobrze. Coś się stało z jego twarzą.

- Upadł na twarz.

Doktor Newton zatrzymała się i spojrzała na Orena. W jej szeroko otwartych oczach ukazało się więcej uczucia niż kiedykolwiek dotąd.

Napastnik zaatakował od tyłu. Pewnie kiedy go puścił, Wick upadł i wylądował twarzą na podłodze. Tak go znaleźli sanitariusze. Za bardzo się wstydził, żeby wyznać, że sam jest odpowiedzialny za ranę na podbródku Wicka.

- Ortopeda zrobił prześwietlenie twarzy - powiedziała. - Kość policzkowa nie jest pęknięta, ale... no, sami państwo zobaczcie.

Skierowała ich do jednego z łóżek. Grace, odważniejsza, podeszła bez wahania, spojrzała na Wicka i zaczęła płakać. Oren nie podszedł, ale widział wszystko z miejsca, w którym się zatrzymał. Zaklął pod nosem.

Wick leżał na lewym boku, podparty specjalną poduszką. Prawą, widoczną stronę

twarży miał tak opuchniętą i posiniaczoną, że rysy były prawie nierozpoznawalne. Oczy zamknięte, ale prawego nie mógłby otworzyć, nawet gdyby zechciał - tak było obrzęknięte. Do ust przyklejono taśmą tubę respiratora. Rana na brodzie wydawała się błada w porównaniu z innymi obrażeniami, ale Oren skrzywił się na jej widok.

- Podajemy mu dożylnie antybiotyki, żeby zapobiec infekcji, choć nic nie wskazuje na przebicie jelit, co znacznie skomplikowałoby jego stan. - Doktor Newton mówiła znowu mechanicznym, obojętnym głosem. - Założyliśmy mu cewnik. Początkowo w jego urynie była krew, ale już zniknęła.

- To dobry znak, prawda? - spytała Grace.

- Zdecydowanie. Serce jest silne, puls stabilny. Bez przerwy monitorujemy ciśnienie. Zabierzemy mu respirator, jak tylko odzyska przytomność. Oczywiście, otrzyma leki przeciwbólowe. Przeżył dzięki dobrej kondycji i dzięki niej odzyska zdrowie. Przez parę dni zostanie na oddziale pooperacyjnym, a ja nadal będę kontrolować jego stan, ale rokowania są pomyślne.

Wszyscy troje stali nad nim w milczeniu przez parę minut. Potem doktor Newton wyprosiła ich z sali.

- Czy mamy kogoś zawiadomić? Ma rodzinę? Nie wiedzieliśmy, kogo wezwać.

- Wick nie ma żony - odparła Grace, zanim Oren zdążył otworzyć usta. - Nie ma rodziny.

Ręce doktor Newton znowu znikły w kieszeniach fartucha, wbiły się głęboko, jakby usiłowała przebić pięściami szwy.

- Rozumiem.

- Czy możemy coś dla niego zrobić? Uśmiechnęła się słabo.

- Obecnie nic. Kiedy go wypiszemy, ktoś będzie musiał być z nim co najmniej przez tydzień. Powinien leżeć i wypoczywać. Do tego czasu nasze pielęgniarki dobrze się nim zaopiekują. Jutro po południu pozwolę na odwiedziny, ale w ograniczonym stopniu.

- Za to ja, pani doktor, nie mogę pozwolić na żadne odwiedziny - odparł Oren. - Wick jest ofiarą zbrodni. Jest także głównym świadkiem.

- Czego?

- Morderstwa.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Kiedy napastnik zaatakował Wicka, w pokoju znajdowało się ciało młodej kobiety - powiedział Wesley. - Nie żyła, kiedy Wick ją zauważył.

Rennie znieruchomiła, starając się nie zdradzać żadnych uczuć. Nie było to łatwe. Tylko skinęła głową, nie ufając własnemu głosowi.

- Teraz ekipa szuka śladów. Motelowa pokojówka, która do tej pory uprzykrzała Wickowi życie, dziś go uratowała. Weszła do jego pokoju, otwierając drzwi kluczem uniwersalnym. Gdyby tego nie zrobiła, już by nie żył.

- Widziała sprawcę? Pokręcił głową.

- Okno w łazience było otwarte. Pewnie się przez nie wymknął, kiedy ją usłyszał. Najpierw zapukała. Spłoszyła go.

- Więc nie może podać rysopisu.

- Niestety. A motelowe pokoje, przez które przechodzą setki ludzi, są kiepskim miejscem do zbierania odcisków palców.

- A za oknem?

- Za oknem jest asfaltowa uliczka. Na razie nie mamy żadnych śladów. Ale liczymy na to, że nasi technicy się postarają.

- A to? - spytała, wskazując śrubokręt w foliowej torebce.

- Zobaczymy, co da się z niego wydusić.

Rennie miała ochotę zapytać, czy kogoś podejrzewają, ale powstrzymała się z obawy, że zna odpowiedź.

- Kiedy Wick się ocknie, chcę go przesłuchać, dowiedzieć się, co wie - dodał Oren.

- Rozumiem, ale proszę nie zapominać, że wczoraj walczył o życie. Musi odpoczywać. Nie chcę, żeby się denerwował.

- Nie zrobiłbym nic, co by mu zaszkodziło - zirytował się Oren.

- Tak sądzę. Teraz muszę państwa pożegnać. Za pół godziny mam następną operację.

- Ale przecież pani jest bardzo zmęczona - nie wytrzymała Grace.

- Muszę tylko zjeść śniadanie. - Rennie uśmiechnęła się do kobiety, którą polubiła niemal od pierwszego wejrzenia. Potem zwróciła się do detektywa. - Sądzę, że pan Threadgill jest dla pana nie tylko współpracownikiem.

- Jest przyjacielem. Właściwie krewnym.



- Więc powiadomię pielęgniarki, że mają pana informować na bieżąco o jego stanie.

- Jestem bardzo zobowiązany. Dziękuję.

- Proszę.

Grace jeszcze raz podziękowała jej za uratowanie Wickowi życia. Oren Wesley rzucił sucho: „Będziemy w kontakcie”. i wcisnął guzik windy.

Rennie wróciła do Wicka i spytała pielęgniarkę, czy są już oznaki jego wybudzania.

- Jęknął parę razy. To wszystko.

- Proszę dać mi znać na pager, kiedy się ocknie. Będę operować, ale kiedy się obudzi, chcę o tym wiedzieć.

- Oczywiście.

Przed wyjściem jeszcze raz spojrzała na pacjenta. Musiała powstrzymać odruch, by odgarnąć mu kosmyk włosów z czoła.

Wzięła prysznic i przebrała się w świeży uniform, po czym poszła do kawiarni na parterze. Zamówiła jajecznicę, tost i sok pomarańczowy, ale jadła tylko dlatego, że potrzebowała napędu; nie miała apetytu, nie czuła smaku.

Po powrocie na piętro oddziału chirurgicznego przejrzała karty pacjentki i zamieniła z nią parę słów.

- Zgadzam się z pani onkologiem, że nie ma przerzutów. Po usunięciu części jelita wszystko powinno wrócić do normy.

Kobieta podziękowała słabym głosem; podane dożylnie znieczulenie zaczęło działać.

Rennie metodycznie wyszorowała ręce. To rutynowe zajęcie dodawało jej otuchy. Starannie zorganizowane życie wymykało się spod kontroli. Odkąd dowiedziała się o śmierci Lee, odkąd w jej salonie pojawiły się te róże, nic już nie działo się w ustalonym porządku.

Ale, pomyślała, szorując brutalnie ręce, jeszcze odzyskam kontrolę. Muszę tylko skupić się na pracy. Praca jest moim łącznikiem z życiem. Muszę ją kontrolować, a całe życie znajdzie się pod kontrolą.

W sali operacyjnej przecięła właśnie tkankę tłuszczową na brzuchu pacjentki, kiedy towarzyszący jej chirurg powiedział:

- Podobno rano było tu jakieś zamieszanie?



- Nasza doktor Newton jest prawdziwą bohaterką - odezwał się anestezjolog.

Rennie, skupiona na pracy, rzuciła z roztargnieniem:

- O co chodzi?

- Wszystkie dzienniki to podały.

Rennie zerknęła na anestezjologa, siedzącego za pacjentką.

- Co?

- Że uratowała pani życie policjantowi.

- Brat Threadgilla zmarł parę lat temu w czasie wykonywania obowiązków służbowych - dodał drugi chirurg. - Dzięki pani ten nasz nie poszedł w jego ślady.

- Ale nasz Threadgill nie wykonywał obowiązków służbowych - zauważyła pielęgniarka.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła Rennie chłodno. - Ssanie, proszę. Zoperowałam nagły przypadek, to wszystko.

- W dzienniku mówili, że dziewczyny nie można było uratować - powiedział anestezjolog.

Gadatliwy chirurg podjął temat.

- Rozmawiałem z sanitariuszami, którzy odpowiedzieli na wezwanie. Leżała w łóżku Threadgilla. Pewnie napastnik najpierw zabił ją.

- Zazdrosny kochanek?

- Albo mąż.

- Możliwe. Mówili, że Threadgill brał prysznic.

- Ja najpierw palę papierosa - wyznał dowcipnie chirurg. - Prysznic potem. A ty, Betts? Puszczasz dymka po seksie?

- Nie wiem - odparła pielęgniarka. - Nigdy nie sprawdzałam. Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Jeśli ten policjant jest taki jak na zdjęciu w gazecie, to się zakładam, że dziewczyna zmarła z uśmiechem na ustach.

- Możemy wrócić do pracy? - warknęła Rennie. - Ciśnienie?

Anestezjolog odpowiedział przyciszonym, profesjonalnym tonem. Opryskliwość Rennie odebrała wszystkim ochotę do żartów. Rennie pracowała ze spuszczoną głową, skupiona na pracy. Ale kiedy zaczął jej pager, poprosiła pielęgniarkę, by odebrała.

- Z pooperacyjnego, pani doktor.

- Może pani do nich zadzwonić? Pielęgniarka usłuchała.



- Dobrze, powtórzę - powiedziała i odłożyła słuchawkę. - Threadgill się wybudził.

- Dziękuję.

Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą, ale nikt nie ośmielił się skomentować. Od tej pory rozmawiali tylko o operacji. Wreszcie Rennie cofnęła ręce i skinęła na drugiego chirurga, żeby przeciął nić w ostatnim wewnętrznym szwie. Dotknęła tkanek wokół palcami, żeby sprawdzić, czy wszystkie szwy trzymają mocno.

- Wygląda dobrze.

- Idealnie - pochwalił. - Wspaniała robota, pani doktor.

- Dziękuję. Zechce pan dokończyć za mnie?

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Świetnie. Dziękuję wszystkim.

Zdjęła zakrwawione rękawiczki i wyszła, wiedząc, że ledwie zamkną się za nią drzwi, w sali wybuchną gorączkowe rozmowy. A niech plotkują, pomyślała.

Przekazała rodzinie pacjentki, że operacja zakończyła się pomyślnie, pobiegła do szatni, wzięła drugi prysznic i wpadła na oddział pooperacyjny w chwili, gdy pielęgniarka usiłowała namówić Wicka, by pozbył się przewodu respiracyjnego.

Sam proces nie był przyjemny, ale zakończył się sukcesem.

- No, nie było tak źle, prawda? Dobrze się pan spisał.

Wick poruszył ustami, ale pielęgniarka go nie dosłyszała. Pochyliła się nad nim. Kiedy się wyprostowała, chichotała pod nosem.

- Co powiedział? - spytała Rennie.

- Powiedział: „Pieprz się”.

- Nie musi pani tego tolerować.

- Nic nie szkodzi, pani doktor. Mam męża i czterech synów. Rennie zajęła jej miejsce u boku Wicka.

- Wick, wiesz, gdzie jesteś? Wymamrotał coś. Zbadała go stetoskopem.

- Dobrze sobie radzisz.

- Pić.

- Co powiesz na lód? - Spojrzała na pielęgniarkę, która skinęła głową i pobiegła po lód. - Na początek wystarczy. Nie chcę, żebyś wymiotował.

Znowu stęknął i spróbował otworzyć prawe oko, nie wiedząc, że jest spuchnięte. Jeszcze przez wiele godzin będzie oszołomiony i dezorientowany.

- Boli cię? Może zwiększyć dawkę leków przeciwbólowych? - Wymamrotał coś,

czego znowu nie rozumiała. - Rozumiem, że tak.

Pielęgniarka wróciła z kubkiem pokruszonego lodu i plastikową łyżeczką.

- Proszę mu dawać parę łyżek za każdym razem, gdy się przebudzi. - Naniosiła niezbędne notatki na kartę. Przed odejściem dodała jeszcze: - Będę tutaj albo w gabinecie. Proszę mnie zawiadomić, jeśli coś się zmieni.

- Oczywiście. Pani doktor, on chyba chce coś powiedzieć.

Rennie wróciła do Wicka. Sięgnął po jej rękę. Pomimo kroplówki, tkwiącej w dłoni, miał zaskakująco silny chwyt. Pochyliła się nisko.

- O co chodzi? Wyszeptał tylko jedno słowo.

- „Lozada”.

Siedzący przy zawałonym papierami biurku detektyw Wesley zmarszczył brwi.

- Coś jeszcze?

- Tylko to. „Lozada” - powtórzyła Rennie.

- Kiedy?

- Koło południa.

- I dopiero teraz mi pani mówi?

- Musiałam się najpierw zastanowić.

- Nad czym?

Pozostali pracownicy wydziału dochodzeń byli zajęci własnymi sprawami, ale Rennie zdawała sobie sprawę, że jest obiektem zainteresowania.

- Czy możemy porozmawiać w jakimś ustronniejszym miejscu?

Wesley wzruszył ramionami i skinął na nią. Zaprowadził do tego samego pomieszczenia, w którym ją przesłuchiwał. Usiedli na tych samych miejscach. Nie była zachwycona, że znowu znalazła się w roli przesłuchiwanej, ale nie skomentowała tego. Natychmiast wróciła do tematu.

- Czy należy przypuszczać, że to Lozada zaatakował Wicka? - O, tak pani myśli?

Poczuła, że policzki zaczynają ją palić.

- Widać to dla pana nic nowego.

- Raczej nie, pani doktor.

- Czy mogę o coś spytać? - Obojętnie wzruszył ramionami. - Czym ja pana tak irytuję?

Poruszył się nerwowo. - Niczym.

- Nieprawda. Poczuł pan do mnie niechęć od pierwszego wejrzenia. Dlaczego?

- Czemu nie powie mi pani, o co chodzi? Nad czym się pani zastanawiała przez całe popołudnie?

- W dniu pogrzebu Lee Howella otrzymałam bukiet róż. Dołączono do niego wizytówkę.

Otworzyła torebkę i wyjęła plastikowy woreczek, w którym znajdowała się wizytówka. Był to drugi dowód rzeczowy, jaki dostarczyła Wesleyowi tego dnia, choć usilnie próbowała nie myśleć o śrubokręcie, który musiała wyciągnąć z pleców Wicka.

Wesley wziął woreczek, spojrzał na wizytówkę, odczytał tekst, ale nie zareagował tak, jak się spodziewała. Prawdę mówiąc, nie zareagował w ogóle. Wyraz jego twarzy pozostał niezmienny.

- Widzę, że to także pana nie zaskoczyło.

- Nie wiedziałem, że do wizytówki był dołączony bukiet róż.

- Ale rozpoznał pan wizytówkę, tak? Jak to możliwe? Przecież... - Urwała, spojrzała na niego z przerażeniem. - Nie wystarczyła wam obserwacja mojego domu - przeszukaliście go. Zgadłam?

- Nie ja.

Odsunęła się, jakby odepchnięta niewidzialną ręką.

- Wick.

Wesley nie odpowiedział.

Pochyliła głowę. Spojrzała na swoje dłonie, których nie mogła nawilżyć żadnym balsamem ze względu na antyseptyczne mydło, jakim je szorowała.

Wick był w jej domu, szperał w szufladach, przerzucał rzeczy. Przed czy po tym, jak się poznali? Właściwie to bez znaczenia. Pogwałcił jej prywatność. Właśnie on.

Po krótkim milczeniu podniosła głowę i spojrzała na Wesleya.

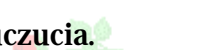
- Tę kartkę przysłał mi Lozada. Osobiście przyniósł róże. Włamał się do mojego domu i je zostawił.

- Skąd pani wie?

- Sam mi to powiedział. - Co?

- Dzwonił do mnie kilka razy. Prosiłam, żeby przestał, ale ciągle dzwoni. - I co mówi?

- Proszę przeczytać wizytówkę, detektywie. Zafascynowałam go podczas procesu. Nieustannie się na mnie gapił, przez cały pobyt w sali sądowej. Do tego stopnia, że zaczęło mnie to krępować. Teraz chyba się łudzi, że odwzajemniam jego uczucia.



- Z powodu werdyktu?

- Tak sędzę. Zresztą, kto wie? To szaleniec. Wesley odchrząknął.

- Lozadę można różnie nazywać, ale nie jest szaleńcem. - Przyglądał się jej przez chwilę. - Dlaczego mówi mi to pani akurat teraz?

- Boję się, że to on zabił doktora Howella. Chyba się dowiedział, że Lee miał zająć miejsce, o które się ubiegałam, więc zabił go, żeby mi wyświadczyć przysługę. Powiedział, że chce się zrewanżować.

- Za uniewinnienie?

- Uniewinniło go dwanaścioro przysięgłych.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „jak pani woli”.

- Proszę mówić dalej.

- To Lozada powiedział mi, że mnie obserwujecie. On także mnie obserwował. Zobaczył, że wczoraj Wick pojechał za mną do domu. Podejrzewam, że sam pojechał za nim do waszej bazy obserwacyjnej. Potem zadzwonił do mnie. Z prawdziwą satysfakcją poinformował mnie, że mój nowy przyjaciel jest policjantem.

- Wick by się z tym nie zgodził.

- Co to znaczy?

- Nieważne. Dlaczego nie powiedziała nam pani o Lozadzie podczas wczorajszego spotkania?

- Ponieważ nie chcę, żebyście myśleli to, co myślicie.

- Mianowicie?

- Że jestem w zмовie z Lozadą! - krzyknęła. - Tak uważacie, prawda? Myślicie, że kazałam mu zabić Lee. A teraz... Wicka. To dlatego nie zgadzał się pan, żebym go operowała.

- Była pani na nas zła. Szczególnie na Wicka.

- Więc myśli pan, że wezwałam płatnego zabójcę, który całkiem przypadkiem jest mną zafascynowany i kazałam mu dźgnąć Wicka śrubokrętem?

Wesley patrzył na nią bez emocji. Wytrawny policjant z wieloletnią praktyką. Wyznania mają różne postacie. Bez wątplenia uważał, że Rennie chce z siebie zrzucić ciężar winy.

- Jeśli tak brzmi zarzut, jest zbyt absurdalny, nawet, żeby mu zaprzeczać - dokończyła.

- Więc co pani tu robi?



- Kiedy Wick wymówił imię Lozady, wszystko stało się jasne. Zrozumiałam, jak to widzicie. Lee dostaje awans, o który się ubiegałam. Ktoś go zabija. Powiedziałam Wickowi, że nigdy więcej nie chcę go widzieć. Ktoś usiłuje go zabić. Kiedy to wszystko się skryzalizowało, przyszedłam prosto do pana. Wstąpiłam tylko na chwilę do domu po wizytówkę.

- Dlaczego ją pani zachowała?

- Nie jestem pewna. Róże wyrzuciłam. Może myślałam, że będę potrzebować... dowodu.

- To znaczy, że od początku podejrzewała pani Lozadę o zabicie Howella.

- Nie. Dopiero parę dni po pogrzebie Lee, kiedy otrzymałam róże, Lozada zadzwonił do mnie po raz pierwszy. Spytał, czy mi się podobają. Do tej pory nie sądziłam, że to on je przysłał.

Rzucił jej zmęczone spojrzenie. - Bez przesady. - Przysięgam.

- Niczego pani nie podejrzewała?

- No, może. Podświadomie. Wiedziałam, że nikt poza nim nie mógłby się włamać do mojego domu.

- A jednak, kiedy dowiedziała się pani, że to Lozada, nie skontaktowała się pani ze mną. Dlaczego?

- Ze względu na ton przesłuchania, tu, w tym pomieszczeniu. Bałam się, że to potwierdzi pańskie podejrzenia.

- Miała pani informacje, które mogłyby doprowadzić do aresztowania Lozady i nie wyjawiała ich pani.

- To był błąd.

- Dlaczego nie przybiegła pani do nas, machając tą wizytówką i nie powiedziała: „Wiem, kto zamordował mojego przyjaciela”?

- Mogłam popełnić straszny błąd. Mogłam skierować śledztwo na fałszywy trop.

- Nie, to chyba nie to. Wydaje mi się, że liczyła pani, iż sami rozwiążemy zagadkę śmierci doktora Howella. Bez pani pomocy. Czy tak? - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Żeby nikt nie połączył pani nazwiska z gwałtowną śmiercią mężczyzny. - I po znaczącej pauzie dodał: - Po raz drugi.

- Ach. - Znowu spuściła głowę, ale tylko na chwilę. Potem wyzywająco spojrzała na niego. - Wie pan o Raymondzie Collierze.

- Co nieco. Chce mi pani powiedzieć więcej?



- Ma pan swoje źródła informacji i z pewnością dobrze je pan wykorzystał.

- Może pani na to liczyć. - Założył ręce na piersi i przechylił głowę. - Jest coś, co mnie zastanawia. Jak to możliwe, że została pani wybrana na przysięgłą. Czy prawnicy nie przesłuchują kandydatów, nie pytają ich, czy byli karani? Czy nie przysięgała pani mówić prawdy?

- Śmierć Raymonda Colliera to tragiczny wypadek. Nie byłam notowana. A w trakcie przesłuchania kwalifikacyjnego nikt mnie nie zapytał, czy jako niepełnoletnia nie byłam zamieszana w strzelaninę.

- A, to bardzo wygodne, nieprawda? Wstała.

- Widzę, że moja pomoc nie jest tu ani potrzebna, ani mile widziana.

- Przeciwnie, pani doktor. To było bardzo pouczająca rozmowa.

- Czy aresztujecie Lozadę?

- Kiedy będę miał w ręku dość dowodów, by stały się podstawą do aresztowania i oskarżenia.

- To znaczy kiedy? Dziś rano moje ręce ociekały najlepszym dowodem, krwią Wicka. I dałam panu narzędzie zbrodni.

- Zbadaliśmy je starannie w laboratorium i, jak to mówimy w policji, jesteśmy na tropie jego pochodzenia, ale nie wiem, kiedy je określimy. Nasi technicy uważają, że śrubokręt jest bardzo stary, a przed dziesiątkami lat można go było dostać w każdym sklepie żelaznym w kraju i pewnie wszędzie indziej. Przez ten czas Bóg jeden wie, z iloma dłońmi miał kontakt. Nie da się go z nikim powiązać.

- Ta dziewczyna została zastrzelona. Co z bronią?

- Pozostawiona na miejscu zbrodni. Ale jest tak, jak ze śrubokrętem. Tania, stara i trafia tylko na krótki dystans. W tym przypadku piętnaście do dwudziestu centymetrów. Zbrodniarz wiedział, że nie zdołamy go powiązać z bronią. Spróbujemy, ale nic z tego nie wyjdzie.

- Wiecie, że to Lozada - krzyknęła zdławionym głosem. - Wick go zidentyfikuje.

- Naprawdę? Nie wątpię, że Wick go podejrzewa. Lozada zajmuje pierwsze miejsce na każdej liście podejrzanych. On i Wick są zażartymi wrogami.

Podejrzewała to, sądząc po tonie Lozady, kiedy wymawiał nazwisko Wicka.

- Co zaszło między nimi? - To sprawa policji.

Sprawa, której nie zamierzał jej wyjawić.

- Nie możecie przynajmniej zatrzymać Lozady w celu przesłuchania?



Parsknął pogardliwie.

- Pod jakim zarzutem? To by go zachwyciło. To prawie gwarancja, że nic na niego nie mamy. Możemy go aresztować tylko wtedy, gdy Wick zidentyfikuje go bez żadnych wątpliwości jako napastnika. Ale jestem niemal w stu procentach pewny, że Wick go nie widział. I tak, jak podejrzewałem, w pokoju Wicka aż roi się od śladów, które zostawili ci, którzy kiedykolwiek przekroczyli te progi, włącznie ze mną. Nawet ślady, które znaleźliśmy na drugiej ofierze, tej dziewczynie, na nic się nam nic przydadzą. Ludzie widzieli ją, jak kontaktowała się z dziesiątkami mężczyzn w tym barze, także z Wickiem. Oczyszciliśmy jej paznokcie i znaleźliśmy tylko brud. Nie miała nic, co mogło pochodzić od zabójcy.

- Więc znalazła się w złym miejscu o złej porze.

- Zdecydowanie, ale to nie wszystko. Miała związek z Lozada. Sprzątała u niego, a kiedyś pochwaliła się koleżance, że ma z nim romans.

- I jeszcze potrzebujecie dowodów?

- O, dowodów mamy mnóstwo - na jej codzienny kontakt z ubraniami Lozady, jego pościelą, dywanem, wszystkim. To minus, nie plus. Jego obrońca dowiedzie, że te ślady mogły się znaleźć na jej ubraniu przy każdej dowolnej okazji i będzie miał rację. I tyle o naszych dowodach.

Spojrzał na nią spode łba.

- Może mi pani powie, jaki dowód przekonałby przysięgłych o winie Lozady, pani przewodnicząca?

- Może krew na ubraniu?

- Wie pani lepiej ode mnie, że krwotok był wewnętrzny, ponieważ zabójca nie wyjął broni. Jeśli Lozada splamił się krwią Wicka, co jest wątpliwe, to i tak zanim dostaniemy nakaz rewizji, zdąży zniszczyć ubranie. W tamtej sprawie krew pochodziła z szyi ofiary. Czy oskarżenie mogło dowieść, że znalazła się ona na jakimkolwiek przedmiocie należącym do ofiary?

- Nie. A jego obrońca dopilnował, by przysięgli o tym wiedzieli. - Zastanawiała się przez parę chwil. - A DNA? To by był niezbity dowód. Nasienie? Ślina?

Pokręcił głową.

- Nigdy nie bywa tak nieostrożny. A nawet gdyby był, mógł przebywać w towarzystwie tej dziewczyny wcześniej, niekoniecznie w pokoju motelowym.

Nie powiedział, czy znaleźli na dziewczynie DNA Wicka, a Rennie nie spytała.

- Chyba zmarnowałam pański czas.

Wstała i otworzyła drzwi. Zgiełk na zewnątrz zamarł. Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Zawahała się. Wesley ją przytrzymał.

- Zanim pani wyjdzie, chcę pani coś pokazać. Zaprowadził ją do biurka, z którego wyjął fotografię.

- Dziewczyna nazywała się Sally Horton. Miała dwadzieścia trzy lata.

Musiała spytać.

- Wick znał ją od dawna? Byli przyjaciółmi?

- Od dwudziestu minut. Barman widział, jak podeszła i przedstawiła się. Wick wyszedł z baru ze mną. Muszę go spytać, co zdarzyło się później. Ale cokolwiek między nimi zaszło, Lozada nie był zadowolony.

Podał jej fotografię.

Rennie regularnie spotykała się ze śmiercią. Wiedziała, jak okrutnie może się obejść z ludzkim ciałem. Często obrażenia wydawały się niewiarygodne i wyglądały jak z makabrycznego horroru kogoś o bujnej, lecz chorej wyobraźni.

Spodziewała się fotografii podobnej do tych, jakie pokazywano przysięgłym podczas procesu. Obrzmiała twarz, wystający język, oczy wychodzące z orbit. Ale Sally Horton wydawała się nietknięta - z wyjątkiem dwóch ciemnych punktów na czole.

Odłożyła fotografię na biurko.

- Gdybym wcześniej powiedziała o Lozadzie, mógłby się znaleźć w więzieniu, a ona by żyła. Po to pokazał mi pan to zdjęcie?

- Owszem. Ale także, by panią ostrzec.

- Już wiem, że Lozada jest niebezpieczny.

- Podobnie jak związek z Wickiem.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po pierwszych dziennikach Lozada wpadł we wściekłość.

Jak Rennie mogła uratować życie Wickowi Threadgillowi, choć on, Lozada, zadał sobie tyle trudu i naraził się na niebezpieczeństwo, by ją od niego uwolnić? Kobiety! Nigdy ich nie zrozumie. Nigdy im nie dość!

O każdym zabitym gliniarzu od razu mówili w dzienniku. Inni gliniarze się wściekali. Wszyscy wkładali żałobę. Zdjęcia wdów i sierotek trafiały na pierwsze strony. Czytelnicy rozpaczali, jakby stracili przyjaciela. Skasowany facet stawał się bohaterem.

Ale z tego, co mówili dziś rano w telewizji wynikało, że Wick Threadgill tylko przez przypadek nie potrafił chodzić po wodzie. Dziennikarze przytaczali rozwiązane przez niego sprawy, jakby uważali go za Batmana i Dicka Tracy razem wziętych. Przecież praktycznie wywalono go z policji - ale o tym nikt nie wspominał.

Rennie została przedstawiona jako utalentowany chirurg. Podobno dokonywała cudów, żeby wyrwać go ze szponów śmierci. Wykorzystała doświadczenie w dziedzinie chirurgii urazowej, jakie zyskała w targanych wojną krajach w ramach programów organizacji Lekarze bez Granic.

Lozada tak się zdenerwował tymi urągliwymi wiadomościami, że nawet zabawa ze skorpionami nie sprawiła mu przyjemności. Jego najgorszy wróg zbierał zachwyty i wyrazy współczucia. Rennie odwróciła się od niego. Takiej frustracji nie czuł od chwili, gdy sanitariusz uratował jego małego brata, któremu Lozada wtoczył piłkę do gardła.

Wydarzyło się to w Boże Narodzenie, kiedy Lozada miał szesnaście lat. Brat skończył trzynaście, ale miał umysł dwulatka. Święty Mikołaj przyniósł mu między innymi piłkę baseballową z pianki i plastikowy kij. Brat bawił się nimi pod choinką. Rodzice byli w kuchni, doglądając świątecznej pieczeni.

Lozada siedział i przyglądał się bratu. Po paru minutach uznał, że świat będzie znacznie ładniejszy bez niego. Kiedy wsadzał mu piłkę do ust, ten idiota myślał, że to taka zabawa. Nie wydał żadnego dźwięku. W ogóle nie walczył.

Życie prawie zupełnie się ulotniło z ufnych oczu brata, zanim rodzice wrócili do salonu. Na dźwięk ich kroków Lozada zaczął wrzeszczeć, żeby się pospieszyli, bo braciszek włożył do ust nową piłkę. Wezwano karetkę i dzieciak przeżył. Rodzice płakali z ulgą, przez cały dzień tulili smarkacza i w kółko powtarzali, że jest ich słoneczkiem.

To były okropne święta. Nawet pieczeń się spaliła.



Jak na ironię, mógł sobie oszczędzić fatygi. Za ledwie pół roku później rodzice polecili ze smarkaczem do Houston, żeby się skonsultować z kolejnym uzdrowicielem - czy oni nigdy nie dają za wygraną - i w czasie burzy ich samolot runął w jakieś bagno we wschodnim Teksasie. Wszyscy pasażerowie zginęli. Co za fart!

Ale Wicka Threadgilla nie zamierzał zostawić losowi.

Przede wszystkim nie odmówi sobie przyjemności pozbawienia go życia. I tak już musiał się wyrzec powolnego planowania. Jeszcze wczoraj sądził, że nie będzie się spieszył i wymyśli dla niego coś specjalnie. Ale ostatnio stało się jasne, że musi działać bez zwłoki. Nie znosił się spieszyć. Nie pije się z kryształowej karafki jak z puszki. Rozkoszowanie się smakiem zostało mu odebrane. Ale jeśli to znaczyło, że Threadgill zginie wcześniej niż później, Lozada mógł się z tym jakoś pogodzić.

Zeszłej nocy spotkał się z kilkoma problemami taktycznymi, lecz działał szybko i sprawnie. Niedoszła tancerka egzotyczna łatwo dała się zwabić. Uwierzyła, kiedy powiedział, że ma przyjaciela lubiącego się w tercetach - masz ochotę? „Jeśli jest taki śliczny jak ty, to pewnie!”.

Marudziła, że pojechali jej samochodem, nie jego, ale szybko się rozpogodziła, gdy powiedział: „Wiesz, to może sobie darujemy”.

Wiedział, w którym motelu mieszka Threadgill. W tej samej speluncie, w której policja na ogół przechowywała świadków, przyjezdnych policjantów, rekrutów i tak dalej. Dla wszelkiej pewności musiał tylko zadzwonić i poprosić o połączenie z pokojem Wicka Threadgilla. Zaraz potem odłożył słuchawkę, ale swoje już wiedział.

Kazał Sally zaparkować koło supermarketu dwie przecznice od motelu i resztę drogi przebyli piechotą. Spytała, dlaczego. Żeby zrobić niespodziankę koledze, odpowiedział. Kupiła to.

Furgonetka Wicka stała przed pokojem 121. Lozada przeszukał wzrokiem parking, by sprawdzić, czy nie czai się tu ktoś jeszcze. W pokojach było na ogół ciemno. Te nieliczne, gdzie paliło się światło, miały zaciągnięte zasłony.

Zaprosił dziewczynę do środka.

- Ty pierwsza. Chcę, żeby najpierw zobaczył ciebie. Zapukała, a po paru sekundach przyłożyła ucho do drzwi.

- Chyba słyszę prysznic.

Była pełna podziwu, gdy otworzył drzwi kartą kredytową. Dał jej znak, żeby się nie odzywała, wpuścił ją do środka i kazał się położyć na łóżku. Posłuchała i właśnie

dusiła się z powstrzymanego śmiechu, kiedy strzelił jej dwa razy w czoło. Pomyślał przelotnie, czy nie odciąć jej języka, tak jak jej obiecał, gdyby zaczęła o nim gadać, ale tylko by narobił bałaganu. Poza tym woda pod prysznicem właśnie przestała płynąć.

Po namyśle uznał, że powinien skorzystać z pistoletu także w przypadku Wicka. Jeden strzał w ucho, gdy będzie wychodził z łazienki. Drugi między oczy, na wszelki wypadek. Ale co to za zabawa? Chciał, żeby Wick był świadomy, że umiera.

Poza tym śrubokręt to był dobry wybór. Znalazł go w starej skrzynce na narzędzia w swoim punkcie naprawy telewizorów. Praktyczny, zardzewiały, stary, nie do wyśledzenia.

Jeszcze jedno zrobiłby inaczej: cios byłby śmiertelny, nie rekreacyjny. Zamiast zadać Threadgillowi cios prosto w serce, chciał się zabawić. Okazało się, że to zła decyzja. Nie miał czasu dokończyć dzieła. Co za idiotka sprząta pokoje o wpół do piątej rano?

Zanim zadzwoniła na policję, on był już w supermarkecie. Pojechał samochodem Sally w miejsce, gdzie się przesiedli. Zostawił kluczyki w środku samochodu, odebrał swojego dzipa i zaparkował go w nieoznaczonym miejscu na parkingu, po czym poszedł do hotelowej restauracji na śniadanie. Właśnie dopijał ostatnią filiżankę kawy, kiedy w porannych dziennikach pojawiły się pierwsze doniesienia o morderstwie.

Tyle roboty i nawet efektu nie ma, pomyślał. Bydlak nie umarł. A Rennie pomogła mu przeżyć. Dlaczego? Dlaczego go ocaliła? Przecież była na niego wściekła. Powiedziała, że nie chce go więcej widzieć. Nienawidziła go.

Czy na pewno?

Przez cały dzień nie wychodził z apartamentu, zbyt przygnębiony, żeby się gdziekolwiek pokazywać. Zadzwonił na super - prywatny numer poczty głosowej i dowiedział się, że jest dla niego praca. Kontrakt był dla klienta tak ważny, że Lozada mógł dyktować cenę. Na ogół to by go ożywiło, ale nawet obietnica lukratywnego zlecenia z dodatkowym napiwkem nie poprawiła mu nastroju.

Przewyższał Wicka Threadgilla pod każdym względem. Miał klasę. Threadgill pewnie o czymś takim nawet nie słyszał. Był milionerem. Threadgill żył z pensyjki policjanta. Ubierał się u wielkich projektantów. Threadgill wyglądał jak bezdomny. On chciał ustawić Rennie na piedestale. Threadgill chciał ją wykorzystać, żeby się dostać do niego.

To po prostu niemożliwe. Jak mogła woleć Threadgilla?



Ciągle trwał w ponurych rozmyślaniach, kiedy zaczęły się popołudniowe wiadomości. Tego dnia nie wydarzyło się nic, co by przebiło historię o śmierci Sally Horton i prawie tragicznego ataku na Wicka. Po streszczeniu sytuacji gadająca głowa dodała:

- Dziś w szpitalu okręgu Tarrant zorganizowano konferencję prasową, na której doktor Rennie Newton odpowiadała na pytania dziennikarzy.

Tu nastąpił reportaż z konferencji. Rennie stała za mównicą, mając po obu stronach dwóch ponurych facetów w ciemnych marynarkach, prawdopodobnie zarządzających szpitalem. Mrużyła oczy przed blaskiem reflektorów i odpowiadała na pytania rozgorączkowanych dziennikarzy.

- Doktor Newton, jaki jest stan pana Threadgilla?

- Stabilny - odpowiedziała. - Co napawa nadzieją. Dziś rano był krytyczny. Odnosił rozległe obrażenia.

We właściwych rękach śrubokręt Philipsa potrafi dokonać cudów. Wargi Lozady wykrzywiły się w zadowolonym uśmiechu.

- Czy rana mogła być śmiertelna?

- Moim zdaniem, tak. Natychmiast przystąpiono do ratowania życia pacjenta. Nasz zespół dokonał cudu.

- Czy ten napad miał związek z nierozwiązanym morderstwem brata pana Threadgilla sprzed trzech lat?

- Nic o tym nie wiem.

- Czy Wick Threadgill nadal jest na urlopie?

- To pytanie proszę skierować do policji. - Czy...

Uniosła ręce, prosząc o ciszę.

- Dziś rano zajęłam się nagłym przypadkiem. Przez jakiś czas nie znałam nawet nazwiska pacjenta. Nic nie wiem o życiu zawodowym ani prywatnym pana Threadgilla. Zrobiłam, co do mnie należy. Nic więcej nie mogę państwu powiedzieć.

Reportaż się skończył. Gadająca głowa powróciła na ekran z krótkim podsumowaniem, po czym przeszła do następnego tematu.

Lozada wyłączył telewizor, ale przez jakiś czas siedział na kanapie, rozmyślając o słowach Rennie. „Zrobiłam, co do mnie należy”.

Oczywiście! Nie uratowała Threadgilla z powodu sympatii do niego. Wykonywała tylko swoje obowiązki. Lozada także nie miał nic przeciwko większości swoich ofiar.

Nawet ich nie znał, ale musiał zrobić to, za co mu zapłacono. Rennie po prostu zajmowała się swoją pracą z takim samym profesjonalnym obiektywizmem jak on.

Czyż nie była fantastyczna? Jak rozmawiała z tymi dziennikarzami! Chłodna, profesjonalna, niewzruszona, bez tremy. Była wyjątkowa.

I zmęczona. Widział to. Potrafiła wyglądać lepiej. Ale nawet zmięta i wyczerpana nadal była piękna i podniecająca. Pragnął jej. Wkrótce będzie ją miał. A wtedy Rennie na pewno doceni głębię jego uczucia.

Nagle poczuł wściekły głód. Nabrał ochoty, by wyjść.

Nalał sobie tequili i zabrał ze sobą do łazienki wykładanej czarnym marmurem. Wziął prysznic, ogolił głowę i całe ciało, po czym przez dziesięć minut stał pod strumieniem wody. Wreszcie otworzył ściek, oczyścił go jednorazowymi chusteczkami i spuścił je w toalecie.

Zamontował kratkę. Wytarł do sucha brodzik ręcznikiem, który wrzucił do torby. Wychodząc, wyrzucił ją do szybu, kończącego się kubłem w piwnicy budynku. Dwa razy dziennie jego zawartość trafiała do pralni. Lozada nigdy nie zostawiał w łazience raz użytego ręcznika.

Dopił drinka, ubierając się w szyte na miarę lniane spodnie i jedwabny podkoszulek. Lubił dotyk jedwabiu; pieścił jego sutki, miękki i zmysłowy jak kobiecy język. Miał nadzieję, że jego tatuaż spodoba się Rennie.

Uzupełnił strój kontrastową sportową kurtką. Ubiór był zbyt elegancki jak na meksykańską knajpę, ale Lozada był w uroczystym nastroju. Zadzwoił do parkingowego i kazał wyprowadzić mercedesa.

Zanim wyszedł, odbył jeszcze rozmowę telefoniczną.

Parkingowy czekał przy otwartych drzwiach samochodu.

- Miłego dnia.

- Dziękuję.

Lozada, świadom swojego wspaniałego wyglądu i tego, że młodzieniec prawdopodobnie mu zazdrości, dał mu hojny napiwek.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zobaczyła róże tuż po wyjściu z windy.

Nie można ich było nie zauważyć. Bukiet stał na parapecie pokoju pielęgniarek. Pielęgniarki pewnie czekały na jej reakcję. Wszystkie uśmiechały się wyczekująco.

- To dla pani, pani doktor.

- Dostarczono je pół godziny temu.

- Posłańca prawie nie było zza nich widać! Wspaniałe, prawda?

- Kim jest ten tajemniczy wielbiciel?

- Na pewno nie policjantem - powiedział funkcjonariusz, którego Wesley postawił przed pokojem Wicka. - Żadnego gliniarza na to nie stać.

Rennie ominęła bukiet wzrokiem.

- To na pewno jakaś pomyłka. To nie dla mnie.

- A... ale tu jest wizytówka... - wyjąkała jedna z pielęgniarek. - Tu jest pani nazwisko.

- Proszę się pozbyć róż i wizytówki. I flakonu. Wszystkiego.

- Mamy je wyrzucić?

- Albo rozdać pacjentom. Zanieść do holu, kaplicy, kawiarni. Wszystko jedno. Tylko zabierzcie mi je z oczu. Poproszę kartę pana Threadgilla.

Zebrana grupka rozeszła się, już bez uśmiechów. Policjant zajął dawne miejsce. Pielęgniarka wyniosła ciężki wazon. Druga podała Rennie kartę i odważnie poszła za nią do separatu Wicka.

- Okresy przytomności są już dłuższe - powiedziała. - Nie znosi spirometru.

Pacjenci musieli w niego dmuchać, żeby oczyścić płuca.

Jego wyniki były dobre. Sprawdziła opatrunek zakrywający ranę pooperacyjną. Wick jęknął przez sen, kiedy odciągnęła bandaż. Później spytała pielęgniarkę, czy coś pił.

- Podawałam mu tylko lód.

- Jeśli znowu o coś poprosi, proszę mu podawać niewielkie ilości sprite'a.

- Zzzzbhbynymmm.

Rennie przeszła na lewą stronę łóżka, tę, na którą był odwrócony.

- Słucham? - Bhbon. W spheie.

Usiłował na nią spojrzeć, ledwie ruszając głową. Żeby mu to ułatwić, usiadła na skraju krzesła koło łóżka.



- Mam podać bourbona ze sprite'em?

- Może być. Uśmiechnęła się.

- Chyba już jesteś znieczulony.

- Za mało.

Pielęgniarka pobiegła po napój. Wick poprawił głowę tak, żeby twarz nie tonęła w poduszce.

- To ty mi to zrobiłaś?

- Przyznaję się do winy.

- Więc nie dostaniesz... - skrzywił się, złapał powietrze - kartki na święta.

- Skoro żartujesz, musisz się czuć lepiej.

- Jak żaba pod walcem.

- I tak wyglądasz.

- Ha - ha. - Oko zamknęło się i tak zostało.

Rennie wstała i w kilku miejscach przyłożyła stetoskop do jego piersi.

- Coś stuka? - spytał, zaskakując ją, bo myślała, że znowu zasnęła.

- Mocno i wyraźnie. - Usiadła z powrotem. - Płuca też masz czyste, więc proszę dmuchać w spirometr, kiedy pielęgniarka poprosi.

- Głupie to.

- Ale zapalenie płuc nie jest głupie.

- Rennie? - Tak?

- To był strzał?

- Cios.

Znowu otworzył oko.

- Śrubokręt - dodała.

- Obrażenia?

- Znaczne, ale do zaleczenia.

- Dzięki.

- Proszę uprzejmie.

- Jaja mnie bolą.

- Dopilnuję, żeby przyłożono ci lód.

Zdziwiła się, że jednym okiem można spojrzeć w tak wredny sposób.

- Są obrzęknięte - wyjaśniła. - Przy takich obrażeniach krew zbiera się w jądrach.

- Ale wszystko z nimi w porządku?



- Jak najbardziej. To przejściowe.
- Przysięgasz?
- Daj im parę dni. Wrócą do normy.
- Dobrze, dobrze. - Zamknął oko. - Śmieszna rozmowa.
- I mniej śmieszny ból. Tak słyszałam.
- Rennie?

Oko znowu się otworzyło.

- Złapali go? Pokręciła głową.
- Kurwa.

Została przy nim, na krześle przy łóżku. Wydawało się jej, że Wick zasnął, gdy znowu wymamrotał:

- Twarz. Boli. Co mi zrobił?
- Zaatakował cię od tyłu.
- Tak.

- Upadłeś do przodu i wylądowałeś z impetem na policzku. Rozciąłeś sobie brodę, ale nie trzeba szyć. Masz siniaki i obrzęki, ale żadna kość nie jest złamana.

- Więc będę przystojny jak zawsze?
- I jak zawsze skromny.

Uśmiechnął się, ale widziała, że każda mina sprawia mu ból.

Wróciła pielęgniarka z napojem w styropianowym kubku. Spojrzała na Rennie dziwnym wzrokiem, kiedy ta wyjęła go z jej rąk. Rzadko się zdarza, żeby chirurg tak troskliwie zajmował się pacjentem. Rennie wsunęła zgiętą słomkę między wargi Wicka. Pociągnął parę łyków i lekko odchylił głowę, sygnalizując, że ma dość.

- Nie chcę rzygać.

Potem ucichł i była już pewna, że śpi. Została przy nim, choć pielęgniarka już wyszła. Z odrętwienia wyrwał ją cichy głos.

- Co z nim?

Obejrzała się; przed drzwiami stała Grace Wesley. Rennie nie słyszała jej nadejścia, nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Jak długo wpatrywała się w zniekształconą twarz Wicka?

Wstała pospiesznie.

- Już... już mu lepiej. Kiedy się budzi, mówi sensownie. Wypił parę łyków sprite'a.
- Odstawiła kubek na stolik na kółkach. Z jakiegoś powodu czuła, że nie powinna go

dotykać. - Teraz śpi.

- Czy mogę wejść?

- Oczywiście.

- Nie chcę przeszkadzać.

- To chyba niemożliwe. Do niego to nie dociera.

Grace Wesley była szczupła i atrakcyjna. Włosy miała ułożone w mały kok z tyłu głowy - minimalizm, który tylko podkreślał urodę jej wysokich kości policzkowych i subtelnych rysów. Migdałowe oczy patrzyły rozumnie i serdecznie. Ta kobieta roztaczała wokół siebie aurę spokoju i delikatności. Rennie zauważyła wcześniej, że najmniejszy dotyk Grace wpływa uspokajająco na jej topornego męża.

Grace stanęła u stóp łóżka i przez parę chwil patrzyła na śpiącego Wicka.

~ Trudno uwierzyć, że to on - powiedziała z uśmiechem. - Nigdy nie widziałam go w bezruchu. Nie potrafi usiedzieć w miejscu więcej niż parę sekund. Ten człowiek jest w nieustannym pędzie.

- Też to zauważyłam. - Grace spojrzała na nią pytająco. - Oczywiście nie znam go zbyt dobrze - pospieszyła z zapewnieniem. - Wcale go nie znam. Ale pani zna go z pewnością.

- Wick chodził do liceum, kiedy Oren, mój mąż... Rennie skinęła głową.

- Kiedy Oren i brat Wicka, Joe, zdali do akademii policyjnej. Zaprzyjaźniliśmy się z Joem. Zaprosił nas na szkolny mecz, żebyśmy popatrzyli jak „mały” gra. Tak mówił. - Roześmiała się cicho. - Wick faulował.

- Jest agresywnym graczem?

- I zapaleńcem. Łatwo wybucha. Ale potem równie szybko przeprasza.

Przez jakiś czas milczały.

- Aż do dziś nie wiedziałam o jego bracie - odezwała się Rennie. - Dopóki nie spytał mnie jakiś reporter.

- Joe zmarł trzy lata temu. Jeszcze się z tego nie otrząsnęliśmy. Zwłaszcza Wick. Nie widział świata poza Joem. Bardzo go kochał.

Zjawiła się pielęgniarka, żeby wymienić kroplówkę. Milczały, dopóki nie zostały same.

- Rozumiem, że Joe został...

- Zamordowany - rzuciła Grace twardo.

W jednym oślepiającym błysku wszystko stało się jasne.



- Lozada. - Tak. Lozada.
- Jak uniknął sprawiedliwości?
- Nie został oskarżony.
- Jak to?

Grace zawahała się, zrobiła krok w stronę Rennie i odezwała się ciszej:

- Pani doktor, spytałam męża, co się działo między wami dziś rano. Wyczułam jakieś silne emocje.

- Dwa tygodnie temu znalazłam się wśród przysięgłych, którzy uniewinnili Lozadę.

- Oren mi to wyjaśnił.

- Pani mąż ma do mnie urazę za werdykt sądu. Zwłaszcza teraz. Lozada zabrał mu już jednego przyjaciela, a teraz omal się to nie powtórzyło. - Spojrzała na Wicka. - Gdyby przysięgli wystąpili z innym werdyktem, Wick nie zostałby zaatakowany, a ta młoda kobieta wciąż by żyła.

- Czy mogę o coś spytać? - odezwała się łagodnie Grace. - Gdyby miała to pani zrobić znowu, czy nadal głosowałaby pani za uniewinnieniem Lozady?

- Gdybym wiedziała to, co wtedy, czy teraz?

- Wtedy.

Rennie zastanowiła się głęboko, tak jak przed oddaniem tego ostatecznego i fatalnego głosu.

- Gdybym wiedziała tylko to, co wiedziałam wtedy, musiałabym znowu zagłosować za uniewinnieniem.

- Więc ma pani czyste sumienie. Nie odpowiada pani za atak Lozady.

- Niech to pani powie swojemu mężowi. - Już to zrobiłam.

Rennie drgnęła. Grace uśmiechnęła się łagodnie i uścisnęła jej rękę.

- Już pójdę, ale proszę powiedzieć Wickowi, kiedy się obudzi, że go odwiedziłam.

- Ja też zaraz idę, ale zostawię wiadomość pielęgniarce.

- Kiedy zostanie przeniesiony do normalnej sali?

- Za parę dni, jeśli jego stan będzie się poprawiać. Sprawdzam, czy nie ma oznak infekcji.

- Co mam powiedzieć dziewczynkom?

- Ma pani córki?

- Dwie. Bardzo rozbrykane. - Jakie to miłe.



- Chciały ze mną przyjść, ale Oren zakazał im opuszczać dom.

Rennie nie musiała pytać, dlaczego. Wesley bał się o ich bezpieczeństwo, obawiał się, że Lozada nie zadowolony się atakiem na Wicka. Rozstawił posterunki w całym szpitalu; teraz po drugiej stronie szklanej ściany także widziała dwóch strażników. Bez wątplenia przyszli z Grace Wesley.

- Moje dziewczynki uwielbiają wujka Wicka. Gdyby sprzedawali jego plakaty, powiesiłyby go na ścianie razem z innymi gwiazdami.

- Proszę im powiedzieć, że wujek Wick wyzdrowieje.

- Musimy pani za to podziękować. Dziewczynki strasznie chcą panią poznać.

- Mnie?

- Opowiedziałam im o pani. Później podsłuchałam ich rozmowę. Obie chcą zostać chirurgami. Będą ratować ludzi tak, jak pani uratowała Wicka.

Rennie była wzruszona tak, że nie wiedziała, co powiedzieć. Grace to chyba wyczuła. Zostawiła ją, pożegnawszy się krótko. Dwaj policjanci ruszyli po obu jej stronach do windy.

Po różach nie pozostał żaden ślad. W pokoju pielęgniarek znajdowało się kilka biurków, komputerów, sprzęt monitorujący, katalogi i tysiąc innych drobiazgów. Rennie nie miała pojęcia, jak szukać tego, o co jej chodziło. Rozejrzała się bezradnie.

- Mogę pani w czymś pomóc, pani doktor?

- Hm... tak.

Zanim leczniczy balsam do ust się odnalazł, trzeba było przeszukać kilka szuflad. Rennie zabrała go na OIOM. Wick nadal spał, oddychał miarowo. Usiadła na krześle koło jego łóżka, ale minęła co najmniej minuta, zanim otworzyła małą puszczykę, z której rozszedł się przyjemny aromat z nutką wanilii.

Wcześniej zauważyła, że Wick ma suche, popękane usta. Ten objaw nie należał do niezwykłych efektów ubocznych operacji i utraty płynów ustrojowych. Prawdę mówiąc, był dość powszechny. Ale wargi Wicka wydawały się wyjątkowo suche. Rennie uznała, że należy temu zaradzić. To chyba nic złego?

Przed kim się usprawiedliwiała?

Potarła palcem o powierzchnię balsamu, zataczając małe kółeczka, aż tarcie i ciepło jej ciała rozpuściły i zmiękczyły specyfik. Musnęła palcem jego dolną, potem górną wargę, prawie w powietrzu, niemal nie dotykając.

Kiedy na obu wargach znalazły się kropeczki wonnej maści, cofnęła rękę.

Zawahała się. Potem znowu dotknęła jego dolnej wargi, tym razem nie zrywając już kontaktu. Powoli rozprowadziła balsam od kącika do kącika ust i z powrotem. To samo zrobiła z górną wargą. Obrysowała jej kontur, bardzo starannie, jak dziecko, które boi się bury, jeśli kredka wymknie się poza kontury rysunku.

I właśnie, gdy miała znowu cofnąć palce, Wick się obudził. Ich oczy się spotkały.

To było jak uderzenie pioruna.

Żadne się nie odezwało. Nie padło ani jedno słowo. Jej palec nadal spoczywał na jego wargach. Znieruchomiała, uzmysłowiwszy sobie, że jego ciężki, miarowy oddech także ucichł. Nie wiadomo dlaczego wydało jej się, że jeśli któreś z nich się poruszy, coś musi się stać. Coś ważnego. Nie bardzo wiedziała co. W każdym razie nie odważyła się nawet drgnąć. Chyba zresztą nie mogła. Jego błękitne spojrzenie działało na nią paraliżująco.

Trwali tak nieporuszeni przez... właściwie jak długo? Potem nie mogła sobie przypomnieć. Wreszcie lewe oko Wicka znowu się zamknęło. Rennie usłyszała szelest jego rzęs na poduszce. Westchnęła głęboko dopiero wtedy, gdy usłyszała jego miarowy oddech.

Wtedy cofnęła rękę, niezdarnie zamknęła puszczykę z balsamem i zostawiła ją na tacy przy łóżku. Nie spojrzała już na Wicka.

- Proszę mnie wezwać, jeśli będą jakieś zmiany - rozkazała szorstko, oddając jego kartę w pokoju pielęgniarok.

Pełniący wartę policjant otworzył jej drzwi windy i odezwał się nieśmiało:

- Pani doktor, chcę tylko powiedzieć... eee... Wick jest świetnym facetem. Parę lat temu mój dzieciak miał wypadek. Wick był pierwszy w kolejce do oddania krwi. No i... chcę pani podziękować, że mu pani dziś pomogła.

Rennie uznała, że łza była oznaką zmęczenia. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest wyczerpana, dopóki winda nie zaczęła zjeżdżać w dół. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Wtedy właśnie poczuła, że po policzku toczy się łza. Otarła ją, zanim spadła.

Kiedy wychodziła, inny policjant niespodziewanie wyszedł za nią.

- Czy coś się stało?

- Rozkaz Wesleya, proszę pani. Pani doktor - poprawił się szybko.

- Dlaczego?

- Nie pytałem, a on mi nie powiedział. Pewnie to ma coś wspólnego z

Threadgillem.

Odprowadził ją do samochodu, zajrzał na tylne siedzenie i pod nie.

- Bezpiecznej drogi, pani doktor.

- Dziękuję.

Patrzył za nią, kiedy odjeżdżała.

Przejechała parę przecznic, zanim zauważyła kasetę. Wystawała z magnetofonu na desce rozdzielczej. Rennie spojrzała na nią z zaskoczeniem. Nigdy nie słuchała kaset, zawsze płyt kompaktowych.

Na najbliższych czerwonych światłach wyjęła kasetę, by spojrzeć na naklejkę. Nie było jej. Przez przejrzysty plastik widać było maleńkie szpulki taśmy. Odsunęła od siebie złe przeczucia, włożyła kasetę do magnetofonu i wcisnęła klawisz play.

W samochodzie rozbrzmiały dźwięki fortepianu i aksamitny głos piosenkarki.

- Fascynujesz mnie, kochanie...

Rennie uderzyła pięścią klawisze magnetofonu; biła, dopóki muzyka nie umilkła. Zaczęła dygotać, najpierw z gniewu, potem ze strachu. Policyjne patrole wokół szpitala nie przeszkodziły Lozadzie podłożyć kasety. Jak mu się to udało? Drzwi były zamknięte.

Sięgnęła do skórzanej torebki, szukając telefonu komórkowego, ale udało się jej tylko wysypać jej zawartość na podłogę.

Doszła do wniosku, że zanim się zatrzyma i znajdzie telefon, zdąży dojechać do domu. Stamtąd zadzwoni do Wesleya.

Dwa razy przejechała na czerwonym świetle, sprawdzając, czy nikt nie nadjeżdża. Na swój podjazd wpadła z nieprzystojną prędkością. Drzwi garażu otwierały się godzinę. Wjechała do środka w chwili, kiedy uznała, że samochód się zmieści. Za pomocą pilota zamknęła drzwi, jak tylko znalazła się w środku, jeszcze nie zdążywszy zgasić silnika.

Zostawiła rozsypane przedmioty na podłodze, wysiadła i na oślep wpadła do kuchni. Tu zatrzymała się jak wryta.

Zza drzwi prowadzących z kuchni do salonu sączył się migotliwy blask. Nie miała w domu nic, co dawałoby takie światło. Co się stało? Rozsądek nakazywał wycofać się, otworzyć garaż i wybiec na ulicę, machając rękami i wzywając pomocy.

Ale ona nie ucieknie z krzykiem z własnego domu. Do diabła, nie!

Zostawiła tylne drzwi otwarte. Wzięła z szuflady rzeźnicki nóż. Podeszła do drzwi salonu i otworzyła je.



Świeczki - pewnie dziesiątki, choć wyglądało, jakby ich było setki - migotały w szklanych świecznikach najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Stały wszędzie, gdzie się dało. Wypełniały pomieszczenie uderzającym do głowy kwiatowym zapachem. Pokój wyglądał, jakby stał w płomieniach.

Na stoliku pysznił się kolejny bukiet czerwonych róż. Ze stereo sączyła się muzyka. Kolejna wersja. Inna piosenkarka. Ale ta sama melodia. Ulubiona piosenka Lozady.

Rennie oddychała ciężko przez usta. Przez głośne dźwięki muzyki słyszała łomot swego serca. Cofnęła się o krok, nagle niezbyt pewna, że sama sobie poradzi. Może jednak powinna uciec.

Zastanowiła się, ile czasu zajmie jej sprowadzenie pomocy. Wrócić do kuchni. Wyjść. Wcisnąć guzik uruchamiający drzwi garażu. Przejść pod nimi. Potem podjazd i ulica. Albo przez żywopłot do domu pana Williamsa. Wezwać pomoc. Zwrócić się do kogoś. Do policji.

Nie.

Podeszła do stereo i wyłączyła muzykę.

- Wychodź! Spójrz mi w oczy, ty...

Wykrzyczane słowa wróciły do niej echem. Nasłuchiwała, ale nie potrafiła rozróżnić dźwięków innych niż własny ochrypyły oddech i łomot galopującego serca.

Ruszyła w stronę korytarza, ale zatrzymała się na progu. Rozciągał się przed nią, ciemny i złowrogi, dużo dłuższy niż normalnie. Lozada doprowadził do tego, że bała się we własnym domu, więc rozzłościła się jeszcze bardziej. Złość pchnęła ją do działania.

Szybko przemierzyła korytarz i sięgnęła do włącznika w swoim gabinecie. Pokój był pusty, brakowało w nim miejsc nadających się na kryjówki. Otworzyła drzwi szafy. Nic. tylko walizki i rupiecie. Zresztą, nie było tu dość miejsca dla dorosłego mężczyzny.

Przeszła do sypialni, gdzie migotały kolejne świece. Rzuciły płasające cienie na ściany, sufit i żaluzje, które obecnie, ze względu na Lozadę, wciąż były spuszczone. Zajrzała pod łóżko. Podeszła do szafy i otworzyła drzwi szerokim ruchem. Przejrzała wiszące ubrania.

Łazienka także była pusta, ale zasłona prysznicowa, zawsze otwarta, została zaciągnięta. Rennie, zbyt wściekła, żeby się bać, szarpnęła ją. Na drucianej półce wokół wanny stały róże.

Zamachnęła się i uderzyła wazon, który wpadł do porcelanowej wanny. Łomot

był ogłuszający jak eksplozja.

- Ty draniu! Dlaczego mnie nie zostawisz w spokoju?

Wróciła do sypialni i zaczęła zdmuchiwać świece; po chwili przestraszyła się, że od dymu włączy się czujnik przeciwpożarowy. Wróciła do salonu, ale pozwoliła świecom się palić. W kuchni zamknęła drzwi na klucz, nóż odłożyła do szuflady.

W lodówce znalazła pół butelki chardonnay; nalała sobie pełny kieliszek i pociągnęła długi łyk. Zamknęła oczy, przycisnęła zimne szkło do czoła.

Zastanawiała się, czy wezwać Wesleya. Po co? Nie mogła udowodnić, że Lozada włamał się do jej domu tak samo, jak Wesley nie potrafił udowodnić, że Lozada zabił Sally Horton i usiłował zamordować Wicka.

Z drugiej strony, jeśli tego nie zgłosi, a Wesley jakoś się dowie... No tak. Bała się tego, ale trzeba go było powiadomić.

Podniosła głowę, otworzyła oczy i ujrzała swoje odbicie w oknie nad zlewem. Za jej plecami stał Lozada.

Przyszło jej do głowy tylko jedno: jest zbyt wściekła, żeby się przestraszyć.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wziął ją za ramiona i obrócił ku sobie. Oczy miał tak ciemne, że źrenice nie odcinały się od tęczówek.

- Jesteś zdenerwowana. Chciałem ci sprawić przyjemność, nie zdenerwować.

Mówił łagodnie, jak do kochanki.

Wściekłość i strach walczyły w niej o lepsze. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami za to, że wtargnął w jej usystematyzowane życie. I równie rozpaczliwie pragnęła schować się w jakimś kącie. Ale obie reakcje oznaczały słabość, której nie ośmieliłaby się mu okazać. Był drapieżnikiem, który wyczuwa słabość ofiary i w pełni ją wykorzystuje.

Lozada odebrał jej kieliszek i przycisnął do jej ust.

Usiłowała odchylić głowę, ale przytrzymał jej szczękę drugą ręką. Poczowała chłód wina na wargach. Szkło brzęknęło o zęby. Wino wypełniło usta. Przełknęła, ale nie wszystko. Trochę pociekło po brodzie. Otarł ją kciukiem i uśmiechnął się.

Rennie widywała ten uśmiech na całym świecie. Tak uśmiecha się kat do ofiary. Tak uśmiecha się mąż do żony, którą pobił do nieprzytomności. Tak uśmiecha się żołnierz do zgwałconej dziewczyny. I ojciec do córki, którą wysterylizował.

Był to uśmiech pełen wyższości i pewności siebie. Oznaczał, że teraz ofiara nie ma już własnej woli i że, z jakiegoś perwersyjnego powodu, powinna być szczęśliwa, nawet wdzięczna za tolerancję swemu prześladowcy.

Tak właśnie uśmiechał się Lozada.

Znowu przytknął kieliszek do jej ust, ale nie mogła dłużej znieść tego uśmiechu. Odtrąciła wino, które obryzgało mu rękę. Oczy zwęziły mu się niebezpiecznie. Podniósł rękę i wydawało się, że ją uderzy.

Ale on podniósł dłoń do ust i oblizał wino w obscenicznie sugestywny sposób.

Jego złowrogi uśmiech przeszedł w cichy śmiech.

- Nic dziwnego, Rennie, że nie chcesz tego pić. Tanie wino. Okropny rocznik. W pierwszej wersji zakładałem, że zapoznam cię z prawdziwie wybornymi trunkami.

Sięgnął za nią, by odstawić kieliszek na stół. Naparł na jej ciało i już się nie cofnął. Jego bliskość była klaustrofobiczna. Rennie nie mogła oddychać - i nie chciała. Nie życzyła sobie zarejestrować w banku pamięci jego wody kolońskiej.

Siłą woli zmusiła się, żeby go nie odepchnąć. Zdjęcie Sally Horton wciąż stało jej

przed oczami. Łozada prawdopodobnie chciał, żeby się szarpała. Tylko czekał na pretekst, żeby zareagować agresją. Sadyści chętnie usprawiedliwiają swoje okrucieństwo.

- Ty drżysz, Rennie. Boisz się mnie? - Przysunął się jeszcze bliżej. Jego oddech łaskotał jej szyję. Miał erekcję; sugestywnie otarł się o nią. - Dlaczego się mnie boisz, skoro chcę cię tylko uszczęśliwić? Hmmm?

Wreszcie cofnął się i z lekkim rozbawieniem przyjrzał się jej od stóp do głów.

- Ale zanim przystąpimy do smakowania win. zajmijmy się sprawami bardziej podstawowymi. Na przykład twoją garderobą. - Dotknął jej obojczyków i pogłaskał je lekko. - Ukrywać taką figurę to grzech.

Spojrzał na jej piersi i długo nie odrywał od nich oczu, co w jakiś sposób było gorsze niż prawdziwy dotyk.

- Powinnaś nosić ubrania, które by cię otulały. I czerń, by podkreślić te jasne włosy. Kupię ci coś czarnego i bardzo seksownego, coś, co by podkreślało piersi. Tak, zdecydowanie. Mężczyznom będzie ślinka ciekła na twój widok, ale tylko ja będę cię miał.

Potem wrócił spojrzeniem do jej twarzy i dodał żartobliwie:

- Oczywiście dziś nie wyglądasz najlepiej, moje biedactwo. Bardzo ciężko pracowałaś. - Przesunął czubkiem palca po ciemnych podkowach pod jej oczami. - Jesteś wykończona.

Przełknęła gruzeł, który utkwiał jej w gardle, gdy słuchała jego rojeń.

- Tylko nie tym tonem.

- Ach, przemawia przez ciebie dama. Zaczynałem się dziwić, czy już zapomniałaś o tym tonie.

- Proszę wyjść.

- Przecież dopiero wszedłem.

Ale to było kłamstwo. Samo zapalenie świec w jej salonie musiało mu zająć co najmniej godzinę. Gdzie się ukrywał, gdy przeszukiwała dom?

- Nigdy nie zdradzam tajemnic handlowych - odezwał się, jakby czytając w jej myślach. - Powinnaś to już wiedzieć. - Żartobliwie uszczypnął ją w podbródek. - Ale mamy o czym rozmawiać.

- To prawda. Mamy. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ty pierwsza.



- Lee Howell. - Kto?

- Zabiłeś go, tak? Zrobiłeś to dla mnie, jako przysługę. I napaść na Wicka Threadgilla. To także ty, prawda?

Zareagował jak błyskawica. Jedną ręką podniósł jej bluzkę, drugą przejechał po jej piersiach i wokół paska spódnicy. Odepchnęła go z całej siły.

- Precz z łapami! Uderzyła go po dłoniach.

- Przestań! - Chwycił jej rękę, unieruchomił je. - Rennie, Rennie, przestań się wrywać! Głos miał łagodny; chwyt taki nie był. - Cśśś, Cśśś... Spokojnie. Spiorunowała go wzrokiem. Przeprosił cicho.

- Przepraszam, musiałem. Parę lat temu policja podstawiła mi funkcjonariuszkę w przebraniu. Musiałem się upewnić, że nie masz podsłuchu. Wybacz, że byłem nieco brutalny. I co? Już lepiej?

Puścił jej rękę i ścisnął za ramiona. Jego mocne palce zaciskały się rytmicznie, masowały, jakby czuły mąż dowiedział się, że żona miała długi, ciężki dzień.

- Nie pracuję dla policji.

- Okrutnie byś mnie zawiodła, gdybyś pracowała. - Jego palce zacisnęły się mocniej. W oczach błysnęło złowrogie światło. - Dlaczego tyle czasu spędzałaś z Wickiem Threadgillem?

Skrzywiła się.

- Nie wiedziałam, że to policjant. Posłużył się mną.

- Więc dlaczego tak się starałaś, żeby uratować mu życie? Znowu wróciły do niej ostrzegawcze słowa Wesleya. Sally Horton była niewinną ofiarą rywalizacji Wicka z Lozadą. Zginęła z powodu roli, jaką nieświadomie odegrała.

- Za to mi płacą - powiedziała lekceważąco. - Nie zawsze mogę wybierać pacjentów. W tym wypadku to los mnie wybrał. Wyciągnęłam krótką słomkę. Nie mogłam pozwolić, żeby się wykrwawił na noszach.

Spojrzał jej prosto w oczy. Położył dłoń na jej gardle. Kciukiem odnalazł tętnicę i pogłaskał ją.

- Byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdybyś mnie zdradziła z Wickiem Threadgillem.

- Nic nas nie łączy.

- Nie pocałował cię? - Nie.

- Nie dotykał cię w taki sposób? - Musnął jej pierś. Gardło ścisnęło się jej za bardzo, żeby mogła odpowiedzieć.



Pokręciła głową.

- Ten pies nigdy nie byłby przy tobie taki twardy - wyszeptał, napierając na nią. -
Nigdy by nie mógł.

- Ręce do góry, Lozada!

Oren Wesley wpadł do pokoju, a za nim dwóch policjantów z wyciągniętą bronią.
Otoczyli ich półkolem.

- Ręce do góry, powiedziałem! I odsuń się od niej!

Rennie stała z otwartymi ustami. Lozada usłuchał; jego twarz zmieniła się w maskę bez wyrazu. W ułamku sekundy stał się idealną repliką samego siebie - taką, którą można by postawić w muzeum figur woskowych. Nie okazał gniewu, zaskoczenia czy niepokoju.

- Detektyw Wesley. Nie wiedziałem, że dziś pracuje pan do późna.

- Pozycja!

Lozada wzruszył ramionami i pochylił się nad kuchennym stołem. Jego ręce znalazły się w pobliżu koszyka z owocami, w którym banany zaczynały już przejrzywać. Dziwne spostrzeżenie, kiedy ma się w kuchni aresztowanego niedoszłego gwałciciela, ale Rennie przyjęła je z ulgą.

Policjant w mundurze wyjął niewielki pistolet z kieszeni spodni Lozady.

- Mam pozwolenie - odezwał się Lozada.

- Skuć go - rozkazał Wesley. - Do kostki ma przymocowany nóż.

Pierwszy funkcjonariusz zajął się nakładaniem Lozadzie kajdanek, drugi ukląkł i podniósł nogawkę jego spodni. Wyjął z pochwy niewielki, lśniący nóż. Wyraz twarzy Lozady pozostał niezmienny.

Wesley spojrzał na Rennie.

- W porządku?

Zbyt wstrząśnięta, żeby się odezwać, skinęła głową. Jeden z policjantów odczytywał Lozadzie jego prawa, ale ten patrzył na Wesleya.

- Za co mnie aresztowaliście?

- Morderstwo.

- Interesujące. A kto jest rzekomą ofiarą?

- Sally Horton.

- Pokojówka z mojego domu?

- Zachowaj te głupoty dla przysięgłych - poradził Wesley, rzucając Rennie

spojrzenie z ukosa. - Oraz za usiłowanie morderstwa na osobie Wicka Threadgilla.

- To jakaś farsa.

- Hm, to się okaże w trakcie dochodzenia, prawda? A tymczasem pomieszkasz sobie na koszt państwa.

- Do rana będę wolny.

- No cóż, to się okaże. - Wesley skinął głową na policjantów, by go wyprowadzili.

Lozada uśmiechnął się do Rennie.

- Do zobaczenia, ukochana. Do zobaczenia wkrótce. Przepraszam za ten incydent. Detektyw Wesley uwielbia mocne efekty. To rekompensata za inne niedomogi. - I mijając Wesleya dodał: - Twojego fiuta pogrzebali razem z Joem Threadgillem.

Jeden z policjantów trącił go mocno w plecy. Zniknęli w drzwiach salonu. Rennie oparła się bezwładnie o stół.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Powiedział pan, że go nie aresztujecie, dopóki nie będziecie mieli dowodów. Czy to znaczy...

- To znaczy tylko tyle, że przekonałem mojego sierżanta. Zgodził się, żebym przyprowadził tu Lozadę, podczas gdy będziemy przygotowywać zasadzki. Jeśli dopisze wam szczęście - a w przypadku Lozady szczęście wydaje się być towarem deficytowym - znajdziemy coś obciążającego.

- Czyli na razie nic nie macie. Wzruszył ramionami.

- Nie możemy trzymać go w nieskończoność, nie przedstawimy mu zarzutów, ale będziemy grać na zwłokę najdłużej jak się da. Jeżeli nie zgromadzimy jakichś niezbitych dowodów na podtrzymanie oskarżenia Wicka, rozprawa zmieni się w pyskówkę. Jeśli prokuratura w ogóle dopuści do rozprawy.

- To chyba nieuniknione, prawda? Jeśli Wick zidentyfikuje Lozadę jako napastnika?

- Prokuratura nie będzie chciała opierać się tylko na zeznaniach Wicka. Weźmie pod uwagę sytuację Wicka i Lozady, która w dużym stopniu ogranicza wiarygodność Wicka. Poza tym nie bardzo go tu lubią.

- W prokuraturze? Dlaczego?

Policjant zjrzał do kuchni i zwrócił się do Wesleya.

- Jest w drodze.



- Jadę za wami.

Policjant zniknął. Rennie poszła za Wesleyem do salonu, gdzie nadal paliły się świece. Zapach stał się lepki. Podeszła do okna i otworzyła je, żeby przewietrzyć. Przed domem stało kilka radiowozów z włączonymi światłami.

Sąsiedzi w piżamach zgromadzili się na chodniku i rozmawiali. Pan Williams stał w centrum grupy; opowiadał, gestykulując teatralnie.

- Skąd pan wiedział, że Lozada tu jest? Nadal obserwujecie mój dom?

- Nie. Dostaliśmy telefon. Pani sąsiad, niejaki pan Williams, powiedział, że dzieje się u pani coś dziwnego.

Boże, to jakiś koszmar.

Wesley stał na środku pokoju i rozglądał się niespiesznie. Róże nie uszły jego uwagi. Wreszcie wrócił spojrzeniem do Rennie.

- Dziś rozmawiałem z radą nadzorczą szpitala. Powiedzieli, że przyjęła pani miejsce doktora Howella.

Uniosła głowę.

- Dziś po południu przekazałam im swoją decyzję. Po spotkaniu z panem. Nie rozumiem, o co panu chodzi. Od samego początku uważa pan, że zleciłam Lozadzie zabicie Lee.

Wskazał róże. - Gratulacje.

- To nie jest świętowanie sukcesu, jeśli to panu chodzi po głowie. Wszystko to było tutaj, kiedy wróciłam ze szpitala. Znowu się włamał.

- Nie zgłosiła pani tego na policji.

- Nie miałam szansy. Spojrzał na jej zmięte ubranie.

- On mnie terroryzował! - krzyknęła. - Nabił sobie do głowy, że będę jego ukochaną. - Streściła wszystko, co powiedział Lozada, nawet najbardziej krepujące wyznania. - Rzucił się na mnie. Myślał, że mam na sobie podsłuch.

- Podsłuch?

- Kiedy wspomniałam o zabójstwie Lee Howella, obszukał mnie. Bał się, że dla pana pracuję.

- Cóż, oboje wiemy, jak bardzo się pomylił. Nie spodobał się jej jego szyderczy ton.

- Ja go tu nie zaprosiłam - oświadczyła dobitnie. - Dlaczego pan z góry o tym przesądza?

- Czy pani coś zbiła?



- Tak, w łazience. Zostawił mi bukiet przy wannie. Tak mnie rozzłościł, że zbiłam flakon.

- Pan Williams wyprowadzał właśnie pieska. Usłyszał trzask i usiłował do pani zadzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. - Jego spojrzenie zatrzymało się na bezprzewodowym telefonie na stoliku.

Rennie podniosła słuchawkę i podała Wesleyowi. Była głucha.

- Chyba nie chciał, żeby mu przeszkadzano - powiedziała cicho.

- Chyba tak.

Odłożyła telefon na zwykłe miejsce na stoliku i szybko cofnęła rękę.

- To pewnie źle, że go dotknęłam?

- Lozada nie zostawia odcisków palców. Poza tym to nieistotne. Już wiemy, że tu był, ale to nie miejsce zbrodni.

- Od kiedy to włamanie nie jest zbrodnią? Wszedł tu i po prostu się rozgościł.

- Aha. Williams powiedział policjantce odbierającej zgłoszenia, że Lozada wygląda zupełnie swobodnie. A potem dodał: „Chwileczkę, może to nie jest ważne, ale teraz widzę ją i jego za oknem w kuchni. Chyba nie dzieje się nic złego, wygląda na to, że ona bardzo dobrze go zna”. Coś w tym stylu. Ale funkcjonariuszka zareagowała przytomnie. Rozpoznała pani nazwisko i adres, wiedziała, że...

- Że mnie pan podgląda.

- Więc do mnie zadzwoniła. Powiedziała, że właśnie miała dziwne zgłoszenie od pani sąsiada. Migdali się pani z jakimś facetem w kuchni.

- Ja bym tego tak nie nazwała. Bałam się, że jeśli będę z nim walczyć, skończę jak Sally Horton.

- To niewykluczone.

- Więc dlaczego zawsze mnie pan podejrzewa? Tylko na nią spojrzął i odwrócił się do wyjścia.

- Muszę się zbierać.

Pobiegła za nim, chwyciła go za ramię i obróciła ku sobie.

- Zasluguję chyba na odpowiedź?

- Oczywiście. Oto ona - powiedział napiętym tonem. - Nie daje mi pani powodów, bym pani zaufała, za to mnóstwo podstaw do nieufności.

- Co by pana przekonało, że mówię prawdę? A gdyby Lozada mnie dziś zabił?

- Raczej nie - odparł ze zblazowanym wzruszeniem ramion. - Zanim zabił Sally

Horton, był jej kochankiem.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- On chce ją tylko uszczęśliwić.

- Co się wygłupiasz?

- Nie patrz tak na mnie - obraził się Oren. - To nie ja tak uważam. Ona uważa, że on tak uważa.

Wick przebywał na OIOM - ie od dwóch dni. Od pięciu znajdował się w separacie, z której miał widok na panoramę miasta. Mógł już leżeć na plecach. Nadal cholernie bolało, zwłaszcza kiedy musiał wstać i chodzić po pokoju, co miało miejsce przynajmniej dwa razy dziennie.

Każda z tych przebieżek, jak je nazywał, była wysiłkiem na miarę zdobycia Everestu. Samo dźwignięcie się z łóżka trwało pięć minut. Początkowo potrafił tylko człapać wokół pokoju, ale dziś udało mu się dotrzeć na koniec korytarza i z powrotem, co pielęgniarki i salowe okrzyknęły wielkim przełomem. Wielkie rzeczy. Same ten przełom wymusiły, choć Wick po drodze klął i pytał, gdzie chowają hitlerowskie mundury. Kiedy wrócił do łóżka, był zlany potem i bezradny jak noworodek.

Czekał na leki przeciwbólowe, które mu regularnie podawano. Nie eliminowały bólu całkowicie, ale sprawiały, że stawał się znośny. Mógł wytrzymać, pod warunkiem że nie myślał o nim zbyt dużo i mógł się skupić na czymś innym. Na przykład na Lozadzie.

Dziś rano odstawiono mu kroplówkę. Pozbył się jej z radością, ale wtedy pielęgniarki zaczęły go na siłę poić ogromnymi ilościami płynów. Przynosiły soki owocowe w plastikowych kubkach z foliowymi wieczkami. Na razie nie udało mu się otworzyć żadnego, nie rozlewając połowy płynu.

- Dają ci tu jeść? - spytał Oren.


- Dają. Trochę. Nie jestem głodny. Poza tym nie uwierzyłbyś, jakie paskudztwa usiłują tu przemycić jako żarcie.

Policzek nadal miał kolor gnijącego bakłażana, ale obrzęk ustąpił na tyle, że mógł już patrzeć bez trudu. Na przykład doskonale widział, że Oren uniósł brew w bardzo dziwny sposób.

- No co?

- Jak twoje przyrodzenie?

- Dzięki, dobrze, a twoje? - Przez parę nieprzyjemnych dni siedział na worku z lodem, ale jego jądra - jak zapewniła go Rennie, odzyskały normalne wymiary.



- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wszystko w porządku. Chcesz sprawdzić?

- Wierzę ci na słowo. - Oren przestąpił z nogi na nogę. - Nie miałem okazji ci powiedzieć... Przepraszam za tę brodę.

- To najmniejszy z moich problemów.

- Tak, ale nie powinienem cię uderzyć.

- Ja uderzyłem pierwszy.

- Obaj zachowaliśmy się jak idioci. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte. A teraz mów dalej o Lozadzie i jego fascynacji Rennie.

- Już ci powiedziałem.

- To powiedz jeszcze raz.

- O Jezu, aleś ty upierdliwy. Jeszcze ci nie wyjęli tego cewnika, tak?

- Wyjmą dzisiaj. I nie włożą, jeśli będę mógł sikać.

- A jeśli nie będziesz?

- Będę. Choćbym miał to z siebie wyciskać. Nie ma mowy, żeby mi to włożyli, kiedy jestem przytomny. Prędeż wyskoczę oknem.

- Ale z ciebie mięczak.

- Więc powiesz czy nie?

- Już powiedziałem. Powtórzyłem słowo w słowo kilka razy z rzędu. Sąsiad powiedział, że wyglądali, jakby się do siebie czulili. Doktor Newton twierdzi, że Lozada ją sterroryzował, bała się z nim walczyć ze strachu, by nie zrobił z nią tego samego, co z Sally Horton.

Wick oparł się o poduszkę i zamknął oczy. Wspomnienie dziewczyny było bolesne. Nigdy nie zapomni jej widoku. Kiedy on rozkoszował się prysznicem, ona została zamordowana z zimną krwią.

Nie otwierając oczu, odezwał się:

- To możliwe, Oren. Lozada jest dla niej niebezpieczny. Zwłaszcza jeśli uważa, że powinna wybrać między mną i nim, a sądzi, że ona woli mnie.

- Chyba z tobą o tym nie rozmawiała.

- Nie. Gdybyś mi nie powiedział, co się stało, o niczym nie miałbym pojęcia.

Nie potrafił zrozumieć, co kieruje Rennie i głównie dlatego był taki zrzędlawy. Tak, wszystko go bolało. Tak, jedzenie było ohydne. Tak, bardzo już chciał sikać o własnych siłach. Tak, nie lubił się włóczyć po szpitalu z gołym tyłkiem, ślaniając się na

nogach.

Ale tak naprawdę niepokoił go chłód Rennie. Przychodziła codziennie rano i wieczorem, zwykle ze spuszczoną głową. Patrzyła na jego kartę, nie na niego. „Jak zdrowie?“, pytała. Zawsze bezosobowo.

Pobieżnie badała jego bliznę, pytała, jak się czuje i z roztargnieniem kiwała głową bez względu na to, co powiedział, jakby go wcale nie słuchała i generalnie miała w nosie. Mówiła, że jest zadowolona z jego postępów, uśmiechała się mechanicznie i wychodziła. Zdawał sobie sprawę, że nie jest jej jedynym pacjentem. Przecież się nie spodziewał, że będzie go traktować wyjątkowo.

No, może się jednak spodziewał. Troszeczkę.

Na OIOM - ie był oszołomiony lekami, ale pamiętał, że Rennie siedziała koło jego łóżka i poila go sprite'em. Pamiętał, że smarowała mu usta jakąś maścią. Pamiętał, jak na siebie patrzyli, jak długo trwało to spojrzenie i jakie się wydawało ważne.

A może tego wcale nie było?

Może miał halucynacje po narkozie? Przyjemny sen, który wziął za rzeczywistość? Możliwe. Ponieważ tego samego dnia Oren znalazł ją w „czułych” uściskach z Lozadą.

Niech go diabli, jeśli coś z tego rozumiał.

- Kiedy przychodzi, jest jak wcielenie powagi - powiedział. - Nie rozmawialiśmy nawet o pogodzie.

- Jest gorąco i sucho.

- Na to wygląda.

- Zgodziła się być ordynatorem.

- Tak, słyszałem. I dobrze. Zasługuje na to. To jeszcze nic nie znaczy.

- Czy ja coś mówię?

- Nie musisz.

Pojawiła się pielęgniarka z następnym kubkiem soku.

- Wypiję później - obiecał. - Daję słowo.

Nie była przekonana, ale odstawiła kubek na tacę i wyszła. Wick podał sok Orenowi.

- Dzięki, nie.

- Jabłkowo - żurawinowy.

- Nie mam ochoty.



- Na pewno? Wybacz, ale sam też nie wyglądasz zdrowo. - Oren był dziś przygaszony, nie tylko z powodu upału. - Co się dzieje?

Oren wzruszył ramionami, westchnął, spojrzął na zamgloną panoramę miasta i wrócił spojrzeniem do Wicka.

- Godzinę temu dzwoniła prokuratura. Sam wielki szef, nie jakiś asystent.

Wick odgadł, że kiepski humor Orena ma coś wspólnego ze sprawą Lozady. Dobre wieści, gdyby istniały, już by ujrzały światło dzienne.

Dolegliwości sprawiały, że złe wieści wydawały się jeszcze gorsze. Wick postarał się usiąść tak, żeby jak najmniej urazić obolały prawy bok.

- No to wal.

- Powiedział, że to, co mamy na Lozadę, to słabizna. Nie wystarczy na proces. I odmówił.

Wick się tego domyślił.

- Wczoraj był u mnie z wizytą. Wcielenie dobrej woli i życzliwości w drogich butach. Przyniósł mi to. - Wskazał krzykliwy bukiet białych, czerwonych i sztucznie niebieskich goździków.

- Ale się wykosztował.

- Opowiedziałem mu dokładnie, co się wydarzyło tamtego wieczora. Powiedziałem, że to był Lozada, to pewne jak cholera.

- I jak zareagował?

- Jak? Pociągnął się za podgardle, podrapał po skroni, potarł brzuch, zmarszczył brwi, parsknął i kilka razy się skrzywił. Wyglądał, jakby miał gazy i usiłował nieznacznie pierdnąć. Powiedział, że to poważne oskarżenie. „No, co pan powie”, ja na to. „Morderstwo i usiłowanie morderstwa to kurewsko poważne sprawy”. Kiedy wychodził, nie potrafił mi patrzeć w oczy. Nie powiedział wprost, ale...

- To polityk, co chcesz.

- Ale z jego wyraźnego zatroskania wywnioskowałem, że nie podoba mu się moja opowieść.

- Nie spodobała się, fakt.

- A konkretnie?

- Nie będę cię zanudzać szczegółami. On nie miał dla mnie litości. Nudził przez pół godziny, a potem jeszcze zrobił ten numer z policzkami, ale generalnie...

- Nas olał.



Oren bawił się trójkolorową atlasową wstążką w brzydkim bukiecie. Zerknął na Wicka z ukosa.

- Musisz się wczuć w jego sytuację.

- Nigdy! Chyba że on też straci wiadro krwi, jaja mu nabrzmieją do rozmiarów kuli do kręgli, a w fiuta wsadzą mu rurkę. Do tego czasu nie ma mowy o wczuwaniu się w cudzą sytuację.

- Wiem, że się wściekniesz, kiedy to powiem... - To nie mów.

- Ale on ma właściwie rację.

- Och, jakbym cię walnął, gdybym tylko mógł.

- Wiem, że się wściekłeś. - Oren westchnął. - Słuchaj, to prawda, że on to chce rozegrać zachowawczo, ale... - To mięczak!

- Może, ale tym razem ma rację. Jak się zastanowić, nie mamy na Lozadę nic konkretnego.

- Lozada - wycedził Wick szyderczo. - Wszyscy trzęsą przed nim portkami, nie? Myślisz, że on się z nas teraz nie śmieje?

Oren dał mu chwilę na ochłonięcie.

- Mamy w ręku same poszlaki. Lozada cię zna. Znał Sally Horton. To go z nią łączy, ale jeszcze nie stanowi motywu. Jeśli jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności ława przysięgłych naprawdę uzna jego winę, nigdy w życiu nie doprowadzimy do rozprawy. Mam trzy dni na przyniesienie czegoś konkretnego. Lozada, jak zwykle, nie zostawia śladów. Nie mam nic.

- Z wyjątkiem mojego słowa.

- Prokuratura wzięła pod uwagę to, co jest między wami. Jeszcze nie zapomniano, co się stało. To ogranicza twoją wiarygodność.

Dyskusja z tym jawnie oczywistym faktem byłaby daremna.

Oren usiadł na fotelu z zielonego winylu i wbił wzrok w podłogę.

- Nie miałem wyjścia, musiałem go wypuścić. To nie było łatwe, ale zdobyłem nakaz rewizji. Przetrzęsaliśmy jego mieszkanie. Nic. Czysto jak w laboratorium. Nawet skorpiony wyglądają jak wypolerowane. W samochodzie to samo. Ani śladu krwi, włókien, niczego. Mamy broń, ale mogłaby należeć do kogokolwiek. Nie mamy żadnych naocznych świadków z wyjątkiem ciebie, a ty zostałeś zdyskredytowany. Poza tym sam przyznałeś, że go nie widziałeś.

- Fakt, za bardzo się skupilem na moim wewnętrznym krwotoku.



- Jego prawnik już teraz pomstuje na nękanie jego klienta. Mówi...

- Nie ciekawi mnie, co powiedział. Nie chcę słyszeć ani słowa o pogwałconych prawach obywatelskich tego drania, dobra?

Zapadło milczenie. Po jakimś czasie Oren spojrzał w kąt pod sufitem.

- Telewizor działa?

Wick przyciszył dźwięk, kiedy Oren pojawił się w jego separacie. Na ekranie widać było głównie kolorowy śnieg, ale jeśli się wytężyło wzrok, można było rozróżnić sylwetki.

- Do bani. Nie ma kablówki.

Przez parę minut przyglądali się niememu programowi. Oren spytał, czy to dobry serial.

- Te dwie to matka i córka - wyjaśnił Wick. - Córka spała z mężem matki.

- Swoim ojcem?

- Nie, czwartym ojczymem. Jej prawdziwy ojciec jest ojcem. Księdzem. Ale o tym nikt nie wie z wyjątkiem matki i księdza. Usłyszał spowiedź córki, która wyznała, że się bzyka z mężem matki i spanikował. Oskarżył matkę o zły wpływ, nazwał ją dziwką. Ale gryzie go sumienie, bo porzucił córkę. Jako ojciec - to znaczy biologiczny ojciec. Od chwili, gdy ją ochrzcił, był jej opiekunem duchowym. To trochę skomplikowane. Jezus Maria, on wszedł do jej domu. - Ta ostatnia uwaga nie dotyczyła opery mydlanej, ale Oren się zorientował.

- Nie mogę wykluczyć, że to ona go zaprosiła.

Nawet nie raczył tego skomentować. Odpowiedział surowym spojrzeniem.

- Powiedziałem, że nie mogę wykluczyć, nie że tak było. Oren odwrócił głowę i wymamrotał coś, czego Wick nie dosłyszał.

- Co to było? - Nic.

- Co? - Nic. - No co?!

- Złapał ją za cyc. W porządku?

Wick pożałował, że spytał, ale już się stało. Zmusił Orena do tego wyznania, a teraz Oren szacował jego reakcję. Dlatego Wick zrobił wszystko, żeby nie zdradzić swoich uczuć.

- Bała się z nim walczyć.

- Tak powiedziała Grace, ale was tam nie było.

- Grace?



- A, tak. - Oren machnął desperacko ręką. - Moja żona została największą fanką doktor Newton.

- Wiem, że się poznały. Grace powiedziała mi tylko, że znalazłem się w dobrych rękach.

- W domu nie jest taka zwięzła. W kółko trajkocze, że zbyt ostro i niesprawiedliwie osądzam panią doktor. Uważa, że mam do niej urazę za to, że była przysięgłą.

Po raz pierwszy, odkąd Oren pojawił się w separacie, Wick prawie się uśmiechnął. Przyjemnie było pomyśleć, że Grace zmywa głowę jego partnerowi. Oren nie liczył się z niczym zdaniem oprócz własnej żony, którą nie tylko kochał, ale i podziwiał za wnikliwość.

- Zmyślna kobitka z tej Grace.

- No tak, jasne. Ale ona nie widziała tej romantycznej scenerii. I tego też nie widziała.

Z kieszeni sportowej kurtki Oren wyjął kilka złożonych wzdłuż kartek. Położył je na tacy obok nietkniętego soku. Wick nie wyciągnął po nie ręki.

- W zamieszaniu ostatnich dni mogłeś zapomnieć, że doktor Newton zabiła człowieka.

- Ale ty nie zapomniałeś, prawda?

- Nie sądzisz, że warto by to sprawdzić, zanim wystąpimy o jej kanonizację? Skontaktowałem się z policją w Dalton i okręgowym biurem szeryfa. Wszystko masz tam.

Wick nie miał ochoty nawet patrzeć na kartki pełne oskarżeń.

- Może mi streścisz?

- Nieładnie. Bardzo nieładnie - zaczął Oren. - Tatuś wszedł do pokoju parę sekund po dwóch strzałach. Raymond Collier leżał martwy. Zginął na miejscu. T. Dan uznał, że brzydki współnik usiłował uwieść jego słodką córeczkę. Strzeliła w obronie cnoty. Podręcznikowe działanie w obronie własnej.

- Tak mogło być.

- Mogło, choć niekoniecznie. Zwłaszcza że mała bzykała się z Collierem.

- Pięknie pan to ujął, detektywie. Oren zignorował uwagę.

- Należałoby spytać, dlaczego zdecydowała się bronić cnoty akurat tego dnia.

- Czy ktoś to zrobił?



- Nie wiem. Wątpię. I tu robi się naprawdę ciekawie. Nikogo nie przesłuchano. Żadnych zeznań, żadnego dochodzenia, nic. T. Dan ma hojną rękę. Prawdopodobnie rozrzucił tyle pieniędzy, że sprawę pogrzebano szybciej niż Colliera. Jego śmierć uznano za przypadek... i sprawę zamknięto. Wszyscy byli szczęśliwi, w tym wdowa po Collierze. Przeprowadziła się z Dalton do nowego, w pełni umeblowanego apartamentu w Breckenridge w Colorado. Podróż odbyła nowym lśniącym jaguarem.

Wick milczał przez chwilę.

- Mówisz o ograniczonej wiarygodności. Nie wierzę.

- Dlaczego?

- Policjami biuro szeryfa zatuszowali strzelaninę ze skutkiem śmiertelnym?

- Nie. Ich raporty były zwięzłe, lecz oficjalne. Nie było dowodów na podtrzymanie wersji innej od przypadkowego postrzelenia. Ale znalazłem byłego gliniarza, który jako pierwszy znalazł się na miejscu zajścia.

- Byłego?

- Porzucił wymiar sprawiedliwości dla instalacji talerzy satelitarnych, ale pamiętał, że przyjechał do domu Newtonów w odpowiedzi na wezwanie. Powiedział, że bardzo się zdziwił.

- Czym?

- Ich zachowaniem. Jeśli właśnie położyłeś kogoś zimnym trupem, przypadkowo czy specjalnie, byłbyś chyba zdenerwowany? Nieco wytrącony z równowagi? Uroniłbyś parę łez? Okazał nieco skruchy? Czy choćby załamał dłonie? Powiedział, że Rennie Newton była zimna jak gład. Te jej wielkie zielone oczy były suche. A miała szesnaście lat, pamiętasz? Dziewczynki w tym wieku na ogół łatwo się emocjonują. A on powiedział, że nawet głos jej nie drgnął, kiedy opowiadała, co zaszło.

T. Dan i pani Newton siedzieli po jej obu stronach. T. Dan oświadczył, że Collier usiłował zgwałcić jego córkę. Teraz widzę, powiedział, że nigdy się nie zna ludzi do końca. Matka cicho płakała w chusteczkę. Nic nie widziała, nic nie słyszała, nic nie wiedziała i czy panowie policjanci się czegoś napiją. Tamten były policjant powiedział, że to było przerażające do szpiku kości, jakby znalazł się w *Strefie mroku*.

Wick spróbował sobie wyobrazić szesnastoletnią Rennie, która chłodno relacjonuje, jak zabiła człowieka, choćby i przypadkowo. Nie potrafił. Nie potrafił sobie wyobrazić rozwydrzonej nastolatki, jaką opisywała Crystal, albo nimfетки romansującej z dorosłym mężczyzną. Nic, czego się dowiedział o jej przeszłości, nie pasowało do jej

obecnej osobowości.

- Będę się zbierał - powiedział Oren. - Prześpij się. Przynieść ci coś, zanim wyjdę?

Wick pokręcił głową.

- Jak chcesz, zejdę do sklepu i... - Nie, dzięki.

- No, dobrze. Dziś wieczorem wrócę z Grace. Tak jakoś po kolacji. Wytrzymasz spotkanie z dziewczynkami?

- Jasne, będzie świetnie.

- Zaczynają nam wiercić dziurę w brzuchu, że chcą cię zobaczyć. Obiecuję, że długo tu nie zabawią.

Wick uśmiechnął się z przymusem.

- Już nie mogę się doczekać.

Oren skinął głową i ruszył do drzwi. Zatrzymał się z ręką na klamce.

- Ale teraz poważnie, Wick. Szczerze, dobra?

- Szczerze.

- Jak mężczyzna z mężczyzną. Zniecierpliwiony Wick zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

- Wzięło cię, co?

Wick odwrócił głowę w stronę okna i znajomego widoku za nim.

- Nie wiem. Oren zaklął cicho.

- No idź, co tak stoisz? - warknął Wick. Nagle ogarnęło go zmęczenie. -

Powiedziałeś, co miałeś powiedzieć.

- Nie wszystko. Mam jeszcze parę spraw.

- Ale mam fart.

- Rennie Newton uratowała ci życie. Nie ma co do tego dwóch zdań. I zawsze będę jej za to wdzięczny.

Wick odwrócił się do niego.

- A gdzie jest „ale...”?

- Ten eksplinierz z Dalton powiedział, że nie może pojąć, jak ktoś może odebrać życie człowiekowi i pozostać tak obojętnym, jakby go to wcale nie dotyczyło. Podobno była tak lodowata, że na jej wspomnienie jeszcze ciągle dostaje dreszczy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wick łypnął spode łba na odzianego na biało i biało uśmiechniętego mężczyznę, który wtargnął do jego separatki jak do własnego domu.

- Kim pan jest?

- Jestem doktor Sugarman. Jak się pan dziś czuje?

- Gdzie doktor Newton?

- Dziś ja odwiedzam jej pacjentów.

- Dlaczego?

- Rozumiem, że cewnik został dziś usunięty. Jak było?

- O, wspaniale. Mam nadzieję, że wkrótce to powtórzymy. Doktor błysnął następnym białym uśmiechem.

- I wszystko w porządku?

- Na pewno jestem lepszy w sikaniu od pana. Gdzie moja lekarka?

- Ja też jestem lekarzem.

I błaznem, pomyślał Wick kwaśno.

Doktor Sugarman kiwał aprobująco głową nad kartą Wicka. Zamknął ją.

- Cieszę się, że wreszcie poznałem najstynniejszego pacjenta w szpitalu. Widziałem pana w telewizji. Chwilowo było z panem nie najlepiej, ale robi pan znakomite postępy.

- Miło się dowiedzieć. Kiedy stąd wyjdę?

- Już chce nas pan porzucić?

Co to za durne pytanie? Wick nabrał ochoty, żeby udusić dowcipnisia. Nie spodobał mu się ani on, ani ten jego biały wyszczerzony uśmiech. I gdzie jest Rennie? Dlaczego nie na obchodzie? Zasługiwała na spokojną noc, jak każdy, ale dlaczego nie wspomniała, że dziś jej tu nie będzie? Nie chciała, by wiedział?

Lozada został wypuszczony z więzienia, a Rennie bierze wolną noc. Była to nieprzyjemna myśl i sam siebie za nią nie lubił.

Jego ponura mina chyba przekonała doktora Sugarmana, że powinien poćwiczyć swoje poczucie humoru na bardziej pokojowo nastawionym pacjencie. Uśmiech z reklamy pasty przygasł.

- To doktor Newton zdecyduje, kiedy pana wypuścimy, ale nie potrwa to dłużej niż parę dni. Wyjąwszy nieprzewidziane komplikacje.



Doktor uściskał mu dłoń i wyszedł.

- Idiota - mruknął Wick.

Przybyli Wesleyowie. Zgodnie z obietnicą, Oren ograniczył wizytę do piętnastu minut, ale energii i hałaśliwości dziewczynek nie dało się ograniczyć. Przyniosły własnoręcznie upieczone ciasteczka z czekoladą i nie odstąpiły od niego, dopóki nie zjadł dwóch. Grace przyszła z reklamówką.

- Piżama. Nie wiem, czy pozwolą ci ją włożyć, ale zatrzymaj, na wszelki wypadek. I kaptcie.

Chwycił jej rękę i pocałował.

- Wyjdź za mnie.

Dziewczynki zachichotały piskliwie i zostały uciszone. Bez przerwy szczebiotały i były cudowne, ale męczące. Musiał przyznać ze wstydem, że ulżyło mu, kiedy go uścisnęły i pożegnały.

Oren nie wspominał o sprawach zawodowych, dopóki rodzina nie wyszła na korytarz, poza zasięg słuchu. Wówczas powiedział Wickowi, że Lozada jest na wolności.

- Sierżant nie zgodził się, żebyśmy go śledzili. A jutro odwoła strażników ze szpitala.

- Ostrzegasz mnie?

Oren poważnie pokiwał głową.

- Miej oczy otwarte. Od jutra policja już cię nie chroni.

To mu akurat bardzo odpowiadało. Nie życzył sobie opieki, ponieważ w zamian za nią musiałyby poświęcić wolność. Kiedy dowiedział się o decyzji prokuratora generalnego, doszedł do wniosku, że wymiar sprawiedliwości nie jest żadnym przeciwnikiem dla Lozady. Opierał się na zasadach moralnych. Lozada nie miał takich ograniczeń.

Jeśli Wick chce dopaść Lozadę, musi sam się tym zająć. Musi grać nie fair, tak jak Lozada. A tego nie mógł zrobić pod czujnym okiem strażników.

Spytał o swoją furgonetkę.

Oren spojrzał na niego podejrzliwie.

- Dlaczego pytasz?

- Chciałbym wiedzieć, gdzie jest.

- Po co?

- Bo to moja furgonetka - warknął Wick.



Oren niechętnie wyjawiał, że samochód stoi pod jego domem.

- Pozwoliłem sobie wymeldować cię z motelu. Kiedy nasi skończyli zbierać dowody, spakowałem cię i przeprowadziłem.

Wick chciał spytać jeszcze o pistolet, ale zrezygnował. Po co martwić Orena.

- Dzięki. Nie chciałbym wracać do tego pokoju.

- Tak sobie pomyślałem. Twoje rzeczy są zamknięte w furgonetce. Furgonetka stoi na moim podjeździe.

- A kluczyki?

- Razem z twoim portfelem schowałem je w bezpieczne miejsce.

Przed kim?, pomyślał Wick. Przede mną? I znowu nie zapytał.

- Dzięki, partnerze. - Oren nie odwzajemnił uśmiechu. Może uważał, że jest nieszczerzy.

Potem zaczął się długi, nudny wieczór. Wreszcie ruch na korytarzu przed pokojem Wicka ustał. Tace zebrano i umieszczono na wózku, który potoczono do kuchni. Lekarze skończyli obchody i poszli do domu. Goście zniknęli. Nastąpiła nocna zmiana. Szpital szykował się do snu.

O jedenastej przyszła pielęgniarka ze środkiem przeciwbólowym.

- Mam zamknąć żaluzje?

- Tak, proszę. Rano słońce świeci mi w oczy. Po chwili rzucił od niechcienia:

- Kiepska sprawa z doktor Newton. Pielęgniarka się roześmiała.

- Kiepska? Chciałabym robić sobie wakacje, kiedy mi przyjdzie ochota.

- Wakacje? O, a mnie się wydawało, że doktor Sugarman powiedział coś o chorobie.

- Nie, wzięła sobie wolne, to wszystko.

Postukał się w głowę.

- Od tych lekarstw dostałem głupawki.

- To możliwe.

- Czy doktor Newton wróci?

- Nie uzgadnia tego ze mną - powiedziała pielęgniarka z szerokim uśmiechem. -

Ale proszę się nie niepokoić. Doktor Sugarman jest kochany.

Kiedy była odwrócona, Wick udał, że połyka pigułkę. Postawił pusty kubek na tacę i odsunął ją. Położył się i ziewnął.

- To dobranoc.



- Dobranoc. Proszę wypoczywać.

Kiedy Lozada wszedł do swego apartamentu, zapadł już zmrok. Z zadowoleniem przekonał się, że wykonano jego instrukcje. Dom był cichy i spokojny jak kościół.

Dowiedziawszy się od prawnika, że jego mieszkanie zostało zrewidowane, wiedział już, czego się spodziewać. Widział wcześniej domy po rewizjach, jeszcze w liceum, kiedy pewnej nocy przyszli do niego gliniarze z wydziału narkotykowego w nadziei, że znajdą narkotyki. Udało im się tylko zrobić z siebie idiotów i sterroryzować jego rodziców i brata - kretyna. Widział też inne domy, zawsze przeszukane z tym samym entuzjazmem bojówkarzy.

Dlatego z pomocą prawnika wynajął ekipę sprzątającą, która przywróciła ład w jego mieszkaniu i zdezynfekowała policyjny smród. Zlecił także przeszukanie pod kątem podsłuchu.

- Czysto - zaraportował jego prawnik, kiedy świętowali zwycięstwo w City Clubie.
- Pod każdym względem.

Prawnik nigdy nie zawracał sobie głowy faktem, czy Lozada jest niewinny. Co roku dostawał niebosięzną sumę, dzięki której mógł reprezentować wyłącznie Lozadę i dużo grywać w golfa. Mógł także pozwolić sobie na styl życia bogatego playboya. Niewinność Lozady znajdowała się na szarym końcu jego listy priorytetów.

- Ale czysto będzie tylko przez jakiś czas - dodał. - Od tej pory uważaj, kogo do siebie wpuszczasz.

Nie musiał mu przypominać. Lozada już teraz powiadomił zarządzającą budynkiem, że nie będzie korzystał z wliczonych w cenę czynszu usług sprzątaczek. Wynajął sprzątacza, polecanego przez jednego ze swych byłych - i bardzo z niego zadowolonych - klientów. Podobno ten młody człowiek był doskonałym fachowcem i zasługiwał na pełne zaufanie.

Lozada postanowił także, że nie będzie zapraszać do siebie kobiet - z wyjątkiem Rennie, oczywiście. Korzystał z tej głupiej dziewczyny, tej Sally Horton, bo była pod ręką - bezmyślna nie - dbałość, jak się okazało. Seksu będzie szukać poza domem, dopóki nie będzie miał Rennie na wyłączność.

Tak mu już dobrze z nią szło, kiedy nagle zjawił się Wesley, wymachując bronią jak główny bohater w niemądrym kryminale. Co za komiczny widok. Nie zdawał sobie sprawy, że zrobił z siebie idiotę?

Rennie nie była rozbawiona. Wydawało mu się, że ze zgrozą przyjęła pojawienie

się bandy niezdarnych policjantów, którzy wtargnęli do jej domu i zepsuli niespodziankę, jaką dla niej przygotował. O nie, wcale nie wyglądała na zadowoloną z niezapowiedzianej wizyty Wesleya i jego kompanii.

Po półgodzinnej zabawie ze skorpionami wziął długi prysznic, żeby zmyć z siebie zapach więzienia. Starannie się ogolił, ponieważ nie miał zaufania do tępej więziennej brzytwy. Następnie odbył rytuał czyszczenia ścieku i wyrzucania ręcznika.

Wypił ze smakiem parę tequili i zjadł kolację zamówioną w ulubionej restauracji. Nie każdy gość miał zapewnioną dostawę do domu, ale ta usługa była wliczona w status Lozady.

Po szklaneczce na dobranoc zadzwonił do Rennie. Po długiej chwili odpowiedziała poczta głosowa.

- Tu doktor Newton. Proszę zostawić nazwisko i numer. Jeśli to nagły przypadek...

Odłożył słuchawkę. Miał wielką ochotę się z nią spotkać, ale pewnie nie uznałaby tego za nagły przypadek. Jeszcze dwa razy spróbował do niej zadzwonić, do szpitala i do domu, bez efektów.

No cóż, pomyślał, zaraz będzie jutro. Wtedy zaprosi ją na kolację. To będzie ich pierwsza oficjalna randka. Uśmiechnął się na myśl, jak wchodzi z nią do eleganckiej restauracji. Powinien zabrać ją do Dallas. W jakieś bardzo szykowne, elitarne miejsce. Kupi jej seksowną czarną sukienkę i podaruje jako niespodziankę. Pomoże się jej ubrać, od samego początku, bo wszystko ma być tak, jak lubi. Będzie olśniewająca, zjawiskowa. A on włoży nowy garnitur. Ludzie będą się za nimi oglądać. Wszyscy zobaczą, że Lozada do czegoś doszedł.

Po trzech nocach na śmierdzącej pryczy nie mógł się doczekać, kiedy zaśnie we własnym obszernym łóżku. Nagi wśliznął się pod jedwabną pościel i z rozkoszą poczuł jej chłodną pieszczotę na bezwłosej skórze. Zasnął, onanizując się i myśląc o podniecającym jęku, który wydała Rennie, czując moc jego erekcji.

Zasnął jak dziecko. Obudził go jazgot dzwonka u drzwi.

Ucieczka ze szpitala była o wiele łatwiejsza niż można by się spodziewać.

Najtrudniej było się przebrać w nową piżamę od Grace. Zanim ją na siebie wciągnął, był mokry od potu i tak słaby, że aż dygotał. Pozbył się pokusy, by się położyć i odpocząć przez parę minut - podejrzewał, że obudziły się rano.

Pielęgniarki były zbyt zajęte w recepcji, by zauważyć, że wykradł się z separatki. Wcześniej, podczas spacerów po korytarzu zlokalizował wyjście awaryjne.

Niezauważony dotarł na schody. Zszedł cztery piętra w dół, przytrzymując się balustrady niczym starzec. Zanim dotarł na parter, kolana się pod nim ugięły.

Nikt go nie zatrzymał. Policjanci na straży mogliby go rozpoznać, a jednak przeniknął obok nich niedostrzeżony. Jeden flirtował z pielęgniarzkami, drugi drzemał.

Tyle na temat bezpieczeństwa.

Najbliższe centrum handlowe znajdowało się dwie przecznice od szpitala. Zaczął maszerować, ale wkrótce pojął, że to tak jakby się porwał na dystans maratoński. Był bliski omdlenia, rozdygotany, a w plecach pulsował ból, protest przeciwko każdemu krokowi. A jednak szedł dalej.

Wstąpił do pierwszego sklepu. Stojący za ladą mężczyzna w turbanie spojrzał na niego z jawnym przerażeniem.

- Wiem, że wyglądam idiotycznie - powiedział Wick pospiesznie. - Sam w to nie wierzę. Moja żona jest w ciąży. Zachciało się jej batona Bounty akurat wtedy, kiedy zasnąłem. Więc nawet się nie przebrałem, tylko przyjechałem po tego cholernego batona - wie pan, w lodówce mamy od cholery Snickersów, ale ona chce Bounty i już. No i tuż po zjeździe z autostrady zabrakło mi benzyny. Musiałem przyjść piechotą, a jest gorąco jak w piekle, chociaż to noc. - Przepocona piżama kleiła się do piersi. Wziął ją w dwa palce i powachlował się. - Mogę skorzystać z książki telefonicznej? Muszę wezwać taksówkę.

Jedynymi słowami, które zapewne wydały się zrozumiałe obcojęzycznemu dżentelmenowi, były „książka telefoniczna”. Mężczyzna przysunął ją w stronę Wicka wraz z lepkiem od brudu telefonem.

Wick zadzwonił i usiadł na składanym krzeselku wędkarskim. Dla zabicia czasu przeglądał bogatą kolekcję pism kulturystycznych. Przez ten czas pojawił się tylko jeden klient. Kupił paczkę papierosów i wyszedł, nie spojrzawszy na Wicka.

Taksówka wjechała na parking przed sklepem.

- Wielce zobowiązany - powiedział Wick i pomachał sprzedawcy. Nie wiadomo, kto poczuł większą ulgę na widok taksówki, on czy zdenerwowany obrońca kasy. Nikt nie wspomniał o batonie Bounty.

Na szczęście w domu Wesleyów było ciemno. Oren nie wiedział, że Wick trzyma zapasowe kluczyki w przyczepianym na magnes pudełku pod błotnikiem. Wyjął je, choć pochylene się i wyprostowanie było okupione sporym wysiłkiem i cierpieniem. Parę razy musiał się zatrzymać, żeby nie zemdleć.

Otworzył bagażnik i zaczął szperać w kieszeniach ubrań. W końcu znalazł dość

pieniędzy, by zapłacić za taksówkę. Długie czekanie nie podziałało dobrze na kierowcę, który odjechał z głośnym piskiem opon, bluzgając obscenicznymi i głośnymi przekleństwami.

Wick odczekał parę minut w cieniu domu, żeby sprawdzić, czy hałas nie obudził Orena. Dał mu całe pięć minut, ale nikt nie wyszedł na zwiady. Wsiadł więc do furgonetki i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik obudził się z pomrukiem. Pora wiać.

Wjechał na pusty parking podstawówki, gdzie przebrał się z piżamy w wyjściowe ubranie, a kapcie zamienił na adidas. Nieustannie wypatrywał samochodu Orena albo policyjnego radiowozu, ale najwyraźniej nikt niczego nie spostrzegł.

Spod szkoły pojechał prosto do domu Rennie. Zaparkował przy krawężniku. Światło na ganku się paliło, ale w domu było ciemno. „Kiepsko”, pomyślał, musiał ją obudzić. Wsiadł z szoferki chwiejnie jak osiemdziesięciolatek.

Ciężko przycisnął guzik dzwonka, a kiedy nikt nie odpowiedział, zapukał kołatką. Odczekał trzydzieści sekund, po czym przyłożył ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Nic, cisza.

- Cholera!

Ale gdyby znalazł się na miejscu Rennie, czy otworzyłyby drzwi w środku nocy?

Podszedł do garażu i przyjrzał się drzwiom z poziomym przecięciem. Wtedy, kiedy pojechał za Rennie do domu, przekonał się, że drzwi otwierały się na pilota. Mimo to nacisnął klamkę. Ani drgnęła.

Ruszył wzdłuż domu; miał nadzieję, że jakiś cierpiący na bezsenność sąsiad nie weźmie go za złodzieja - i przeszedł wzdłuż garażu ku tyłowi domu. Jego wysiłki się opłaciły. W garażu znajdowały się drugie drzwi. Cud nad cudami - miały okno.

Ostłonił oczy rękami i zajrzał. W środku było ciemno, ale wiedział, że gdyby samochód był w środku, zobaczyłby go. Garaż był pusty. Rennie wyjechała.

Dygocząc ze zmęczenia, wrócił do furgonetki. Wysiętek, na jaki musiał się zdobyć, żeby znaleźć się w szoferce, wydawał się nie do wykonania - a jednak się udało. Choć z trudem. Był lepki i spocony, bliski wymiotów. Zagłówek wydawał się taki kuszący... Wszystko bolało go tak bardzo, że i tak nie mógłby usnąć, ale gdyby tylko zamknąć oczy na parę minut...

Nie, musiał jechać dalej i nie zatrzymywać się, dopóki nie znajdzie Rennie.

Drugie miejsce na jego liście: Trinity Tower.

Lozada otworzył drzwi z twarzą zastygłą w grymasie wściekłości.



- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale mam dla pana pilną wiadomość. - Portier podał mu zapieczętowaną kopertę z dyskretnym logo budynku, połyskującym złotem w górnym lewym rogu.

Lozada miał właśnie cudowny sen o Rennie. Ocknął się po pierwszym dzwonku. W kieszeni szlafroka czuł ciężar broni; niewiele brakowało, a zastrzeliliby posłańca.

Wyrwał mężczyźnie kopertę.

- Co to za wiadomość? Od kogo?

- Nie podał swojego nazwiska. Pytałem, ale powiedział, że pan będzie wiedział.

Lozada rozerwał kopertę, wyjął sztywną kartkę i odczytał tę tak zwaną wiadomość. Nie miał wątpliwości, kto jest autorem złośliwego wierszyka.

- Był tutaj?

- Zaledwie parę minut temu. Wyszedł, kiedy tylko to napisał i poprosił, żebym natychmiast to panu dostarczył do rąk własnych. Nie wyglądał zbyt dobrze. W pierwszej chwili myślałem, że jest pijany. Z całą pewnością był zdezorientowany.

- Jak to?

- Najpierw twierdził, że ma wiadomość dla pańskiego gościa.

- Gościa?

- Tak powiedział. Odparłem, że według mnie przyszedł pan sam i nie powiadomił mnie pan o żadnych wizytach - z wyjątkiem dostawcy z restauracji. Dla pewności sprawdziłem w księdze gości.

Threadgill manipulował tym pacanem jak marionetką.

- Proponowałem, że do pana zadzwonię, ale się nie zgodził. Potem poprosił, żebym pożyczył mu papeterię i pióro.

- No dobrze, wiadomość dostarczona. - Lozada miał już zamknąć drzwi, gdy portier podniósł rękę.

- Jeszcze jedno. - Lekko odkasznął pod osłoną zwiniętej dłoni. - Otrzyma pan oficjalne zawiadomienie na piśmie, ale myślę, że mogę panu powiedzieć już teraz.

- Co powiedzieć?

- Miałem pana poinformować, iż związek lokatorów budynku zorganizował dziś obrady, na których jednogłośnie i jawnie przegłosowano pańskie... hm...

- Co?

- Pozostali lokatorzy życzą sobie, żeby opuścił pan budynek. W związku z niedawnymi oskarżeniami żądają, by wyprowadził się pan w ciągu trzydziestu dni.

Lozada nie zamierzał się ponizac kłótnią z tym fagasem.

- Proszę przekazać lokatorom, żeby pocałowali mnie w dupę. Jestem właścicielem tego apartamentu i będę tu mieszkał tak długo, jak mi się spodoba.

Zatrzasnął drzwi przed nosem mężczyzny. Z rozdrażnieniem podszedł do barku, obłożonego kamiennymi płytami, i nalał sobie czystej tequili. Sam nie wiedział, co rozwścieczyło go i obraziło bardziej: wyproszenie z tego snobistycznego budynku czy idiotyczny wierszyk Wicka Threadgilla:

Czerwone były róże, Czerwona moja krew. Czekam na ciebie, dupku, A co zrobię, to wiesz.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rennie od razu po przyjeździe osiodłała Beacie'a i pogalopowała na nim gdzie oczy poniosą. Potem przez dwie godziny zajmowała się końmi. Nie wymagały czyszczenia, ale na nią działało to terapeutycznie.

Oren Wesley okazał się na tyle uprzejmy, że powiadomił ją dzisiaj o rychłym uwolnieniu Lozady z więzienia.

- Wypuszczacie go?

- Nie mam wyboru. - Powiedział jej o decyzji prokuratora. - Uprzedzałem, że to, co na niego mamy może nie wystarczyć. Wick go oskarża, ale bez konkretnych dowodów...

- A to, że włamał się do mojego domu?

- Nie ma żadnych śladów włamania.

- Ale się włamał!

- Jeśli pani chce, może pani złożyć oświadczenie.

- I jaki z tego pożytek?

Zrozumiała, że policja nie będzie jej bronić przed Lozadą. To był jej problem i musiała go rozwiązać. Ale jak?

W grę wchodził jeszcze Wick. Nadal była zła na Wicka - policjanta, który zasługiwał na jej pogardę. Ale Wick - mężczyzna był jej pacjentem i zasługiwał na najlepszą opiekę medyczną, jaką mogła mu zapewnić. Jak pogodzić te dwie sprawy?

Z uwagi na pamięć doktora Howella zarząd przesunął o dwa tygodnie datę mianowania jej na ordynatora. Chciała rozpocząć urzędowanie z czystym kontem, z idealnie uporządkowanym życiem, wolna od problemów. Musiała pobyć przez chwilę sama ze sobą, by przemyśleć parę spraw i zaplanować dalsze ruchy.

W ostatniej chwili zdecydowała się wyjechać, to wymagało pewnych przetasowań, ale kompetentny personel zdołał przearanżować jej plany tak, że pacjenci odczuli jedynie umiarkowany dyskomfort. Doktor Sugarman zrewanżował się jej za przysługę, jaką wyświadczyła mu parę miesięcy temu, i zgodził się czuwać nad jej zoperowanymi pacjentami, w tym nad Wickiem.

Spakowała się pospiesznie i ruszyła, nie tracąc czasu. Konna przejażdżka na chwilę uwolniła ją od dręczących myśli. Toby Robbins pojawił się tuż po jej powrocie z przejażdżki.

- Nie musiałeś od razu przychodzić - powiedziała, otwierając drzwi. Parę dni

temu zadzwoniła do niego, prosząc, by naprawił obluzowaną deskę w ogrodzeniu korralu.

- Nie zauważyłem jej. Mój błąd.

- Nic się nie stało.

- Zaraz ją naprawię. Chyba że wolisz, bym przyszedł później?

- Może być teraz.

Spojrzał na walizki stojące na podłodze w salonie.

- Tym razem na dłużej?

- Parę dni. Pokażę ci, gdzie jest ta deska. - Razem zeszli po schodkach. Po drodze Toby zabrał ze swojej furgonetki metalową skrzynkę z narzędziami. - Co u Corinne?

- Wszystko dobrze. W przyszły czwartek ma odmówić modlitwę intencyjną na spotkaniu kółka różańcowego. Już się denerwuje.

- Na pewno sobie poradzi.

Skinął głową, zerknął na Rennie z ukosa i powiedział:

- Czytaliśmy o tobie w gazecie.

- Nie wiercie we wszystko, co piszą.

- Tym razem pisali tylko dobrze.

Tym razem. Nie wiedziała, czy powiedział to specjalnie. Pamiętał artykuły, które nie przedstawiały jej tak pochlebnie - te o śmierci Raymonda Colliera.

Zanim Toby odziedziczył ranczo po rodzicach, mieszkał w Dalton i od czasu do czasu wykonywał prace zlecone dla T. Dana. Przeprowadził się na ranczo z niewielkim stadem bydła, ale dzięki roważnemu zarządzaniu zdołał rozwinąć interes. Doskonale prosperował w czasach, gdy inni ranczerzy poddali się recesji tego czy innego rodzaju.

Nie stracił kontaktu z Rennie. Wiedział, że chciała kupić wiejską zagrodę, w której mogłaby trzymać konie, więc powiadomił ją, gdy sąsiednie ranczo zostało wystawione na sprzedaż. Rennie rzuciła na nie okiem i od razu zapłaciła żądaną cenę.

Toby nie potrzebował już dodatkowego dochodu z prac zleconych, ale podejmował się ich, ponieważ, jak sądziła, był dobrym sąsiadem, miłym człowiekiem, a może po prostu z sympatii do niej.

Możliwe też, że był dla niej miły, bo tak dobrze znał T. Dana.

- Tutaj. Widzisz? - Pokazała mu bramę, poruszyła obluzowaną deskę i odsunęła się, żeby sam mógł ją obejrzeć. Oceniał sytuację, wziął młotek ze skrzynki i rozdwojonym końcem wyciągnął zardzewiałe gwoździe z wyrobionych dziur.



- Ten facet, co mu uratowałaś życie...

- Wick Threadgill.

- To ten sam, co go tu widziałem?

- Tak.

- Co o nim myślisz?

- Zupełnie nic.

Odpowiedziała zbyt szybko, zbyt agresywnie. Toby spojrzał na nią spod runda kapelusza.

- Ee... Słuchaj, Toby, przepraszam. Muszę wrócić do domu i zająć się gospodarstwem. Wstąp do mnie, zanim odjedziesz.

- Dobrze.

Zajrzał do kuchni, kiedy Rennie była w wirze roboty.

- Wejdz. Zdjął kapelusz.

- Inne deski też się obluzowały, więc je przybiłem. Teraz nic ich nie ruszy.

- Dziękuję. Napijesz się czegoś zimnego?

- Nie, dzięki. Muszę się zbierać, żeby Corinne nie czekała na mnie z kolacją.

Mógłbym do ciebie wpaść w przyszłym tygodniu, odmaluję bramę.

- Świetnie. Kupić farbę?

- Nie, przyniosę. Może być biała? - Jasne.

- Poradzisz tu sobie?

- Czemu miałabym sobie nie poradzić?

- Tak pytam, bez powodu.

Ale to nie była prawda. Zdradził się, nerwowo skubiąc rondo kapelusza i spoglądając na czubki zniszczonych roboczych butów.

- Toby, co ci chodzi po głowie?

Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Ostatnio zadawałaś się z jakimiś ciemnymi typami, wybacz szczerze.

- Wybaczam. I zgadzam się z tobą. Ciemny typ to jeszcze zbyt grzeczne określenie

Lozady.

- Nie mówiłem tylko o nim. Ten Threadgill, co go wyrzucili z policji...

- Sam się zwolnił.

Toby wzruszył ramionami, co oznaczało: „na jedno wychodzi”.

- No więc ja i Corinne martwimy się o ciebie.



- Niepotrzebnie, Toby, zapewniam cię. Nie zadaję się z tymi typami z własnej woli. Przypadkiem stanęłam na drodze Lozadzie. Moje kontakty z panem Threadgillem są czysto profesjonalne. Tak z jego, jak i z mojej strony. To wszystko.

Nie przekonała go.

- Od dawna na siebie uważam - dodała cicho. - Odkąd skończyłam szesnaście lat.

Skinął głową z zakłopotaniem, ponieważ obudziła złe wspomnienia.

- To tak z przyzwyczajenia, rozumiesz. Ja i Corinne troszczymy się o ciebie.

- A ja nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy. Od zawsze. - Hm... - Włożył kapelusz. - Idę. Jak będziesz czegoś potrzebować, wołaj.

- Dobrze. Dziękuję za bramę.

- Uważaj na siebie, Rennie.

Popijając wino, ugotowała makaron z sosem marinara. Jadła i przyglądała się zachodzącemu słońcu. Zniosła walizki na piętro. Na wsi nie była pedantyczna. Wrzuciła bieliznę do szuflad, nie składając jej. Powiesiła ubrania byle jak, bez wyboru. Na ranczu zmieniała się w buntowniczkę - bunt przeciwko swojemu uporządkowanemu życiu.

Uporawszy się z tymi zadaniami, ruszyła od pokoju do pokoju, szukając zajęcia. Teraz, gdy już miała tyle upragnionego wolnego czasu, nie wiedziała, jak go zagospodarować. W telewizji nie było nic ciekawego. Nie miała ochoty oglądać filmów ze swojej kolekcji DVD. Usiłowała przeczytać nową biografię, ale temat wydał się jej nudny, a styl pretensjonalny. Ruszyła do kuchni bardziej, żeby zabić nudę, niż zaspokoić głód. Nic nie wyglądało zachęcająco, ale otworzyła pudełko ciastek i Skubnęła jedno.

Jednym z plusów mieszkania na wsi, daleko od miejskich latarni, było niebo pełne gwiazd. Wyszła na zewnątrz, by podziwiać wspaniałą iluminację. Odszukała znajome konstelacje, zauważyła satelitę i odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął.

Weszła do korralu przez zreperowaną bramę. Wiedziała, że Toby miał dobre intencje, a jego troska była szczerą, ale obudził w niej niepokój, może nawet strach.

Zwykle znajomy zapach siana i koni działał na nią uspokajająco. T. Dan nauczył ją jeździć na kucyku, ledwie zaczęła chodzić. Od tego czasu konie odgrywały w jej życiu znaczącą rolę. Nigdy się ich nie bała, uwielbiała z nimi przebywać.

Ale dziś mroczna stajnia wyglądała groźnie. Cienie stały się nadnaturalnie czarne i nieprzeniknione. Rennie szła od boks do boks. Konie parskały i stukały kopytami. Były wyczyszczone i syte. Porządnie wytarte. Burza się nie zbliżała. Przemówiła do nich cicho i kojąco, ale własny głos wydał się jej fałszywy i chyba jeszcze bardziej

zducerwował zwierzęta. Podobnie jak ona, były niespokojne bez widocznej przyczyny. A to zaniepokoiło ją jeszcze bardziej, ponieważ zdawały się wyczuwać jakieś niebezpieczeństwo. Wróciła do domu i zrobiła coś, co się jej tu jeszcze nie zdarzyło: zamknęła wszystkie drzwi i okna, po czym sprawdziła je jeszcze raz, by na pewno niczego nie przeoczyć. Na górze wzięła prysznic, ale zdała sobie sprawę, że stara się go jak najbardziej skrócić.

Ona, która brodziła w afrykańskich rzekach pełnych węży i krokodyli, bała się własnego brodzika? Zducerwowana na samą siebie, wyłączyła światło zdecydowanym ruchem i położyła się do łóżka.

Spała niespokojnie, jakby wyczekując hałasów, które w końcu faktycznie ją obudziły.

- Co, do...?

Wick zacisnął palce na kierownicy. Przyjął do wiadomości, że zmęczenie go otępiło. W krwiobiegu miał pewnie jeszcze trochę leków przeciwbólowych, tłumiących reakcje. Był, co prawda, nieco ospały, ale chyba mu się nie wydawało, że kierownica zastęła mu w rękach.

Przez parę sekund nie rozumiał, co się dzieje. Potem spojrział na wskaźnik benzyny.

- Cholera!

Miał pusty bak. Stał w środku jakiegoś zapyziałego zadupia. O świcie. I skończyła mu się benzyna.

Nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić poziom benzyny przed wyjazdem z Fort Worth. Odjechał spod Trinity Tower uspokojony, że Rennie nie przeżywa romantycznych chwil z Lozadą, zostawiwszy portierowi kopertę i dziesięć dolarów, gwarantujące błyskawiczne doręczenie. Teraz chciał już tylko prysnąć z miasta, zanim Oren się zorientuje, że na jego podjeździe zrobiło się dziwnie pusto, a pielęgniarzka nie doliczy się jednego pacjenta.

Zaryzykował stwierdzenie, że Rennie pojechała na ranczo. Mogła wyjechać dokądkolwiek, ale skoro wzięła tylko parę dni wolnego, ranczo przyszło mu do głowy w pierwszym rzędzie, więc udał się tam.

Nie wiedział, co dokładnie zamierza jej powiedzieć, kiedy już tam dotrze, ale na pewno coś wymyśli. Nie potrafił także przewidzieć jej reakcji. Ocalała mu życie, ale za szpiegowanie i zdradę mogła mu je odebrać.



Mimo to zamierzał się z nią spotkać. Na szczęście był już prawie na miejscu.

A przynajmniej tak się łudził, dopóki nie skończyła się benzyna.

Skręcił kierownicę tak mocno, jak na to pozwalała ograniczona moc i wprowadził furgonetkę na wąską zatoczkę przy drodze. Samochód toczył się przez chwilę, po czym znieruchomiał. Wick otworzył okno, żeby się przewietrzyć, ale powietrze, które buchnęło do środka, było ciężkie i rozpalone.

Międzystanową autostradę miał jakieś dwadzieścia kilometrów za sobą. Podejrzewał, że do zjazdu na posiadłość Rennie zostało mu dobre piętnaście kilometrów. Gdyby mógł biec, pokonałby ten dystans w godzinę, maksymalnie godzinę i dziesięć minut. Ale o biegu nie miał co marzyć. Ledwie się włókł. W tym stanie przebrnięcie takiej drogi trwałoby cholernie długo - jeśliby nie zemdlał, co właściwie miał jak w banku.

Mógłby zadzwonić z komórki do stacji pomocy drogowej. Ale takie stacje zwykle nie prowadzą sprzedaży benzyny, a sprowadzenie samochodu z holem potrwa wieki. Oren schował jego portfel w jakimś bezpiecznym miejscu. Samochody nie pojawiają się aż do świtu, a do niego zostało jeszcze parę godzin. Czyli utknął.

Mógł wykorzystać przymusowy postój na wypoczynek. Z tą miłą myślą oparł się wygodnie i zamknął oczy. Ale wkrótce uświadomił sobie, że dopóki się nie położy, plecy będą go boleć tak bardzo, że nie zdoła się nawet zdrzemnąć. Przeklął samego siebie za to, że nie zamówił kanapowego siedzenia z tyłu.

Otworzył drzwi ze znużeniem. Na odepchnięcie ich zużył resztę sił. Parę razy głęboko zaczerpnął powietrza, potem wysiadł, nie wiedząc, czy nie upadnie. Nie upadł, ale nogi się pod nim trzęsły. Oparł się ciężko o furgonetkę, powoli ruszył na tył samochodu i zdjął rampę, która ważyła z tysiąc ton.

Oprócz tego, że była ciężka jak skurwysyn, okazała się w dodatku twardsza od betonu. Jak się na tym ułożyć? Cholera. Jeśli się nie położy, na pewno zemdleje.

Rozejrzał się wokół. Nigdzie nie widział ani jednego światełka. Po drugiej stronie drogi i za ogrodzeniem z drutu kolczastego widniał jakiś zagajnik. Ziemia jest bardziej miękka od metalu, prawda? Prawda. A ziemia między drzewami jest jeszcze bardziej miękka niż na drodze, bo jest w niej więcej wilgoci, tak? Za cholerę nie wiedział, ale brzmiało dobrze.

Zabrał z furgonetki worek z rzeczami - kolejny pieprzony wysiłek - i powłókł go za sobą. Położył się na ziemi i zaczął się czołgać pod nitką drutu kolczastego. Nie

zdołałby się pochylić i przejść.

Ciemność była zwodnicza. Zagajnik znajdował się dalej niż mu się zdawało. Panowała kompletna cisza; słyszał tylko własny rzeżący oddech, ale gdyby wydzielanie potu było hałaśliwe, robiłby więcej jazgotu niż orkiestra dęta. Pot lał się z niego strumieniami. Istniało także podejrzenie, że głębia czerni przed oczami Wicka nie ma nic wspólnego z rzeczywistym mrokiem.

Kiedy wreszcie znalazł się między drzewami, rzucił worek koło pnia, osunął się na kolana i zwiesił głowę. Pot kapał mu z nosa i uszu. Zobojętniał na to, nie przejąłby się nawet wtedy, gdyby się zaczął topić, miał w nosie wszystko, byle tylko się położyć. Opadł na trawę. Kłua go przez koszulę, ale i to mu nie przeszkadzało. Zamknął oczy.

Przytulił policzek do sztywnego płótna worka i wyobraził sobie, że to kobieca pierś. Chłodna, miękka i pachnąca. Na przykład jojobą i hortensją.

Spłynął na niego twardy sen bez snów. Z takiej głębi mogłoby go wyrwać jedynie coś wstrząsającego. Naprawdę wstrząsającego, na przykład: „Nie ruszaj się, bo zginiesz”.

Oczywiście się poruszył. Najpierw otworzył oczy, potem przewrócił się na plecy, żeby odzyskać orientację i sprawdzić, kto to powiedział.

Rennie stała jakieś dwadzieścia metrów od niego, ze strzelbą przy oku. Spoglądała w celownik. Wick poderwał się gwałtownie.

- Nie ruszaj się, mówiłam!

Strzeliła.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Martwy ryś runął z drzewa.

Wylądował o parę kroków od Wicka. Padając, wzniecił obłoczki kurzu. W środku piersi miał krwawą dziurę. Serce Wicka łomotało jak szalone.

Z trudem przełknął ślinę.

- Niezły strzał.

Rennie uklękła obok martwego zwierzęcia.

- Był taki piękny.

Ryś nie wyglądał na drapieżnika, raczej na przerośniętego domowego kota o pięknym futrze. Pogładziła kępę białych włosów za jego uchem.

- Nie chciałam go zastrzelić, ale już się spinał do skoku. Od wielu miesięcy zabija owce i zwierzęta domowe. Dziś rano dostał się do mojej stajni.

- Nie wiedziałem, że rzuciłby się na takie duże zwierzę jak koń.

- Nie zrobiłby tego. Chyba szukał czegoś mniejszego, na przykład myszy albo królika. Ale przestraszył konie i podrapał jednego. Usłyszałam zamieszanie i dobiegłam do stajni akurat, żeby go zobaczyć. Od godziny go szukam.

- A on znalazł mnie.

Po raz pierwszy spojrzała wprost na niego.

- Byłeś łatwym łupem.

- Ranną sztuką.

- Dogorywającą. Co tu robisz, do cholery?

- Śpię. Spałem. - Wskazał strzelbę, którą oparła na kolanie. - Chybasz czasem?

- Nigdy. Odpowiesz mi, czy nie?

- Co tu robisz? To długa historia. Ale sens jest taki, że skończyła mi się benzyna. Mam nadzieję, że nie przyszłaś pieszo.

Wstała i przeraźliwie gwizdnęła. Zrobiła na nim wrażenie. Jeszcze nie spotkał kobiety, która potrafiłaby tak gwizdać. Ale to jeszcze nie był koniec jej talentów. Parę sekund później między drzewa wbiegła klacz.

- Rety, jak na filmie - zachwycił się Wick. Klacz zatrzymała się w rozsądnej odległości od martwego rysia i nerwowo uderzyła kopytem. - Nie wiem, czy się na niej utrzymam bez siodła.

- W ogóle na nią nie wsiądziesz. Jadę sama.



- Chcesz mnie tu zostawić? Z tym zwierzem?

- Czy ktoś cię zapraszał?

Poezja ruchu. Tak właśnie pomyślał, kiedy zobaczył, jak Rennie chwyciła klacz za gęstą grzywę i wsiada na grzbiet. Zrobiła to jednym płynnym ruchem, bez fałszywego drgnienia. Trąciła klacz piętami; wierzchówka obróciła się zgrabnie, wysoko unosząc głowę i ogon.

- Ale wrócisz, prawda?

Miał wrażenie, że Rennie się uśmiecha, ale słońce jeszcze nie całkiem wzeszło, więc mogło mu się tylko wydawać. Jednym, niemal niedostrzegalnym ruchem kolan spięła klacz do galopu.

Był tak pewny, że Rennie po niego wróci, iż zasnął, zanim stracił ją z oczu.

Nie wiedział, jak długo spał. Może piętnaście minut, może piętnaście godzin. Kiedy otworzył oczy, Rennie znowu przy nim była. Owijała rysia w grubą, mięsistą folię. Zauważyła, że Wick na nią patrzy.

- Nie zostawię go tu, żeby go rozdziobały.

Wick podniósł wzrok na korony drzew. Nad jego głową krążyły sępy.

- Może chodzi im o mnie.

- Może.

Podniosła rysia i zaniósła do furgonetki, którą Wick widział po raz pierwszy w życiu. Może służyła tylko jako środek transportu na ranchu, ponieważ widniały na niej ślady zużycia. Zanim Rennie ułożyła rysia na skrzyni i zamknęła ją, Wick zdołał stanąć na nogi, podtrzymując się drzewa. Pochylił się po worek.

- Ja to wezmę - rzuciła Rennie, wracając. - Ty wsiadaj.

Miał ochotę jej zsalutować, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Za to jej strój rekompensował rozkazujący ton. Miała na sobie czerwony top na cienkich ramiączkach, taki, w jakim sypiała, obcisłe niebieskie dżinsy i kowbojskie botki. Włosy rozpuszczone i potargane. Podejrzewał, że słysząc hałas w stajni, wyskoczyła z łóżka i zdążyła tylko włożyć dżinsy i buty. W każdym razie był to styl budzący jego aprobatę.

Przechołganie się pod ogrodzeniem z drutu kolczastego było tylko nieco łatwiejsze za dnia niż w ciemnościach. Zanim dojechał do furgonetki i zdołał się wspiąć do kabiny, był zły zimnym potem i dygotał.

Rennie wróciła z jego workiem, który bezceremonialnie wrzuciła na skrzynię

obok martwego rysia. Usiadła za kierownicą, włączyła silnik. Zauważyła, że Wick ogląda się na skrzynię furgonetki.

- Coś się stało?

- Nie. Cieszę się tylko, że i mnie tam nie wrzuciłaś.

- Zastanawiałam się nad tym.

- Co z moim samochodem?

- Mam kanister benzyny.

Nie wyjaśniła, w jaki sposób zamierza przelać benzynę do jego furgonetki, ale nie spytał jej o to. Wyprowadziła samochód na drogę i przejechała co najmniej dwa kilometry, zanim znowu się odezwała:

- Wiem, że doktor Sugarman nie wypisał cię ze szpitala.

- Gdzie on sobie zrobił tyle zębów?

- Wyszedłeś bez pytania?

- Hmm.

- A strażnicy?

- Nie chciałbym być w ich skórze, kiedy Oren się dowie.

- To jeszcze nie wie?

- Teraz może już wie.

- Zdenerwuje się?

- Jak cholera.

- Bo wie, że powinieneś przez parę dni leżeć w szpitalu.

- Bo wie, że chcę się sam zająć Lozadą. Spojrzała na niego ostro.

- To po co przyjechałaś tutaj?

- Żeby znaleźć ciebie. I jego. On cię będzie szukał. Rennie, i tak jak ja, w pierwszym rzędzie zajrzy tutaj.

- Nie wie o tym ranczu.

- Dowie się. Z czasem. I cię odnajdzie. Nie spocznie, dopóki tego nie zrobi. Za dużo w ciebie zainwestował. Przyjdzie po ciebie.

Więcej się już nie odezwali. Rennie zaparkowała furgonetkę tuż przed frontowymi schodkami. Pomogła Wickowi wysiąść i wejść na ganek. Otworzyła drzwi i gestem zaprosiła go do środka.

Znaleźli się w przestronnym salonie, urządzonego w teksańskim stylu. Mnóstwo skóry i zamszu, bardzo dobrego gatunkowo i drogiego. Grube dywany na podłogach.

Poduszki z frędzlami. Meble były duże i wygodne, zapraszały, by na nich usiąść i godzinami wygrzewać się przed kominkiem, czytając gazety, rozrzucone w nieładzie - w nieładzie? - na niskich stolikach.

W kącie stało meksykańskie siodło z czarnej skóry wysadzonej srebrnymi ozdobami, oświetlone i wyeksponowane niczym rzeźba. Na ścianie wisiała końska derka w jaskrawe pasy. Była piękna.

- Podoba mi się - powiedział Wick. - Dziękuję.
- Nie pasuje do ciebie. Nie odwróciła wzroku.
- Doskonale do mnie pasuje. Jesteś głodny?
- Zacząłem się zastanawiać, czy nie napocząć rysia.
- Tędy.

Zaprowadziła go do kuchni, gdzie czekały go kolejne niespodzianki. Na środku znajdowała się wyspa z otwartymi półkami pod blatem i wbudowanym małym miedzianym zlewem, w którym leżały opłukane czerwone i zielone jabłka. Z żelaznego wieszaka pod sufitem zwisały garnki. Na stole stało zapomniane pudełko z ciastkami.

- Zupa czy owsianka?

Powoli osunął się na krzesło przy okrągłym drewnianym stole.

- Taki mam wybór?
- Chyba że mówiłeś poważnie o tym rysiu. Jeśli tak, radź sobie sam.
- Co to za zupa?

Okazało się, że przecierana pomidorowa, i chyba nigdy w życiu nie jadł nic lepszego. Punktem wyjścia była zupa z puszki, ale Rennie dodała w równych proporcjach masło i przyprawy, po czym wrzuciła tarty ser i wstawiła zupę do kuchenki mikrofalowej tylko na tyle, by ser się rozpuścił. Ruchy miała ekonomiczne i opanowane. Jak chirurg.

- Po szpitalnym żarciu to jest niebo w gębie - oznajmił, pochłonawszy drugą grzanekę. - Co na obiad?

- Obiad prześpisz.

- Na razie nie mogę, Rennie. Nie wywlokłem się ze szpitala aż tutaj, żeby od razu walnąć w kimono.

- Bardzo mi przykro. Tego potrzebujesz i to będziesz miał. Jeszcze żaden mój pacjent nie wyglądał tak strasznie jak ty - to znaczy żaden, który przeżył. Powinnam od razu wezwać karetkę.



- Od razu bym wyjechał.

- Dlatego jeszcze nie zadzwoniłam. - Oplukala talerze i wytarla ręce. - Chodźmy na górę, rozbierzesz się.

- Rennie, ja już spałem. Pod drzewem.

- Jak długo?

- Wystarczająco.

- Nieprawda...

- Nie będę spać.

- Będziesz.

- Chyba że mi dasz jakieś prochy. - Dałam.

- Co?

- Kiedy poszedłeś do łazienki, dodałam ci do zupy mocny środek przeciwbólowy i pigułkę nasenną. Za minutę poczujesz szumek w głowie.

- Niech cię diabli! Opanuję to. Uśmiechnęła się.

- To ci się nie uda. Przewrócisz się jak rażony gromem. Będzie ci wygodniej, jeśli znajdziesz się w pobliżu łóżka.

- Musimy porozmawiać.

- Porozmawiamy. Jak się wyśpisz.

Wzięła go za łokieć i podniosła z krzesła. A przynajmniej próbowała. Nogi już zaczęły się pod nim uginać, a w palcach stóp czuł wyraźne mrowienie, tym razem wpływ narkotyku, nie hiperwentylacji.

- Połóż mi rękę na ramionach.

Posłuchał. Objęła go w pasie i podtrzymała, prowadząc ku schodom.

- Faktycznie, już coś szumi - powiedział w połowie drogi. - Nie, raczej dzwoni.

Kiedy to minie?

- Zależy od pacjenta.

- To nie jest odpowiedź.

Na piętrze biegła galeryjka wokół salonu. Wychodziło na nią kilkoro drzwi. Za jednymi znajdowała się sypialnia. Łóżko było nieposłane.

- To twój pokój? - spytał.

- Jedyna sypialnia, w której są meble.

- Będę miał szczęście spać w twoim łóżku? Oparła go o komodę.

- Ręce do góry.



Usłuchał, a ona zdjęła mu podkoszulek. Potem uklękła i pomogła zdjąć buty.

- Teraz ściągnij spodnie i kładź się.

- Ależ, doktor Newton, myślałam, że pani jest bardziej subtelna. To by... Co to jest?

Wyjęła coś z szuflady komody.

- To jest strzykawka. - Wyprostowała się i uniosła przezrzysty plastikowy przyrząd. - A ty dostaniesz zastrzyk z antybiotykiem.

- Nie potrzebuję.

- Nie będziemy o tym dyskutować.

Nie, nie była w nastroju do dyskusji. I tak nie mógłby się kłócić. Język stał się drętwym kawałem mięsa. Nogi zmieniły się w galaretę. Z najwyższym trudem udawało mu się utrzymać otwarte oczy.

Rozpiął rozporek, zsunął spodnie, uwolnił z nich nogi. Pewnie się spodziewała, że ma pod nimi bieliznę. Wielka pomyłka pani doktor. Podreptał do łóżka i położył się.

- Proszę na brzuch.

- Żadnej zabawy z tobą - wymamrotał niewyraźnie. Rennie przetarła mu biodro wacikiem nasączonym alkoholem, po czym wbiła igłę w mięsień.

- Oż ty...

- Może zabołec.

- ...w mordę! Dzięki za ostrzeżenie. - Zaciśnął zęby i przeczekał zastrzyk. Zdawało mu się, że trwa w nieskończoność.

Rennie odłożyła pustą strzykawkę na nocny stolik.

- Zostań, gdzie jesteś. Zaraz ci opatrzę ranę.

Chciał znaleźć jakąś dowcipną odpowiedź, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Poduszka wyglądała zachwycająco.

Mętnie uświadamiał sobie, że Rennie przemywa jego pooperacyjną ranę jakimś zimnym płynem i nakłada świeży opatrunek. Mętnie wyczuł, że przykryła go prześcieradłem i lekkim kocem. W pokoju robiło się coraz ciemniej. Rozkleił powieki tylko na tyle, by zobaczyć, że Rennie zamyka żaluzje. Przez ułamek sekundy, zanim zrobiło się zupełnie ciemno, zobaczył zarys jej sylwetki na świetlistym tle. Blask obrysowywał kontury ciała. Nie miała biustonosza.

Jęknął. Dobry Boże.

A może tylko mu się zdawało.

Obudził się, leżąc na plecach tak, żeby nie urazić prawego boku. W pokoju było

pusto, ale spod zamkniętych drzwi łazienki sączyło się światło. Sprawdził okna. Żaluzje były zamknięte.

Boże, co ona mu dała. Jak długo spał? Cały dzień? Dwa dni? Trzy?

W tej samej chwili światło pod drzwiami łazienki zgasło. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Rennie weszła do pokoju, niosąc ze sobą zapach mydła i szamponu. Spojrzała w stronę łóżka i napotkała wzrok Wicka.

- Przepraszam. Nie powinnam włączać suszarki. Bałam się, że cię obudzę, ale spałeś tak mocno, że zaryzykowałam.

- Która godzina?

- Dochodzi szósta.

Jej bosa stopy przesuwają się po deskach z ledwie dosłyszalnym szmerem.

- Jak się czujesz?

Pochyliła się, by na niego spojrzeć. Włosy opadły jej po obu stronach twarzy jak zasłonki. Przerzuciła je przez ramię.

- Przynieść ci coś?

Włosy, oczy, skóra, wargi. Była piękna. Tak pomyślał, kiedy po raz pierwszy popatrzył na nią przez lornetkę Orena. Wtedy właśnie zrodziło się pożądanie - i kłamstwa. Okłamał Orena i siebie, najpierw w sprawie swojej opinii na jej temat, potem własnego obiektywizmu. Jego obiektywizm wyzionął ducha w chwili, gdy Rennie wpadła na niego na weselu. W tej samej chwili zrozumiał, że oto skończył się jego profesjonalizm. Utonął w głębinie zielonych oczu.

Jako policjant miał już do czynienia z najróżniejszymi kobietami, od prostytutek do gospodyń domowych. Oszustki, złodziejki i święte. Kobiety w biznesowych kostiumach, za punkt honoru stawiające sobie symboliczną kastrację każdego mężczyzny w okolicy - i kobiety, które rozbierały się dla rozrywki mężczyzn.

Oren miał rację. Wszystkie kobiety, które poznał, były wyjątkowe. Wszystkie były godne zapamiętania - z tego czy innego powodu, od wychowawczyni z przedszkola do policjantki, która uznała go za najgorszego palanta, z jakim miała nieprzyjemność się spotkać, i kelnerki Crystal. Zawsze na nie działał.

I zawsze instynktownie zwracał uwagę na kobiety, w sposób pozytywny lub negatywny. To była jedna z jego wrodzonych cech, której nie poświęcał większej uwagi - tak jak odciskom palców czy krzywemu zębowi z przodu.

Z niektórymi kobietami spał - było ich całkiem sporo. Ale żadnej nie pożądał tak

jak Rennie Newton. I żadna nie była tak bardzo poza jego zasięgiem. Od samego początku stała się zakazanym owocem. Z jej osobą łączyły się same kłopoty.

Ale wszystko to przestało istnieć, kiedy pasma jej włosów musnęły jego nagą pierś. Zdrowy rozsądek i sumienie nie miały szansy.

- A, do diabła - mruknął. Położył rękę na jej karku i przyciągnął ją do siebie.

Pocałunek był namiętny od samego początku. Ledwie ich usta się zetknęły, Wick wsunął język między jej wargi. Pożądliwie wtargnął do ust. Jej oddech był ciepły, urywany, ponagłał go. Wick odchylił jej głowę, odnalazł więcej ciepła, więcej słodczy, wilgotnej rozkoszy.

Przesunął rękę z karku na tył głowy. Drugą dłoń położył na jej klatce piersiowej. Pod kciukiem czuł delikatną wypukłość piersi. Potem guziczek, twardniejący pod jego dotykiem, reagujący.

- Nie!

Cofnęła się i gwałtownie potrząsnęła głową. Przez parę sekund wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami, potem odwróciła się i uciekła z pokoju.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wziął prysznic. Ogolił się różową maszynką Rennie. W lustrze nad umywalką nie wyglądał aż tak przerażająco jak tuż przed zaśnięciem. Ciemne podkowy pod oczami straciły głęboki odcień, oczy nie były aż tak zapadnięte.

Ale i tak żaden z niego przystojniak. Szpitalna bladość podkreślała siniak na kości policzkowej. I kiedy ostatni raz obcinał włosy?

- Olej to - powiedział do swojego odbicia w lustrze i wyszedł z łazienki.

Rennie była w kuchni. Obejrzała się przez ramię.

- Znalazłeś swój worek? - Tak, dzięki.

Postawiła go przy łóżku, żeby mógł się przebrać w czyste ubranie.

- Jak się czujesz?

- Lepiej. Dzięki. Za wszystko. Z wyjątkiem zastrzyku. Tyłek mnie boli.

- Na pewno chce ci się pić. Weź sobie z lodówki, co chcesz. - Obtaczała miękkie drobiowe piersi w przyprawach i odkładała je na talerz.

Wyjął z lodówki karton soku pomarańczowego, potrząsnął i otworzył.

- Mogę pić z kartonu?

- Nie w tym domu.

- Skorzystałem z twojej szczoteczki do zębów.

- Mam zapasową.

- Czemu mnie to nie dziwi?

- Szklanki są w szafce za twoimi plecami.

Sok był smaczny. Wick osuszył szklankę i napenił ją ponownie.

- Co zrobiłaś z rysiem?

- Zadzwoiłam do strażnika leśnego. Przyjechał i go zabrał. Pogratulował mi.

- Wyświadczyłaś społeczeństwu wielką przysługę. Przez jakiś czas wpatrywała się przed siebie.

- Nie mam takiego wrażenia. Mam wrażenie, że zabiłam. - Umyła ręce, podeszła do piekarnika i włączyła go, po czym zbliżyła się do zlewu i wzięła nóż. Wskazała nim telefon komórkowy na stole.

- Dzwonił parę razy.

- Jezus, nawet nie pamiętam, gdzie go podziałem.

- Był w twoim samochodzie.



- A gdzie mój samochód? - W garażu.

Spojrzał w okno i ujrzał niewielki budynek, mniejszą wersję stajni. Podwójne drzwi były zamknięte.

- Jak zdołałaś go uruchomić?

- Pojechałam konno z kanistrem benzyny. Potem przywiązałam konia do skrzyni twojej furgonetki i powoli wróciłam.

- Byłoby łatwiej, gdybyś mnie ze sobą zabrała.

- Myślałam, że nie chcesz, by ktoś wiedział o twojej obecności.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Chyba nie całkiem o to chodzi. Przestała kroić pomidory i spojrzała na niego.

- To ty nie chcesz, żeby się ktoś o mnie dowiedział. Wróciła do pracy.

- Lubisz pomidory?

- Rennie.

- Niektórzy nie lubią.

- Rennie.

Opuściła nóż i spojrzała na niego. - Co?

- To był tylko pocałunek - powiedziała cicho. - Nie róbmy z tego afery, dobrze?

- Nie ja robię, tylko ty. To ty wypadłaś z sypialni jakby cię goniły wilki.

- Żebyś przestał mi się narzucać.

- Narzucać? - powtórzył podniesionym głosem. - Narzucać?!

- Kiedy się spotkaliśmy na weselu - gdy tak sprytnie doprowadziłeś do naszego spotkania - powiedziałam ci prosto i wyraźnie, że każde dziecko by zrozumiało, iż nie interesują mnie... te rzeczy.

To uraziło jego dumę. Obszedł stół, żeby nic ich nie dzieliło.

- No, co za odmiana! Jeden pocałunek i już ci się narzucam! W Dalton byłaś bardziej rozrywkowa. Jak to wtedy nazywałaś?

Drgnęła, jakby ją uderzył, ale ta odruchowa reakcja trwała najwyżej sekundę; Rennie złodowaciała.

- Pewnie sobie pogadałeś po męsku ze swoim przyjacielem, detektywem Wesleyem.

- Ale najpierw porozmawiałem o tobie z mieszkańcami Dalton. Dobrze im zapadłaś w pamięć, kociaczk. Bo nie ograniczałaś się tylko do całusków, prawda?

- Skoro jesteś tak dobrze poinformowany, po co mnie pytasz?



- Robiłaś o wiele więcej. Cofnęła się, odwróciła wzrok.

- Teraz już taka nie jestem.

- Dlaczego? Bawiłaś się jak królowa. Plotkarze z Dalton nadal przeżywają twoją przejażdżkę w czerwonym mustangu. A tu wystarczy, że dotknę twojej piersi i już uciekasz.

Usiłowała się wymknąć, ale szybko stanął jej na drodze.

- Wszyscy ci napaleni kowboje na rodeach ślinili się na twój widok. Tak samo jak ich ojcowie, wujowie i pewnie dziadziusiowie.

- Przestań!

- A ty o tym wiedziałaś, prawda? Znamy brzydkie nazwy dla dziewczyn twojego pokroju, Rennie. Ale i tak chce nam się tego, co tak zachwalacie. Ile serc zламаłaś, zanim zarzuciłaś sieć na Raymonda Colliera?

- Nie...

- A kiedy romans się zaczął psuć, zabiłaś faceta. To w ten sposób bronisz się przed tymi, którzy się narzucają?

- Tak!

Po jej krzyku nastąpiła wibrująca cisza. Rennie odwróciła się, pochyliła nad stołem. Zasłoniła usta ręką i znieruchomiała na parę chwil. A potem zupełnie jakby nie wiedziała, co zrobić z rękami. Skrzyżowała je na brzuchu, chwyciła się za łokcie, wytarła dłonie o uda. Wreszcie wzięła naczynie z kurczakiem i wstawiła je do piekarnika. Nastawiła zegar, wróciła do pomidorów.

Wick wpatrywał się w nią jak sęp. Nie zamierzał porzucić tego tematu. Czuł się uprawniony do przebicia się przez jej bariery. Chciał przynajmniej przez chwilę ujrzeć, kim była i dlaczego stała się obsesyjnie uporządkowana, dlaczego mogła dotykać innych tylko w sterylnym otoczeniu sali operacyjnej. Chciał zobaczyć, choćby przez chwilę, prawdziwą Rennie Newton.

- Co się stało wtedy w twoim domu? Nóż uderzył głośno w deskę.

- Wesley nie wyjawiał ci szczegółów?

- Wyjawiał. I przeczytałem raport policyjny.

- No to o co chodzi?

- Nic z tego nie wynika. Chcę usłyszeć od ciebie. Skończyła z pomidorami i opłukała nóż. Wycierając go w ścierkę, zerknęła na Wicka sardonicznie.

- Ciekawość cię dręczy?



- Nie rób mi tego - powiedział, z trudem hamując gniew. - Dobrze wiesz, że nie dlatego pytam.

Pochylił się, żeby zmniejszyć dystans między nimi.

- Dobrze wiesz, Rennie - szepnął. Musiała go zrozumieć. Ale na wypadek, gdyby jednak nie rozumiała, przykrył dłonią jej rękę i otoczył palcami przegub.

Pochyliła głowę. Może patrzyła na ich ręce, ale widział tylko czubek jej głowy, naturalny przedziałek. Minęło pół minuty, zanim cofnęła rękę.

- Z tego nie wyniknie nic dobrego, Wick.

- Z czego, z tego dziwnego trójkąta? Ty, ja i Lozada?

- Nie ma żadnego trójkąta.

- Sama wiesz, jak jest.

- Mielście porachunki, zanim się dowiedzieliście o moim istnieniu.

- To prawda, ale ty dodałaś do tego nowy wymiar.

- Nie mam nic wspólnego z waszym konfliktem - powiedziała uparcie.

- Więc dlaczego wyjechałaś z miasta?

- Musiałam odpocząć.

- Dowiedziałaś się, że Lozada wyszedł. - Tak, ale...

- I uciekłaś w ciągu paru godzin od jego wypuszczenia. Zdaje mi się, że go unikasz.

Komórka Wicka rozdzwoniła się nagle. Wick wziął ją i odczytał numer dzwoniącego. Zaklął pod nosem.

- Dobra, to trzeba załatwić. - Wyszedł z telefonem na ganek. Odebrał i usiadł na huśtawce.

- Hej.

- Gdzie jesteś, do cholery?

- A gdzie dzień dobry? - Wick...

- Dobra, dobra. - Westchnął ciężko. - Nie mogłem już wytrzymać w tym szpitalu, Oren. Wiesz, że nie potrafię leżeć. Jeszcze jeden dzień i bym oszalał. Więc sobie poszedłem. Zabrałem furgonetkę z twojego domu i jechałem przez całą noc. Rano dojechałem na Galveston, mniej więcej koło... hmmm, piątej mniej więcej. Spałem przez cały dzień i o wiele lepiej wypocząłem, słuchając szumu fal, niż w szpitalu.

Oren milczał przez chwilę.

- Ta twoja szopa w Galveston jest zamknięta na cztery spusty.

O, cholera.



- Skąd wiesz?

- Bo poprosiłem, żeby policja to sprawdziła.

- Po co?

- Czekam na wyjaśnienia, Wick.

- No dobrze, w drodze do domu zrobiłem mały przystanek. O co ten krzyk?

- Jesteś z nią, tak?

- Jestem już duży, nie muszę się usprawiedliwiać z...

- Bo tak się składa, że ona też prysnęła. Ze szpitala i z domu. Czujny sąsiad zaraportował, że do jej drzwi dobijał się mężczyzna wyglądający na poważnie chorego i wyczerpanego.

- Ten facet pełni straż przy oknie czy co?

- Jest cennym informatorem.

- Kurczę, Oren. Rozmawiałeś z policją w Galveston. Rozmawiałeś ze wścibskim sąsiadem. Miałeś pełne ręce roboty.

- Lozada też.

- Tak? A co porabia?

- Terroryzuje moją rodzinę.

Nazywali go Siusiek Sawyer. Tylko ktoś tak nikczemnego wzrostu mógł znosić tak ośmieszające przezwisko. Siusiek znosił, ponieważ nie miał wyboru. Był bezbronny.

Przezwisko przykleiło się do niego w szkole, kiedy posikał się w klasie. Podczas lekcji geografii na temat Hawajów po jego nodze spłynęła struga uryny. Ku rozbawieniu kolegów to, co nie wsiąkło w skarpetkę, zebrało się w kałuży pod ławką. Miał ochotę umrzeć na miejscu, ale pech sprawił, że przeżył. Tego popołudnia zyskał przezwisko Siusiek - ochrzcili go tak chuligani trzęsący szkolnym podwórkiem. Ich przywódcą był Ricky Roy Lozada.

Przezwisko przetrwało wiele lat. Podobnie jak jego strach przed Lozadą. Siusiek jęknął głośno, otworzywszy drzwi i ujrawszy stojącego na progu swego prześladowcę.

- Mogę wejść?

Formalność była kpina. Lozada spytał tylko po to, by przypomnieć Siuskowi, że nie potrzebuje zaproszenia. Minął go i wszedł do ciasnego, dusznego mieszkania, w którym Siusiek zamykał się czasem na wiele dni. Dla zachowania zdrowych zmysłów Siusiek egzystował w stworzonej przez siebie rzeczywistości.

- Przyszedłeś nie w porę, właśnie jem kolację.



Płatki w miseczce koło sofy powoli nasiąkały mlekiem.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać, Siusiek, ale to bardzo ważne.
- Zawsze tak mówisz.
- Bo zawsze mam ważne sprawy.

Te tortury nie skończyły się w podstawówce, lecz trwały aż do matury. Wzrost Siuśka, jego zez i łagodność były jawną zachętą dla dręczycieli. Był niemal zbyt łatwym łupem. Lozada traktował go jak żalostnego zwierzaka, którego można bić lub głaskać, zależnie od kaprysu.

W każdej klasie znajdował się jakiś czarodziej komputera, a w ich klasie był nim Siusiek. Komputery i mikroczipy nudziły Lozadę, jednak były użyteczne. A skoro znaczenie komputerów wzrastało coraz bardziej, wzrastało także znaczenie Siuśka.

Obecnie Siusiek pracował nad projektowaniem stron internetowych. Lubił tę pracę. Była twórcza i dawała satysfakcję. Mógł się jej oddawać w domu, samotnie, zgodnie z własnym rozkładem zajęć. W rachunkach przedstawiał czterokrotnie większą liczbę godzin, jakie poświęcił na wykonanie zadania, ale klienci byli tak zadowoleni z rezultatów, że nigdy nie zakwestionowali ceny. Biznes się kręcił.

Ale te dochody były niczym w porównaniu z pieniędzmi Lozady.

Zestaw komputerowy Siuśka zajmował cały pokój, a stopniem wyrafinowania mógł konkurować ze sprzętem NASA. Siusiek zainwestował większość pieniędzy w interes, kupując wyjątkowe akcesoria i gadzety. Potrafił rozłożyć komputer na części pierwsze z precyzją patologa, a potem złożyć go, uzupełniony o nowe, lepsze możliwości. Jeszcze nie zdarzyło mu się pracować nad takim, który by się mu nie poddał. Wiedział, jak działają. Co więcej, rozumiał ich działanie.

Za pomocą minimalnej liczby kliknięć potrafił wejść do każdego tajnego chatroomu, stworzyć groźnego wirusa czy złamać kod zabezpieczający. Gdyby Siusiek posiadał choć odrobinę wyobraźni albo złych instynktów, mógłby rządzić światem ze swojego starego, brzydkiego, cuchnącego i ciasnego mieszkanka w złej dzielnicy Dallas.

Lozada uważał, że to karygodne marnotrawienie talentu. Wiedza Siuśka powinna należeć do kogoś, kto potrafiłby ją wykorzystać, kogoś obdarzonego brawurą, stylem i odwagą.

Gdyby Lozada działał na innym polu, mógłby wykorzystać geniusz Siuśka do kradzieży ogromnych sum pieniędzy bez ryzyka wpadki. Ale gdzie tu dreszcz emocji? Wolał bezpośredni kontakt, jakiego wymagało jego zajęcie. Siusiek zapewniał mu

jedynie informacje o jego klientach i ich celach.

Powiedział Siuskowi, że dziś także o to mu chodzi.

- Informacje.

Siusiek poprawił zjeżdżające okulary.

- Zawsze tak mówisz. A potem osoba, o której zbieram informacje, nagle umiera.

Lozada wbił w niego zimny wzrok.

- Co w ciebie wstąpiło?

- Nic. - Siusiek skubnął strup na łokciu. - Dlaczego tak myślisz?

- Jakoś się nie cieszysz na mój widok. Nie dość ci zapłaciłem?

- Zapłaciłeś, ale... - Pociągnął zatkanym nosem. - Nie chodzi o pieniądze.

- To o co?

- Nie chcę mieć kłopotów. Z policją. Ostatnio często o tobie mówią w dziennikach.

A może nie zauważyłeś?

- A ty nie zauważyłeś, że to były same dobre wiadomości?

- Tak, ale tym razem... no, nie wiem... policja chyba zaciska sieć. Ten Threadgill ci to załatwił.

- O niego martwię się najmniej.

Za to Siusiek był bardzo zmartwiony.

- Mówią o nim, że to człowiek z misją, A jak nas powiążą? No, wiesz, ciebie i mnie?

- Niby jak?

- Nie wiem.

Lozada pamiętał ten jękliwy ton z podstawówki. Wtedy drażnił go tak samo, jak teraz. Miał mało czasu, a ta rozmowa jeszcze mu go zabierała.

- Chodzi mi o to - ciągnął Siusiek - że nie chcę być oskarżony o współudział. Wczoraj oglądałem *Prawo i bezprawie*. Oskarżyli faceta o współudział w zbrodni jeszcze przed jej popełnieniem. Poszedł siedzieć niemal na tak długo jak facet, który zabił. Ja tak nie chcę.


- Boisz się?

- No pewnie, że się boję. Jak ci się wydaje, ile bym wytrzymał w więzieniu?

Lozada objął go spojrzeniem od stóp do głów. Uśmiechnął się.

- Rozumiem. Więc musisz dwa razy bardziej uważać, żeby nie wpaść, no nie?

Siusiek odbył kolejną rundę nerwowych tików, skubania strupa, pociągania zatkanym nosem. Unikał kontaktu wzrokowego. To się nie spodobało Lozadzie.



- Siadaj, Siusiek. Nie mam czasu. Zaczniemy już.

Siusiek wyglądał, jakby się zastanawiał, czy nie odmówić, ale niechętnie usiadł na kręconym fotelu przed szeregiem komputerowych ekranów z różnymi wygaszaczami.

- Rennie Newton - powiedział Lozada. - Doktor Rennie Newton.

Siusiek znowu jęknął.

- Tego się właśnie bałem. Widziałem ją w telewizji po wiadomościach o tym policjancie. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

Siusiek zabrał się do pracy. Prawie przyciskał nos do ekranu, mrużąc oczy. Uderzał w klawisze z imponującą prędkością. Ale Lozada nie dał się oszukać. Widział, że Siusiek gra na zwłokę. Poszukiwanie trwało co najmniej pięć minut.

Wreszcie Siusiek wyprostował się i powiedział:

- Same ślepe uliczki. Prawda jest taka, że nic tu na nią nie ma.

Lozada sięgnął do kieszeni i wyjął z niej szklaną fiolkę z perforowanym metalowym korkiem. Otworzył ją powoli i odwrócił do góry dnem dokładnie nad Siuskim.

Skorpion wylądował na piersi Siuska, który krzyknął i odruchowo chciał się cofnąć wraz z krzesłem. Lozada stanął za nim, unieruchomił Siuska pomiędzy sobą i komputerowym stolikiem. Chwytał go za czoło, odgiął do tyłu głowę i trzymał, podczas gdy skorpion szedł coraz wyżej.

- Jest mój od niedawna. Czekałem na okazję, żeby się nim pochwalić. Śliczny, prawda?

Siusiek pisnął cienko.

- Przyjechał do mnie aż z Indii. To *Mesobuthus tamalus*, jeden z rzadkich przedstawicieli skorpionów, których jad jest tak toksyczny, że może zabić człowieka, choć ofiara często umiera wiele dni.

Okulary Siuska przekrzywiły się. Jego oczy miały się dziko, usiłując dostrzec skorpiona.

- Na miłość boską... - wydyszał. Lozada puścił go i zachichotał.

- Chyba się znowu nie posikasz, co?

Spokojnie zgarnął skorpiona na kartkę, zrobił z niej lejek i zsunął go do fiolki.

- No, Siusiek, koniec zabawy - oznajmił, nakładając perforowaną zakrętkę. - Praca

czeka.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Nie smakuje ci?

Wick podniósł głowę znad talerza.

- E... smakuje. Wspaniale. Tylko... najadłem się tą kartoflanką na śniadanie. -
Usiłował się uśmiechnąć, ale wiedział, że jej nie nabrał.

Wyszli z kolacją na patio za domem i jedli, przyglądając się zachodowi słońca, prawie się nie odzywając. Prawdę mówiąc, od czasu rozmowy z Orenem nie zamienili więcej niż kilka błahych zdań.

Wstała i wyciągnęła rękę po jego tacę.

- Więc skończyłeś?

- Mogę sam odnieść.

- Nie powinienes. Ze względu na plecy. - Już nie boją.

- Dasz mi tę tacę czy nie?

Ustał, a Rennie zaniósł obie tace do domu. Z kuchni zaczęły dobiegać odgłosy jej krzątania, szmer płynącej wody, otwieranie i zamykanie lodówki.

Wróciła z butelką białego wina i postawiła ją na stoliku pomiędzy dwoma tekowymi fotelami.

- Ooo, strzał w dziesiątkę.

- Ty nie dostaniesz.

- Dlaczego?

- Z powodu lekarstwa.

- Co, znowu dodałaś mi Głupiego Jasia do kurczaka? Czy do dzikiego ryżu?

- Nic ci nie dodałam. Ale nie wiem, co bierzesz.

- Jak to?

- Na ataki lęku.

Chciał udąć głupiego. Chciał zaprzeczyć. Ale po co? I tak go rozgryzła.

- Nic nie biorę. Teraz już nic. - Odwrócił twarz, spojrzał w dal. - Jak się domyśliłaś?

- Rozpoznałam symptomy. - Zerknął na nią. Wyjaśniła cicho: - Czynności przymusowe. Dawno temu. Nigdy nie liczyłam uderzeń serca ani kroków, nic tak krańcowego. Ale wszystko musiało być idealne i w dużym stopniu nadal musi. Chodzi o kontrolę.

Temat wydał mu się żenujący.



- Miałem... parę... to się chyba nazywa epizody. Gwałtowne bicie serca, brak tchu. To wszystko. Dużo się na mnie zważyło. Spore życiowe zmiany. - Wzruszył ramionami. - Lekarz mówił, że to nic takiego.

- Nie ma się czego wstydzić.

- A kto się wstydzi?

Jego opryskliwy ton wskazywał na coś zupełnie przeciwnego. Spojrzała na niego przeciągle.

- Dobrze, nieważne. Leki, które ci dziś podałam, nie kolidują z lekiem, który bierzesz. To tak dla twojej informacji.

- Dzięki, ale jak powiedziałem, już nic nie biorę.

- Może powinienes.

- A to dlaczego, pani doktor?

- Bo gdybyś ważył dziesięć kilo mniej, uniósłbyś się pod niebo.

Spróbował opanować dygot.

- Może mi po prostu powiesz, co usłyszałeś od Wesleya? Znowu odwrócił głowę i spojrzał na jej posiadłość. Był to ładny kawałek gruntu; sam chciałby mieć taki, gdyby było go stać, do czego nigdy nie dojdzie. Nie był i nigdy nie stanie się materialistą. Chciwość to nie jego problem. Ale byłoby miło mieć taki zakątek.

Pastwisko za płotem porastały stare drzewa, głównie orzechy. Strumień, przecinający je ukośnie, biegł w podwójnym szpalerze wierzb, kołysanych południowym wietrzykiem. Ten wietrzyk przyjemnie chłodził i sprawiał, że można było wytrzymać na dworze.

Po tygodniowym zamknięciu w szpitalu z przyjemnością przyjął propozycję zjedzenia kolacji na patio. Ale nie miał apetytu. To, co usłyszał od Orena, odebrało mu go na dobre.

- Grace Wesley wyszła dziś ze swojego gabinetu o wpół do piątej - zaczął. - Od paru tygodni przygotowuje się do następnego semestru, podobnie jak reszta wydziału. Ale Grace jest wyjątkowo skrupulatna. Zwykle wychodzi ostatnia - tak jak dzisiaj. Gdy wsiadła do samochodu, na tylnym siedzeniu siedział Lozada.

Rennie wstrzymała oddech.

- Tak. Przestraszył ją na śmierć. - Czy...

- Nic jej nie jest. Nawet jej nie dotknął. Tylko mówił. - Co?

- Chciał wiedzieć, gdzie jestem i gdzie cię szukać.



- Wiedziała?

- Nie, i tak mu powiedziała. Ale chyba jej nie uwierzył. - Spojrzał na nią. Objęła się tak, jakby czekała na cios. - Powiedział, że we własnym interesie powinna mu powiedzieć, a kiedy odparła, że nie może, zauważył, że jej córki są ładne.

Spuściła głowę, podtrzymała ją ręką, kciukiem i środkowym palcem mocno ściskając skronie.

- Proszę, proszę, tylko nie mów, że...

- Nie, dziewczynkom też nic się nie stało. To było ostrzeżenie. Zawołowana groźba. Ale realna, ponieważ wiedział o nich bardzo dużo. Ich imiona, ulubione zajęcia, przyjaciółki, ulubione miejsca... Grace zaczęła płakać. Jest silna, ale jak wszyscy ma słabe punkty - u niej to rodzina. Oren twierdzi, że się nie ugięła, nie błagała, ale jakoś musiała go przekonać, że nic nie wie. Przesiadł się do własnego samochodu. Nawet pomachał jej na pożegnanie. Grace natychmiast zadzwoniła do Orena. W ciągu paru minut policja odebrała dziewczynki ze szkoły i otoczyła je opieką. Grace też. A Oren... wyobrażasz sobie.

Przez jakiś czas milczeli. Świerszcze zaczęły się sposobić do wieczornego koncertu.

- Oren chce, żeby Grace zamieszkała z dziewczynkami u jego matki w Tennessee - podjął Wick. - Rozmawiał ze mną, pakując ich walizki. Słyszałem ich protesty. Dziewczynki marudziły w tle, a Grace mówiła, żeby się nie łudził, że go zostawi. I że nie pozwoli, żeby świr w rodzaju Lozady wypędził ją z własnego domu.

- A co ty sądzisz?

- Zgadza się, to świr.

- Wiesz, o czym mówię. Powinna wyjechać?

Wzruszył ramionami.

- Rozumiem ich oboje.

- Ja też. Poznałam Grace, widziałam ich razem i nie dziwi mnie, że nie zgadza się opuścić męża w trudnej chwili.

- To nie wszystko. Jeśli Lozada chce zrobić krzywdę rodzinie Orena, zrobi to. Podróże po kraju mu w tym nie przeszkodzą.

Wymienili przeciągłe spojrzenie.

Raptem Wick podniósł się z fotela i zaczął krążyć po wyłożonym kamiennymi płytami patio.



- Lozada. Król skurwieli. Grozi kobietom i dzieciom. Co za bydlę... wiesz, co myślę? Myślę, że brak mu jaj. Atakuje w ciemnościach jak te jego cholerne skorpiony.

- Skorpiony?

- Atakuje ofiary od tyłu. Od tyłu! Tylko się zastanów. Udusił bankiera od tyłu. Mnie także zadał cios w plecy. Twarzą w twarz potrafi stanąć tylko z kobietą, i tylko po to, żeby grozić jej dzieciom. Na Boga, chciałbym z nim stanąć twarzą w twarz.

- To by mogło być niebezpieczne. Rzucił jej rozgoryczone spojrzenie.

- Umówiliście się z Orenem czy jak? Już leciałem do garażu po furgonetkę, ale Oren powiedział, że jeśli się pojawię w mieście, każe mnie aresztować.

- Za to?

- Nie wdawał się w szczegóły, ale mówił poważnie. Powiedział, że brakuje mu jeszcze tylko mściciela. Według niego jedynym plusem tej sytuacji jest to, że Lozada napadł Grace, kiedy wyjechałem.

- Zrobił to, bo wyjechałeś. Przestał się miotać, spojrzał na nią.

- Podśluchiwałaś naszą rozmowę? Dokładnie to samo powiedział Oren. Uważa, że Lozada zastraszył Grace w nadziei, że mnie zwabi.

- Na pewno. Przeczesał włosy palcami.

- Też tak myślę - mruknął. - Lozada spodziewał się, że wpadnę do miasta jak do pożaru.

- I trudno byłoby w ciebie nie trafić.

- Zwłaszcza gdybym się na niego rzucił. Byłby zachwycony, gdybym go zaatakował. Mógłby mnie zastrzelić, a potem mówić, że to samoobrona.

Rennie skinęła głową, co rozdrażniło go jeszcze bardziej. Znowu zaczął krążyć po patio.

- Oren miał nadzieję, że wrócę na Galveston. Nie był zadowolony, kiedy się dowiedział, że jestem blisko Fort Worth.

- Ze mną.

- Powiedziałem mu, że z całą pewnością nie spiskujesz ani nie spiskowałaś z Lozada.

- Uwierzył ci? - Jego wahanie wystarczyło za całą odpowiedź. - Nieważne. Wiem, że nie ma o mnie wysokiego mniemania.

Wick nie drażył tematu. Wrócił na krzesło, wziął butelkę wina i pociągnął łyk. Nie powstrzymywała go. Potem pochylił się ku niej.



- Lozada tą rozmową z Grace rzucił mi dzisiaj wyzwanie. Napaść na mnie to jedno, napaść na nią i dzieci Orena to coś zupełnie innego. Tym razem zapłaci mi za to, sukinsyn. Nie mogę tego zrobić w zgodzie z prawem. To już wiem na pewno. Oren też to wie. Prawo nie jest sprawnym narzędziem. Musimy go dostać inaczej. Musimy zapomnieć o prawie i zacząć myśleć jak Lozada.

- Zgoda. - Drgnął z zaskoczenia. - Myślałeś, że uciekłam z miasta przed nim. Że dałam nogę, kiedy się dowiedziałam o jego zwolnieniu z więzienia. I chcę się tu ukryć. To błąd. Przyjechałam, bo muszę zaplanować, jak się od niego uwolnić. Nie zgadzam się żyć w strachu, zwłaszcza strachu przed mężczyzną. Lozada włamał się do mojego domu. Dwa razy. Zabił mojego przyjaciela Lee Howella. Zabił Sally Horton, chciał zabić ciebie - i na razie pozostaje bezkarny. Tak, jak pozostał bezkarny po zabiciu tego bankiera, do czego się przyczyniłam.

- Byłaś przysięgłą. Głosowałaś zgodnie z własnym sumieniem.

- Dzięki za pociechę, ale teraz żałuję tej decyzji. Lozada jest kompletnie bezkarny, ale nie jest niepokonany. Nie jest nieśmiertelny.

- A ty cholernie dobrze strzelasz. - Jego uśmiech zgasł, bo Rennie zlodowaciała. - Mówiłem o rysiu, nie o tym, co się zdarzyło w Dalton.

Zmusiła się do półuśmiechu i skinęła głową.

- Nie mam zamiaru do nikogo strzelać, nawet do Lozady. Nie chcę przez niego skończyć w więzieniu.

- Ja też nie mam ochoty, choć zamierzam go wyeliminować bez względu na koszty własne.

- Z powodu twojego brata? - Skinął głową. - To jedna z tych wielkich zmian, które wydarzyły się w twoim życiu jednocześnie?

- Największa.

Oparł się o poduszkę. Słońce nabrało koloru fioletowego atramentu. Już było widać gwiazdy. Tysiące więcej niż w mieście. Nawet więcej niż na plaży w Galveston, gdzie oświetlone reklamy odbierały gwiazdom blask.

- Joe i Lozada znali się ze szkoły. Z widzenia. Poszli do rywalizujących ze sobą liceów, ukończyli je w tym samym roku. Joe był najlepszym sportowcem i uczniem. Lozada był mętem, chuliganem, narkotykowym dilerem. Od czasu do czasu wpadali na siebie w miejscach, w których spotykali się młodzi ludzie. Raz, kiedy Joe przerwał bójkę Lozady z jakimś facetem, doszło do starcia. Powiedzieli sobie parę słów, ale nie doszło

do niczego więcej. Joe został policjantem, Lozada - płatnym zabójcą. Obaj byli dobrzy w swoich zawodach. Po prostu musieli wejść sobie w drogę. To była tylko kwestia czasu.

Sięgnął po butelkę wina i pociągnął kolejny łyk w nadziei, że to stępi pulsujący ból w plecach, który powrócił z nową siłą.

- Teraz przeskoczę o parę lat do przodu. Joe i Oren pracowali nad ważną sprawą zabójstwa. Typowa teksańska historia. Żona bogatego nafciarza zamordowana na tarasie posiadłości. Mąż był akurat poza miastem i miał nienaruszalne alibi. Ponieważ niczego nie zniszczono ani nie ukradziono, sprawa na kilometr śmierdziała morderstwem na zlecenie. Joe i Oren wzięli męża w obroty i okazało się, że ma on bardzo wymagającą, bardzo kosztowną dwudziestodwuletnią kochankę w Nowym Jorku. Mówiąc w przenośni, zabójstwo nosiło piętno Lozady, ale nie można go było powiązać z mężem. Joe zabrał się za gościa i za każdym przesłuchaniem zmiękczał go coraz bardziej. Joe nie miał litości. Był o krok od rozwiązania sprawy.

Milczał przez chwilę, po czym podjął opowiadanie.

- Po raz ostatni widziałem się z Joem na kawie. Powiedział, że czuje strach tego typu. „Jestem blisko, Wick. Blisko”. Sądził, że gość się wkrótce załamie i wygada, a wtedy Joe przy - skrzyni i jego, i Lozadę. Ten nafciarz to łajza, powiedział. Myśli fiutem. Ta mała z Nowego Jorku robi z nim, co chce. Joe powiedział, że mu go prawie żal. „Ale ten Lozada jest niebezpieczny, brachu. Naprawdę niebezpieczny”. Dokładnie tak powiedział. Twierdził, że Lozada zabija dla przyjemności, nie tylko dla pieniędzy. Lubi to. Joe powiedział, że wyświadczy światu przysługę i załatwi dożywocie temu sukinsynowi bez serca i włosów.

Pamiętam, jak wznieśliśmy kawą toast za jego sukces. Lozada chyba także wyczuł, że Joe jest już blisko. Pewnie się domyślił, że nafciarz go wyda. Tego samego wieczora Oren wyszedł z roboty parę minut po Joem. Na parkingu zauważył, że samochód Joego nadal tam stoi. Drzwi były otwarte. Joe siedział nieruchomo i wpatrywał się w przednią szybę. Oren pamięta, że podszedł i spytał: „Hej, co jest? Myślałem, że już cię nie ma”.

Wick zrobił pauzę, żeby nabrać tchu. Powoli wypuścił powietrze. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Księżyc wyglądał jak złoty opilek tuż nad horyzontem.

- Joe już nie żył. Tamtego wieczoru zorganizowałem imprezę w naszym domu. Oren i Grace przyszli, żeby mi powiedzieć. - Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i lekko dotknął ust splecionymi palcami.

- Wiesz, co mnie najbardziej interesuje? - Odwrócił się, spojrzął na nią i zauważył,

że od chwili, gdy zaczął mówić, nawet nie drgnęła. - Wiesz, co mnie naprawdę gnębi?

- Co?

- Nie rozumiem, dlaczego Lozada nie zabił tego nafcjarza. To by go przecież uciszyło. Dlaczego zabił Joego, nie jego?

- Joe był większym zagrożeniem. Gdyby zabił nafcjarza, zaradziłby problemowi tylko czasowo. Wiedział, że Joe nie spocznie, dopóki go nie dopadnie.

- Zboczona forma pochlebstwa.

- Dlaczego nie został oskarżony o morderstwo?

Telefon Wicka zadzwonił, wybawiając go od konieczności odpowiedzi.

Wick otworzył kłapkę telefonu i przyłożył go do ucha.

- Tak?

Słuchał przez parę chwil, zerknął na Rennie, wstał i podszedł na skraj patio, odwrócony do niej plecami.

- Nie, o tym jeszcze nie rozmawialiśmy. - Zszedł ze spłachetka ziemi wybrukowanego kamieniami i jeszcze bardziej się oddalił.

Rennie zrozumiała, że chce zostać sam. Weszła do domu i posprzątała w kuchni. Była ciekawa, jakie nieprzyjemne wieści przekaże im detektyw Wesley.

Przez okno nad zlewem widziała chodzącego wzdłuż płotu Wicka. Podzielała jego niepokój. Czuła, że powinna działać, coś robić, ale nie wiedziała co.

W salonie włączyła lampę na stoliku i zajęła ulubione miejsce w kąciu sofy. Zaczęła kartkować strony jakiegoś magazynu, ale nie widziała zdjęć ani tekstu. Za bardzo zajmowały ją rozmyślenia o Wicku.

Nie potrafił usiedzieć w miejscu, tak jak powiedziała Grace Wesley. A jednocześnie miał zwyczaj unieruchamiać rozmówcę spojrzeniem. Kiedy patrzył tymi błękitnymi oczami, trudno było się wyzwolić spod ich hipnotycznego wpływu.

Był inteligentny, gadatliwy, zabawny i aż nadto pewny siebie, ale nie płytki. Potrafił dokładnie analizować. Kochał swojego brata; po jego śmierci w sercu Wicka została krwawiąca rana. Każda godzina bezkarności Lozady była solą na tę ranę. Nienawidził Lozady chyba równie mocno, jak mocno kochał brata, a uczuć o takim stopniu intensywności nie da się powstrzymywać. Lozada powinien się zacząć bardzo bać.

Rozumiała tę żądzę zemsty. Jej wyrównywanie rachunków przybrało zupełnie inną postać, ale rozumiała pragnienie Wicka. A także współczuła mu, ponieważ mściciel

zawsze jest sam.

Nie chciała go polubić, ale nie miała wyboru. Nie chciała mu przebaczyć, że ją oszukał, ale już to zrobiła. Nie chciała, żeby się jej podobał, ale tak było. Wiedziała, że jeśli go choć raz pocałuje, będzie chciała zrobić to znowu. Tak się stało. A jeśli ten pocałunek w jakimkolwiek stopniu zdradzał jego łóżkowe umiejętności, chciała to sprawdzić osobiście.

- Rennie?

Wyprostowała się i odchrząknęła. - Tutaj.

Jego buty stuknęły głucho. Usiadł na kanapie obok niej, ale na samym brzeżku, jakby zamierzał się lada chwila zerwać. - Co robisz? Wskazała otwarty magazyn na kolanach.

- O koniach? - Hmm.

- W świecie wierzchowców dzieje się coś nowego?

- Co powiedział Oren?

Westchnął i przesunął dłonią po karku.

- Przydałby się masaż.

- To nie wpłynie dobrze na twoją ranę.

- Tylko ramiona. Coś mi tu weszło po tej nocy pod drzewem. Może pomasuje pani swojego ulubionego pacjenta?

- Znowu złe wieści?

- Właściwie to nie. Gdzie kupiłaś to siodło?

- To nagroda.

- Z rodeo?

- Wiesz, że brałam udział w rodeo? - Zerknęła na niego i dodała: - Oczywiście, że wiesz. Tak. Wygrałam to siodło na rodeo.

- Ładne. Ale te srebrne ćwieki chyba przeszkadzają w jeździe?

- Wick, jeśli Oren nie powiedział ci nic złego, dlaczego grasz na zwłokę?

- Dobrze - zdecydował się. - Powiem ci, o czym rozmawialiśmy. Ale chcę od razu zaznaczyć, że to nie był mój pomysł.

- Nie spodoba mi się, co?

- Mam bardzo poważne podejrzenia.

- Oren twierdzi, że powinniśmy udawać kochanków. - Kiwnął głową dla dodatkowego potwierdzenia.



Patrzyła na niego przez parę minut, po czym zaczęła się śmiać.

- I już? To ma być ten olśniewający plan złapania Lozady? Wick się obraził.

- Bo co?

- Nic. Potwierdzi to każdy grafoman. - Roześmiała się jeszcze głośniejsze. Nie przyłączył się. - Daj spokój, Wick, nie sądzisz, że to nieco wyświechtany pomysł? Spróbujemy doprowadzić Lozadę do szału zazdrości. Obmyśli jakąś straszliwą karę, a kiedy spróbuje ją wprowadzić w czyn, złapiemy go. I to jest ta wielka intryga?

- W ogólnych zarysach - powiedział sztywno. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Boże, ratuj.

- Cieszę się, że humor cię nie opuszcza, bo mnie nie jest do śmiechu. Lozada zniknął. Jego mercedes stoi w podziemnym garażu, więc pewnie ma jeszcze inny nie znany nam środek transportu. Nie pojawił się w swojej ulubionej restauracji, od wczoraj nie widziano go w apartamencie w Trinity Tower. Portier powiedział Orenowi, że lokatorzy poprosili, by się wyprowadził.

- Więc może to zrobił.

- A ten twój ryś może dziś zmartwychwstał. - Wick wstał i zaczął krążyć po salonie. - Lozada nie podporządkuje się sąsiadom. Mieszkanie to symbol jego statusu, tak samo jak garnitury szyte na miarę i ten samochód za sto tysięcy dolarów. Żądanie, by się wyprowadził, to dla niego najgorszy afront i z pewnością doprowadziło go do furii. A kogo obwini za fakt, że elita Fort Worth go nie akceptuje? Już zgadłaś. Mnie. Nas. Jest na nas wściekły, że zniknęliśmy, a jeśli się dowie, że jesteśmy razem, dostanie białej gorączki. Teraz nikt nie wie, gdzie się podział. A to mnie, szczerze mówiąc, denerwuje.

Odczekała, by się upewnić, że już skończył i powiedziała: - Przepraszam, nie chciałam lekceważyć naszej sytuacji, Wick. Wiem, że jest poważna. Ale bądźmy rozsądni. Lozada nie nabierze się na taką przasną intrygę.

Wick stał dokładnie przed nią, zmusił ją, żeby odchyliła głowę i spojrzała na niego.

- Dobrze, to co proponujesz? Zakładam, że masz na podorędziu plan B. Powiedziałaś, że chciałaś się zastanowić, jak się go pozbyć. Świeże wiejskie powietrze pobudziło szare komórki?

Spuściła głowę.

- Nie musisz mnie obrażać.

- Po tym, jak mnie wyśmiałaś, aż nie wierzę, że to mówisz, patrząc mi w oczy - a

właściwie w rozporek.

Ruszył do kuchni. Poszła za nim. Zanim go dogoniła, chwycił butelkę wody i zaczął pić.

- Utykasz. Boli cię?

- No myślę.

- A mówiłeś, że nie.

- Skłamałem.

- Nie po raz pierwszy.

Spojrzeni na siebie we wrogim milczeniu. Rennie przerwała je pierwsza.

- Dobrze, to co mamy robić? Trzymać się za ręce na środku ulicy? Umawiać się na kolację przy świecach? Tańczyć do świtu? I co jeszcze?

- Jeszcze mogę ci się ponarzucać. Co ty na to?

Krew uderzyła jej do głowy, ale zdołała nie drgnąć. Gdyby odeszła, przyznałaby, jak ważny był dla niej ten incydent.

Zaklął pod nosem, odstawił butelkę na stół i potarł zmęczone oczy.

- Przepraszam. Przy tobie zawsze mówię rzeczy, których się cholernie wstydzę.

- Nie szkodzi. Nie powinnam używać tego słowa wobec... Odjął rękę i spojrzał na nią.

- Wobec czego?

- Nie narzucałeś się.

Przygwoździł ją swoim błękitnym spojrzeniem. Z trudem zmusiła się, żeby odwrócić głowę.

- Lepiej powiedz mi coś o tym planie Orena.

- A, tak. - Potrząsnął głową, jakby musiał sobie przypomnieć, o czym mówili. - Powiedział, że możemy oskarżyć Lozadę o prześladowanie. Jeśli go za to wsadzimy, choćby na krótko, zyskamy czas na przygotowanie oskarżenia o zamordowanie Sally Horton i atak na mnie. Ale...

- Bałam się, że będzie jakieś ale.

- Nikt oprócz ciebie nie słyszał waszych rozmów, które rzekomo prowadziliście. - Miała zaprotestować, ale uniósł obie ręce. - Poczekaj. Myślę jak prokurator. Już słyszę, jak jakiś świeżo upieczony prawnik pyta mnie, czy istnieją dowody na to, że Lozada faktycznie do ciebie dzwonił, a ja mu muszę powiedzieć, że nie. Mam rację?

- Tak. Ale mam wizytówkę, która była w różach.



- Ale to nie pogróżka.

- Włamał się do mojego domu.

- Oren i dwaj inni policjanci widzieli was w objęciach.

- Bałam się, że jeśli będę się opierać, skończę jak Sally Horton.

- W twoim domu nie ma śladów włamania.

- Kiedy ty się włamałeś, też nie było. Cofnął się.

- Wiesz?

- Domyśliłam się, a Wesley potwierdził kamiennym milczeniem.

- Oren nie powiedział, że wiesz. - Zwiesił głowę i znowu potarł kark. - Aż dziwne, że nie zostawiłaś mnie na pewną śmierć.

- Kiedy cię operowałam, jeszcze nie wiedziałam, że się do mnie włamałeś.

Szybko podniósł głowę. Uśmiechnęła się, by mu pokazać, że żartuje.

Odpowiedział uśmiechem.

- Mam fart.

- Wróćmy do oskarżenia o prześladowanie - powiedziała. - Co się stanie, jeśli nie zdołam udowodnić, że Lozada mnie napastował?

- Nasze szanse na zgromadzenie dowodów się zwiększą, jeśli coś się wydarzy w innym miejscu. Oskarżenie będzie bardziej wiarygodne, jeśli Lozada za tobą gdzieś pojedzie.

- Na przykład tutaj. Pokręcił głową.

- Mógłby powiedzieć, że go zaprosiłaś. Twoje słowo przeciwko jego.

- Więc gdzie?

- Do mojego domu na Galveston. Ja go na pewno nie zaproszę. Jak szybko możesz się spakować?



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Oren odebrał po pierwszym dzwonku. Wick poinformował go, że postanowili zrealizować jego plan.

- Doktor Newton uważa, że jest dobry?

- Nie. Ja też nie. Jest prymitywny, a Lozada musiałby być idiotą, żeby się nabrać.

- Ale nikt nie ma lepszego.

- Ja mam. Uzbiorę się po zęby, ruszę za bydlakiem i zabiję jak psa.

- Ten plan miałby zasadniczy wpływ na twoje dalsze plany życiowe.

- I tylko dlatego zgadzam się na twój. Rennie też. Strategia nie jest idealna, ale tylko taką rozporządzamy. Ma jeden plus - uderzy Lozadę dokładnie tam, gdzie go najbardziej zaboli - w ego.

- I właśnie dlatego może się udać.

- Co postanowiliście?

- Dziewczynki wyjechały, Grace została. Wick uśmiechnął się pod nosem.

- I dobrze jej tak.

- No, wiesz... Posłuchaj: zanim dojedziecie na Galveston, postawię wokół twojego domu całodobowe posterunki. Nie szukaj ich, bo nie zobaczysz. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- A ty przyjedziesz?

- Zaprosiłbyś najlepszego kumpla na spotkanie z nową panienką?

- Sam nie wiem. A lubisz świństwa? - Wick.

- Dobra, wiem.

Gdyby Lozada dostrzegł Orena, natychmiast, by wiedział, że to zasadzka.

- Będę pod telefonem przez całą dobę - ciągnął Oren. - Miej oczy otwarte i często dzwoń. Jeśli usłyszysz, że jakaś mewa pierdnęła, chcę o tym wiedzieć.

- Ależ proszę. Tylko jeśli pierdzą tak często, jak srają...

- Przystaniesz się wygłupiać czy nie? To nie jest śmieszne.

- Wiem. Koniec żartów. - Mówił serio.

- Lozada się utajnił. Wiesz, co się zwykle dzieje, kiedy znika na parę dni.

- Pojawia się nowy trup.

- To mi się nie podoba.

- Mnie też nie. Nie sądzę, żeby nas szybko znalazł.



- Ale to możliwe. Rozstawię w mieście ludzi, żeby plotkowali o twoim romansie z lekarką, która uratowała ci życie. Pewnie do niego dotrze, że jesteście parą.

- Jasne, i wtedy przyjedzie. Tego jestem pewien.

Nie powiedział Orenowi ani Rennie, że rozdrażnił Lozadę idiotycznym wierszykiem. Lozada mu tego nie daruje.

Pożegnał się z Orenem i wyszedł na zewnątrz, żeby się rozejrzeć. Obszedł dom, stajnię i garaż, zajrzał do obu budynków. Nic nie budziło podejrzeń. Wrócił do domu i razem z Rennie sprawdził wszystkie okna i drzwi. Rennie nie była przeczulona, ale miała dość rozsądku, żeby zachować ostrożność.

- Kto by pomyślał, że tak się skończy moja wizyta w sądzie.

- Nie przypuszczałaś, że zafascynujesz oskarżonego.

- To złe słowo, zbyt szlachetne. Chodzi o coś zupełnie innego. To...

Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Lozada - dokończył Wick.

- Nawet to nazwisko brzmi złowrogo. - Nieświadomie roztarła ramiona, jakby poczuła chłód. - Naprawdę mógł się spodziewać, że ta jego obleśna adoracja sprawi mi przyjemność?

- Zdecydowanie.

- Skąd taka arogancja? Był sądzony za morderstwo. Groziła mu kara śmierci. Kto w tych okolicznościach myśli o miłostkach?

- Nikt rozsądny. Tylko ktoś, kto tak jak Lozada jest przekonany o swojej potędze. W swoich własnych oczach jest zwycięzcą.

- Na mistrzostwach płatnych morderców.

- Mniej więcej. W swojej lidze jest jednym z najlepszych. Na razie nie wyszedł na rynek międzynarodowy, ale po co? Tu może zarabiać więcej pieniędzy bez ryzyka. Poza tym faceci, którzy zajmują się płatnymi morderstwami, na ogół pracują w głębokim utajeniu, a to nie jest styl Lozady. Po co miałby się wdawać w męczącą eliminację znanych polityków? Ściągać sobie na głowę rząd i Interpol? Jest grubą rybą we względnie małym stawie.

- I każda kobieta powinna być szczęśliwa, jeśli zwróci na nią uwagę. Tak?

- Otóż to. Dodaj do tego jeszcze słabość do wszystkiego, co ekskluzywne. Dorastał w klasie średniej. Jego jedyny brat był umysłowo opóźniony i kaleki fizycznie. Rodzice przeznaczali wszystkie środki na pomoc dla niego. Więc dla Lozady przedmioty mają

wielkie znaczenie. Uważa siebie za dobrze opłacanego biznesmena, który docenia rzeczy najpiękniejsze z pięknych i może sobie na nie pozwolić. Dla pełnego obrazu potrzebuje jeszcze kobiety z klasą.

- A te skorpiony?

- Kolekcjonuje je. Aha, ciarki przechodzą, co? Są jego maskotkami. Funkcjonują w nocy, zabijają po zachodzie słońca. Lozada nie mógłby zbierać czegoś tak banalnego jak znaczki, monety czy nawet dzieła sztuki. Szczyci się swoją wyjątkowością.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Dokładnie go rozpoznałeś, prawda?

- Nie marnowałem czasu, odkąd odszedłem z policji. Oren o tym nie wie, ale byłem bardzo zajęty. Zebrałem wszystkie informacje o Lozadzie, jakie mogłem zdobyć.

- Na przykład?

- Dokumenty szkolne. W liceum zrobiono mu badania psychologiczne, mniej więcej wtedy, kiedy zaczęła się jego kryminalna kariera. Stąd mam o nim najwięcej wiadomości. Jego socjopatyczne zachowanie, kompleks wyższości, wszystko to towarzyszy mu przez całe życie. Rozłożyłem go na części pierwsze. Jego psychikę znam lepiej niż własną.

Zamilkł na chwilę i dodał ponuro:

- Nie wiedziałem tylko, że sypia z Sally Horton. Gdybym wiedział, ostrzegłbym ją, żeby trzymała się od niego z daleka - ode mnie też - a tamtego wieczora bardziej bym uważał. Jeśli pomyśli, że jesteśmy kochankami... - Nie musiał dodawać nic więcej. - Sally Horton nie była dla niego ważna. Ty tak, i to bardzo. - I zdradziłam go z innym.

- Tak to zrozumie. Nie lekceważ niebezpieczeństwa, w jakim się znalazłaś. Oren kazał policjantom i informatorom rozsiewać smakowite plotki na nasz temat. Lozada nie zniesie świadomości, że jesteśmy razem. Zdradziłaś go, a ja ukradłem mu piękni) zabawkę.

- Ale przecież nic mnie z nim nie łączy - z wyjątkiem jego obsesji.

- Jeśli on uważa, że do niego należysz, to tak jest.

- Po moim trupie.

- Tego akurat chciałbym uniknąć. - Wziął ją pod brodę, podniósł jej głowę tak, że spojrzeli sobie prosto w oczy. - Tylko powiedz, a zadzwonię do Orena i powiem, że Lozadę załatwimy inaczej - tak, by nie narazić cię na niebezpieczeństwo. Wczoraj przyjechałem, żeby cię ostrzec, powiedzieć, byś uciekła i nie wracała, dopóki Lozada na

dobrze nie zniknie z horyzontu - w ten czy inny sposób.

- To by mogło długo trwać.

- Nie sądzę - mruknął, znowu myśląc o wiadomości, którą przesłał Lozadzie.

- Już teraz jestem w niebezpieczeństwie. Z tobą czy bez ciebie, odtrąciłam go.

Poza tym, nie mogę tak po prostu zostawić pacjentów. Nie, ujmę to inaczej - nie chcę ich zostawić.

- Więc dobrze, kiedy będziesz gotowa?

- Chyba nie chcesz wyjechać w nocy?

- Jak tylko się spakujesz.

- Nie chodzi o moje walizki. Wyszedłeś ze szpitala dwadzieścia cztery godziny temu, zdecydowanie za wcześnie.

- Czuję się dobrze.

- Czujesz się strasznie. Plecy masz sztywne i obolałe. Nie potrafisz przejść przez pokój, nie krzywiąc się z bólu. Wyobraź sobie podróż przez cały stan. Nie starczy ci sił, a ja nadal boję się infekcji i zapalenia płuc, które mogą być fatalne w skutkach. A jeśli pękną ci szwy?

- Powiedziałaś, że wyglądają dobrze.

- Wewnątrz masz ich więcej niż na zewnątrz. Obiecuj, że gdy tylko poczujesz silniejsze bóle brzucha, powiesz mi o nich.

- Powiem. Jeśli poczuję się kiepsko w drodze na Galveston, zatrzymamy się w pierwszym napotkanym szpitalu.

- Dziś nie wyjedziemy - oświadczyła z uporem. - W sprawach policyjnych ustępuję pola tobie i Wesleyowi. Ale medycyna to moja działka. Nigdzie nie pojedziemy, dopóki nie wypoczniesz. Koniec dyskusji.

Spali w jednym łóżku, ponieważ Wick nie zgodził się, żeby Rennie spędziła noc sama w salonie na parterze.

- To jest ta sprawa policyjna, w której powinnaś mi ustąpić - powiedział. - Koniec dyskusji.

Jako prawdziwy dżentelmen spał w spodniach i nie przykrywał się tą samą kołdrą. Drzemał, ale mocny sen nie był mu tej nocy dany, głównie dlatego, że uwagę miał wyczuloną na każdy hałas, a poza tym nie mógł zapomnieć, że obok niego śpi Rennie.

Rysy jej twarzy i całe ciało rozluźniły się podczas snu. Jedna ręka spoczywała na kołdrze, tuż obok niego, wnętrzem dłoni do góry, smukłe palce były stulone, bezbronne i

wrażliwe, w niczym nie przypominające mocnych, pewnych palców chirurga. Rennie była najbardziej samowystarczalną i zaradną kobietą, jaką spotkał w życiu. Podziwiał jej osiągnięcia, ale także miał ochotę się nią opiekować.

I chciał się z nią kochać.

Boże, i to jak. Chciał, bo... no, bo był mężczyzną, a mężczyźni chcą to robić z kobietami. Ale nie chodziło tylko o to. Humor, urok, nawet gniew nie zdołały się przebić przez jej twardą zbroję. Może ją nieco zarysowały, ale nie pokonały. Czy zdołałby do niej dotrzeć, gdyby wtargnął w jej ciało? Ta prowokacyjna myśl obudziła w nim ożywienie - pod każdym względem.

Cofała się przed jego dotykiem, ale nie sądził, by budził w niej odrazę. Był to raczej narzucony sobie, wyćwiczony odruch, element tego opanowania, któremu była tak wierna - pamiątka po incydencie z Raymondem Collierem. Zmysły bardzo zaważyły na jej wcześniejszym życiu. Ale to nie znaczy, że zmysły przestały mieć dla niej znaczenie. Tylko już się im nie poddawała.

Pomimo tej rezerwy, potrafił sobie wyobrazić jej rumieniec podniecenia. Dziś, kiedy ją pocałował, przez parę niewiarygodnych sekund czuł jej wzajemność. Nie pozwoliła sobie na odwzajemnienie pocałunku, ale chciała to zrobić. I nie były to złudzenia chwalipięty.

Nie spodziewał się, że tak zareaguje. Nawet przez ubranie czuł bijący od niej żar. Nie musiał jej długo nakłaniać. Wystarczyły dwa ruchy kciuka i jej sutek stwardniał, gotowy do przyjęcia jego ust.

Zdławił jęk i udał, że chciał tylko odchrząknąć. Rennie spała tuż koło niego, nieświadoma jego żalostnego położenia. Przewrócił się na bok, żeby na nią spojrzeć. Gdyby się teraz obudziła i zażądała wyjaśnień, mógłby zgodnie z prawdą powiedzieć, że bolał go plecy. Zresztą i tak prawie jej nie widział. Było zbyt ciemno.

Ale czuł oddech i nie musiał jej widzieć, by dalej snuć fantazje. W ciągu tych długich nocy, kiedy ją obserwował przez okno, miał mnóstwo czasu, by nauczyć się jej twarzy na pamięć.

Przywołał wspomnienie wieczoru po weselu, kiedy Rennie zdejmowała sukienkę. Czy te skąpe skrawki lawendowej koronki to bielizna zimnej kobiety? O, nie. Powoli rozpiął guziki rozporoka. Gdyby się obudziła, dopiero by się zaczęło, bo jego plecy nie były aż tak sztywne. Dobrze, że jego oprzyrządowanie nie doznało stałego uszczerbku i nadal było w pełni sprawne; nawet wydawało się bić własne rekordy.



Ukoiwszy napięcie, zamknął oczy i spróbował nie tyle zasnąć, co raczej oczyścić umysł i odpocząć. Nie pamiętał już, jak smakował tamten pocałunek albo jak doskonale jej pierś wypełniła mu rękę. Nie myślał o niej, ciepłej i miękkiej pod lekką kołdrą, ani o tym słodkim miejscu, jeszcze cieplejszym i aksamitnym. Przytulnym. Obejmującym.

Parsknięcie konia obudziło go skuteczniej niż dzwonek budzika. Znieruchomiał z otwartymi oczami, wstrzymując powietrze, którego nie śmiał wypuścić z płuc, żeby nie stracić następnego odgłosu. Nie musiał czekać długo; wkrótce usłyszał kolejne parsknięcie.

Rennie się nie obudziła. Dalej twardo spała. Pomimo obolałych pleców podniósł się z łóżka miękko jak kot i wziął pistolet, który leżał w zasięgu ręki na nocnym stoliku. Podeszedł na palcach do okna, przytulił się do ściany i wychylił tylko na tyle, żeby wyjrzeć.

Patrzył przez parę chwil, ale nie dostrzegł żadnego ruchu na podwórku czy w luce między domem i stajnią. Jednak instynkt podpowiadał mu, że to właśnie w stajni coś się dzieje. Może jakiś koń przestraszył się myszy, może ryś miał partnerkę, która przyszła go szukać - a może złożył im wizytę Lozada.

Przeszedł bezgłośnie przez sypialnię i, sprawdzwszy, czy Rennie nadal śpi, wykradł się na galerijkę. U szczytu schodów zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Czekał przez sześćdziesiąt sekund, ale nie usłyszał nic z wyjątkiem pulsowania krwi w uszach.

Zbiegł po schodach jak najszybciej, ale wiedział, że skrzypiące deski zdradzą jego obecność. W salonie wszystko wyglądało tak jak przed paroma godzinami. Nic się nie zmieniło. Drzwi frontowe były zamknięte na klucz i zasuwę.

Z pistoletem w uniesionych rękach zbliżył się do drzwi kuchennych. Zawahał się, wskoczył do kuchni i omiótł ją wzrokiem. Była pusta, podobnie jak przylegająca do niej spiżarnia.

Otworzył tylne drzwi i wyszedł, przyczajony tuż przy ziemi, choć nadal czuł się wystawiony na strzały. Przykucnął za krzesłem na patio, które niedawno zajmował. Nie była to zbyt solidna osłona, ale ciemność gwarantowała pewne bezpieczeństwo. Dziękował losowi za prawie niewidoczny skrawek księżyca.

Zaczął czekać, nasłuchując. Wkrótce ze stajni dobiegły wyraźne szmery. Wyśliznął się zza krzesła i ruszył biegiem w stronę budynku. Przytulił się do ściany, licząc na to, że ukryje się w cieniu. Musiał też się czegoś przytrzymać. Kręciło mu się w głowie, brakowało tchu, spływał potem i był pewien, że w plecach utkwili mu żelazny

pręt.

Wszystko to przez szpital, pomyślał. W szpitalu człowiek wędnie. Ma problemy z każdym przeciwnikiem większym od chomika. Ale przecież miał jeszcze pistolet i jeśli przyjdzie co do czego, nie podda się bez walki.

Krok po kroku zbliżył się do szerokich drzwi, gdzie przystanął, nasłuchując. Usłyszał coś, co go zaniepokoiło - absolutną ciszę. Ale cisza była ciężka, naładowana napięciem. Wiedział, że ktoś tam jest. Instynkt mu podpowiadał.

Tajemniczy ktoś przestał robić to, co robił. Coś, może wyostrzony instynkt, ostrzegł go o nadejściu Wicka. Teraz nasłuchiwał z taką samą uwagą jak Wick.

Wyczekiwanie trwało kilka minut. Nic się nie działo. Nie rozległ się żaden dźwięk. Nawet konie ucichły i znieruchomiały. Atmosfera stała się nieznośnie ciężka. Wick czuł, jak na niego napiera.

Gryzący pot zalewał mu oczy. Ciekł po żebrach i między łopatkami. Drażnił szwy. Ręce, nadal ściskające pistolet, były śliskie. Wreszcie uznał, że albo się tu rozpuści, albo umrze.

- Lozada! Nie masz jaj, żeby się ze mną spotkać jak mężczyzna? Długo się będziemy bawić w chowanego?

Po krótkiej chwili zza ściany rozległ się głos:

- Threadgill?

To nie był Lozada. Lozada wyuczył się niskiego, kociego tembru głosu. Ten miał nosowe tony rodowitego Teksańczyka.

- Pokaż się.

Mężczyzna wyłonił się ze stajni. Wick mocniej chwycił pistolet i wycelował w głowę nieznajomego. Toby Robbins podniósł rękę.

- Powoli, kowboju.

Jego spokój nie zwiódł Wicka. Już się zdarzało, że policjanci dawali się nabrać na takie sztuczki i przyplącali to życiem.

- Czego się tu włóczysz po nocy?

- Mógłbym cię zapytać o to samo, no nie? Ale ponieważ to ty trzymasz broń, z radością odpowiem ci pierwszy. Jeśli ją skierujesz gdzie indziej.

- Nie, dopóki nie usłyszę, dlaczego się tłuczysz po stajni Rennie.

- Sprawdzalem, czy wszystko gra.

- Musisz się bardziej postarać.



- Słyszałem, że ryś mocno podrapał jednego z jej koni.

- Skąd wiesz?

- Od strażnika leśnego. Przyszedłem sprawdzić, czy trzeba wzywać weterynarza.

- O tej porze?

Toby Robbins spojrział w stronę horyzontu na wschodzie, gdzie niebo już zaczęło różowieć.

- Już prawie pora na obiad.

Wick zerknął na bramę. Była zamknięta, a w jej pobliżu nie stał żaden pojazd.

- Jak tu się dostałeś?

- Piechotą.

Spojrzął na jego nogi. Były obute w adidas, nie kowbojskie botki. Robbins stuknął się w pierś po lewej stronie.

- Kardiolog kazał mi codziennie przejść co najmniej pięć kilometrów. To mniej więcej tyle, co od nas do Rennie i z powrotem. Wolę spacerować, zanim zrobi się za gorąco.

Wick niechętnie opuścił pistolet i zatknął go za pasek dżinsów. A właściwie zatknąłby, gdyby były zapięte. Pospiesznie sięgnął do guzików rozporoka.

- Wiesz, Robbins, już chciałem przestać sobie zawracać głowę i zastrzelić cię za samą głupotę. Dlaczego się nie odezwałeś? Albo nie włączyłeś światła, rany boskie?

- Włącznik jest w skrzynce z korkami. Była zamknięta na klucz. Rennie trzyma zapasowy nad drzwiami. Właśnie go szukałem, kiedy cię usłyszałem. Nie wiedziałem, że to ty. Myślałem, że drugi ryś.

Wick przyjrzał się mu nieufnie. Nie sądził, by Robbins kłamał - ale nie mówił całej prawdy.

- Rennie powiedziała, że przemyła ranę środkiem dezynfekującym i uznała, że to się samo zagoi. Gdyby uważała, że trzeba wezwać weterynarza, zrobiłaby to.

- Nie zaszkodzi zasięgnąć drugiej opinii.

Robbins znowu zniknął w stajni. Wick poszedł za nim, nie bacząc na bosa stopy. Jeśli nie będzie wchodził do boksów, nic mu nie zaszkodzi. Stajnia Rennie była sterylna jak sala operacyjna.

Robbins podszedł prosto do skrzynki z korkami i przesunął ręką po framudze u góry. Znalazł klucz, otworzył skrzynkę i po chwili zapaliło się światło. Wszedł do boks, nie zwracając uwagi na Wicka. Łagodnie przemówił do klaczy, znalazł ranę na tylnej

nodze i przykląkł, żeby ją zbadać. Potem wyszedł, obchodząc Wicka jak przedmiot. Wrócił do szafki z bezpiecznikami, wyłączył światło, zamknął ją i odłożył klucz na miejsce.

Wick ruszył za nim. Na zewnątrz odezwał się:

- Nie przyszedłeś tylko po to, żeby zbadać tę klacz. Zgadza się?

Starszy mężczyzna odwrócił się, zmierzył go spojrzeniem przeszywającym na wylot, podszedł do płotu korralu i oparł się. Bardzo długo stał tyłem do Wicka, podziwiając wschód słońca. Wreszcie wyjął z kraciastej koszuli z perłowymi zatrzaskami mały kapciuch z tytoniem i bibułki.

- Zapalisz? - rzucił przez ramię. - Jasne.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Robbins wytrząsnął tytoń na bibułkę, którą podał ostrożnie Wickowi. Ten zsywał tytoń w prostą linię na środku bibułki, zwilżył jej brzeżek i ciasno zwinął.

Robbins przyglądał się mu z zainteresowaniem. Wick poczuł, że umiejętnością robienia skrętów wydatnie poprawił swoją opinię w oczach starego kowboja. Wykonał rytuał bezbłędnie.

Dlatego podziękował w myślach swojemu kumplowi z liceum, który nauczył go palić jointy - dopóki Joe się nie dowiedział. Sprzął go tak, że Wick uznał, iż palenie faktycznie szkodzi zdrowiu.

Robbins zajął się własnym papierosem. Zapalił zapałkę i najpierw przytknął ją do skręta Wicka, potem do swojego. Ich oczy spotkały się nad małym płomykiem.

- To też zalecenie kardiologa? Robbins zaciągnął się głęboko.

- Nie mów mojej żonie.

Tytoń był cholernie mocny. Gryzł w wargi, język i gardło, ale Wick palił, udając, że to dla niego nic wielkiego.

- Nie zdziwiłeś się, że tu jestem.

- Strażnik mi powiedział, że Rennie ma towarzystwo. Domyśliłem się, że to ty.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami i palił dalej.

- Przyszedłeś, żeby sprawdzić, czy z Rennie wszystko dobrze, tak? - spytał Wick.

- Powiedzmy.

- Dlaczego myślisz, że mogę jej zrobić krzywdę?

Stary kowboj spojrział w dal, po czym jego niepokojące spojrzenie znowu spoczęło na Wicku.

- Mógłbyś. Niechący.

- Rennie jest dorosła. Nie potrzebuje przyzwoitki. Potrafi sama o siebie zadbać.

- Jest krucha.

Wick roześmiał się i od razu zakaszłał. Do diabła z tą machorką! Zgasił papierosa o słup ogrodzenia.

- Nie skojarzyłbym tego słowa z Rennie Newton.

- Czyli mało o niej wiesz.

- Słuchaj, Robbins, wcale mnie nie znasz. Nic o mnie nie wiesz, więc mnie nie

oceniaj, dobra? Gównu mnie to...

- Znałem jej ojca.

Szorstkie zdanie przerwało Wickowi w pół słowa. Robbins rzucił mu spojrzenie mówiące: „Zamknij się i słuchaj”.

- Zanim odziedziczyłem to ranczo po rodzicach, mieszkałem w Dalton i czasem pracowałem dla T. Dana. To był podły drań.

- Zdziwiająco zgodna opinia.

- Jeśli chciał, potrafił czarować. Gdy się uśmiechnął, od razu myślałeś, że to twój najlepszy kumpel. Ścisnął ci rękę, klepał po plecach, ale nic się nie bój, zawsze patrzył, co by tu ukryć dla siebie.

- Wszyscy znamy takich ludzi. Robbins pokręcił głową.

- Nie takich, jak T. Dan. On był wyjątkowy, klasa sama w sobie. - Zaciągnął się łąpczywie po raz ostatni, rzucił niedopałek na ziemię i zgniół go palcami stopy. Jego buty dziwnie nie pasowały do reszty stroju. John Wayne w adidasach.

Odwrócił się i oparł o ogrodzenie korralu. Wick stanął obok niego, przyjął podobną pozę. Miał nadzieję, że wreszcie wyjaśni parę tajemnic Rennie. Robbins mówił dalej, nie patrząc na niego.

- Rennie była wesołym, miłym dzieckiem, co jest dziwne, no bo T. Dan był jej ojcem.

- A matka?

- Pani Newton była poczciwa. Dużo pracowała charytatywnie, aktywnie działała na rzecz kościoła. Co roku na Boże Narodzenie wyprawiała wielkie przyjęcie i pięknie ozdabiała dom. Święty Mikołaj rozdawał dzieciom cukierki i tak dalej. Dobrze prowadziła dom T. Danowi, ale znała swoje miejsce. Nie mieszała się do jego życia.

Wick wiedział, o czym mówi.

- Ale powiedziałaś, że Rennie była wesoła. Robbins uśmiechnął się, co nie zdarzało się mu często.

- Ja i Corinne zawsze się trochę nad nią litowaliśmy. Tak bardzo chciała, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Chuda jak patyk. Blondyneczka. Oczy na pół twarzy.

Nadał takie są, pomyślał Wick.

- A jaka mądra! I grzeczna, dobrze wychowana. Już pani Newton tego dopilnowała. A zanim poszła do podstawówki, jeździła konno jak zawodowiec. - Zamilkł na parę chwil. - Najgorsze było to, że była taka zapatrzona w tatusia. Strasznie chciała,

by zwracał na nią uwagę. Wszystko robiła po to, żeby T. Dan ją dostrzegł i pochwalił.

Zacisnęła dłonie i przyjrzała się w bladym porannym świetle stwardniałej, poznaczonej odciskami skóry na kostkach kciuków. Jeden paznokieć był zupełnie zsiniały. Prawdopodobnie zejdzie.

- Wszyscy w Dalton wiedzieli, że T. Dan lata za spódniczkami. Nawet pani Newton. Pewnie pogodziła się z tym już w pierwszych latach małżeństwa. Znosiła to z godnością, jak to się mówi. Nie zwracała uwagi na plotki. Robiła dobrą minę do złej gry.

Ale Rennie była dzieckiem. Nie rozumiała, jak naprawdę wygląda szczęśliwe małżeństwo. Myślała, że tak jest wszędzie, ponieważ jej rodzice zawsze się tak zachowywali. Byli dla siebie uprzejmi. Rennie była za mała, żeby zrozumieć, iż nie ma między nimi uczucia.

Zerknął na Wicka, by sprawdzić, czy jego słowa nie padają w pustkę. Zbliżał się do najważniejszej części opowieści.

- Rennie miała wtedy jakieś dwanaście lat. Trudny okres dla dziewczynki, jeśli moja żona się na tym zna, a chyba tak. W każdym razie pewnego razu Rennie wpadła na T. Dana w jego gabinecie. Ale to on zrobił jej niespodziankę.

- Była z nim kobieta.

- Pod nim, na sofie. Nauczycielka fortepianu Rennie. - Zrobił pauzę i spojrzał prosto we wschodzące słońce. - I to był koniec szczęśliwego dzieciństwa. Rennie przestała być dzieckiem.

Crystal, kelnerka z Dalton, powiedziała że Rennie zaczęła szaleć mniej więcej w czasie dojrzewania. Ale to nie obudzona seksualność doprowadziła do zmiany jej osobowości.

Teraz jej bunt stał się zrozumiały. Może pani Newton odbyła z nią pogadankę na temat seksu i moralności. Rennie przekonała się na własne oczy, że ojciec łamie te zasady. Musiała przeżyć rozczarowanie, zwłaszcza że był to ojciec, którego uwielbiała.

To musiał być moment przełomowy. Jej skandaliczny styl życia był doskonałą karą dla rozwiązanego ojca i matki, która udawała, że wszystko jest w porządku. Niewinna dziewczynka przyłapała ojca na gorącym uczynku i, żeby mu zrobić na złość, stała się miejscową puszczalską. Robbins odezwał się, jakby czytał w jego myślach: - Teraz to się nazywa „odreagowanie”. Tak mówi Corinne. Pewnie usłyszała to z telewizora. Nieważne, jak zwał, tak zwał. Rennie zmieniła się z dnia na dzień. Zrobiła się straszna. Nauka poszła w ką. Przez parę następnych lat dziewczyna była nie do opanowania. Żadna kara nie

działała. Grała na nosie nauczycielom, wszystkim, którzy chcieli nad nią zapanować. T. Dan i pani Newton odmówili jej różnych przyjemności, ale na nic się to nie zdało.

- Ojciec kupił jej czerwonego mustanga - zwrócił uwagę Wick. - To sprzeczne sygnały.

- Może go zaszantażowała. Rennie wiedziała, że ma nad nim przewagę i potrafiła to wykorzystać. T. Dan stracił autorytet, kiedy go przyłapała na nauczycielce. Była na prostej drodze do piekła.

- Aż skończyła szesnaście lat. Robbins spojrzął na niego.

- Wiesz o Collierze?

- Co nieco. Wiem, że Rennie go zastrzeliła. Nie oskarżono jej o nic. Nie rozpoczęto dochodzenia. Sprawę zatuszowano.

- T. Dan - powiedział Robbins, jakby to tłumaczyło wszystko.

- Nie powiem, żebym tak bardzo żałował Raymonda Colliera - powiedział Wick. - Co za padalec angażuje się w romans z szesnastolatką, która wyraźnie potrzebuje rodzicielskiej opieki, dyscypliny i pociechy?

- Nie osądzaj go tak szybko. Jeśli Rennie zagięła parol na mężczyznę, trudno było się jej oprzeć.

Wick spojrzął na Robbinsa ostro. Ten pokręcił głową z krzywym uśmiechem.

- Nie, ja nie. Byłem przyszywanym wujciem. Ja chciałem na nią nakrzyczeć, wbić jej do łepetyny trochę rozumu, a nie iść z nią do łóżka. Ale z Raymondem Collierem było co innego.

- Jaki był?

- Nie znalazłem go dobrze, ale ludzie go na ogół lubili. Miał dobrą głowę do interesów. Dlatego T. Dan był jego współnikiem w wielkiej sprzedaży nieruchomości. Ale miał jedną słabość.

- Kobiety.

- Nie kobiety. Kobietę. Rennie. Miał na jej punkcie obsesję - powiedział stary kowboj ponuro. - Jak James Mason w tym filmie.

- *Lolita*.

- Możliwe. A ona pewnie wiedziała, że Collier ma na nią ochotę. Czula to, no wiesz, jak to kobieta. I..

- Dlaczego nie zostałam poinformowana o tym spotkaniu? Wick i Robbins odwrócili się jednocześnie. Rennie szła w ich stronę przez podwórko. Włosy miała

mokre, co wskazywało na pośpiech, w jakim się myła i ubrała.

- Zobaczyłam was z sypialni. Od dawna ze sobą gawędzicie? Zobaczyła pistolet zatknięty za dzinsy Wicka.

- Omal go nie zastrzeliłem. - Wick usiłował się uśmiechnąć przekonująco, ale nie mógł przestać myśleć o tym, co powiedział mu Robbins.

Stary kowboj wyjaśnił lakonicznie, po co przyszedł.

- Słyszałem, że położyłaś tego kota jednym strzałem w serce. Ludzie będą ci wdzięczni.

- Myślisz, że trzeba wezwać weterynarza do Spats?

- Nie. Miałaś rację. Rana nie jest głęboka i nie ropyje. Powinna się wkrótce zabliznić. Zerknęła na Wicka, potem na Robbinsa.

- Przez jakiś czas mnie nie będzie. Mógłbyś popilnować rancza pod moją nieobecność?

Stary zawahał się na tyle, że to zauważyli.

- Z chęcią - powiedział w końcu. - Mogę do ciebie zadzwonić do Fort Worth, gdyby się coś wydarzyło?

- Na Galveston - powiedział Wick. - Mam tam dom. Podam ci numer. Rennie nie była zbyt zadowolona.

- Sprawdzę, co się dzieje ze Spats - powiedziała. - Chyba powinna zostać jeszcze przez jeden dzień w boksie, ale inne wypuszczę do korrala.

- Wieczorem przyjdę i wprowadzę je do stajni - obiecał Robbins.

Ruszyła w stronę stajni; przystanęła i spojrzała przez ramię, jakby spodziewała się, że Robbins pójdzie za nią.

- Zaraz - powiedział. - Muszę wziąć ten numer.

- Zawsze możesz zadzwonić na komórkę.

- Nie zaszkodzi znać oba numery. Na wszelki wypadek. Niechętnie zostawiła ich samych, ale nie miała wyboru. Wick spojrzał na Robbinsa; nie był przekonany, czy koniecznie chce dalej słuchać o tym, jak Rennie uwodziła Raymonda Colliera.

- Chcesz coś dodać?

- Tak - powiedział Robbins. - Chyba powinieneś to wiedzieć. A może nie ma to dla ciebie znaczenia, choć mam nadzieję, że ma.

Zawahał się. Wick ponaglił go uniesieniem brwi.

Robbins obejrzał się przez ramię w stronę stajni i powiedział cicho:



- Po tej sprawie z Collierem Rennie zrobiła się nie ta sama. Z tamtym życiem był już koniec.

Wick nie skomentował. Czekał.

- Masz rację, Threadgill, nie znam cię, ale wiem, że możesz narobić kłopotów. Czytam gazety. Oglądam telewizję. Nie podoba mi się, że się koło niej kręcisz.

- Szkoda.

- Zwłaszcza że jest jeszcze ten typek Lozada.

- To ze względu na niego kręcę się koło Rennie.

- Tylko? - Jego spojrzenie przewiercało Wicka na wylot. - Razem z Corinne opiekuję się Rennie od lat. I teraz nie przestaniemy się o nią troszczyć. - Skinął głową na Wicka, każąc mu się przysunąć. - Masz wielką spluwę i dużo gadasz, ale jeśli mnie nie rozumiesz, jesteś głupszy niż ten kołek w płocie.

- Zrozumiałbym, gdybyś powiedział jaśniej.

- To mówię. Rennie ciężko pracowała, żeby się stać tym, kim jest. Widziałem, jak na rodeo odważała się na ryzyko, na które nie pozwoliliby sobie doświadczeni kowboje i ujeżdżacze. Poleciała gdzieś na koniec świata, do krajów, gdzie trwała wojna i można się było zarazić nie wiadomo czym, i nigdy nie zdradziła, że się boi. Ale - dodał, robiąc krok w stronę Wicka - nigdy nie widziałem jej w towarzystwie mężczyzny. I na pewno żaden nie spędził u niej nocy. - Przyjrzał się jego nagiej piersi i zatrzymał przez chwilę wzrok na rozporku, który Wick w takim pośpiechu zapiał. - Mam nadzieję, że jest z ciebie na tyle porządny facet, żeby nie uciekać przed odpowiedzialnością.

Kiedy Rennie wróciła z korralu, Wick stał w kuchni, przyglądając się, jak kawa kapie do dzbanka w ekspresie. Był bosy i bez koszuli, tylko w dżinsach. Broń leżała na blacie obok ekspresu. Wszystko to nie pasowało do jej przytulnej, znajomej kuchni. Wszystko ją rozpraszało.

- Coś nie tak z ekspresem? Pokręcił głową ze smutkiem.

- Tak mi się chce kawy, że liczę krople.

- Też się napiję. - Wyjęła z szafki dwa kubki.

- Ze Spats wszystko dobrze?

- Tak jak powiedział Toby.

- On mnie nienawidzi. Podała mu kubek.

- Nie bądź niemądry.

- Nie jestem. I nie zranił moich uczuć, stwierdzam tylko fakt. Poszedł do domu?

- Przed chwilą.

Resztką kawy zbulgotała w ekspresie. Wick nalał ją do kubka Rennie.

- To policyjna kawa - ostrzegł. - Mocna.

- Lekarze piją taką samą - odparła, spróbowała i pokiwała głową z aprobatą.

- Robbins z dużym naciskiem poinformował mnie, że dba o twoje dobro. Ostrzegł, że bym trzymał brudne łapy z daleka od ciebie.

- Na pewno tak nie powiedział. Jestem pewna.

- Nie zmarnował aż tylu słów.

Upiła parę łyków kawy, odstawiła kubek.

- Odwróć się i pokaż mi szwy. Odwrócił się, oparł o blat, pochylił nad nim.

- Nie oszukasz mnie. Chcesz się przyjrzeć mojemu tyłkowi. - Już go widziałam.

- I?

- Widywałam ładniejsze.

- No, to teraz jestem urażony.

Ludzkie ciało nie miało dla Rennie tajemnic. Uczyła się go, badała je, znała jego wszystkie stany, rozmiary, kolory i kształty. Ale wczoraj, kiedy zobaczyła Wicka w całej okazałości, zrobił na niej wrażenie. I to nie z medycznego punktu widzenia. Tors miał długi i szczupły, kończyny proporcjonalne. Jeszcze nie widziała nikogo tak pociągającego i musiała się bardzo starać, żeby zachować profesjonalny obiektywizm.

Zdjęła stary opatrunek i delikatnie dotknęła szwów.

- Bardzo boli?

- Tylko kiedy uciskasz. Zaczyna swędzieć.

- To znak, że się goi. Cud, zważywszy, że nie leżysz w łóżku.

- Kiedy wyjmiesz mi szwy?

- Za parę dni. Nigdzie nie idź, wypij kawę. Oczyszczę ci ranę, korzystając z rzadkiej okazji, że się nie ruszasz.

- Ale już bez zastrzyków! - zawołał za nią.

Wróciła z niezbędnymi akcesoriami i zobaczyła zaskoczona, że Wick nie zmienił pozycji.

- Lekarz kazał - wyjaśnił lakonicznie.

- Tak, ale nie wierzę, że posłuchałeś. Nie jest pan idealnym pacjentem, drogi panie.

- Dlaczego Toby i Corinne tak się tobą opiekują?



- Znają mnie od dzieciństwa.

- Podobnie jak pól Dalton. Ale nie widzę nikogo innego, kto by odpędzał od ciebie takich satyrów jak ja.

- Wątpię, żeby Toby Robbins wiedział, co to jest satyr.

- Ale ty wiesz, prawda?

- Nie jesteś satyrem.

- A Raymond Collier?

Prowokował ją, usiłował zmusić do mówienia. Nie była gotowa. Wątpliwe, żeby kiedykolwiek mogła z nim o tym porozmawiać. Od czego miała zacząć? Od dnia, kiedy dowiedziała się o zdradach ojca? Czy Wick zrozumiałby, jakim wstrząsem było dla niej odkrycie hipokryzji, w której żyła i którą głupio akceptowała?

A może od Raymonda? Od tego, jak za nią chodził. Jak wodził za nią spojrzeniem, nawet jeśli była przy tym jego żona. Jak jego cielece spojrzenie i spocone dłonie budziły w niej odrazę do chwili, kiedy się zorientowała, że dzięki niemu może ukarać ojca. Nie, o tym nie mogła rozmawiać z Wickiem.

- Proszę - powiedziała, założywszy nowy opatrunek. - Gotowe, i tym razem naprawdę ze mną współpracowałeś.

Zanim zdołała się odsunąć, wziął ją za obie ręce i przyciągnął do siebie tak, że musiała go objąć, stojąc za jego plecami.

- Co robisz?

- Kto był twoim idealnym pacjentem?

Roześmiała się lekko, co nie przyszło jej łatwo, gdyż piersi wtuliły się w jego plecy, dłonie dotknęły szorstkich włosów na jego piersi, a ciała zetknęły się ze sobą.

Wick przykrył rękami jej dłonie, uwięził je. Jego skóra wydawała się promieniować ciepłem i życiem. Pod lewą ręką czuła mocne uderzenia serca. Jak na kogoś, kto był przyzwyczajony do codziennego słuchania bicia serc, zareagowała przedziwnie. Jej serce także zaczęło mocno stukać w klatkę piersiową, wtuloną w mocne mięśnie jego grzbietu.

- Czy nie powinniśmy się pakować? Myślałam, że nam się spieszy?

- Twój idealny pacjent. Albo pacjentka. Opowiedz mi o nich, bo stąd nie wyjedziemy, a wiesz, że jestem uparty.

Dla podkreślenia swoich słów mocniej ściągnął ku sobie jej ręce, wymusił silniejszy uścisk.



Poddała się. Oparła czoło w płytkim zagłębieniu między jego łopatkami, ale było jej o wiele za wygodnie, zbyt miło, więc zaraz podniosła głowę.

- To była pacjentka. Miała trzydzieści cztery lata. Ofiara ataku na World Trade Center. Jedenastego września byłam w Filadelfii na konferencji. Przyjechałam prosto do Nowego Jorku. Ta pacjentka była jedną z nielicznych żywych, których wydobyto z gruzów, ale odniosła poważne i liczne obrażenia. Pracowałam nad obrażeniami wewnętrznymi. Amputowano jej nogę. Przez dwadzieścia cztery godziny nie wiedzieliśmy nawet, jak się nazywa. Nie miała żadnych dokumentów i nie odzyskała przytomności na tyle, żeby nam powiedzieć, kim jest. Ale podświadomie wiedziała, że ktoś jej pomaga. Za każdym razem, gdy brałam ją za rękę, by dać do zrozumienia, że jest bezpieczna, że ktoś się nią zajmuje, ścisnęła ją lekko. Wreszcie odzyskała przytomność i podała nam swoje nazwisko; znaleźliśmy je wśród danych tysięcy rodzin, szukających informacji o swoich bliskich. Była z Ohio, przyjechała w interesach. Jej mąż z trojgiem dzieci przybył do szpitala. W czasie tego spotkania spojrzała na mnie. Jej spojrzenie powiedziało mi tyle, że nie potrzebowałam już żadnych słów.

W pewnym momencie, opowiadając, Rennie oparła policzek o plecy Wicka. Głaskał jej dłonie, spoczywające na jego piersiach.

- Uratowałeś jej życie.

- Nie - powiedziała ochryple. - To było niemożliwe. Umarła dwa dni później. Wiedziała, że umiera. Powiedzieliśmy jej, że raczej nie przeżyje tak rozległych obrażeń. Dziękowała mi, że przedłużyłam jej życie na tyle, by mogła się spotkać z rodziną. Chciała się pożegnać z bliskimi. Fakt, że wytrzymała tak długo, był aktem heroicznej odwagi. Miłość do bliskich była silniejsza od bólu. Więc kiedy spytałeś o idealnego pacjenta, natychmiast pomyślałam o niej. Minęło parę minut, zanim odpowiedział.

- Jesteś niesamowita. Nic dziwnego, że Robbinsowie tak cię cenią.

Wyczuła, że znowu ją prowokuje. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Tobym i Corinne, więc pytał ją w tak zawołowany sposób. Czy byłoby coś złego, gdyby mu powiedziała? Pewnie i tak już wiedział. Możliwe, że nawet od Toby'ego. Tak długo rozmawiali przy koralu... Pewnie Wick chciał usłyszeć jej wersję.

Tym razem, kiedy jej czoło nie wiedzieć kiedy znalazło się między jego łopatkami, nie cofnęła głowy.

- Po Raymondzie Collierze rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem w Dallas. Na pierwsze Boże Narodzenie po moim wyjeździe wybrali się do Europy. Matka nie

chciała, przynajmniej tak mówiła, ale z T. Danem nie można było dyskutować. Ja miałam spędzić święta sama w szkole. To była kara. Toby i Corinne jakoś się o tym dowiedzieli. Przyjechali z dziećmi, różnymi rzeczami, prezentami i starali się mnie rozweselić. I od tego czasu dbają, żebym była szczęśliwa. Jeśli Toby bywa nad - opiekuńczy, to chyba dlatego, że ciągle widzi mnie jako dziewczynkę, którą zostawiono samą na Boże Narodzenie.

- Co się stało w gabinecie twojego ojca, Rennie? Podniosła głowę i wysunęła dłonie.

- Musimy się zbierać, jeśli mamy dojechać na Galveston. Odwrócił się i wziął ją za ramiona.

- Co się wtedy stało?

- Wesley będzie mówił, że spóźniliśmy się przeze mnie.

- Chciał cię zgwałcić? Próbował? Rozdrażniona, odtrąciła jego dłonie.

- Boże, nigdy się nie poddajesz?

- Tak czy nie?

- Mój ojciec tak powiedział policji, prawda?

- Tak. I z tego, co wiem o T. Danie Newtonie, kłamstwa to najmniejszy z jego grzechów. Okłamał policję i nawet powieka mu nie drgnęła. Więc dlaczego strzeliłaś do Raymonda Colliera?

- Co cię to obchodzi?

- Obchodzi, do cholery! Obchodzi, bo tak strasznie walczysz, żeby utrzymać w tajemnicy sprawę, którą wyciszył twój tatuś. I obchodzi, bo od dwóch dni mi stoi i nie mogę nic z tym zrobić. Bo zaraz mówisz, że ci się narzucam, a twój sąsiad Toby może mnie za to zabić.

Przyparł ją do ściany - dosłownie i w przenośni. A to ją doprowadziło do wściekłości.

- Raymond nigdy mnie do niczego nie zmuszał. Ani tamtego popołudnia, ani nigdy. Jeśli chcesz wierzyć w bajeczkę o usiłowaniu gwałtu, bo to mnie jakoś tłumaczy, proszę bardzo. Ale było inaczej. Raymond i T. Dan byli współnikami w transakcji sprzedaży ziemi. Miałam wtedy czternaście lat. Raymond zaczął u nas często bywać, spędzał z nami dużo czasu. Wiedziałam, że go pociągam. I bezlitośnie go drażniłam. Udawał czułego wujaszka i przy każdej okazji starał się mnie dotknąć. Zachęcałam go, a później się z tego śmiałam. Widziałam takie... takie jawne pożądanie. Bardzo mnie

śmieszko. - Zrobiła pauzę, by nabrać oddechu. - Nadal uważasz, że jestem niewiarygodna? Poczekaj. To nie wszystko.

- Rennie, przestań.

- O, nie, chciałeś wiedzieć. Chciałeś sobie ulżyć w erekcji. Oto coś, co ją zlikwiduje: dręczyłam tego biedaka przez dwa lata. Potem, jakoś tydzień przed tym strasznym dniem pokłóciłam się z ojcem. Nawet nie pamiętam, co zrobiłam, ale zabrał mi kluczyki od samochodu i uziemił mnie na miesiąc. Dlatego zemściłam się, idąc do łóżka z jego współnikiem. Tak, Wick. Zadzwoiłam do Raymonda z motelu i powiedziałam, że może mnie mieć, jeśli nadal chce, ale musi przyjechać natychmiast. I czekałam na niego.

Otarła łzy wstydu z rozpalonych policzków, ale nie mogła już przestać. Słowa płynęły jak strumień.

- Raymond przyjechał i poszłam z nim do łóżka. Tak jak z pozostałymi. Wszystko, co słyszałeś o Rennie Newton, to prawda. Pewnie nie wiesz nawet części tego, co by można opowiedzieć. Kiedyś, gdy nie będzie mnie ścigać morderca, spotkamy się, wypijemy butelkę wina i opowiem ci o moich seksualnych podbojach. To prawie jak historie o duchach - tylko lepsze. Ale tę historię strasznie chciałeś usłyszeć. I słusznie, bo to najgorszy z moich uczynków. Ojciec mnie ukarał, ale się odegrałam, prawda? Pokazałam mu, co potrafię.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Wesley uspokoił się trochę na wieść, że Rennie i Wick przetrwali bezpiecznie noc, a Lozada się nie pokazał. Jednak od czasu, gdy wyjechali z rancza, dzwonił do Wicka co pół godziny, choć wiedział, że powiadomią go niezwłocznie, gdy zauważą Lozadę.

Wick chciał jechać swoją furgonetką i uparł się prowadzić. Już sama podróż była dla niego wyczerpująca, a prowadzenie samochodu dodawało jeszcze napięcia, ale Rennie nie protestowała.

W ogóle starali się do siebie nie odzywać.

Napięcie po ostatniej rozmowie stało się tak wielkie, że jedno złe słowo mogło doprowadzić do wybuchu.

Rennie wyglądała bez zainteresowania przez okno. Telefon zadzwonił po raz sto pięćdziesiąty drugi.

- O Jezu, Oren, wrzuc na luz - mruknął Wick.

- Przekaż mu moje najserdeczniejsza pozdrowienia - odezwała się z posępnym uśmiechem.

- Tak?

Natychmiast wyczuła, że coś się stało. Odwróciła się i zobaczyła, że Wick zaciska dłoń na kierownicy, a usta zamieniają się w cienką, prostą kreskę.

Ale głos miał dziwnie uprzejmy.

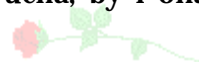
- Proszę, proszę. Ricky Roy. Dawno się nie widzieliśmy. Bo ostatnim razem raczej nie staliśmy twarzą w twarz?

Sama świadomość, że rozmówcą Wicka jest Lozada, obudziła w Rennie dreszcz. Ostatnie przerażające spotkanie nadal tkwiło wyraźnie w jej pamięci. Gdyby Lozada był brutalny czy wściekły, nie przestraszyłby jej aż tak.

Wick zjechał na pobocze.

- Bardzo mi przykro ci to powiedzieć, Ricky Roy, ale cios w plecy to znak rozpoznawczy tchórza. - Samochód stanął. - Ale jestem już zdrowy i wesoły. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o Sally Horton. Sally Horton, gnoju. Dobrze pamiętasz. To ta dziewczyna, którą zabiłeś tego samego wieczora, kiedy chciałeś zabić mnie.

Rennie usłyszała jedwabisty śmiech Lozady w telefonie. Rozpięła pasy, przysunęła się do Wicka i gestem poprosiła, żeby odsunął telefon od ucha, by i ona mogła słuchać.



- Chyba jedziesz na jakichś kręcących prochach, Threadgill - mówił Lozada. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Więc ci wyjaśnię. Jesteś tchórzem i mordercą kobiet. Lozada był zbyt inteligentny, żeby się nabrać. - Czytałem, że ledwie uszedłeś z życiem z jakiegoś napadu i że umarłbyś, gdyby nie zapewniono ci doskonałej opieki medycznej.

- Rennie Newton jest doskonałym chirurgiem.

- Jest też doskonała w łóżku.

Rennie drgnęła jak od ciosu. Spojrzała na Wicka, ale w szklach jego ciemnych okularów zobaczyła tylko własne odbicie.

- Jest teraz z tobą? - spytał Lozada.

- A zadzwoniłbyś do mnie, gdyby nie była?

- Dziwne, nie? Mamy wspólną kobietę. Choć - dodał gładko - wcale mnie nie dziwi, że obaj pociągamy Rennie. Kręci ją niebezpieczeństwo. Tak jak wtedy, kiedy zginął jej przyjaciel Howell. Opisała mi, w jaki sposób umarł i aż się zrobiła wilgotna.

Rennie chciała chwycić telefon, ale Wick złapał ją za nadgarstek i odciągnął rękę. Potrząsnął gwałtownie głową.

- A byliśmy w łóżku dopiero po raz drugi. Tamtej nocy była zupełnie szalona. Nawet ja nie mogłem jej dotrzymać kroku.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Wick znudzonym głosem. - Zawsze podejrzewałem, że twoje narzędzia zbrodni rekompensują ci niedostatek własnego narządu.

Lozada cmoknął karcąco.

- To był tani cios. Niegodny nawet ciebie.

- Masz rację. Powinienem od razu powiedzieć, że jesteś miękkim fiutem.

Lozada parsknął śmiechem.

- Ależ cię męczy, że miałem ją pierwszy, co? Na pewno się zastanawiasz, jak wypadasz na moim tle. Raz doprowadziłem ją do orgazmu samym lizaniem sutek. Potrafisz tak?

Rennie zakryła uszy, ale i tak usłyszała, jak Wick mówi:

- Wiesz, Ricky Roy, mam wrażenie, że zadzwoniłeś do mnie, żeby się podniecić świntuszeniem. O co ci właściwie chodzi?

Nie usłyszała odpowiedzi Lozady.

- To był błąd. Gdybyś z nią skończył, nie dzwoniłbyś do mnie. Jesteś zazdrosny i

nie możesz znieść, że teraz jest ze mną. Pocałuj mnie w dupę.

Wick się rozłączył, prawie rzucił telefon na deskę rozdzielczą i zaklął okropnie.

- On kłamie - odezwała się Rennie ochryłym głosem. Uruchomił silnik, obejrzał się i wjechał na autostradę.

- Wick, on kłamie. Nie odpowiedział.

- Manipuluje tobą, a ty mu pozwalasz.

Wtedy odwrócił się do niej i zza ciemnych okularów poczuła na sobie jego badawcze spojrzenie. Ale powiedział tylko:

- Zapnij pasy.

Choć Wick Threadgill tak niegrzecznie odłożył słuchawkę, Lozada rozłączył się z uśmiechem na ustach. Osiągnął to, co zamierzał. Większą przyjemność sprawiłoby mu tylko, gdyby usłyszał rozmowę między nimi. Będzie zachwycony, jeśli rzucone przez niego ziarno przyjmie się w umyśle Threadgilla.

Rennie prawdopodobnie słuchała ich rozmowy. Na pewno wszystkiemu zaprzeczyła, a Threadgill jej nie uwierzył. Zwłaszcza że wiedział to samo, jeśli nie więcej, co Lozada dowiedział się o młodej Rennie Newton.

W innym życiu mógłbym być policjantem, pomyślał filozoficznie.

Z całą pewnością miał instynkt detektywa. Wrodzone talenty obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, by wykorzystać je do własnych celów, ale byłby z niego równie dobry wywiadowca, jak Oren Wesley, Joe Threadgill czy jego braciszek Wick. I on, w przeciwieństwie do nich, nie krępował się nakazami sumienia czy prawa.

Na przykład, gdyby kelnerka z Dalton nie była tak chętna do współpracy, poszedłby za nią do domu i tak długo torturował, aż wyśpiewałaby wszystko.

Ale okazało się, że Crystal jest krynicą informacji. Początkowo się zdziwiła, że już drugi mężczyzna pyta o Rennie Newton w tak niewielkim odstępie czasu.

- Śmieszne, że pytasz akurat o nią.

Lozada grzebał widelcem w pływającej w tłuszczu enchiladzie.

- Jak to? - spytał nonszalancko.

- Niedawno był tu inny gość. To była chyba niedziela. Powiedział, że znali się ze szkoły. Słodziutki był. - Mrugnęła do niego. - Rennie jakoś go sobie darowała, tak samo jak ciebie, piękny nieznajomy.

- Dziękuję. Jak wyglądał tamten facet?

Opisała Wicka Threadgilla, od kudłatych jasnych włosów po znoszone

kowbojskie buty. Wobec tego wyjawiał jej, że obiekt jej marzeń jest gliniarzem.

- No, ale się wkurzyłam! - wykrzyknęła. - A uwierzyłam w każde jego słowo!

Powiedział jej, że Wick współpracuje z podrzędnym prawnikiem, zajmującym się sprawami błędów lekarskich.

- Jego jedyne zadanie to wyszukiwać brudy na oskarżonych lekarzy. - Crystal dała się nabrać dokładnie tak, jak w przypadku Threadgilla. - Nie obwiniaj się, Crystal. Potrafi być bardzo przekonujący.

- Cholera, fakt. Może to przez te jego niebieskie ślepie. - Jej spojrzenie nabrało czujności. - Ty też jesteś jakimś wywiadowcą?

Zaprezentował najlepszy ze swych uśmiechów.

- Jestem niezależnym dziennikarzem. Piszę artykuł o doktor Newton. O jej ochotniczej pracy w biednych krajach.

- No, wiesz, uważam, że ta praca wcale nie usprawiedliwia jej wyczynów - oświadczyła ze zgorzeniem. Potem przez pół godziny zabawiła go historyjkami o awanturnicy Rennie Newton. - Właściwie nie powinniśmy się dziwić, że zastrzeliła biednego starego Raymonda.

O, tak, wycieczka do Dalton okazała się bardzo opłacalna. Wrócił z niej z darmowym kawałkiem ciasta czekoladowego, upominkiem od knajpy.

Siusiek Sawyer odwalił za niego kawał roboty. Sztuczka ze skorpionem wydusiła z niego wszystkie możliwe informacje, na przykład nowe i pożyteczne fakty na temat Wicka Threadgilla, między innymi to, gdzie po raz ostatni płacił kartą kredytową. Przypadkowo było to miasto, w którym - jak można się było dowiedzieć z danych komputerowych - Rennie Newton urodziła się i wychowała.

Siusiek dowiedział się także, jaki podatek płaciła za ranczo w sąsiednim okręgu, ile miała koni i że brała udział w rodeach w swoim rodzinnym mieście. W czasie wolnym od rżnięcia się dla sportu, ma się rozumieć.

Teraz, przepełniony ciepłym poczuciem sukcesu po telefonie do byłego gliniarza, pokręcił głośność CD w swoim dżipie i nabrał powietrza w płuca. Już się nie mógł doczekać pierwszego powiewu morskiego powietrza.

Wick otworzył drzwi, które skrzypnęły na zardzewiałych zawiasach. Zaprosił Rennie do środka.

- Tylko nie spodziewaj się za wiele.

- Jest dobrze.



- Nie zarabiam tyle, co chirurg.
- Powiedziałam, że jest dobrze.
- Kuchnia jest tam. Sypialnia i łazienka tutaj. Czuj się jak u siebie.
- Chciałabym wziąć prysznic.
- Nie obiecuję, że będzie gorąca woda. Czyste ręczniki - jeśli jakieś są - znajdziesz

w szafce nad komodą.

Bez dalszych komentarzy weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

- Pokorne dzięki, Najjaśniejsza Pani, sam wniosę walizki - wymamrotał.

Wrócił do furgonetki, powtarzając w myślach, że ma się zachowywać naturalnie i nie szukać wzrokiem pilnujących ich policjantów. Wyciągnął dwie torby ze skrzyni, krzywiąc się, bo plecy przeszył ostry ból.

Rennie dwa razy proponowała, że będzie prowadzić. Po raz pierwszy odmówił i podziękował uprzejmie. Po raz drugi warknął. Ten drugi raz wydarzył się po telefonie Lozady, gdy pełne napięcia milczenie zmieniło się we wrogą koegzystencję. Ostatnie trzy godziny podróży ciągnęły się w nieskończoność. Napięcie zlokalizowało jego słaby punkt i zaatakowało go. Za każdym razem, kiedy czuł choćby skurcz, przeklinał Lozadę.

Bez żadnego poszanowania dla prywatności swego gościa otworzył drzwi sypialni i wszedł do środka. Z łazienki dobiegało łomotanie w rurach. Naga, namydlona Rennie była z pewnością najładniejszym elementem jego żalostnego prysznic, ale Wick postanowił wyświadczyć sobie przysługę i nie myśleć o Rennie - nagiej, namydlonej ani żadnej.

Rzucił walizki na łóżko, podszedł do komody i otworzył dolną szufladę. Pod kłębowiskiem najstarszych i najwygodniejszych szortów zlokalizował mikrofon i nadajnik, położone tu specjalnie dla niego. Wesley powiedział, gdzie je znajdzie. Dzięki nim będzie w stałym kontakcie z ekipą obserwacyjną.

Włożył słuchawkę do ucha i przemówił do mikroskopijnego mikrofonu:

- Jesteśmy.
- Dziesięć - cztery. Widzimy was.
- Kto mówi?
- Peterson. Kieruję operacją. - Threadgill.
- Miło mi.
- Gdzie jesteście?
- Lepiej, żebyś nie wiedział - powiedział Peterson. - Nie chcę, żeby cię skusiło

popatrzeć i zdradzić nas.

- Hej, Wick, jak podróż?

- Długa. Kto tam? - Plum.

- Cześć, Plum. Nie wiedziałem, że Oren wyśle swoich chłopaków.

- Połączone siły Fort Worth i Galveston. Lozada jest tu podejrzany o morderstwo.

Jakiś wielki boss z organizacji gangsterskiej. Usiłował tu zalegalizować hazard. Ktoś powiedział, że Lozadę wynajęło kółko różańcowe.

- Ja bym raczej .stawiał na innego wielkiego bossa z rywalizującej organizacji.

- Ja też - powiedział Plum. - Żadnego kółka różańcowego nie stać na Lozadę. W każdym razie to sprawa nierozwiązana, więc chętnie nam pomogli.

- Cieszę się, Plum. Dzięki Bogu, że jesteś ty, a nie Thigpack.

- Pocałuj mnie w dupę, Threadgill.

- O, Jezu - jęknął Wick. - No nie.

- A skoro już jesteśmy przy tym, pocałuj też słodką pupcię pani doktor.

- Ja się zgłaszam na ochotnika - odezwał się jakiś głos. - Zwierzęta - mruknął w oddali głos kobiety, prawdopodobnie policjantki.

- Hej, Threadgill, zostaw mikrofon włączony - odezwał się Thigpack. - Chcemy wszystko słyszeć.

- Dobrze, wystarczy - przerwał ostro Peterson. - Wszyscy się zamknijcie, chyba że będziecie mieli coś do zaraportowania.

- Trzymajcie się, chłopcy i dziewczynki. Dobrej zabawy - zakpił Wick.

- Ugryź się - dobiegł go szept Thigpacka.

Zostawił słuchawkę w uchu, żeby słyszeć ostrzeżenie, ale mikrofon wyłączył.

Rennie wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem. Na jego widok zatrzymała się jak wryta.

- Zapomniałam, że moja walizka jest w... - Skinął w stronę łóżka. - O. Dziękuję.

Mógł jej zanieść walizkę. Nie zrobił tego. Mógł wyjść z pokoju. Tego też nie zrobił.

Począł, aż Rennie przejdzie przez pokój, weźmie walizkę i wejdzie z nią do łazienki. Jak na kobietę mokrą od stóp do głów i odzianą jedynie w jego skąpy ręcznik, poruszała się z zadziwiającą godnością.

Widok z tyłu był równie dobry jak z przodu i bardzo mu się spodobał, choć nasunął też niepokojące przypuszczenie, że tak wygląda początek transformacji w nieco szczuplejszą i czystsza wersję Świniaka.

Rennie dołączyła do Wicka w kuchni.



- Czy tu coś zdechło? Obejrzał się przez ramię.
- Otwarte opakowanie sosu bolońskiego. Znalazłem je w dolnej szufladzie lodówki. Katastrofa ekologiczna. Chcesz zjeść w domu czy w mieście, kochanie?
- Wszystko jedno.
- Nie, ty zdecyduj, skarbie.
- Dobrze, skoro chcesz, wolę zjeść w domu. Nie będę się musiała ładnie ubierać.
- Może być stek? - Z polędwicy.
- Oczywiście - powiedział i dopisał polędwicę do czegoś w rodzaju listy sprawunków. - Dla ciebie wszystko, co najlepsze.
- I tak będzie ciągle? Zdziwił się niewinnie. - Czyli jak?
- Sarkazm. Szyderstwo. Bo jeśli tak, to wyjeżdżam. Możecie razem iść do diabła, ty, Wesley i Lozada. Nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. Lozada pewnie się nawet nie pokaże.

Wick odwrócił się i spojrzał przez zmatowiałe od soli okno.

- Mylisz się, Rennie. Pokaże się. Nie wiem jak ani kiedy, ale się pokaże. Możesz na to liczyć.

Mroczne przekonanie w jego głosie sprawiło, że zatęskniła za sarkazmem.

To poważne przypomnienie, dlaczego się tu znaleźli, zatarło przynajmniej dziwną atmosferę, jaka nie opuszczała ich od czasu telefonu Lozady. Wick nalegał, żeby Rennie poszła z nim do supermarketu. Idąc z nią do furgonetki, wyjaśnił:

- Kochankowie na wakacyjnym wypadzie zawsze wszystko robią razem.

Była zadowolona, że nalegał. Jego dom był w strasznym stanie; wołała nie zostawać w nim sama, spodziewając się w każdej chwili przybycia Lozady i wiedząc, że jest pod stałą obserwacją policji.

Nawet siedząc obok Wicka, czuła się niepewnie. Gdy zatrzymali się na światłach, powiedziała:

- Nie zauważyłam, żeby ktoś nas śledził. - Są tutaj.
- Słyszają nas?
- Nie, dopóki nie włączę mikrofonu.

Wyjaśnił, że ma w uchu niewielką słuchawkę z przezroczystego plastiku.

- Coś mówią?
- Niebieska furgonetka o dwa samochody z tyłu właśnie przekazała nas szaremu taurusowi, który sygnalizuje skręt w lewo.



Opanowała ciekawość i zamiast spojrzeć, pochyliła się do radia, nastawiając stację.

- Bardzo dobrze, Rennie.

- Staram się.

Wyprostowała się i uśmiechnęła do niego. Zaskoczył ją, gładząc jej policzek wierzchem palców.

- A to po co?

- Dla picu. Na wypadek, gdyby przyglądali się nam nie tylko policjanci.

Była to niepokojąca możliwość, więc Rennie nie zaprotestowała, gdy Wick objął jej ramiona i przytulił, idąc przez parking do sklepu, gdzie odegrał rolę czulego i troskliwego kochanka. Ciągłe się do niej uśmiechał, żartobliwie trącał w ramię i pytał o opinię w sprawie każdej rzeczy, jaką wkładał do koszyka. Nawet spróbował ją zabawić, żonglując trzema pomarańczami.

Podzielili się różkiem jogurtowych lodów, a kiedy stanęli w kolejce do kasy, Wick trzymał w jednej ręce magazyn sportowy, drugą zaś masował jej kark z wprawą kogoś, kto robi to codziennie. Gdyby przyglądała się temu z boku, byłaby przekonana, że są parą zakochanych, czujących się swobodnie w swoim towarzystwie.

Słońce zaczęło już zachodzić, gdy wrócili do domu.

- Rozpalę grill. Potem pójdziemy się wykąpać.

- Nie pomyślałam, żeby spakować kostium.

- Więc będziesz musiała się wykąpać na golasa.

Rzuciła mu spojrzenie pełne niesmaku i ruszyła do sypialni.

- Mam jakieś spodenki. Wystarczą.

Kiedy wyszła parę minut później, Wick zamienił dzinsy na obszerne szorty ściągane na sznurek. Zwisły nisko na biodrach i sprawiały, że pierś wydawała się jeszcze szersza, a brzuch bardziej wklęsły. Zrobiła wszystko, żeby nie patrzeć na jego opalone, umięśnione łydki.

Za to on spojrzał na nią tylko raz i powiedział cicho, lecz z mocą:

- Cholera.

Twarz zaczęła ją palić. Przebrała się w czarny top na cienkich ramiączkach i szorty ze spłowiałego dzinsu. W tym stroju - a może z powodu reakcji Wicka - czuła się bardziej nieswojo niż ubrana tylko w ręcznik.

- Chodźmy. - Odwrócił się i ruszył przed siebie.



- A to? - Wskazała sprzęt łącznościowy, który porzucił na stoliku razem z pistoletem.

- Psiakrew. Prawie zapomniałem.

Musiał znowu włożyć koszulę, żeby przypiąć mikrofon do kołnierza i ukryć cienki przewód słuchawki. Pistolet zatknął za pasek spodni i przykrył koszulą.

Poszli plażą, trzymając się za ręce. Zapadał zmierzch. Na plaży było ledwie parę osób.

- Boisz się rekinów? - spytał.

- W takiej płytkiej wodzie?

- W takiej najczęściej atakują.

- A może ma się większą szansę, że trafi cię piorun?

- Albo zastrzeli Lozada.

Szarpnęła go za rękę, zatrzymała. Poczekała, aż spojrzy na nią.

- On kłamał, Wick. To, co powiedział, to nieprawda. - Ćśś. - Najwyraźniej ktoś mówił do niego w słuchawce.

Przytulił ją do siebie, wtulił twarz w jej szyję. - Na siódmej jest jakiś mężczyzna, ale się nie oglądaj. Udawaj. Jeśli się coś stanie, jeśli zacznie się coś dziać, masz skakać do wody. Rozumiesz?

Skinęła głową.

Odchylił się do tyłu, ale ręce dalej trzymał luźno na jej talii. Fale obmywały im nogi. Ich ciała chwiały się w jednym rytmie. Dla zachowania równowagi stanął w rozkroku, jej stopy znalazły się między jego nogami. Pocałował ją w policzek tuż nad uchem. Dłonie przesunął na biodra. Kolejna fala uderzyła ich tuż pod kolanami. Rennie odruchowo przytrzymała się go, żeby nie stracić równowagi. Czuła napięcie jego ramion. Dobrze odgrywał swoją rolę, ale był gotowy do działania.

Wreszcie powiedział:

- To nie on.

Alarm okazał się fałszywy, ale nie zmienili pozycji, ona z rękami na jego ramionach, on obejmujący jej pośladki. Pod stopami czuli poruszający się piasek. Rennie miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg, a jedynym stałym elementem wszechświata jest błękitne spojrzenie Wicka.

- On kłamał, Wick.

- Wiem.



- Wiesz?

- Przez parę minut...

- Wierzyłeś mu.

- Nie całkiem. No, może dałem się nabrać na jakieś pół sekundy. Pewnie odgadł, że słuchasz, i powiedział to, żeby cię zawstydzić. Ale nawet, gdybyś nie słuchała, wiedział, że mnie wkurzy. I wkurzył. Zachowałem się jak idiota. Uświadomiłem to sobie jakieś dziewięćdziesiąt sekund później, ale byłem...

- Zbyt wściekły, żeby to przyznać.

- Czy uda mi się skończyć jakieś zdanie?

- Przepraszam. Co chciałeś powiedzieć?

- Chciałem powiedzieć, że mówił o tobie w taki sposób, że zapragnąłem go zabić.

I...

- Co?

- Że zamierzam cię teraz pocałować, i to tak, żeby wyglądało prawdziwie.

Pochylił się i odnalazł jej usta. Jego język bez trudu rozchylił jej wargi i wsunął się między nie. Wyglądało to jak rytuał godowy, odwieczny, prymitywny. Fala uderzyła w nich zniecka od tyłu i rzuciła Rennie w jego ramiona. Ich ciała się zderzyły. I tak już zostały.

- Oż... - jęknął. Mocniej zacisnął palce na jej biodrach, przyciągnął ją do siebie.

Eksplodowała w niej fala ciepła. Tak porywająca, że Rennie się cofnęła.

- Wick, nie mogę... - Słowa utknęły jej w gardle. - Nie mogę zachować równowagi.

Wypuścił ją z objęć.

- I tak na razie wystarczy.

Ale kiedy szli do domu, twarz miał zaciętą, ruchy gwałtowne i ani przez sekundę nie uwierzyła, że to, co było między nimi, naprawdę mu wystarczyło.

SKANY ANULA 43



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Byli niewiarygodnie widoczni.

Czyżby te niewydarzone tajniaki naprawdę myślały, że ich nie zauważy? Równie dobrze mogliby chodzić z transparentami. Gruba baba i jej kudłaty towarzysz, machający nad piaskiem wykrywaczami metalu. Litości. I ten tłusty wędkarz na pomoście. Miał zbyt nowy kapelusz i nie potrafił łowić. Trzej faceci i dziewczyna, którzy zorganizowali sobie piknik przy samochodzie, za bardzo się starali dobrze bawić. Innych było równie łatwo rozpoznać.

Lozada obserwował ich, siedząc w furgonetce agentki handlu nieruchomościami. Miała pod pięćdziesiątkę, była przyjacielsko nastawiona i bardzo się starała przypodobać. Zauważył plakat, reklamujący jej agencję jako najbardziej popularną na wyspie Galveston. Zadzwoił do niej z samochodu.

Dzięki informacjom Siuska Sawyera znał adres Wicka. Wspomniał agentce, że chciałby kupić działkę, na której zbudowałby dom dla żony i czworga dzieci. Umówił się na spotkanie późnym wieczorem. Spotkali się w jej biurze. Zawiozła go na miejsce firmową furgonetką. Logo na jej boku było dobrze znane na całej wyspie; widywało się je na tysiącach reklam. Policja już go nie zauważała.

A teraz, podczas gdy ona trajkotała w kółko o doskonałej inwestycji, jaką jest posiadłość na plaży, Lozada wyławiał tajniaków. Zdyskredytował ich jako beznadziejnych amatorów i skupił uwagę na Rennie i Wicku. Spacerowali brzegiem morza. Trzymali się za ręce. Jakie to słodkie. Jakie romantyczne. Wszystko po to, żeby go wywabić z kryjówki i rzucić mu w twarz jakieś wydumane oskarżenie.

Ale jedno go wkurzało: to, że ten romans nie był tylko policyjną operacją, jak początkowo sądził. To się działo naprawdę i było dla niego afrontem. Krew uderzała mu do głowy na widok łap Wicka na jej ciele. Nawet z daleka widział, że ich pocałunek nie jest udawany. A to tylko potwierdzało, że Rennie jest dziwką.

Była dziwką od wczesnej młodości. Rozkładała nogi przed każdym zgniłkiem z tej prowincjonalnej dziury, w której dorastała - tak, jak teraz rozkłada je przed Wickiem Threadgillem, zaledwie parę dni po tym, jak on, Lozada, wyznał jej swoje uczucia. Teraz bardzo tego żałował. Dlaczego wcześniej nie dostrzegł, że to zdzira, która nie zasługuje na niego ani jego uczucia?

Oszukała go. Podczas procesu zauważyła, że jest nią zainteresowany i zaczęła go

zwodzić. Udawała chłodną i obojętną, by go rozdrażnić i zainteresować.

Teraz już jej nie chciał. Udowodniła, że nie jest go warta.

Owszem, nadal chciał ją przelecieć. A kiedy do tego dojdzie, dopilnuje, żeby bolało. Zanim z nią skończy, dziwka zrozumie, że nikt nie może bezkarnie drwić z Lozady. Może powinien zmusić Threadgilla, żeby na to patrzył. O, tak. Threadgill drogo zapłaci, że zawłaszczył sobie łup Lozady.

- Czy pan mnie słyszy?

- Tak?

- Spytałam, czy ma pan przygotowany plan spłat.

Prawie zapomniał, że nie jest sam. Odwrócił się do agentki i zastanowił się poważnie, czy nie skrócić jej karku. Szybko i bezboleśnie. Spuściłby trochę napięcia. Ale nigdy nie dopuszczał, by spontaniczność przeważała nad rozsądkiem. Był zbyt zdyscyplinowany. Więc odpowiedział, wczuwając się w rolę łagodnego pana Smitha.

- Z tym nie będzie problemu.

- Doskonale. - I natychmiast przeszła do następnego etapu reklamowej przemowy.

Wkrótce będzie musiał zakończyć to spotkanie. Z bezpiecznej kryjówki w furgonetce zobaczył wszystko, co mógł. Zmierzch zmienił się w kompletne ciemności, jego ulubione. Nie mógł się już doczekać pracowitej nocy, jaką miał przed sobą.

- Smakuje ci polędwica?

- Bardzo.

- Cieszę się, - Wick oparł przeguby na skraju stołu i obrócił w dłoniach szklanę. -

Ten merlot to był dobry wybór.

- O, tak.

- Nie mogę tego samego powiedzieć o kieliszku. - W zbieraniu szklanych naczyń w jego kuchni nie było kieliszków do wina, więc pili ze szklanek.

- Mnie to nie przeszkadza.

Poruszył rubinowym płynem w szklance.

- Wiesz, co myślę?

- Co?

- Gdyby to była randka w ciemno, tobym się zapłakał. Uśmiechnęła się niewesoło.

- Trudno sobie gawędzić, kiedy wszyscy się na ciebie gapią. Czuję się jak na celowniku.



Siedzieli na werandzie, na której usmażyli na grillu steki i kartofle. Popijali wino, milczeli i słuchali szumu fal.

Huśtawka skrzypiała za każdym razem, gdy Rennie odpychała się od podłogi bosymi stopami. W tych szortach jej nogi wyglądały, jakby mierzyły co najmniej kilometr. Na udach miała małe kropki słonej wody. Wick często na nie zerkał.

Do werandy zbliżył się jakiś szczeniak, bez wątpienia zwabiony aromatem piekącego się mięsa. Rennie pochyliła się nad nim, podrapała go za uszami i roześmiała się jak dziecko, kiedy chciał ją polizać po twarzy. Bawiła się z nim, dopóki jego pan nie zagwizdał ostro. Szczeniak posłusznie pobiegł do niego, ale zatrzymał się i tęsknie na nią spojrział, jakby nie chciał jej zostawiać. Potem zniknął w ciemnościach.

Co pięć minut tajniacy zgłaszali się do Petersona, jeden po drugim. Wick słyszał ich w słuchawce. Jeśli Lozada przybył na Galveston, pozostawał niewidoczny. Nie zameldował się w żadnym hotelu, motelu czy pensjonacie. Wick wcale mu się nie dziwił.

Peterson poinformował go o sygnałach.

- Jeśli wszystko będzie w porządku, podrap się po nosie. Włożyć prawą rękę do kieszeni. Przeciągnąć się. i tak dalej.

Ale w końcu wyłączył słuchawkę. Jeśli pojawi się taka konieczność, zareaguje jak należy, ale na razie myślał tylko o stekach z polędwicy i Rennie, na którą tak lubił patrzeć.

Gdy steki były gotowe, wnieśli jedzenie do środka. Raz, przypadkiem, jej naga stopa dotknęła pod stołem jego łydki. Rennie nie przeprosiła, co było już jakimś postępem. Ale i nie zwróciła na to uwagi. Udała, że nic się nie stało.

W szufladzie znalazła pożółkłą świeczkę. Postawiła ją na spodku pośrodku stołu, żeby stworzyć romantyczną atmosferę i ukryć brzydotę kuchni. Ale blask świeczki wyeksponował jedynie urodę Rennie. Gdy rozpuszczała włosy, tak jak teraz, miała zwyczaj przeczesywać je palcami. Nie zdawała sobie sprawy, że to robi, a on lubił patrzeć, jak jej włosy przesiewają się między palcami i opadają na plecy. Płynne światło księżycy, pomyślał i zdziwił się, od kiedy to stał się poetą.

W blasku świecy trójkątny cień u podstawy jej gardła i pomiędzy piersiami stawał się głębszy. Przez cały wieczór Wick usiłował nie zwracać uwagi na jej kształty, wyeksponowane przez czarny obcisły top, ale pewne rzeczy wykraczają poza ludzkie możliwości, a była właśnie jedną z nich.

Jedzenie było smaczne i sycące. Wick zaspokoił głód - ale gnębił go jeszcze inny,

odmienny. Powinien wiedzieć, że nie wolno mu jej całować. To było zbędne. Romantyczny spacer nad morzem w blasku zachodzącego słońca byłby równie nastrojowy bez tego pocałunku. Osiągnął nim tylko tyle, że pragnął jej aż do bólu.

Rennie osuszyła szklankę i spojrzała na niego.

- Gapisz się na mnie.

- Chcę się napatrzeć.

- Słucham?

- Napatrzeć - powtórzył. - Bo kiedy to się skończy, jakkolwiek się skończy, wrócisz do swojego życia, a mnie w nim nie będzie. Prawda, Rennie?

Powoli pokiwała głową.

- Dlatego się gapię.

Wstała, zabrała swój talerz i ruszyła z nim do zlewu. Wick chwycił ją za ramię.

- Spokojnie. Może szczęście ci dopisze. Może Lozada mnie zabije.

Wyszarpnęła ramię, zaniósła talerze do zlewu i postawiła je z łupnięciem. - To było straszne.

- Obchodzi cię?

- Oczywiście, że obchodzi!

- A, prawda. Zajmujesz się ratowaniem życia, tak? To dość dziwne... bo igrasz ze śmiercią.

Roześmiała się nerwowo.

- Jak to igram?

- Przez cały czas. Jesteś nierozważna. Niepotrzebnie ryzykujesz.

- Co ty wygadujesz, do cholery?

- W obu twoich domach nie ma systemu alarmowego. Bardzo głupio, jeśli jest się samotną kobietą. Jeździsz na oklep, skaczesz przez płoty. To niebezpieczne, choćbyś była nie wiadomo jak doskonałym jeźdźcem. Jeździsz do krajów, w których każdy dzień jest świętem dla kostuchy. Flirtujesz ze śmiercią, Rennie.

- Za dużo wypięś. Wstał i podszedł do niej.

- Ty nie żyjesz, Rennie, ty rzucasz życiu wyzwanie.

- Albo się upięś, albo zwariowałeś.

- Nie, jestem całkiem trzeźwy i normalny. W dodatku mam rację. Samowystarczalna Rennie - to ty. Żadnych przyjaciół, żadnych rozrywek. Żadnego życia towarzyskiego - Nic, tylko te cholerne niewidzialne mury, które wznosisz za każdym

razem, kiedy ktoś się zanadto zbliży. Nawet pacjentów trzymasz na dystans. Czy to nie dlatego wybrałaś chirurgię, a nie inną specjalizację? Bo twoi pacjenci są pod narkozą? Możesz ich leczyć, operować i nie angażować się emocjonalnie pod żadnym względem.

W słuchawce rozległ się głos Petersona.

- Hej, Threadgill, wszystko tam w porządku?

- Nie może przeżyć, że mu nie dała - odezwał się Thigpack. - Chciałabym wiedzieć, co on do niej mówi - powiedziała policjantka. - Nie podoba mi się jego wygląd. Wick nie zwrócił na nich uwagi.

- Konie obsypujesz dowodami uczucia. Nad szczeniakiem cała się rozpląwasz. Płaczesz nad dzikim drapieźnikiem, którego musiałaś zastrzelić. Ale kiedy przypadkiem dotkniesz innej istoty ludzkiej, albo sztywniejesz, albo uciekasz.

- To nieprawda.

- O, czyżby? - Nieprawda! - To mi udowodnij.

Pochylił się nad stołem i zdmuchnął świeczkę. Kuchnia zatoneła w ciemnościach. Wyszarpnął z ucha słuchawkę i - objąwszy ją w pół przyciągnął do siebie.

- Wick, nie.

- Udowodnij, że się mylę.

Jego wargi znalazły się tuż nad jej ustami. Dawał jej możliwość ponownego protestu. Nie zaprotestowała, więc ją pocałował. Opanował gniew, delikatnie rozchylił jej wargi, wsunął w nie język. Kiedy się dotknęli, pocałunek stał się głębszy. Wick naparł na jej ciało.

Odchyliła głowę.

- Wick...

Obsypał pocałunkami jej szyję, lekko skubiąc skórę zębami.

Położyła mu ręce na ramionach i wpiła w nie palce.

- Proszę...

- Mógłbym powiedzieć to samo.

Pochylił się i pocałował wypukłość jej piersi tuż nad dekoltem.

- Nie! - Odepchnęła go mocno.

Wyprostował się, cofnął o krok. W ciemnościach słychać było ich przyspieszone oddechy. Wick słyszał przekleństwa Petersona w słuchawce zwisającej mu na piersi.

Usiłował opanować gniew, ale podniecenie przełamało ostatnie granice.

- Nie rozumiem - rzucił.



- Czego?

- Dlaczego ciągle odmawiasz.

- Mam takie prawo. Jęknął.

- Ale to takie cholernie miłe. Czemu ci się nie podoba?

- Podoba mi się.

Wydawało mu się, że nie dosłyszał. Włączył światło. - Co?

Zamrugła powiekami, oślepią nagłym blaskiem. Spojrzała mu w oczy.

- Nie powiedziałam, że mi się nie podoba.

Gapił się na nią w takim otępieniu, że nawet nie usłyszał dzwonka telefonu.

- To twój? - spytała Rennie. Sięgnął do paska i pokręcił głową.

- Chyba twój.

Poszła po torebkę. Wick włożył słuchawkę w ucho; zdążył się jeszcze załapać na końcówkę straszliwych przekleństw. Włączył mikrofon.

- Wyluzuj, Peterson, nic się nie dzieje.

- Co to było, Threadgill?

- Nic. Mały problem z elektrycznością. Usiłowaliśmy naprawić. Chyba korki.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Teraz pozmywam, a Rennie rozmawia przez... Przerwał, bo odwrócił się i zobaczył wyraz jej twarzy.

- Chwileczkę, panowie, ktoś właśnie do niej zadzwonił.

Rennie trzymała małą komórkę obiema rękami. Słuchała jeszcze jakieś piętnaście sekund, po czym powoli odjęła ją od ucha i zakończyła połączenie.

- Lozada? - spytał. Skinęła głową. - A to sukin... co powiedział?

- Że tu jest.

- Tak ci powiedział?

Podniosła rękę do gardła w nieświadomym obronnym geście.

- Nie musiał. Dał mi do zrozumienia, że nas widział.

- Słyszycie to? - spytał Wick do mikrofonu. Usłyszawszy potwierdzenie, skinął na Rennie, żeby mówiła dalej.

- Powiedział, że częściej powinnam się ubierać na czarno. Że do twarzy mi w czerni. Spytał, czy potrafisz przyrządzić przyzwoity stek.

- Jest aż tak blisko?

- Najwyraźniej.



- Co jeszcze?

Spojrzała na niego nieruchomo, prosząco. Powoli podniósł rękę i wyłączył mikrofon. Później drogo za to zapłaci, ale teraz bardziej interesowało go dobro Rennie niż to, czy policja Galveston się na niego obrazi.

- Strasznie wrzeszcza, ale nas nie słyszą. Mów. Powiedz, co powiedział.

- Powiedział... straszne rzeczy. O tobie i mnie. O nas. Razem.

- Takie jak za poprzednim razem?

- Gorsze. Powiedział, że zanim... zanim... - Objęła się ramionami, skuliła. - Ogólnie rzecz biorąc powiedział, że zanim się za bardzo w tobie rozkocham, powinnam cię spytać, w jaki sposób spieprzyłeś dochodzenie w sprawie śmierci twojego brata.

- Była zbyt zażenowana, żeby mi to powtórzyć słowo w słowo. Podejrzewam, że był skrajnie wulgarny.

Oren był tak zmęczony, że bolały go oczy. Pomasował powieki, słuchając raportu Wicka.

- Wspomniał o dochodzeniu w sprawie Joego i jak je spieprzyłem, po prostu tak jak poprzednio, kiedy zapewniał, że był kochankiem Rennie, usiłuje nas poróżnić.

- I udało mu się?

- Nie tak, jak zamierzał, ale oboje jesteśmy trochę zmarnowani. Ona teraz bierze prysznic. Drugi odkąd tu przyjechaliśmy. Lubi czystość, to jej muszę przyznać.

- Bardziej mnie interesuje Lozada niż higiena doktor Newton. Nikt go nie zauważył?

- Ani widu, ani słyhu.

- To jak mógł się do was zbliżyć na tyle, by zobaczyć steki? Pewnie ma lornetkę.

- Albo zakopał się po oczy w piasku przed frontowymi drzwiami. Z Lozada wszystko jest możliwe. Nie da się go złapać, postępując zgodnie z procedurą. Peterson jest kompetentny, ale...

- Ale z nim nie współpracujesz.

- On tak powiedział?

- To cię obraża?

- Nie lubię skarżypytów.

- To nie dawaj powodów do skarg. Powiedział, że prawie nie włączasz mikrofonu, a słuchawkę nosisz, jak ci się spodoba.

- Czyli dość często.



- Żartujesz? Ci ludzie narażają życie - zdenerwował się Oren. - Pamiętaj, że skoro Lozada jest tak blisko, pewnie ich już namierzył.

Wick westchnął ciężko.

- Wiem. Myślałem o tym. I nie żartuję, naprawdę. Doceniam to, co robią.

- Nie zawadziłoby im o tym powiedzieć. - Zapamiętam.

- Możliwe, że Lozada ich zauważył i tylko dlatego jeszcze niczego nie zrobił.

- O tym także myślałem.

- Zastanawia mnie jedno.

- Tylko jedno?

- Po co dzwoni? To nie w jego stylu. To prawie nieostrożność. Nigdy dotąd nie ostrzegął ofiary. Wick zastanawiał się przez chwilę.

- Tym razem nie robi tego dla pieniędzy. To nie zlecenie, to sprawa prywatna.

Grace zajrzała do pokoju. Skinął na nią. Usiadła obok niego na sofie i położyła mu głowę na ramieniu. Podniósł jej rękę do ust i pocałował. Za każdym razem serce mu pękało na myśl, co mógłby jej zrobić Lozada, gdyby tylko zechciał.

Do Wicka powiedział:

- No, przynajmniej wiemy, że jest na Galveston. Wysialiśmy już list gończy.

- Mam nadzieję, że z ostrzeżeniem o zachowaniu ostrożności. Za co go aresztujecie?

- Ponieważ zadzwonił dzisiaj i rozmowa była obsceniczna, oboje możecie poświadczyć, że prześladowuje doktor Newton. Jeśli go znajdziemy, przygwoździmy go tym.

- To żadne oskarżenie, Oren.

- Ale tylko tym dysponujemy.

- No dobrze, idę teraz dopieścić Petersona - westchnął Wick. - Bez odbioru.

Oren odłożył słuchawkę i powiadomił Grace o najnowszych wydarzeniach.

- Jak znosi to doktor Newton?

- Mówi, że jest w porządku. Lubi czystość.

- A on lubi ją.

- Lubi jej ciało.

- Chyba tym razem chodzi o coś więcej. Coś mi się zdaje, że wpadł.

Oren parsknął pogardliwie.

- Też mi nowina. Wick zakochuje się w każdej kobiecie, którą bierze do łóżka. Jego

miłość zaczyna się erekcją i kończy orgazmem.

- I dlatego jest taki wyjątkowy? - spytała ze śmiechem. - To samo dotyczy większości mężczyzn.

- Nie mnie.

- Ty nie jesteś taki jak wszyscy. Znowu pocałował jej dłoń.

- Tęsknię za dziewczynkami.

- Ja też. Rozmawiałam z nimi dziś po południu. Świetnie się bawią. Mama dba o ich rozrywkę, ale tęsknię za koleżankami i już pytają, kiedy wrócą do domu.

- Nieprędko. Jeśli Lozada kiedykolwiek...

- Wiem - przerwała i pogładziła go po piersi. - I zgadzam się z tobą. Wyjaśniłam im to.

- Zrozumiały?

- Może nie całkiem, ale rozumieją, kiedy same będą miały dzieci. A teraz chodź do łóżka.

- Nie mogę. Muszę wracać do biura. Wstała i pociągnęła go za rękę.

- Łóżko służy nie tylko do spania, wiesz?

- Wybacz, kotku. Jestem zbyt śpiący, żeby ci się na coś przydać.

Pochyliła się i pocałowała go przeciągle.

- Zostaw to mnie.

- Ta policjantka jest w kuchni.

- Porozmawialiśmy sobie od serca. Nie będą nam przeszkadzać, chyba że się wydarzy coś wyjątkowego.

Zawahał się, ale spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi.

- Obiecałem, że wrócę za pół godziny. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Mmmm... Uwielbiam wyzwania.

Czterdzieści pięć minut później zasiadł za swoim biurkiem w kwaterze głównej i, choć nawet nie zmrużył oka, po trzydziestu minutach w łóżku z Grace czuł się pełen nowych sił. Kochał tę kobietę.

Wiedział, nawet nie pytając, że z Galveston nie było nowych wieści. Gdyby były, powiadomiono by go. Ale i tak zapytał.

- Nic - zaraportował dyżurny wywiadowca. - Ale czeka na pana jakiś gościu.

- Jaki znowu gościu? - A ten.

Zaniedbane zgarbione stworzenie w okularach siedziało w kącie i szarpało

zębami zadziorek przy palcu wskazującym z taką zawziętością, jakby to miał być jego ostatni posiłek w życiu.

- Czego chce? - spytał Oren.

- Nie powiedział.

- Czemu do mnie?

- Też nie powiedział. Chciał rozmawiać z panem i tylko z panem.

Oren znowu przyjrzał się facetowi, ale był już pewien, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Na pewno by go zapamiętał.

- Jak się nazywa?

- Nie uwierzy pan. Siusiek Sawyer.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Rennie podniosła się na łokciu. Wick stał od pół godziny przy oknie w sypialni. Stał bez ruchu, z ręką opartą tuż nad głową, drugą zwisającą luźno u boku. Trzymał w niej pistolet. Ciężar ciała oparł na lewej nodze, oszczędzając prawą stronę. Szorty osunęły się z bioder. Bandaż zasłaniający pooperacyjną ranę wydawał się bardzo biały w ciemnościach.

- Coś się stało? - szepnęła. Obejrzał się przez ramię.

- Nie. Przepraszam, że cię przestraszyłem.

- Czy coś...

- Nie, nic. - Podeszedł do łóżka i położył pistolet na stoliku. - Oprócz regularnych meldunków od naszych nic się nie dzieje.

- O Lozadzie ani słowa?

- Ani słowa. Chciałbym, żeby sukinsyn się pokazał i żeby już było po wszystkim.

To czekanie doprowadza mnie do szału.

Położył się obok niej i podłożył ręce pod głowę.

- Która to? - spytała.

- Jeszcze godzina do wschodu słońca. Spałaś?

- Drzemałam.

- Ja też.

Ze względu na mikrofon, zwisający mu na szyi, oboje kłamali. Leżeli obok siebie przez całą noc, w milczeniu i napięciu, z pełną świadomością, że oboje nie śpią, lecz - każde z innego powodu - nie mając odwagi tego przyznać.

- Powinnaś się jeszcze przespać, Rennie.

- Na pierwszym roku praktyki nauczyłam się obywać bez snu. Aż się boję myśleć, ilu pacjentów przyjął, śpiąc z otwartymi oczami.

- Zawsze wiedziałaś, że chcesz zostać lekarzem?

- Nie. Dopiero na drugim roku college'u.

- Dlaczego?

- To banalne.

- Chciałaś pomagać bliźnim?

- Mówiłam, że to banalne.

- Tylko, jeśli startujesz w konkursie piękności. Roześmiała się cicho.



- Nie uważam, żeby to było banalne - ciągnął. - Z tego samego powodu zostałem policjantem.

- Myślałam, że chciałeś iść w ślady brata.

- To też.

- Dobrze wybrałeś, Wick.

- Tak myślisz?

- Nie widzę cię za biurkiem przez osiem godzin dziennie. Nawet przez osiem minut. Powinnam się domyślić, że kłamiesz, kiedy udawałeś programistę.

- Przepraszam.

- Miałeś zadanie.

- I tak przepraszam.

W ten sposób znowu wrócili do tematu Lozady. Przewróciła się na bok, żeby na niego spojrzeć.

- Jak myślisz, co teraz zrobi?

- Tak szczerze? - Tak.

- Nie mam bladego pojęcia.

- A detektyw Wesley?

- Też nie wie. Od lat studiuje temat Lozady, ale pewność mam tylko co do jednego: uderzy, kiedy nie będziemy się spodziewać. Tak jak jego skorpiony. Nieoczekiwanie.

- Strach pomyśleć.

- No pewnie. Dlatego jest taki dobry. - Przez jakiś czas milczeli. Potem odwrócił głowę i spojrzał na nią. - Napastował cię, Rennie?

- Rozdarł mi bluzkę, żeby sprawdzić, czy mam na sobie podsłuch. Myślał...

- Nie Lozada. - Wyłączył mikrofon tak, żeby to widziała. - T. Dan.

- Co? Nie! Nigdy.

- A ktoś inny?

- Nie. Dlaczego tak myślałeś?

- Czasami dziewczynki stają się nadmiernie wyzywające, ponieważ jako dzieci byty wykorzystywane seksualnie.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie szukaj dla mnie usprawiedliwień, Wick. Nie znajdziesz.

- Nie chcę cię usprawiedliwiać. Tak jak nie zamierzam usprawiedliwiać siebie za to, że chciałem przelecieć każdą dziewczynę w okolicy. I w dużym stopniu mi się udało.

- Dla chłopców są inne normy.

- A nie powinno tak być.

- Ale jest.

- Nie w moim kodeksie. Wierz mi, nie mam prawa pierwszy rzucać kamieniem ani nawet się do niego zbliżać. - Wyjął ramię spod głowy i wziął ją za rękę. - Usiłuję tylko zrozumieć, dlaczego ciągle karzesz się za coś, co zrobiłaś dwadzieścia lat temu.

- Kiedy mija przedawnienie na wyrzuty sumienia?

- Słucham?

- Ile czasu minęło od śmierci Joego? Puścił jej dłoń i podniósł się gwałtownie.

- To co innego.

- Zgoda. Ale to ważne. Oparł dłonie na biodrach.

- Lozada obudził w tobie ciekawość, tak? Ostrzegł, że zanim.. . jak to ujęłaś? Zanim się we mnie rozkochasz...

- Zanim ci dam dupy. Tak to ujął.

Porzucił urażoną pozę, westchnął i przeczesał włosy palcami. Usiadł na skraju materaca, plecami do niej, oparł ręce na kolanach. Opuścił głowę i rozmasował czoło.

- Przykro mi, nie powinnaś być na to narażona. - Po chwili dodał cicho: - I nie powinienem tego z ciebie wyduszać.

- To nieważne. Pytanie o Joego nie miało nic wspólnego z Lozadą. - Wiem.

- Co się stało po jego śmierci? Odetchnął głęboko, powoli.

- Początkowo byłem tak ogłupiały, że przestałem myśleć. Nie mogłem tego pojąć, rozumiesz? Joe umarł. Mój brat odszedł. Na zawsze. Był ze mną przez całe moje życie. I nagle stał się ciałem w kostnicy, z identyfikatorem na palcu u nogi. To było... - Rozłożył ręce, jakby usiłował uchwycić odpowiednie słowo. - Takie... nieprawdziwe.

Wstał i zaczął krążyć wokół łóżka.

- Dotarło do mnie dopiero po pogrzebie. Tymczasem Oren pracował dniem i nocą, żeby stłumić rozpacz. Starał się znaleźć dowody przeciwko Lozadzie. Ekipa dochodzeniowa obejrzała każdy żwirek na podjeździe, zajrzała pod każdą trawkę na trawniku, żeby tylko znaleźć coś, co choćby w odległy sposób dawało się skojarzyć z Lozadą. Zanim Oren otrzymałby nakaz rewizji czy zdobył podstawy, żeby przesłuchać drania, musiał mieć cokolwiek, co by połączyło Lozadę z miejscem zbrodni. Tuż przed pogrzebem powiedział mi, że wreszcie coś znalazł. Jedwabną nitkę. Pojedynczą nitkę, śliwkowego koloru, nie dłuższą niż pięć centymetrów. Znajdowała się na miejscu

zbrodni. Laboratorium orzekło, że pochodzi z bardzo kosztownego ubrania, takiego, jakie można kupić tylko w najbardziej ekskluzywnych sklepach. Takiego, jakie nosi Lozada. Gdyby znaleźli ten ciuch w jego szafie, mieliby go. Pogrzeb był niesamowity. Policjanci mają zwyczaj oddawać honory poległym kolegom. Tłum nie mieścił się w kościele. Na nabożeństwie zaśpiewał kościelny chór i same anioły nie zrobiłyby tego lepiej. Przemówienia były wzruszające, kazanie krzepiące. A ja nie słyszałem z tego ani słowa. Nic. Kompletnie. Ani psalmów, ani przemówień, ani kazania o życiu wiecznym. Myślałem tylko o tej jedwabnej nitce.

Podszedł do okna i stanął tak jak poprzednio, wpatrzony w ocean.

- Przetrwiałem modlitwę nad grobem, salut honorowy z dwudziestu jeden luf. Grace i Oren wyprawili stypę. W ich domu pojawiło się ponad sto osób, więc bez trudu się wymknąłem. Lozada nie mieszkał jeszcze w Trinity Tower, lecz w budynku w pobliżu miasteczka akademickiego. Włamałem się, choć był w domu. Pewnie się domyślasz, co było potem. Rozebrałem jego mieszkanie na części pierwsze. Przetrzęsnałem jego szafę jak szalenciec. Wysypałem wszystko z szuflad. Nie zostawiłem kamienia na kamieniu. A wiesz, co on robił przez cały ten czas? Śmiał się. Pękał ze śmiechu, bo wiedział, że własnoręcznie niszczy ostatnią szansę na oskarżenie go o śmierć Joego.

A kiedy nie znalazłem tego, co spodziewałem się znaleźć, rzuciłem się na niego. Ta blizna nad okiem... To moja robota.

Obnosi ją z dumą, bo oznacza jego największe zwycięstwo. Dla mnie to dowód mojego największego upadku. Jestem pewien, że bym go wtedy zabił, gdyby Oren nie pojawił się i w porę mnie od niego nie oderwał. Zawdzięczam mu wolność... i życie. A Lozada nie zabił mnie w samoobronie tylko dlatego, że wiedział, iż życie będzie dla mnie boleśniesz. Odwrócił się powoli, spojrzał jej w oczy w ciemnościach.

- To mnie zawdzięczasz to, co cię spotyka ze strony Lozady. Gdybym wtedy nie stracił cierpliwości i zdrowych zmysłów, Lozada siedziałaby w celi śmierci, a ty nie znalazłabyś się w takim położeniu.

Roześmiał się cicho i powiódł gestem ręki po pokoju.

- A ja nie znalazłbym się tutaj. Nie mieszkałbym w szopie, liżąc rany i obnosząc gumkę na rękę, żeby odganiać ataki paniki jak...

- ...ludzka istota - przerwała. - Sam to powiedziałeś. Zwaliło ci się na głowę za dużo na raz. Wszystko, co czujesz i co czułeś, to ludzka rzecz.

- Wiesz, czasem jestem zbyt ludzki jak na moje potrzeby. - Uśmiechnął się słabo, a

ona odpowiedziała tym samym. Potem skrzywił się i cicho zaklął. Sięgnął po mikrofon, włączył go. - Tak, słyszę. O Jezu, przecież nie ogłuchłem. Co jest? - Słuchał przez chwilę. - Tutaj także nic. Wychodzę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Nie zastrzelcie mnie.

Przeszedł obok niej, żeby zabrać pistolet i telefon, po czym ruszył do drzwi.

- Będę niedaleko. Jeśli coś usłyszysz albo zobaczysz, krzycz.

Sen nie wchodził w grę, więc ubrała się i właśnie przyrządzana kawę, kiedy Wick wszedł do domu. Ruchy miał zdecydowane, twarz zaciętą.

- Co się stało?

- Wyjeżdżamy, Rennie. Od razu. Ubieraj się. - Zauważył, że już jest ubrana. - Spakuj się. Szybko.

- Dokąd wyjeżdżamy? Co się stało?

Przeszedł przez kuchnię i salon do sypialni, gdzie zaczął upychać swoje rzeczy w worku.

- Wick! Powiedz, co się stało? Lozada coś zrobił?

- Tak. Ale nie tutaj.

Nie powiedział jej nic więcej, bo nic więcej nie wiedział. Oren zadzwonił do niego, kiedy wyszedł odetchnąć morskim powietrzem i trochę się uspokoić. Przyznanie się przed Rennie do porażki nappełniło go mieszanymi uczuciami.

Z jednej strony podziałało jak oczyszczenie. Cholernie dobrze słuchała. Z drugiej przypomniało mu, że to on jest idiotą, który zapewnił Lozadzie wolność. Będzie obnosił tę hańbę, dopóki Lozada nie znajdzie się za kratkami. Albo - lepiej - w grobie.

Wiedział, że Lozada gdzieś tu jest i kpi z jego bezradności, a przez to czuł się jeszcze gorzej. Po telefonie Orena poczuł się odsunięty od wszystkiego.

- Uważamy, że Lozady nie ma już na wyspie - powiedział Oren.

- Dlaczego?

- Mamy powody tak przypuszczać.

- Co to za frazesy? Czy to konferencja prasowa? Co jest grane?

- Masz dostęp do telefonu komórkowego doktor Newton?

- Bo co?

- Najlepiej będzie, żeby przez parę najbliższych godzin nie odbierała żadnych połączeń.

- Dlaczego?

- Załatwię coś i zaraz do ciebie oddzwonię.



- Co załatwisz?

- Nie mogę powiedzieć, dopóki nie załatwię.

- Jak to nie możesz powiedzieć? Gdzie jesteś?

- Znasz Siuśka Sawyera?

- Co się wygłupiasz?

- Znasz czy nie? - Nie! Kto to?

- Teraz to nieważne. Może poczekać. Nigdzie się nie ruszaj. Zajmij czymś panią doktor. Zróbcie sobie piknik na plaży czy co tam. Peterson zatrzyma ludzi na posterunkach na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Teraz muszę już kończyć, ale się odezwę.

- Oren...

Odłożył słuchawkę, a kiedy Wick usiłował oddzwonić, linia była zajęta. Zadzwoił do wydziału zabójstw i usłyszał, że Oren nie może podejść do telefonu, ale można mu zostawić wiadomość.

Zastanawiał się góra dziesięć sekund, po czym wrócił i powiadomił Rennie, że wyjeżdżają. Piknik na plaży, po moim trupie, pomyślał. Jeśli policja w Fort Worth robi obławę na Lozadę, on chciał wziąć udział w akcji, choć nic mógł mieć pretensji do Orena za to, że chce go od tego odsunąć.

Może jednak nie powinien ciągnąć ze sobą Rennie. Ale co by było, gdyby Oren się pomylił i Lozada jednak nie opuścił Galveston? Całkiem możliwe, że chciał stworzyć pozory wyjazdu tylko po to, by wywabić Wicka i mieć Rennie dla siebie. Wick nie ufał Petersonowi i jego ludziom na tyle, by powierzyć im Rennie. Z całą pewnością nie oddałby jej w ręce Thigpacka. A to znaczyło, że muszą wyjechać razem.

Dlaczego Oren kazał mu zabrać jej komórkę? Musiał mieć ku temu ważny powód, dlatego Wick schował telefon Rennie do swojego worka. Nie zauważyła jego braku, dopóki nie znaleźli się na autostradzie 1 - 45.

- Chyba miałaś ją ze sobą w kuchni - skłamał.

- Zawsze tak bardzo uważam, żeby mieć ją przy sobie. Jak mogłam zostawić?

- Teraz za późno, nie możemy po nią wrócić.

Mniej więcej co dwadzieścia kilometrów wypytywała go o telefon, który tak gwałtownie wypędził ich z Galveston.

- Wesley nie powiedział nic więcej? - Nic więcej.

- Tylko to, że Lozady chyba nie ma na Galveston?



- Tak powiedział.
- Ale wie, że był wczoraj.
- Mógł szybko wrócić. Może wyjechał po telefonie do ciebie.
- I Wesley nie powiedział nic więcej?
- Rennie, odkąd spytałaś mnie o to po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty, nic się nie zmieniło.

- Więc dokąd jedziemy?

- Na twoje rancho. Tam cię zostawię. Wezwę Toby'ego Robbinsa, żeby z tobą posiedział. Potem pojadę do Fort Worth i dowiem się, co się tam dzieje.

- Możesz mnie zawieźć na rancho. ale tylko po dzipa. Sama wrócę do Fort Worth.

- Nie ma mowy. Zostaniesz, gdzie...

- Muszę wracać do pracy.

- Akurat. Jesteś na wakacjach, pamiętasz?

- Wracam.

- O tym porozmawiamy na miejscu. Do tej rozmowy nie doszło.

Na rancho przybyli tuż przed południem. Z niepokojem ujrzeni za bramą kilka pojazdów, w tym samochód szeryfa. Wick rozpoznał furgonetkę Toby'ego Robbinsa.

- Co się stało, na Boga?

- Zostań w samochodzie, Rennie.

Oczywiście nie została. Zanim zdążył coś zrobić, wyskoczyła z furgonetki i pobiegła ku otwartej bramie.

- Rennie!

Rzucił się do drzwi, ale kiedy zeskoczył na ziemię, plecy przeszył ostry ból. Na chwilę stracił oddech; potem pokuśtykał za Rennie. Za bardzo go wyprzedziła, by mógł ją dogonić. Zobaczył, że wbiega do stajni.

Zaczęła krzyczeć.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nie pamiętała, kiedy ostatnio w sierpniu tak padało. Dzisiejszy deszcz pobił chyba stanowe rekordy. Chmury przytoczyły się z północnego zachodu mniej więcej o drugiej, przynosząc niespodziewaną i pożądaną ulgę od słońca i upału. Ale nie była to przelotna burza. Deszcz padał gęsto, monotonicznie i nie chciał przestać.

Rennie siedziała na stercie siana, oparta o drzwi pustego boksu Beade'a. Za drzwiami stajni stała szara kurtyna deszczu. Woda wsiąkała w wyschniętą, spieczoną ziemię. Strużki wody ściekały do kałuż w naturalnych wgłębieniach w ziemi. Deszcz zmył ślady opon ciężarówki, którą Toby wezwał do wywiezienia szczątków.

Szczałki. Jej piękne konie. Wspaniała siła, piękno i gracia zmienione w szczątki.

Płakała niepohamowanie, głośno, szloch wstrząsał jej ramionami. Serce jej pękło. Nie tylko z powodu straty, ale okrucieństwa tego, co się stało. Płakała nad bezsensowną śmiercią tych pięciu pięknych, żywych stworzeń.

W końcu wypłakała wszystkie łzy. Gdy ich zabrakło, znieruchomiała z zamkniętymi oczami. Na jej policzkach wysychały ślady łez, a ona słuchała hipnotycznego bębnienia deszczu o dach.

Deszcz zagłuszył kroki, ale wyczuła czyjąś obecność. Otworzyła oczy i zobaczyła Wicka w otwartych drzwiach stajni, jakby nie czuł chłuszczących go strumieni wody.

Zaoferował się z pomocą przy wywożeniu szczątków, ale niechętnie zostawił ją samą. Toby zaproponował, że wezwie Corinne, ale odmówiła. Chciała być sama. On to zrozumiał i uszanował.

Ale poprosił zastępcę szeryfa, żeby stał przy bramie do jego powrotu, a jej kazał pozostać w domu, ze strzelbą, za zaryglowanymi drzwiami. Początkowo go posłuchała. Ale stajnia była jedynym stosownym miejscem do odbycia żałoby. Zabrała narzutę z sofy i osłaniając się nią przed deszczem, pobiegła do stajni. Zastępca albo jej nie zauważył, albo postanowił nie przeszkadzać.

Wykorzystała tę chwilę samotności i zaczęła opłakiwać swoje konie. Były jej najbliższe na świecie. Kochała je jak dzieci. A teraz ich nie było. Zginęły okropną śmiercią.

Nie wiedziała, jak długo była w stajni, ale Wick pewnie uważał, że za długo. Będzie na nią zły za to, że siedzi tu bezbronna.

Ruszył ku niej korytarzem między boksami. Jego nasiąknięte wodą buty

wydawały mokre plaśnięcia. Przemoczony stary podkoszulek przylgął do torsu jak druga skóra. Niebieskie dzinsy także były przemoczone; oblepiały nogi. Włosy ociekały wodą, przyklejone gładko do czaszki.

Zatrzymał się parę kroków od niej. Wbrew jej podejrzaniom nie był zły. Miał zmartwioną minę. W jego spojrzeniu nie było rozdrażnienia, tylko współczucie. Wyciągnął do niej rękę i pomógł się podnieść. W ułamku sekundy znalazła się w jego ramionach, uwięziona we władczym pocałunku.

Tym razem się poddała. Poszła za impulsem, który pojawił się w niej od pierwszego pocałunku. Ręce, usta, ciało - zareagowały jednocześnie. Wplątała palce w jego mokre włosy. Pocałowała go gorączkowo, łapczywie, wreszcie uwalniając pożądanie.

Podciągnęła do góry podkoszulek, lepiący się mu do piersi, przesunęła dłońmi po mokrej skórze, po kędzierzawych włosach, po sutkach. Potem pocałowała jego pierś, musnęła ją łapczywie wargami. Syknął z zaskoczeniem i żądzą, objął dłonią jej twarz, uniósł ją ku sobie i pocałował.

Kiedy wreszcie się rozdzielili, zaczęła szarpać jego podkoszulek, aż wreszcie razem zdołali go zdjąć.

- Bądź ze mną, Wick. Proszę, bądź ze mną.

Zdjął jej bluzkę i przytulił Rennie do swej nagiej piersi. Skórę miał mokrą i chłodną; ona była rozpalona. Ten kontrast pobudzał zmysły.

Schował twarz w jej szyi. Otulił ją ramionami. Czują jego palce, wpijające się w plecy. Wsunęła ręce między ich ciała. Mokry materiał dzinsów nie poddawał się łatwo, ale tak długo pracowała nad guzikami, aż wszystkie rozpięła i mogła go dotknąć.

Oddychał szybko, ochryple; przyparł ją do ściany boksu. Całowali się żarliwie, gdy on szarpał się z suwakiem jej spodni. Zsunął je razem z figami. Potem ją uniósł.

Jednym pchnięciem znalazł się w niej.

- Boże, Ren nie - szepnął i chciał się cofnąć.

- Nie! - chwyciła go za pośladki, przyciągnęła głębiej, zakołysała biodrami. Jeszcze raz wychrypiał jej imię i zaczął się poruszać. Doprowadził ich do jednoczesnego, gwałtownego szczytu.

Powoli, podtrzymując ją udami, położył ją na narzucie z sofy i położył się nad nią. Odgarnął jej z twarzy niesforne pasma włosów, pochylił się, żeby ją pocałować.

- Wick...



- Cśśś.

Delikatnie muskał wargami twarz, pieścił każdy centymetr z osobna. Usiłowała spotkać jego usta, pojmać je w pocałunek, ale umykały od ucha do powieki, od skroni do policzka, i znowu do warg. Oddech miał ciepły i pieśczośliwy. Powoli zbliżył się do jej piersi.

Musnął wargami sutek, czule go pocałował, objął ustami. Ręką pieścił drugi, muskał go ruchami lżejszymi od piórka, aż stał się twardy, twardy, zaróżowiony.

Rennie poruszała się konwulsyjnie, ale kiedy sięgnęła po niego, chwycił jej rękę, unieruchomił nad głową i musnął pocałunkami od przegubów po pachy. Kiedy zaczął całować jej piersi, znowu chciała go poczuć w sobie.

Ale on się nie spieszył. Wsunął rękę między jej uda, znalazł najczulsze miejsce, dotknął go czubkiem palca, potem znowu. Muśnięcia najlżejsze z najlżejszych, a jednak sprawiły, że napięcie zaczęło w niej narastać.

Ogarnęła ją ciemność. Kończyny zaczęły drżeć. Poczwała narastający dygot.

- Wick...

Doskonale odmierzył czas; wszedł w nią w chwili, gdy wszystko w niej wybuchło. Fala za falą przetaczały się przez nią, każda rozkoszniejsza od poprzedniej, aż wreszcie usłyszała, jakby z oddali, własne urywane krzyki.

Otworzyła oczy. Wick uśmiechał się do niej. Pocałował ją delikatnie.

- Witaj z powrotem - szepnął.

Czuła go w sobie, pełnego i twardego. Ścisnęła go. Skrzywił się z rozkoszy.

- Jeszcze.

A potem, prawie niedosłyszalnie.

- Jezu. Jeszcze.

Otoczył jej głowę rękami. Jego intensywnie niebieskie oczy przygwoździły ją spojrzeniem; zaczął się w niej poruszać, płynnie i mocno. Gładziła jego plecy, rozkoszowała się dotykiem jego skóry. Emanowała z niej witalność. Czubkami palców odbierała ładunki energii, która go rozpierała, dzięki której był sobą.

Uważała, żeby nie dotknąć rany, nie zmącić jego rozkoszy, choćby chwilowym przypomnieniem. Jej dłonie objęły jego pośladki, a kiedy eksplodował w niej, utuliła go w kołysce ud. Przyciągnęła jego głowę do siebie i trzymała mocno, dopóki nie rozluźnił mięśni.

Ulewa przeszła w mżawkę. Wrócili do domu, omijając kałuże.



- Szeryf już odjechał - zauważyła.
- Kiedy zobaczyłem, że jesteś w stajni i płaczesz, ale nic ci nie jest, odesłałem go.
- Dlaczego?
- Chciałem zostać z tobą sam.
- Więc wiedziałaś, że do tego dojdzie? Objął ją i przytulił.
- Chyba można mieć nadzieję?

Kiedy weszli do domu, telefon już dzwonił. To Toby Robbins dopytywał się o Rennie. Wick zapewnił, że wszystko w porządku.

- Nadal jest zdenerwowana, ale się trzyma.
- Mogę z nią pomówić? Wick oddał jej słuchawkę.
- Cześć, Toby. Przykro mi, że to ty musiałeś je znaleźć. To musiało być straszne.

Wcześniej była zbyt wstrząśnięta, żeby o tym mówić. Wick słyszał tylko jedną stronę rozmowy, ale wiedział, że Toby opowiada, jak znalazł martwe konie, kiedy przyjechał, by wypuścić je do korrala.

Rennie słuchała w milczeniu.

- Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo ci jestem wdzięczna, że się tym zająłeś. Nie, nikogo nie aresztowali. Tak - dodała cicho. - Lozada jest podejrzany. - Potem dodała niepewnie: - Kanapki?

Wskazał plastikowy pojemnik na stole i szepnął:

- Od Corinne.
 - Właśnie mieliśmy je zjeść - powiedziała Rennie. - Podziękuj Corinne ode mnie.
- Odłożyła słuchawkę.
- Zapomniałem o tych kanapkach, kiedy cię szukałem jak wariat po całym domu.
 - Przepraszam, że cię zdenerwowałam.
 - Zdenerwowałaś? Wystraszyłaś mnie na śmierć. - Skinął ręką w stronę krzesła. -

Jesteś głodna?

- Nie.
- Ale zjedz coś.

Namówił ją na pół kanapki z szynką i szklankę mleka. Potem obszedł cały dom, sprawdzając drzwi i okna.

- To go nie powstrzyma - powiedziała.
- To z przyzwyczajenia. Lozada tu nie wróci.
- Skąd wiesz?



- Zbrodniarze często wracają na miejsce zbrodni albo żeby się napawać własnym dziełem, albo żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomnieli. Ale jak wiesz, Lozada nie jest typowy. Jest za mądry, żeby wrócić. Już załatwił, co miał do załatwienia.

- Ukarał mnie za to, że jestem z tobą.

- Jak wspomniałem, uderzył niespodziewanie.

- Ale konie... - Głos się jej załamał. - Wiedział, co mnie najbardziej zaboli, prawda? Wick pokiwał głową.

- Jest dobry. Ale tu już skończył. Gdybym uważał, że wróci, nie zostawiłbym cię pod opieką wyłącznie zastępcy szeryfa.

- To dlaczego się tak przestraszyłeś, kiedy mnie nie znalazłeś w domu?

- Jestem znany z tego, że popełniam paskudne błędy - powiedział gorzko.

Poszli na górę. Wick zapalił lampkę przy łóżku. Mdły blask rzucił głębokie cienie na jej twarz, podkreślił zmęczenie.

- Może gorący prysznic?

- Czytasz w moich myślach.

Wspólny prysznic był okazją do niespiesznego poznawania się. Wick zachwyił się i zdziwił jej brakiem zahamowań i gotowością, z jaką mu się oddała. Nie broniła mu pieszczot.

Spytał, jak jej się podobają owłosione klatki piersiowe, więc mu pokazała, że bardzo.

Przeprosiła, że jedna jej pierś jest nieco większa od drugiej, co dało mu okazję do zważenia i zmierzenia ich rękami i ustami.

Przesunęła językiem po jego krzywym zębie i powiedziała, że to ją podnieca. Całowali się, czasami żartobliwie, przyskajac na siebie wodą, czasami namiętnie. Pieścili się śliskimi, namydlonymi dłońmi. A raz, kiedy doprowadziła go do orgazmu, ukląkł przed nią, rozchylił jej uda i pokazał jej, jak można wykorzystać język.

Ich ciała się rozgrzały, ale nie posunęli się dalej. Poszli do łóżka i położyli się przytuleni.

- Przynajmniej nie cierpiały. Nie torturował ich - odezwała się Rennie.

- Nie myśl o tym. - Odgarnął pasmo włosów i pocałował ją w kark.

Lozada zabił konie z taką samą wprawą i pewnie obojętnością, z jaką likwidował ludzi - parę kul w głowę. Wick już się nie zastanawiał, dlaczego Lozada nie skończył z nim w równie błyskawiczny sposób. Po prostu chciał jego cierpienia. Prawdopodobnie

zamierzał go uderzyć parę razy śrubokrętem i skazać na powolną, bolesną śmierć.

A kiedy tak leżał koło Rennie, był zadowolony, że żyje - i zdawał sobie sprawę, że zawdzięcza to nierozważnej decyzji Lozady.

- Rennie?

- Hmm?

- Byłaś... - Nie mógł znaleźć odpowiednio taktownego określenia. - Byłaś taka...

- Prawie cię powstrzymałam.

Leżała odwrócona od niego, z dłońmi pod policzkiem. Pogłodził jej ramię.

- To nie jest zażalenie. - Pocałował jej ramię. - Byłaś jak... sen. Jak dar. Jakbyś nigdy...

- Nie byłam z nikim od tragedii Raymonda Colliera.

Tak przypuszczał, ale kiedy to usłyszał z jej ust, w tym dniu, wszystko nabrało dla niego większego znaczenia. Gdyby mu powiedziała to przedtem, byłby zaskoczony. Może by jej nie uwierzył.

- To cholernie długa pokuta.

- Nie pokuta. Świadoma decyzja. Uznałam, że po tym, co się stało, nie zasługuję na normalne życie seksualne.

- Jakiś idiotyzm. Collier miał to, na co zasłużył. Byłaś dzieckiem.

Roześmiała się sucho.

- Z moimi osiągnięciami? Wątpię. W żaden sposób nie można by mnie nazwać dzieckiem.

- Dzieckiem, które rozpaczliwie potrzebowało pomocy. Lekko wzruszyła ramionami.

- Collier był starszy. Nie musiał się z tobą zadawać. Jeśli był tobą zafascynowany, powinien się trzymać z daleka, poradzić się kogoś, coś zrobić! On też podjął świadomą decyzję, Rennie. a konsekwencje wynikały z jego błędu. Nie wiem, dlaczego pociągnęłaś za spust, ale...

- To nie ja.

Serce mu załomotało.

- Co?

- To nie ja go zastrzeliłam. Nawet nie dotknęłam tego pistoletu. To znaczy, przedtem. Zanim policja przyjechała, wzięłam go, ale to i tak bez znaczenia, bo nikt nie zdjął odcisków palców. Nie szukali śladów prochu na niczyich rękach. W ogóle nic nie

zrobili.

- A na czyich rękach mogliby znaleźć proch? - Nie odpowiedziała, więc wypowiedział słowa, które stały mu, rozognione, przed oczami: - T. Dan.

Zawahała się i skinęła krótko głową.

- To drań! - Wick usiadł, żeby na nią spojrzeć, ale ona nie drgnęła. Widział tylko jej profil na poduszce. - Zastrzelił Colliera i zrzucił odpowiedzialność na ciebie?

- Byłam nieletnia. T. Dan powiedział, że będą się mniej czepiać, kiedy powiemy, że to ja zastrzeliłam Raymonda w samoobronie.

- Chciał cię zgwałcić?

- Od tego motelu starałam się go unikać. Czułam obrzydzenie do niego, a jeszcze większe do siebie. Nie chciałam się z nim spotykać, choć ciągle do mnie wydzwaniał. Wtedy przyszedł do nas. Nie byłam zadowolona. Nie wiem, dlaczego zaprowadziłam go do gabinetu T. Dana. Może podświadomie chciałam, żeby nas przyłapał. Nie, nie wiem. W każdym razie, kiedy ojciec wszedł do gabinetu, Raymond chciał mnie pocałować. Płakał i błagał, żebym go nie odtrącała.

- T. Dan najpierw strzelał, a potem pytał, zgadza się? Wszedł, źle zrozumiał, co się dzieje i pomyślał, że broni cię przed gwałtem? - Milczała. - Rennie?

- Nie. Nie chciał mnie bronić. Nie dlatego strzelił. T. Dan był kuty na cztery nogi. Był współnikiem Raymonda, bo tak mu się opłacało. Raymond zarobił mnóstwo pieniędzy na sprzedaży nieruchomości. A kiedy wszedł i zobaczył nas razem, dostał szału. Powiedział Raymondowi, że robi z siebie idiotę, płacząc jak dziecko z powodu jakiejś dupy.

Wick zacisnął szczęki.

- Tak powiedział? O własnej córce?

- Powiedział coś gorszego - szepnęła. - Potem podszedł do biurka i wyjął z szuflady rewolwer. I raptem, w ułamku chwili. Raymond upadł.

- Zamordował go - powiedział Wick z niedowierzaniem. - Z zimną krwią. I uniknął odpowiedzialności.

- T. Dan wcisnął mi rewolwer w rękę i powiedział, co mam mówić, kiedy przyjedzie policja. Zgodziłam się, bo... bo najpierw byłam zbyt oszołomiona. A potem uświadomiłam sobie, że tak naprawdę to moja wina.

- Nikt nie podważył wersji T. Dana? Nawet twoja matka?

- Matka nie dowiedziała się prawdy. A jeśli nawet, nigdy mi tego nie powiedziała.

Nie zakwestionowała wersji T. Dana. Choćby się działo nie wiadomo co, udawała, że wszystko gra, a nasza rodzina jest szczęśliwa.

- Niewiarygodne. T przez cały czas byłaś podejrzana o winę T. Dana?

- On strzelał, ale wina była moja. Gdyby nie ja, Raymond nadal by żył. Pamiętam o tym codziennie, w każdej chwili mojego życia.

Wick westchnął ciężko i opadł na łóżko. Dźwigała ten ciężar tak samo jak poczucie winy za to, że dzięki niej Lozada uniknął oskarżenia. Oboje znosili konsekwencje nierozważnego zachowania. Może powinni się nauczyć przebaczać sobie samym. Może mogli pomóc sobie nawzajem w tej nauce.

Objął ją, ale tym razem zeszytniała i nie pozwoliła się przyciągnąć.

- Cieszysz się, że jesteś moim pierwszym kochankiem po dwudziestu latach?

- Skłamałbym, gdybym zaprzeczył - powiedział cicho.

- Nie powinieneś. Było wielu innych.

- To nie ma znaczenia, Rennie.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię. Twarz miała zupełnie bezbronną. Przypomniał sobie, jak Toby Robbins powiedział coś o jej wielkich oczach.

- Naprawdę? Wzruszył ramionami.

- Liczy się tylko to - szepnął - że jesteś ze mną. Że zaufałaś mi na tyle, żeby ze mną być.

Odwróciła się i ujęła jego twarz w dłoń.

- Bałam się ciebie. Nie, nie ciebie. Tego, co przy tobie poczuję. - Wiem.

- Walczyłam.

- Jak tygrysica.

- Cieszę się, że ze mnie nie zrezygnowałeś. - Dotknęła jego włosów, policzka, brody, piersi.

Pieścili się, dopóki nie zapadli w sen.

Obudził się dużo później. Miał potężną erekcję. Rennie musiała to poczuć, bo otworzyła oczy zaraz po nim. Spojrzeli na siebie, leżąc na jednej poduszce.

Sięgnął po jej rękę i położył ją na swoim kroczu. Otoczyła go palcami, przesunęła kciukiem po żołądździ, rozsmarowała po niej kroplę wilgoci. Jeden ruch kolana i rozchyliła uda. Przysunął się, oparł jej udo na swoim biodrze, otworzył ją. Była wilgotna, ale wiedział, że prawdopodobnie jest obolała, więc nie wchodził w nią. Dotknął jej dłoni trzymającej jego penis i pokierował nią tak, by mogła się pieścić jego czubkiem.

Spojrzała mu prosto w oczy. Było niewiarygodnie. Doznanie, zupełnie nowe. było niczym rozkoszna męczarnia.

Przekonany, że dłużej tego nie wytrzyma, poczuł, że wsunęła w siebie sam czubek jego penisa; objęta go ciepłem i wilgocią, jednocześnie masując go ręką. Nie sądził, żeby dane mu było przeżyć szczyt wspanialszy niż poprzednio. Mylił się.

Przytulił ją do siebie, wciągnął w nozdrza zapach jej włosów, skóry, miłości. Miał ochotę zabić T. Dana Newtona za skazanie tej pięknej, mądrej kobiety na dwadzieścia lat pokuty i samotności za zbrodnię, której nie popełniła. Chciał jej wynagrodzić wszystkie wyrzeczenia i stracony czas. Chciał z nią być do końca życia.

Ale najpierw musieli przeżyć.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

- To ten. Poznajesz?

Wick spojrział do pokoju przesłuchań.

- W życiu go nie widziałem.

- Ja też nie - powiedział Oren. - Dopóki tu nie przyszedł, oświadczając, że chce nam sprzedać ciekawostki na temat Ricky Roya Lozady.

- Ja też znam ciekawostki o Ricky Royu Lozadzie. I moja cioteczna babka Betsy też. Każdy zna, jeśli Lozada spędził z nim trochę czasu. Problem w tym, że nie mają żadnej wartości.

- Uspokój się. Wiem, że zdenerwowała cię ta sprawa z końmi doktor Newton.

- A pewnie, że tak.

- Nikt by tego nie przewidział.

- Dlaczego nikt nie obserwował jej domu?

- Jest w innym okręgu, nie pod naszą jurysdykcją.

- Nie chrzań mi tu o jurysdykcji. Wokół mojego domu na Galveston postawiłeś gliny. Oren przeciągnął dłoń po twarzy.

- No dobrze, może tego nie dopilnowałem. Jak to znosi doktor Newton?

- Uparła się pójść do pracy. Powiedziała, że dzięki niej nie oszaleje. Podrzuciłem ją do szpitala i przyjechałem tutaj.

- Hmm.

Wick spojrział na niego ostro.

- Co?


- Nic.

- Dobrze, zobaczymy, co ma do powiedzenia ten palant.

Chwycił za klamkę. Oren złapał go za ramię.

- Poczekaj. Nie wpadaj tam jak wariat. - Jestem spokojny.

- Spokojny, akurat.

Wszyscy w wydziale dochodzeniowym wiedzieli, że dziś zjawił się u nich Wick Threadgill. Wszyscy, a przynajmniej wywiadowcy z wydziału zabójstw wiedzieli, że plan ściągnięcia Lozady na Galveston zakończył się straszną klęską. Threadgill i pani chirurg bawili się na plaży, a tymczasem Lozada zawrócił i zabił jej piękne konie. To dlatego Wesley chodził jak struty, a Threadgill miał minę, jakby chciał kogoś otruć. 

Wick był świadomy, że przyciąga uwagę. Nawet gdyby miał na plecach tarczę strzelniczą, nie czułby się bardziej wyeksponowany. Nie było mu łatwo wejść do tego budynku. Czuł się tu jednocześnie jak w domu i jak na widelcu.

Od chwili jego wyjazdu rotacja personelu nie była zbyt duża. więc spotkał wiele znajomych osób. Niektórzy podchodzili do niego i ściskali mu dłoń, jakby naprawdę się cieszyli, że go widzą. Inni patrzyli na niego z ukosa i witali się tak, żeby nikt tego nie słyszał. Wick ich rozumiał. Tu także funkcjonowały znane zasady. Każdy musiał dbać o siebie. Przyjazna rozmowa z funkcjonariuszem na przymusowym urlopie mogłaby zostać źle zrozumiana przez tych, którzy rozdzielają awanse.

Nikt liczący na lepsze miejsce nie zaryzykowałby porażki tylko ze względu na Wicka Threadgilla.

I jakby specjalnie po to, żeby potwierdzić jego paranoiczne przekonania, wszyscy, słysząc podniesione głosy jego i Orena. znieruchomieli i z żywym zainteresowaniem zaczęli się przyglądać scenie pomiędzy byłymi partnerami.

Wick stracił rękę Orena.

- Powiedziałem, że jestem spokojny.

- Nie chcę, żebyś...

- Idziemy czy nie?

Oren obejrzał się przez ramię na zainteresowanych widzów, po czym otworzył drzwi do pokoju przesłuchań i zaprosił Wicka do środka. Siusiek Sawyer siedział za stolikiem. Jego obie nogi podrygiwały, kościste kolana podskakiwały gwałtownie jak zsynchronizowane igły w maszynie do szycia. Nadal obgryzał paznokcie.

Na widok Wicka pobladł, co było sztuką nie lada, gdyż jego twarz i tak miała kolor żabiego brzucha.

- Co on tu robi?

- Znasz pana Threadgilla? - spytał Oren miłym głosem. Człowieczek zerknął na Orena, po czym znowu na Wicka.

- Poznają go z gazet.

- To dobrze. Nie będę musiał was przedstawiać. - Oren usiadł obok Siuska.

Wick wybrał miejsce naprzeciw, odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem. Łypnął groźnie na małego człowieczka.

- Więc to ty jesteś tym małym szpicelkiem Lozady. Człowieczek skurczył się jeszcze bardziej. Spojrzał na Orena.



- Dlaczego on tu przyszedł?

- Bo go zaprosiłem.

- Po co?

- Żeby posłuchał, co masz do powiedzenia. Siusiek przełknął ślinę.

- Ja... długo nad tym rozmyślałem. To trochę niemądre, że tu przyszedłem i rozmawiam z wami bez prawnika.

- Skoro już o tym mówisz - tak, to prawda - przyznał Oren. - Znajdź sobie prawnika. A jak już znajdziesz, zadzwoń do nas.

- Zaraz, zaraz! - Siusiek obrzucił ich obu nerwowym spojrzeniem. - A jeśli znajde prawnika, czy umowa będzie dalej obowiązywać?

Wick prawie wyskoczył z krzesła.

- Umowa? - spojrzał na Orena. - Zgodziłeś się na jakieś układy z tym zgniłkiem?

- Pamiętaj, Wick, jesteś tu tylko dlatego, że zgodziłeś się nie wtrącać.

- A ty zapewniłeś, że to coś jest naszą gwarancją na złapanie Lozady.

- Bo tak sędzę. Ale nie bez...

- Umowy - parsknął Wick. - Co mu zaproponowałeś?

- Że nie zostanie oskarżony. Wick zaklął.

- Jakaś bujda. Chyba sam to rozumiesz.

- Więc co proponujesz?

Wick przyjrzał się Siuskowi z pogardą.

- Trochę za duży, żeby go wyrzucić z powrotem do wody. Może go obtoczmy w bułeczce i usmażymy?

Na czoło Siuska wystąpił pot.

- On oszalał! Wszyscy tak mówią. Lozada też. Lozada powiedział, że Threadgill oszalał, kiedy brat mu umarł.

Wick dosłownie skoczył Siuskowi do gardła. Podniósł go w powietrze i przycisnął do ściany. Mały człowieczek pisnął jak mysz w pułapce.

- Mój brat nie umarł!

- Wick, co ty? Puść go!

- Został zamordowany, ty mała glizdo!

- Wick, ostrzegam!

- Zamordował go twój koleś Lozada.

Twarz Siuska poczerwieniała. Jego stopy dyndały bezradnie nad podłogą.

Spojrzał z przerażeniem na Orena. Detektyw chwycił Wicka za ramię, usiłował rozewrzeć jego dławiący chwyt na szyi Siuśka. Kiedy mu się nie udało, a oczy Siuśka zaczęły wychodzić z orbit, Oren walnął Wicka łokciem w żebra. Wick wypuścił powietrze ze świstem. Natychmiast puścił Siuśka, który skulił się na podłodze. Wick zgiął się wpół, klnąc na czym świat stoi i trzymając się za chory bok.

Oren dyszał.

- Przepraszam, że musiałem to zrobić, ale, do cholery, jesteś niepoprawny!

Siusiek znieruchomiał na podłodze, popiskując, ale nie zwracali na niego uwagi.

Wick wyprostował się bez tchu.

- Zrób to jeszcze raz, a...

- Zamknij się i wreszcie mnie posłuchaj, Wick. Posłuchaj. - Oren odetchnął parę razy, żeby opanować wściekłość. - Ciągłe masz problemy z zarządzaniem gniewem.

Wick parsknął śmiechem.

- Zarządzanie gniewem? Gdzie to usłyszałeś? W telewizji?

- Do cholery! - krzyknął Oren. - Nie widzisz, że popełniasz ten sam błąd, co poprzednio? Chcesz, żeby Lozada znowu się wymknął sprawiedliwości, robisz wszystko, żeby się tak stało!

Thigpack otworzył drzwi i niespokojnie zajrzał do środka.

- Wszystko w porządku?

- Nie twój interes! - ryknął Wick.

Oren zapewnił go, że wszystko w porządku.

- Co się z nim dzieje? - Detektyw patrzył na Siuśka, który trwał rozpląszczony na podłodze, popiskując i wycierając nos rękawem.

- Wszystko w porządku.

Thigpack wzruszył ramionami z powątpiewaniem, ale zamknął drzwi.

Wick ciągnął dalej, jakby nikt im nie przerywał. - Jestem wybuchowy, przyznaję. A ty nie potrafisz przyznać, że kiedy w grę wchodzi Lozada, brak ci jaj!

- Skoro o tym mowa, twoje są już pewnie sine.

Z oczu Wicka trysnęły iskry. Jego dłonie same zwinęły się w pięści.

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego.

- O, nie. To już przekracza granice kłótni. Może przestaniesz krążyć i powiesz mi wprost, o co ci chodzi?



- Sypiasz z podejrzaną. Może nie?

- Jeśli chodzi ci o Rennie Newton - tak, sypiam. I jestem zachwycony. Ale to nie podejrzana.

- Jeszcze jej nie wyeliminowałem ze sprawy doktora Howella. Co, zapomniałeś?

- To Lozada!

- Którego mogła wynająć.

- Nie wynajęła.

- Powiedziała ci o tej wizytówce z nocnej szafki?

- Tej z bukietu? To ja ją znalazłem, pamiętasz?

- Tak, tak. Była w różach, które przysłał jej Lozada. Wick wzruszył ramionami.

- Do czego zmierzasz?

- Jestem ciekawy i tyle. Dlaczego nie podarła wizytówki, kiedy się dowiedziała, że jest od Lozady? Czemu nie zniszczyła jej razem z kwiatami?

- Zachowała ją jako dowód rzeczowy.

- Albo pamiątkę. Kiedy powiedziałem, że to żaden dowód, zabrała ją. O ile mi wiadomo, nadal ją ma.

Wick zastanawiał się najwyżej przez ułamek sekundy. Pokręcił głową.

- Ona gardzi Lozadą. Brzydzi się nim.

- Aha, tak ci powiedziała. Powiedz, Wick, zacząłeś jej wierzyć przed czy po tym, jak ją bzyknąłeś?

Wick zrobił krok w jego stronę.

- Ostrzegłem cię już raz, Oren. Teraz robię to po raz drugi. Jeśli chcesz być nadal moim przyjacielem, jeśli uważałeś się za przyjaciela mojego brata, nie wolno ci tak mówić o Rennie. Nigdy.

Oren nie przejął się ostrzeżeniem.

- Zabawne, że wspominasz Joego. Bo gdyby tu był, powiedziałby to samo. On pierwszy by ci powiedział, że przesadzasz. Nie możesz być dla podejrzaney jednocześnie gliniarzem i kochasiem.

- Ona nie jest podejrzana! - powtórzył Wick dobitnie. - To ofiara!

- Na pewno? Chyba zapomniałeś, że zabiła człowieka.

- To nie ona. - Co?

- Nie zastrzeliła Raymonda Colliera. Zabił go jej ojciec. A ona wzięła winę na siebie.



- Dlaczego?

- Bo T. Dan jej kazał.

Oren wybuchnął rehotliwym śmiechem.

- A ty jej uwierzyłeś? - Znowu zarechotał. - Ona cię karmi jakimiś łzawymi opowiastkami, których nie może potwierdzić, a ty jej wierzysz?

- Wierzę.

- Aha. A kiedy ci to powiedziała, dała ci słowo honoru, że nie kłamie? Czy po prostu ci dała?

Wick rzucił się na Orena i razem wpadli na ścianę. Siusiek wrzasnął. Wick wymierzył parę ciosów, ale nie odzyskał jeszcze sił, a Oren zawsze był od niego cięższy i silniejszy. Na ciosy odpowiedział z wściekłością, nie zwracając uwagi na obrażenia Wicka. Upadli na podłogę. Wick potrząsnął głową, oszołomiony. Oren poderwał się na kolana, wyszarpnął rewolwer z kabury pod pachą. Wymierzył go w Wicka. Po policzkach Wicka toczyły się łzy bólu.

Policjanci wpadli do pomieszczenia, zaalarmowani hałasem.

- Wyjść! - rozkazał Oren. - Wszystko pod kontrolą.

- Co się stało?

- Małe nieporozumienie. Zostaje w rodzinie, zrozumiano? - Kiedy nikt nie odpowiedział, krzyknął: - Zrozumiano?

Rozległ się pomruk potwierdzenia. Oren skinął pistoletem.

- Wstawaj, Wick.

- Nie wierzę. Wyciągnąłeś na mnie gnata?

- Wstawaj. Już. Trzeba cię zamknąć na jakiś czas. Ochłoniesz. - Oren zerknął na drzwi.

- Thigpack, masz pod ręką kajdanki?

- Po moim trupie - warknął Wick. Zerwał się i bykiem uderzył Orena w brzuch. Za jego plecami rozległ się tupot stóp; paru funkcjonariuszy wpadło do pokoju na pomoc Orenowi. Ale Wick korzystał z chwili przewagi. Przyparł Orena do ściany, przydusił mu gardło ramieniem, a drugą ręką usiłował wyrwać broń.

- Cofnij to, co powiedziałeś o Rennie.

Oren walczył ze wszystkich sił.

Funkcjonariusze starali się odciągnąć Wicka, ale adrenalina dodała mu sił.

- Cofnij to!



**Jego krzyk odbił się od ścian pomieszczenia.
Jeszcze głośniejszy był strzał. Huk go ogłuszył.**



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Siusiek się posusiał. Ostateczne upokorzenie. Koszmar z podstawówki powrócił, jakby na potwierdzenie okrutnego przezwiska. Z jedną różnicą - dziś nikt nie zauważył ciemnej plamy na jego spodniach. Wokół rozpętało się pandemonium.

Po tym jednym strzale wszyscy jakby oszaleli i dzięki temu Siusiek zdołał zwać. Nikczemny wzrost i przeciętny wygląd mają jednak swoje dobre strony. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Kiedy dostrzegł szansę wymknięcia się z pokoju przesłuchań, natychmiast ją wykorzystał. Zszedł schodami przeciwpożarowymi, zamiast wsiąść do windy. Dopiero poza budynkiem zdał sobie sprawę, że zsiakł się w spodnie.

Co mu strzeliło do głowy, kiedy postanowił przyjechać do Fort Worth? Dallas ma barwniejszą reputację, ale w Fort Worth jest okropnie niebezpiecznie. Wszystkim się tu wydaje, że mieszkają na Dzikim Zachodzie. Ledwie zdołał przeżyć trzynaście lat szkolnictwa publicznego i powinien mieć na tyle rozumu, żeby nie zapuszczać się na terytorium, na którym ciągle rządzi testosteron.

Przez całą drogę do domu - a odległość między oboma miastami nigdy przedtem nie wydawała mu się tak wielka - spodziewał się zobaczyć prujący w ślad za nim radiowóz na sygnale. Ale policja miała widać większe problemy niż niedoszły informator, który odzyskał zdrowy rozsądek. Postrzelony gliniarz to duża sprawa, zwłaszcza kiedy postrzelił go inny gliniarz. Może nikt z zebranych nie pamiętał już, że świadkiem strzelaniny był Siusiek Sawyer.

A nawet gdyby pamiętał, Siusiek nie zamierzał ryzykować. Postanowił zmienić miejsce zamieszkania, co powinien był zrobić już dawno. Zacznie szukać innego mieszkania. Potrzebował tylko tyle przestrzeni, żeby zmieścić kanapę, telewizor i łóżko, no i na tyle dobrą instalację elektryczną, żeby podtrzymać komputery. Kiedy się przeprowadzi, nikomu nie zostawi adresu.

A tymczasem może sobie zrobić wakacje w meksykańskim klimacie. Acapulco. Cancun. Gdzieś, gdzie trzeba więcej cienia niż grosza. Pójdzie na lotnisko i poczeka tak długo, aż znajdzie odpowiadający mu lot do kraju, w którym można się rozkoszować spokojem i ciszą, dopóki tutaj się wszystko nie uspokoi.

Drżącymi rękami otworzył drzwi swojego domu. Rzucił klucze na stół i pobiegł w pośpiechu do sypialni. Zaczął grzebać pod łóżkiem w poszukiwaniu walizki. Była

pokryta grubym kozuchem kurzu, ale położył ją na łóżku, otworzył i odwrócił się w stronę szafy.

I krzyknął ze strachu.

- Witaj, Siusiek. - Lozada opierał się o ścianę, z założonymi rękami, skrzyżowanymi nogami, kompletnie spokojny. I śmiertelnie niebezpieczny. Zauważył plamę na spodniach Siuśka i wyszczerzył zęby. - Przestraszyłem cię?

- Czeczecze... cześć, Lozada. Jak leci? Ja właśnie...

- Się pakowałeś. - Lozada wskazał walizkę. - Wybierasz się dokądś? Ale przecież właśnie wróciłeś, nieprawdaż?

- Wróciłem? Jak to? - Bardzo się starał nie szczekać zębami.

- Dzwonię do ciebie od dwóch dni.

- A, bo... bo miałem wyłączony telefon.

Lozada podszedł spokojnie do rozchwanego stołu przy łóżku Siuśka. Podniósł słuchawkę telefonu. Sygnał był wyraźnie słyszalny nawet z daleka.

Siusiek przełknął ślinę.

- Ojej. Widać go naprawili.

Lozada odłożył słuchawkę i stanął tuż obok.

- Zaczynasz mnie martwić. Rzadko opuszczasz tę swoją norę. Gdzie byłeś?

Siusiek musiał odchylić głowę, żeby spojrzeć w oczy Lozadzie. Nie spodobało mu się to, co w nich zobaczył.

- Prze... przepraszam, że mnie nie było. Chciałeś coś? Lozada przesunął palcem po jego czole.

- Pocisz się.

- E... słuchaj... nie wiem, czego chcesz, ale zrobię to za darmo. Bez kasy. Bo wiesz, bo mnie nie było i musiałeś...

- Posikałeś się w gacie. Co cię tak zdenerwowało, że aż straciłeś panowanie nad pęcherzem?

Lozada wyjął z kieszeni nóż sprężynowy. Jednym ruchem przegubu otworzył go o parę centymetrów od twarzy Siuśka. Mały człowieczek pisnął ze zgrozy.

- Lepiej mi wyjaśnij, co tobą tak wstrząsnęło. - Lozada zaczął czyścić sobie paznokcie nożem. - Nie chciałbym się o tym dowiedzieć od kogoś innego. Jeśli nie podzielisz się ze mną informacjami, bardzo mnie rozczarujesz.

Siusiek rozważył alternatywę, sprowadzającą się do wyboru między życiem i

śmiercią. Jego życie nie było najprzyjemniejsze, ale i tak lepsze od tej drugiej możliwości.

- Te... ten Threadgill...

- Co z nim?

- Zastrzelił tego... tego... no, tego czarnego. Wesleya. Oczy Lozady zmieniły się w wąskie nieufne szparki. Siusiek pokiwał gorączkowo głową na cienkiej szyjce.

- Tak! Zastrzelił go! Widziałem na własne oczy! Byłem tam.

- Gdzie?

- Na policji w Fort Worth. W tej wielkiej centrali. Zaciągnęli mnie na przesłuchanie - skłamał. - Ale nic się nie martw, nie pisałem ani słowa. Przysięgam na wszystko. Próbowali tak i owak, ale nic nie...

- Daruj sobie. O co chodzi z tą strzelaniną? Nie wierzę ci.

- Przysięgam - pisał Siusiek przenikliwym głosem. - Najpierw rzucił się na mnie. Prawie mnie udusił i już bym nie żył, gdyby Wesley go nie odciągnął. Potem pokłócili się o tę lekarkę...

Przytoczył kłótnię niemal słowo w słowo.

- Wesley powiedział o niej coś takiego, że Threadgill nie mógł tego znieść. Rzucił się na Wesleya, Wesley wyciągnął pistolet i powiedział, że zamknie Threadgilla w areszcie, jeśli się nie uspokoi. Threadgill nie wytrzymał i znowu skoczył. Wyrwali sobie pistolet, który nagle wystrzelił. Zbiegli się policjanci, wszyscy usiłowali się połapać, co jest grane. Wesley był cały zakrwawiony. Threadgill oszalał, zaczął wrzeszczeć „Nie, nie, o Jezu, nie!” i tak dalej. Chciał się dopchać do Wesleya, ale gliniarze go nie puszczali.

Siusiek zamilkł i poprawił zjeżdżające okulary.

- Threadgill chyba nie chciał go zastrzelić. To był wypadek. Ale inni gliniarze usłyszeli ich kłótnię, więc pewnie uznali, że to było zabójstwo. A Threadgill jakby oszalał. Trzeba było kilku facetów, żeby go skuć i wywlec.

- Wesley nie żyje?

- Nie wiem. Wymknąłem się, zanim przyjechała karetka, ale ktoś przytknął mu chusteczkę do rany i nie wyglądało to dobrze. Dostał w brzuch, tak ktoś powiedział, słyszałem.

Lozada cofnęła się nieco; Siusiek odprężył się, nie widząc w pobliżu noża. Ale spojrzenie Lozady nadal uaktywniało jego gruczoły potowe.

- Strzelanina na posterunku to sensacja. Jak to się stało, że o niczym nie wiem?

- Mówili o tym. Już w trakcie tej awantury wszyscy powtarzali: „Tajne, tajne.”

Rozumiecie? To sprawa wydziału". Chcą to zatuszować. Ja to rozumiem. Gliniarz strzela do gliniarza. Nie chcą, żeby ludzie się zwiedzieli. Pewnie teraz tłumaczą lekarzom, że Wesley się postrzelił podczas czyszczenia broni. Czy coś w tym stylu.

Siusiek nerwowo strzelał palcami. Zastanawiał się nad swoją wyprawą do Meksyku. Potrzebuje paszportu czy wystarczy prawo jazdy?

- Zatrzymała moją wizytówkę? - Co?

Lozada strzelił palcami przed jego nosem, jakby chciał go obudzić, po czym powtórzył pytanie.

- A, tak, ta kartka z bukietu? Wesley uważa, że ta lekarka ma do ciebie słabość. I to tak wkurzyło Threadgilla. Wesley powiedział, że ona robi z nim, co chce. Może nie dosłownie, ale...

- Masturbujesz się?

- Słucham?

Zanim Siusiek zdążył cokolwiek zrobić, jego genitalia zawisły nad ostrym nożem Lozady. - Pytałem, czy...

- O co ci chodzi? - wrzasnął Siusiek.

- Do seksu ci on niepotrzebny, ale będziesz sikać jak baba, jeśli mi nie powiesz, skąd się wzięłeś w sali przesłuchań w towarzystwie Wesleya i Threadgilla.

Siusiek wspiął się na palce, usiłując nie stracić równowagi. Gdyby się zachwiał, wszystkie fantazje o przygodach z przyjaźnie nastawionymi señoritami ległyby w gruzach.

- Bałem się kłopotów.

- Więc mnie wsypałeś.

- Nie, przysięgam na Boga, że nie.

- Boga nie ma. - Lozada uniósł nóż; Siusiek pisnął. - Jest tylko Lozada i prawa fizyki, a między nimi prawo grawitacji. Jeśli obetnę ci jaja, upadną na ziemię jak kamyki.

- Poszedłem spytać, na jaką ugodę mogę liczyć - zatkał Siusiek. - No wiesz, na wypadek, gdyby do mnie dotarli. Ale Wesley był strasznie zajęty twoją rozmową z doktor Newton. Myśleli, że jesteś na tej wyspie. Potem się okazało, że ktoś zastrzelił jej konie. Daleko od Galveston. Strasznie się zdenerwowali. W każdym razie Wesley wpakował mnie do celi i chyba o mnie zapomniał. Aż do dziś. Pozwolił mi się wykapać. Dał mi śniadanie. Przyprowadził do tego pokoju i kazał zaczekać. Potem wrócił i Threadgill już z nim był. Powiedziałem, że zmieniłem zdanie, chcę adwokata. Resztę już

znasz. Przysięgam, że nic im nie powiedziałem. - Płakał jak dziecko, nie potrafił się powstrzymać.

Lozada cofnął nóż.

- Nie zabiję cię tylko dlatego, że nie potrafię zniszczyć twoich komputerów tak, żeby nie dało się odzyskać z nich żadnych danych.

Siusiek wytarł nos wierzchem dłoni. - Co?

- Do roboty, Siusiek - rozkazał Lozada cicho. Siusiek przełknął ślinę.

- Mam zniszczyć komputery? - To tak, jakby poprosić matkę, żeby udusiła własne dziecko. Siusiek był gotów zrobić sobie na jakiś czas wakacje od komputerów, ale zniszczyć je? To przekraczało granice jego pojmowania. Tego nie mógł zrobić.

Ręka Lozady drgnęła nieznacznie, ale Siusiek poczuł jakieś szarpnięcie w kroku i nagły powiew powietrza. Spojrzał w dół; jego spodnie były rozcięte aż po pasek. Ostrze załśniło złowrogo.

- Do roboty, Siusiek, bo twój napletek będzie następny. Siusiek był obrzezany, ale w tej chwili wydało mu się to raczej nieistotnym detalem.

Rennie wysiadła z windy na parterze szpitala. Ktoś do niej zawołał. Grace Wesley właśnie wchodziła do atrium przez obrotowe drzwi. Rennie usiłowała przytrzymać drzwi windy, ale zamknęły się, a winda odjechała.

Grace podbiegła do niej.

- Proszę, powiedz, że żyje.

- Tak, ciągle jest z nami. - Kolana ugięły się pod Grace; pewnie by upadła, gdyby Rennie jej nie podtrzymała. - Nadal utrzymują, że jest w stanie krytycznym, ale wyjdzie z tego.

Grace zasłoniła usta, żeby stłumić szloch ulgi.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu. Na pewno?

- Rozmawiałam z nimi przed chwilą, kiedy wywozili go z sali operacyjnej.

Grace otarła oczy chusteczką.

- Tak się bałam, że zanim zdążę... - Nie potrafiła wypowiedzieć na głos tej strasznej myśli.

Rennie uścisnęła jej rękę.

- Słyszałam, że pojechałaś do Tennessee, żeby się spotkać z córkami.

- Policjantka z Nashville znalazła mój lot i powiedziała, co się stało. Nawet nie opuściłam lotniska. Wróciłam następnym samolotem. Przełożony Orena wyszedł po

mnie i przywiózł mnie od razu tutaj. - Zamilkła na chwilę. - Powiedziałaś „oni”.

- Co?

- Powiedziałaś: utrzymują, że Oren z tego wyjdzie”.

- Mówiłam o zespole operacyjnym.

- Myślałam, że to ty...

- Nie pozwolono mi nawet się przyglądać, a co dopiero operować. W tych okolicznościach to by było bardzo niezręczne. Ale miał doskonałych specjalistów.

- Ja poprosiłabym o ciebie.

- Dziękuję. - Rennie, wzruszona do łez, mocno wcisnęła guzik windy.

- Czy to prawda, Rennie? Wick to zrobił? Spuściła głowę, przytaknęła.

- Mnie też tak mówiono, ale myślałam, że to jakaś pomyłka. Nie potrafię w to uwierzyć.

- Ja też. To... nie do pojęcia. Co go do tego pchnęło? Przeszli tak wiele, byli takimi dobrymi przyjaciółmi. Wick bardzo ceni twój męża. - Potarła oczy, nie podnosząc głowy. - Detektyw Wesley jest na OIOM - ie, a Wick w więzieniu.

- On cię kocha.

Rennie podniosła szybko głowę.

- To prawda. - Grace wytrzymała jej zdziwione spojrzenie; winda zjechała na dół i otworzyła się. - Muszę iść.

- Tak. Oczywiście.

Grace szybko wsiadła do windy. Rennie odczekała, aż drzwi się zamkną; dopiero wtedy odeszła. Wczorajszy deszcz był już tylko wspomnieniem. Parking dla lekarzy prażył się w nieznośnym upale. Zawsze przechodząc przez niego, myślała o Lee Howellu. Jego śmierć stała się punktem zwrotnym w jej życiu, ale łańcuch nieszczęśliwych wypadków zaczął się tak naprawdę w chwili, gdy ogłosiła werdykt ławy przysięgłych. „Uznajemy podsądnego za niewinnego”.

W jej domu panowały ciemności. Jak zwykle wprowadziła dzipa do garażu i weszła przez drzwi kuchenne. Wyjęła z lodówki butelkę wody. Stała przy kuchennym zlewie, dopóki nie wypita do dna.

Przeszła przez salon, ciemny korytarz, dotarła do sypialni. Włączyła lampkę przy łóżku, rozebrała się. W samej bieliźnie poszła do łazienki, gdzie odkręciła krany. Wybrała pachnący żel i wzięła długi prysznic.

Otulona w ulubiony, wygodny szlafrok poszła do kuchni i nalała sobie kieliszek

wina. Zniosła go do salonu, usiadła w ulubionym kącie sofy.

Popijała wino i myślała o tej nocy, kiedy tu zasnęła i otrzymała nagłe wezwanie do szpitala. Pacjent miał poważną ranę pleców.

Wick. To przez nią spotkało go tyle bólu. Wesleya też. Jego i jego rodzinę. A teraz... Boże, teraz...

Głowa opadła jej na poduszki sofy. Zamknęła oczy, ale Izy wymknęły się spod powiek i potoczyły po policzkach. Wszyscy cierpieli z jej powodu i przez ten przekłety werdykt.

Siedziała tak długą chwilę, z odchyłoną głową i zamkniętymi oczami. I tak ją znalazł.

A raczej tak było do chwili, kiedy się wyprostowała, odwróciła i powiedziała:

- Witaj, Lozada.

Stał tuż za sofą, o parę centymetrów od niej, i przyglądał się jej.

- Spodziewałam się ciebie. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czyżby, Rennie?

Na dźwięk swojego imienia w jego ustach, na widok tego gadziego uśmiechu omal nie rozlała wina. Odstawiła kieliszek na stolik, wstała i obeszła sofę, żeby stanąć przed nim.

- Wiedziałam, że przyjdiesz, kiedy się dowiesz, co spotkało Orena Wesleya.

- Twój chłopiec dostał ataku wściekłości. Niefortunna cecha charakteru. Samozniszczenie to tylko kwestia czasu. Wesley? - Wzruszył ramionami. - Ma problem. Nie potrafi sobie dobrać przyjaciół.

- Jak się dowiedziałeś? W dzienniku o tym nie mówili. W szpitalu otoczyli sprawę taką tajemnicą, że tylko garstka pracowników znała nazwisko Wesleya i rodzaj jego obrażeń. Chyba masz informatora w policji. Kto ci powiedział?

- Mały ptaszek - syknął. - Mały tchórzliwy ptaszek. Z początku mu nie wierzyłem, ale sprawdziłem jego smętną opowieść i, cóż za szkoda, okazała się prawdziwa.

Przesunął palcem po paśmie włosów opadających na jej piersi. Zmusiła się do bezruchu, ale chyba wyczuł jej wstręt, bo znowu zaprezentował ten gadzi uśmiech.

- Pięknie dziś wyglądasz.

- Wcale nie wyglądam pięknie. Jestem zmęczona. Mam dość. Wszystkiego.

- Ta podróż musiała być męcząca. - Jak to zrobiłeś?

- Co, moja droga?



- Jak się dostałeś z Galveston do mojego rancza przed świtem?

- Już ci mówiłem, Rennie, nie zdradzam tajemnic handlowych. Gdybym to robił, wkrótce wypadłbym z interesu.

- To było całkiem niezłe. Roześmiał się.

- Nie mam skrzydeł, jeśli o to mnie podejrzewasz. Uderzyła go w twarz; policzek zabrzmiał głośno, jak eksplozja petardy.

- To za zabicie moich koni.

Już się nie uśmiechał; chwycił ją za przegub tak mocno, że krzyknęła. Szarpnął nią, wykręcił jej dłoń, podciągnął między łopatki. Jego oddech sparzył jej ucho.

- Powiniennem cię za to zabić na miejscu.

- Przecież i tak mnie zabijesz. Może nie?

- Czy mógłbym pozwolić ci żyć, Rennie? Możesz mieć pretensję tylko do siebie. Powinnaś się zgodzić, bym się tobą cieszył w sposób, który mi odpowiadał. A tymczasem wolałaś, żeby cię miętosił ten ordynarny były gliniarz. - Przyciągnął ją mocniej do siebie, podciągnął wyżej rękę. - Po takiej zniewadze nie mam wyboru, muszę zabić was oboje. Szkoda tylko, że jest w pudle. Nie zobaczy, jak umierasz. Widać nie można mieć wszystkiego.

Ból był spory, ale nie próbowała się wyzwolić. Nawet nie jęknęła.

- Powinni cię zamknąć już dawno. Nie za morderstwa, w domu wariatów. Nie rozumiesz? Nie zniosłabym twego towarzystwa, nawet gdyby Wick Threadgill w ogóle nie istniał. Jesteś odrażający.

Otworzył sprężynowy nóż, dotknął nim jej gardła.

- Zanim z tobą skończę, będziesz mnie błagać, żebym ci darował życie.

- O nic nie będę cię błagać. Błagałabym, żebyś oszczędził moje konie, ale nie dałeś mi szansy. Kiedy je zabiłeś, pozbyłeś się asa z rękawa. Teraz już z tobą skończyłam, Lozada. Już się ciebie nie boję.

- Wątpię. - Sięgnął nożem niżej, poklepał jej sutek płazem. Odruchowo wciągnęła powietrze.

- Widzisz? - Roześmiał się. - Bardzo się boisz, Rennie. Rzeczywiście. Była przerażona, ale nie chciała tego okazywać.

- Nie będę z tobą walczyć, Lozada. Od dwudziestu lat każdy dzień mojego życia jest niespodziewanym prezentem. Nie zamierzam cię błagać o życie. Jeśli na to czekasz, tylko marnujesz czas.



- Jaka odważna. Dlatego bardzo mi przykro, że muszę cię zabić, Rennie. Mówię szczerze. Jesteś wyjątkową kobietą. Chyba rozumiesz, jak mi przykro, że nasz romans musi się skończyć.

- Nie było żadnego romansu. Pytasz, czy rozumiem? Owszem, rozumiem, że potrafisz zdobyć zainteresowanie kobiety tylko wtedy, gdy jej grozisz.

Przyciągnął ją bliżej, wparł się krocem w jej pośladki.

- Czujesz? Tym zdobywam zainteresowanie kobiet. Wielu kobiet.

Milczała.

- Ładnie mnie poproś, Rennie. - Przesunął językiem po jej karku. - Ładnie mnie poproś, a może ci pozwolę wziąć go do buzi, zanim cię zabiję.

- O, Lo - za - da.

Rennie poczuła drgnienie Lozady na dźwięk śpiewnego głosu Wicka.

- Tak, właśnie. To coś w twoim uchu to lufa mojej broni. Trzysta pięćdziesiąt siedem. Tylko mrugnij i przejdiesz do historii .

- Mrugnij, Lozada. Jak chcesz, to cię ładnie poproszę. - Od strony kuchennych drzwi dobiegł szyderczy głos Orena Wesleya. Detektyw mierzył prosto w głowę Lozady.

- Rzuć nóż! - Rozkazał Wick.

Lozada roześmiał się i podniósł ostrze do gardła Rennie.

- Strzel, Threadgill. Jeśli chcesz zobaczyć jej krew, zastrzel mnie.

- To bardzo w twoim stylu, ty tchórze. Wykorzystujesz kobietę, żeby uratować tyłek. W dodatku atakujesz ją od tyłu. Kolejna - jak to nazwałeś? - niefortunna cecha charakteru. Ale jeśli tak wolisz, Ricky Roy, niech ci będzie. Kiedy strzełę, Oren też to zrobi. Widzisz, ćwiczyliśmy to przez cały dzień. Odkąd wysmażyliśmy tę scenkę dla twojego przyjaciela Siuśka. Narobiliśmy cholernego bałaganu ze sztuczną krwią, ale widać wypadło przekonująco. Teraz ci powiem, co będzie. Nasze pociski rozwalą ci czaszkę. Jego trafi odrobinę wcześniej od mojego, ale różnica będzie nieznaczna, no nie, Oren?

- Tak przypuszczam.

- Może nawet ich trajektorie się przetną. W każdym razie, Ricky Roy, twój mózg rozprysnie się jak spadające z wysoka gównno.

- Zdążę ją zabić - zapowiedział Lozada. - Puść ją.

- Nigdy.

- Jak myślisz, Oren? Masz już dość tych pierdoł?



- Mam.

- Ja też. - I lewą ręką, nawet nie patrząc, Wick strzelił z małego pistoletu w prawy łokieć Lozady. Trzasnęła kość. Bluznęła krew. Nóż wypadł z bezwładnych palców. Rennie osunęła się na podłogę, tak jak ją uczyli. Lozada odwrócił się z uniesioną lewą ręką i kciukiem mierzącym w stronę oka Wicka. Wick strzelił mu prosto w pierś.

Oczy Lozady rozszerzyły się ze zdziwienia. Potem Wick powiedział:

- To za Joego. - I wypalił po raz drugi. Lozada upadł na wznak.

Rennie przyczołgała się do niego i natychmiast sprawdziła jego tętno.

- Serce jeszcze bije. - Rozdarła mu koszulę.

- Zostaw go. Podniosła wzrok na Wicka.

- Nie mogę.

Odwróciła się do Lozady i zaczęła ratować mu życie.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Rennie opuściła szpital o ósmej następnego ranka. Wick czekał na nią w furgonetce z włączonym silnikiem. Przechylił się i otworzył drzwi.

Zaczekali z wyjazdem do konferencji prasowej Orena, żeby dziennikarze byli zajęci czym innym i nie interesowali się nimi. Odjeżdżając, widzieli telewizyjne samochody i tłum reporterów przed wejściem do szpitala.

- Co im powie? - spytała.

- Że policja przeprowadziła zasadzkę przy udziale personelu szpitala. Niejaki Ricky Roy Lozada, znany policji notoryczny przestępca, zmarł w wyniku postrzału, który otrzymał, stawiając opór.

Zanim Lozada trafił w ręce sanitariuszy, Rennie z poświęceniem próbowała go reanimować. Pojechała z nim karetką, ale tuż po przybyciu do szpitala uznano go za zmarłego. Wick osobiście eskortował jego zwłoki do kostnicy.

Rennie się uparła, że zbada Wicka, a nawet skierowała go na prześwietlenie, by wykluczyć możliwość wewnętrznego krwotoku. Wick powiedział Orenowi, żeby go nie oszczędzał; chciał, by ich walka wyglądała autentycznie. Oren serio potraktował jego słowa. Stukł go na kwaśne jabłko, ale badania nie wykazały nic niepokojącego.

- Oren stara się nie ujawniać twojego udziału - powiedział Wick.

- Jestem mu wdzięczna.

- Ale możliwe, że nie da się tego uniknąć.

- Skoro się nie da, spróbuję z tym żyć.

Nie mieli wątpliwości, dokąd pojedą. Rennie nie chciała wracać do domu, w którym umarł Lozada. Kiedy znaleźli się na autostradzie międzystanowej, Wick wziął ją za rękę.

- Serce przestało mi bić, kiedy groził ci nożem.

- Bałam się, że z jakiegoś powodu nie zjawisz się na czas, a Oren nie przyjdzie. Miałam ochotę zajrzeć do spiżarni i pod łóżko, żeby się upewnić, że jesteście.

- Nic by mnie nie powstrzymało.

- To był ryzykowny plan.

- Dzięki Bogu, że się powiódł.

Wick zrozumiał w pewnym momencie, że nie ma najmniejszych szans na wspólną przyszłość z Rennie, dopóki problem Lozady nie zostanie rozwiązany. Innymi słowy,

dopóki Lozada nie zniknie z horyzontu. I o to właśnie chodziło: zniknąć z horyzontu. Ledwie pomyślał te słowa, w głowie zapaliło się światełko. Zrozumiał, że jeśli on sam wraz z Orenem znikną z horyzontu, Lozada zdecyduje się zaskoczyć Rennie.

- Najtrudniejsze było to, że musiałem cię narazić na niebezpieczeństwo.

- Ja już byłam w niebezpieczeństwie.

- W końcu mi to zaświtało. I tak miało pozostać, dopóki Lozada nie zareaguje. - Poprzedniego ranka wstał przed świtem, zadzwonił do Orena i ustalił z nim plan. Oren uznał pomysł za dobry, dorzucił parę własnych sugestii i zajął się organizacją.

- Jak przekonałeś Orena, że nie jestem taką znowu femme fatale?

- Nie musiałem. Lozada zrobił to za mnie, zabijając twoje konie. Podejrzewam, że Oren już wcześniej zmienił zdanie o tobie, tylko zachowywał się jak uparty muł. Wierz mi, Rennie, gdyby nie był przekonany o twojej niewinności, nigdy by się nie zdecydował na tę zasadzkę. A, właśnie. Kazał mi cię przeprosić za wszystkie te brzydkie rzeczy, które musiał o tobie powiedzieć, by przekonać Siuśka Sawyera. Co za szczęście, że się pojawił. Gdyby nie to, musielibyśmy strasznie długo czekać - ja w więzieniu, Oren w szpitalu - zanim Lozada by się dowiedział i zareagował.

Nasz człowiek pojechał za Sawyerem do jego mieszkania w Dallas, a kiedy ekipa obserwacyjna zobaczyła Lozadę, zadzwoniła z ostrzeżeniem do nas. Tuż po wyjściu Lozady wkroczyli do mieszkania i aresztowali Siuśka. Leżał na łóżku i płakał, bo Lozada kazał mu zniszczyć komputery. Jeszcze go nie skuli, a już zaczął sypać.

- Będziesz miał nieprzyjemności?

- Za to, że strzeliłem do Lozady? Nie. Oren oddał mi odznakę, zanim zaczęliśmy przesłuchiwać Siuśka.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Więc znowu jesteś policjantem? - Zastanawiam się.

- Nad czym się tu zastanawiać?

- Nad tym świństwem, które się z nią łączy.

- Z każdą pracą łączy się jakieś świństwo.

- Mało optymistyczne spostrzeżenie.

- Wszystko sprowadza się do jednego pytania. - Spojrzał na nią pytająco. - Co ci bardziej przeszkadza, brak tej pracy czy obecność świństw?

Nie musiał się długo zastanawiać. - Brak pracy. - Więc już wiesz. Pokiwał głową.

- Teraz naprawdę mogę pożegnać Joego. Od tej pory chyba będzie inaczej.



- Jestem tego pewna. To twoje powołanie. - Roześmiała się cicho. - A skoro mowa o powołaniu, Grace się chyba minęła ze swoim. Powinna być aktorką. Co za przedstawienie odstawiła w szpitalu!

- Podobno obie byłyście dobre.

- Nie wiem, czy Lozada nas widział.

- Ja też nie wiem, ale każda scena musiała być zainscenizowana i odebrana tak, jakby działa się naprawdę. Gdyby Lozada obserwował szpital, a Grace nie przybiegłaby do Orena, od razu by poczuł, że coś tu śmierdzi.

Ziewnęła nieznacznie.

- Przez całą noc byłeś na nogach. Może prześpisz resztę drogi? - A ty?

- Ja zdrzemnąłem się podczas tych zbędnych badań.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Ocknęła się, gdy Wick zatrzymał samochód przed bramą i wysiadł, żeby ją otworzyć. Zaparkował przed frontowym wejściem.

Rennie spojrzała w stronę stajni. - Tam zawsze wstępowałam najpierw. Pogłaskał ją po policzku.

- Staraj się o tym nie myśleć.

- Nie mogę.

Wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi, ale nie pozwolił jej wysiąść.

- Co? - spytała.

- Kiedy byłem w twojej sypialni i czekałem na swoje wejście...

- Tak?

- Powiedziałaś Lozadzie coś, co mnie zdziwiło. Że od dwudziestu lat każdy dzień twojego życia jest prezentem. - Zdjął jej ciemne okulary, żeby zajrzeć w oczy. - Nie mogę zrozumieć, co miałaś na myśli. - Spuściła głowę, ale podniósł palcem jej brodę. - Nie opowiedziałaś mi całej historii, prawda?

Czuł, że ma ochotę go okłamać, ale lojalność zwyciężyła.

- Kiedy T. Dan strzelił...

- Tak?

- Nie celował w Raymonda.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę; potem zaświtała mu odpowiedź i powoli wypuścił wstrzymywane powietrze.

- Boże.

- Ojciec był na mnie zły bardziej niż na Raymonda. Raymond stracił

zainteresowanie interesami, stracił pazur. T. Dan zobaczył nas razem i wreszcie zrozumiał, że to przede mną Raymond jest taki rozkojarzony. I stałam się w jego oczach przeszkodą, którą trzeba wyeliminować.

Zamilkła na chwilę i spojrzała przed siebie pustym wzrokiem.

- Był moim ojcem. Uwielbiałam go. Swoją niewiernością złamał mi serce. Zdradził moją matkę, naszą rodzinę. Był podłym, brutalnym egoistą.

Roześmiała się gorzko i pokręciła głową.

- Ale wiesz, co jest naprawdę śmieszne? Albo tragiczne. Nie przestałam go kochać. Pomimo wszystko. Gdybym go nie kochała, nie chciałabym go tak rozzłościć i zdenerwować moimi szaleństwami. Nie uwiodłabym jego współnika. Kochałam go - powtórzyła. - Ale interesy znacząły dla niego więcej niż ja. Był tak wściekły, że chciał mnie zabić. I zabiłby, gdyby Raymond mnie nie zasłonił własnym ciałem. Więc sam widzisz, że miałam rację. Gdyby nie ja, Raymond nadal by żył. Umarł, ratując mnie przed własnym ojcem. Doznałam szoku - tak wielkiego, że zgodziłam się na wszystko, co kazał mi zrobić T. Dan. Wkrótce po wypadku odesłał mnie z domu. Może na mój widok kłuło go sumienie, a może przypominałam mu ten interes, który nie doszedł do skutku. Nie wiem. Ale aż do jego śmierci nie wspomnieliśmy o tamtym dniu. Wick przyciągnął ją ku sobie. Zesztywniała.

- O, nie. Nie ma mowy. Teraz mi nie uciekniesz, nie włożysz znowu tej włosiennicy. - Przytulił ją do siebie, pogłaskał po głowie. - Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. To długo, odpokutowałaś za wszystko po tysiącokroć, a T. Dan smaży się w piekle. Już cię nie skrzywdzi, Rennie. Ja mu na to nie pozwolę. Trzymał ją w objęciach jeszcze przez parę chwil.

- Cieszę się, że mi powiedziałaś. To wyjaśnia, dlaczego wszystko musisz mieć pod kontrolą. Dlaczego igrasz z niebezpieczeństwem. Mam tylko nadzieję, że już sobie darujesz te ryzykanckie numery. Nie mogę bez przerwy kryć twojego tyłka. Mówiąc w przenośni, rzecz jasna.

Roześmiała się - a może załkała. Trudno było określić, bo w oczach miała łzy, ale się uśmiechała. Pomógł jej wysiąść z furgonetki. Otworzył drzwi wejściowe. - - Co powiesz na śniadanie?

- Chętnie.

Zamknął drzwi i przyparł ją do nich.

- Wspólne śniadanie. Codziennie, do końca naszego życia. Uśmiechnęła się ze

smutkiem.

- Wick...

- Zaczekaj. Zanim zaczniesz się sprzeciwiać, wysłuchaj mnie. - Dotknął jej policzka. - Będę twoim najlepszym przyjacielem do końca życia. Zrobię wszystko, żeby uleczyć twoje rany. Będę wiernym i niezmordowanym kochankiem. Będę ojcem twoich dzieci - z radością. I będę cię bronić z narażeniem życia.

- Już to zrobiłeś.

- Ty też mnie uratowałaś. I nie tylko na stole operacyjnym. Kiedy Oren przyjechał na Galveston, byłem w strasznym stanie. Ta sprawa z tajemniczą panią doktor była najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu.

Uśmiechnęła się, ale oczy miała nadal pochmurne i pełne zwątpienia.

- Nie wiem, czy to się nam uda.

- Skoro o tym mowa, pewnie masz rację - westchnął. Sięgnął do pierwszego guzika jej bluzki i rozpiął go. - Ja jestem wybuchowy, ty nawet w chwili napięcia zachowujesz spokój. Ja jestem niechlujny, ty przyklejasz fiszki do pudełek z płatkami. Ja jestem biedny, ty bogata.

Zanim wyliczył fundamentalne różnice między nimi, wszystkie guziki były już rozpięte. Przytulił ją i pocałował w kącik ust.

- To kompletnie bez sensu.

Przechyliła głowę, żeby mógł swobodnie sięgnąć ustami do jej szyi.

- Z wyjątkiem tego, co powiedziała Grace. Delikatnie chwycił zębami płatek jej ucha.

- A co powiedziała?

Wyjęła mu koszulę ze spodni i przesunęła palcami po piersi.

- Że mnie kochasz.

- Mądra Grace.

- Czy ty naprawdę... - Ja naprawdę.

Jej cichy śmiech przeszedł w jęk, gdy rozpiął jej stanik i ujął piersi w obie ręce.

- Więc to zadanie dla mnie.

- O, tak. - Przesunął językiem po jej sutku.

- Bardzo wymagające.

Musnął palcami jej brzuch, sięgnął poniżej pępka.

- O, tak.



Wsunął dłoń w figi.

- Nie mamy taryfy ulgowej.

Była wilgotna i wyczulona na każde muśnięcie. Wsunął w nią palce, jednocześnie zamykając usta gwałtownym pocałunkiem.

Parę minut później Rennie leżała na nim bezwładnie. Ubrania, których nie zdążyli zdjąć, były zwilgotniałe, pogniecione i w nieładzie. Pasma jej włosów owijały mu się wokół szyi. Jedną stopę opierał o podłogę. Oboje byli zarumienieni i zdyszani; podniecenie nadal pulsowało w ich połączonych ciałach.

Wick odetchnął parę razy.

- Coś mówiłaś?

Poczuł, że wtulone w jego pierś usta zaczynają się uśmiechać.

- Naleśniki czy jajka?

